

JUSTIN SCOTT

BŁĘKITNE BRACTWO

(Przełożył Krzysztof Bednarek)

Mojej matce, Lilly K. Scott

Prolog

Ścieżka z kamieni wiodła od tylnych drzwi kościoła do plebani. W połowie odległości pomiędzy budynkami odchodziła od niej dróżka, prowadząca do cmentarza. Stary pastor zawahał się na rozstaju. Było zimno i ciemno, ale uczucie przeważało. Otulając swoje wątle ciało płaszczem, sunął pogrążoną w mroku ścieżką do grobu swojej żony. Kiedy znalazł się na miejscu, ukląkł, pochylił głowę i odmówił krótką modlitwę. Skończywszy wyszeptał "dobranoc" i podniósł wzrok. Wysoko, na ciemnym tle góry wznoszącej się nad miastem zobaczył słaby, niebieski blask.

Przyglądał mu się, zapomniawszy o chłodzie. Pastorowi wydawało się, że dziwne światełko przypominające choinkową lampkę błyszczy w starym ośrodku dla obłąkanych. Zamrugał i popatrzył znowu. Błękitny blask był ciągle tam, gdzie nie mogło go być. Zakład dla chorych psychicznie przestępców stał opuszczony od piętnastu lat, strasząc miasto rzędami wybitych okien.

Nagle światełko znikło, pojawiło się niemal natychmiast z powrotem, i znów znikło. Niebieski błysk - ciemność - niebieski błysk. To było w opuszczonym ośrodku. Przesuwało się z okna do okna, jak gdyby ktoś przechadzał się ponurymi korytarzami, przystając w każdej celi.

Po co ktoś miałby tam chodzić tak późno w nocy - zastanawiał się pastor. I kto? Może policja - pomyślał sobie, nie warto więc o tym meldować. Nagle światełko zgasło. Pastor drżąc, odczekał chwilę. Ale już się nie zapaliło, pobiegł więc do domu, do swojej ciepłej plebani. Nigdy nie widział, żeby policja używała niebieskich świateł. Był zaniepokojony i zastanawiał się, co to mogło oznaczać.

Telefon w kuchni miał krótki kabel i Alan Springer rozciągnął go do końca. Był wysokim, szczupłym mężczyzną, bezustannie poruszającym kościstymi rękami; miał zmierzwione, gęste ciemnoblonde włosy i ruchliwe oczy. Skończył rozmowę i odłożył słuchawkę.

- Jacyś ludzie właśnie przyjechali do miasta. Nasz czcigodny burmistrz twierdzi, że chcą kupić stary szpital psychiatryczny.

Żona Alana, Margaret, przygotowywała śniadanie.

- Po co dzwonił?

- Znowu migdałki. Przyjdzie na zastrzyk.

Margaret przekładając jajko z rondla na talerz zacisnęła wargi, była zdenerwowana.

- Dlaczego nie może poczekać, aż będziesz w szpitalu? Springer dotknął ustami jej policzka.

- Bob jest prawie członkiem rodziny. Odsunęła się wzruszając ramionami.

- Powinien uszanować nasze życie prywatne... Samantho - krzyknęła w stronę schodów - zejść natychmiast!

- Czytała do późna w nocy - usprawiedliwił córkę doktor.

- Musi z tym skończyć, Alanie. Nigdy nie śpi tyle, ile powinna. Springer zaniósł dwa talerze na ozdobny, drewniany stół. Kiedy wrócił po trzeci, Margaret powiedziała:

- Pęknięte jajko jest moje.

- Wezmę je.

- Jest moje. Usiądź i jedz.

- Wszystko w porządku?

- Pewnie, że tak.

Springer pogłodził ją po ramieniu.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry, Samantha! - krzyknęła żona w stronę schodów.

- Pójdę po nią.

- Samantha! Śniadanie ci stygnie! Czy będziesz łaskawa zasiąść do stołu?

Springer usiadł, rozłożył serwetkę na kolanach i popatrzył przez okno na trawnik, który ciągle jeszcze miał zimowy, brunatny kolor. Za bezlistnymi drzewami wyznaczającymi granicę posiadłości Springerów wznosiła się góra Spotting, porośnięta kępami nagich teraz dębów i sosen o długich igłach. W połowie stoku rozsiadł się szary kamienny gmach, spoglądając na okolicę pustymi oczodołami okien. Był to opuszczony Zakład dla Psychiczenie Chorych.

Zbudowano go na przełomie stuleci, żeby pomieścić niebezpiecznych dla otoczenia ludzi, których rodziny mogły sobie pozwolić na zapewnienie im godnych warunków, jakie dawał prywatny szpital psychiatryczny. Jak inne wielkie ośrodki lecznicze czy duże instytucje w regionie Adirondack, zapewniał pracę okolicznym mieszkańcom, osiadłym na lichej, surowej ziemi. Aż do dnia, kiedy, piętnaście lat temu, zakład został zamknięty i orszak zaryglowanych karet konwojowany przez policyjne furgonetki wywiózł ostatnich podstarzałych pacjentów. Hudson City nigdy nie podniosło się po tej stracie.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego Bob nie może poczekać pół godziny na zastrzyk? - spytała Margaret.

Usiadła naprzeciwko męża, odgarniając z twarzy kosmyk włosów koloru miodu. Była ładną, trzydziestoosmioletnią kobietą, na przemian tyjącą i, dzięki głodówkom, szczuplejącą z powrotem - Springerowi wydawała się teraz zbyt chuda. Miała wyrazistą twarz o naciągniętej na kościach policzkowych skórze.

Alan jedząc szybko, mówił:

- Tak, mogę. Bob jest moim najlepszym przyjacielem. Wiesz doskonale, że to jedyna

osoba w miasteczku, której pozwałam przychodzić tu się leczyć. Poza tym, o dziewiątej umówił się na spotkanie, ogromnie ważne dla miasta.

- Mówisz jak Rada Przedsiębiorczości. Springer uśmiechnął się zakłopotany.

- Przepraszam.

- Nikt nie kupi tego monstrum - powiedziała Margaret spokojnym tonem.

- Bob mówi, że mają list intencyjny z banku.

Po co komuś byłby potrzebny taki ośrodek?

Springer spojrział na odległą budowlę.

- Na pewno nie zrobią tu znowu szpitala psychiatrycznego, nowych szkół także nikt teraz nie otwiera, więc co nam zostaje?

- Otworzą twój federalny zakład dla narkomanów? - próbowała zgadnąć Margaret uśmiechając się blado.

- Nie - odparł Springer.

Przed dwoma laty nie udało mu się przekonać ojców miasteczka do swojej propozycji i ta porażka ciągle go bolała.

Na co jeszcze mógłby się nadawać oprócz sanatorium?

Sanatorium w tym przerażającym miejscu?

Dom leży na pięknym kawałku ziemi. Jest jezioro i duża przestrzeń do jazdy konnej. Oczywiście musieliby odnowić budynek, ale ściany i dach są solidne.

Margaret odezwała się z zadumą w głosie:

- Czy to nie byłoby miłe? Przyjeżdżaliby tu jacyś ciekawi ludzie.

- Powstałyby nowe miejsca pracy - dodał oschłym tonem Springer. Nie lubił, kiedy żona wypominała mu, że ciągle czuje się obco w jego rodzinnym miasteczku.

Margaret marzyła na głos:

- Byłoby tak fajnie mieć w pobliżu naprawdę porządną restaurację. Wiesz, takie miejsce, gdzie moglibyśmy trochę posiedzieć, kiedy skończysz pracę. - Dotknęła swoich włosów. - Coś takiego jak klub.

Springer wziął ją za rękę.

- Bob chce, żebym z nim poszedł i pokazał nabywcom posesję. Wybitny obywatel i tak dalej... gadka o szpitalu... dobry pomysł ze względu na wypadki narciarskie... zapobiegliwe władze...

- Nie masz czasu - ucięła Margaret, zabierając rękę.

- Będę się spieszył. Sprzedając... Dzień dobry, kochanie! Samantha nadpłynęła od strony schodów. Bezszelestnie podeszła do matki i dotknęła jej, jakby się chciała upewnić, czy ta na pewno istnieje, wreszcie usiadła na swoim krześle. Była piętnastoletnią, kruchą, delikatniejszą wersją Margaret. Nieduża jak na swój wiek, miała szczupłe, jeszcze nie ukształtowane ciało. Springer objął córkę ramieniem, a ona musnęła ustami jego policzek. Flanelowa koszula nocna Samantha miała w sobie ciągle ciepło łóżka.

- I co robiłaś dzisiaj w nocy?

Samantha wypła łyk soku pomarańczowego i przytuliła się do ojca.

- Czytałam - ziewnęła.

Springer uwielbiał brzmienie jej głosu.

- Co czytałaś, aniele?

- Książkę.

- Cieszę się, że nie drzewo.

- Tato!

- Usiądź, Samantho. Spóźnisz się do szkoły. Nawet nie jesteś ubrana - popędzała ją Margaret.

- Nie czuję się dobrze, mam - dotknęła dłonią czoła. - Chyba mam gorączkę.

Margaret wyciągnęła rękę przez stół i przyłożyła palce do czoła Samantha.

- Moim zdaniem nie masz. A ty co sądzisz, Alanie?

Jego wzrok spotkał się z niespokojnym spojrzeniem żony. To stawało się porannym rytuałem - zdarzało się dwa, albo trzy razy w tygodniu. Samantha zawsze była cichym, nieśmiałym dzieckiem, lecz w ciągu ostatnich miesięcy zamknęła się w sobie bardziej niż kiedykolwiek. Nie wiadomo dlaczego, chodzenie do szkoły nagle stało się dla niej bolesnym przeżyciem. Springerowie nie potrafili odgadnąć przyczyny jej zachowania, sprzecali się więc, czy pozwalać jej, by zostawała w domu w te dni, kiedy wydawała się szczególnie nieszczęśliwa. Margaret, mając w pamięci to, że Samantha była chorowita, ulegała częściej niż Alan, który - na przekór wspo-mnieniom własnych nieszczęśliwych dni w szkole średniej w Hudson City przed dwudziestu pięciu laty - miał nadzieję, że Samantha najwięcej zyska walcząc ze swoją nieśmiałością.

Błada skóra na czole córki wydała mu się chłodna, gdy dotknął jej ustami.

- Jesteś zdrowa - orzekł, delikatnie naciskając jej nos dla zaakcentowania tego, co powiedział.

- Ale czuję się...

- Do szkoły - uciął z udawaną surowością.

- Tato... - prosiła, patrząc błagalnym wzrokiem.

Jej ciało napięło się, kiedy nagły podmuch zimnego powietrza wpadł do kuchni i Bob Kent wsadził głowę w drzwi przedsionka.

- Puk-puk! Dzień dobry wszystkim!

- Wchodź do środka - zaprosił go Springer.

Samantha schowała gołe stopy pod nocną koszulę, usta jej drżały, wzrok wbiła w stół.

Kent, niski i krępy pięćdziesięciolatek, był burmistrzem Hudson City. Piastował to stanowisko kierując jednocześnie własnym przedsiębiorstwem handlu nieruchomościami.

Ten niesłychanie energiczny człowiek dzisiejszego poranka wydawał się zmęczony, a

jego pogodna, okrągła twarz była blada i ściągnięta. Wziął herbatę, którą Margaret w ciszy postawiła przed nim i widząc ponury wyraz twarzy Samantha, zapytał:

- A jak się miewa najładniejsza dziewczyna w mieście?

Skuliła się jeszcze bardziej w swoim kącie i wymamrotała coś pod nosem.

Springer wyjął ze stojącej przy drzwiach torby szpatułkę i powiedział do Kenta:

- Odwróć się twarzą do okna, otwórz szeroko usta i nic nie mów.

- Aaa...

- Opuść język... Chryste, kiedy wreszcie zamierzasz to wyciąć?

- Teraz, kiedykolwiek. - Zrzucił z siebie płaszcz przeciwdeszczowy i kurtkę. - Daj mi zastrzyk. Mamy dzisiaj robotę.

- Powinieneś być w łóżku. Na dworze jest zimno.

- Położę się po lunchu, obiecuję. Ledwo mogę myśleć. Idziesz ze mną?

- Jasne.

- Pilnuj mnie dobrze. Czuję się tak, że mógłbym spuścić cenę o sześćdziesiąt patyków, tylko po to, by dali mi spokój i żebym mógł się wyspać.

- Alan myślał, że potrzebujesz wybitnego obywatela miasta, aby oszołomić klienta - powiedziała Margaret.

- To też - odparł Kent.

Springer znów wyszczerzył zęby do przyjaciela i wsadził mu w usta termometr.

- Trzymaj pod językiem.

Wyciągnął sześćset tysięcy jednostek penicyliny do strzykawki i podwinął burmistrzowi rękaw. Samantha patrzyła szeroko rozwartymi oczami, jak zwilżał grubą rękę Kenta spirytusem. Gość mrugnął do niej, a ona, rumieniąc się, odwróciła głowę. Drgnął, kiedy igła przebiła mu skórę, a potem wyjął z ust termometr.

- Włóż go z powrotem - nakazał Springer.

- I tak już wiem, że mam gorączkę. Pocę się - odparł Kent, oddając mu termometr.

- Kiedy chcesz je wyciąć?

- Co?

- Migdałki. Przecież obiecałeś mi, że się ich pozbędziesz.

- W grudniu - odparł Kent, odwijając rękaw.

- Po co czekać osiem miesięcy?

- W listopadzie mam wybory. Muszę prowadzić kampanię. Springer zaśmiał się:

- Jak zwykle, nie masz rywala. Jesteś pewnym zwycięzcą, chyba że złapią cię na molestowaniu małych chłopców.

- Alanie! - ucięła krótko Margaret.

- To był żart - usprawiedliwił się Springer. - Samantha, wiesz, że to żart, prawda?

- Tak, tato - odparła mechanicznie.

- Czy możesz do tego czasu utrzymać mnie w zdrowiu? - spytał Kent.

- Przepiszę ci bicylinę. Będzie działać przez pewien czas, i migdałki ci wypiękniją. - Zamknął torbę. - Dobra, chodźmy zrobić to przedstawienie. Młoda damo, jeśli ubierzesz się w ciągu czterech minut, podrzucimy cię do szkoły. Bo jak nie, to pójdziesz piechotą, a jest silny wiatr.

- Ja... zabiorę ją później, jeśli się lepiej poczuje - powiedziała Margaret.

Uczyła plastyki w szkole średniej, ale odkąd szkoła, z braku pieniędzy, zmniejszyła liczbę godzin z przedmiotów dodatkowych tak, że nie wypełniały całego etatu nauczyciela, nie zjawiała się w pracy przed jedenastą.

Springer woląc nie dyskutować przy Kencie o problemach Samantha, odparł:

- Okay, jeśli uważasz, że tak będzie najlepiej... Napij się jeszcze herbaty, Bob. Pójdę

nagrzać samochód.

Pocałował Margaret. Na chwilę przyłgnęła do niego mocno.

Kupcy - dwaj blondyni o świeżej cerze, czekali przed swoim pokojem w motelu Pines, czterysta metrów na południe od miasteczka. Springer przyglądał się im przepuszczając autobus szkolny.

- Kim są ci ludzie?

- Hm... nie jestem całkowicie pewien - odparł Kent. - Dzwonili z Nowego Jorku wcześniej rano. Przed godzinami urzędowania. Przewodniczący banku powiedział, żeby pokazać im obiekt. Spytałem, czy to są przedsiębiorcy hotelowi, a on odparł: "A pan jak myśli?" - Więc myślę, że to hotelarze.

Kiedy autobus dowożący dzieci z odległych farm minął ich, Springer skręcił z dwupasmowej szosy na parking przy motelu. Z tej odległości dwaj mężczyźni wydawali się bardzo młodzi.

Ubrani byli w płaszcze, jakie nosi się w mieście, włożone na ciemne garnitury i pomimo zimna nie mieli rękawic. Ich twarze, wyrażające pełną dystansu grzeczność, i czujne spojrzenia przywiodły doktorowi na myśl ochroniarzy. Chciał się podzielić tym spostrzeżeniem z Kentem, lecz przyjaciel zdążył już wyskoczyć z samochodu i szedł w ich kierunku z ręką wyciągniętą do powitania i szerokim uśmiechem na ustach.

- Witamy, chłopcy, wskakujcie. Przedstawię wam...

- Dzień dobry panu - powiedział jeden z przybyszów, ucinając słowa burmistrza. - Pojedziemy za panami naszym samochodem.

W wyciągniętą rękę wcisnął Kentowi długą, białą kopertę z nadrukiem nowojorskiego banku, po czym obaj przyjezdni jednocześnie odwrócili się i wsiedli do niebieskiego kombi. Podczas gdy Kent przeglądał list intencyjny, Springer odczekał, aż uruchomią silnik - zimowy zwyczaj w tej okolicy - po czym ruszył i skręcił na północ, w kierunku Hudson City.

- Czarująca para.

- Mnie się podobają - wzruszył ramionami Kent. Springer wyszczerzył zęby.

- Gdyby wódz Hunów, Attyła, chciał kupić coś dla swoich też by ci się spodobał.

Kent wsunął list do kieszeni.

- Myśl sobie, co chcesz.

Wysoki, biały kościół prezbiteriański dominował nad Hudson City od południa; z tej odległości nie było widać odłóżającej ze ścian farby. Stanowił punkt oparcia dla oczu, odciągał wzrok od innych obiektów - zrytego koleinami, zrujnowanego składu drewna, ponurej szkoły średniej, krzykliwie pomalowanej stacji benzynowej Exxona i podwójnego rzędu dużych, odrapanych domów ciągnących się wzdłuż głównej ulicy, przypominających o dawnym dostatku jak zbutwiałe księgi handlowe bogatej niegdyś firmy.

- Kiedy pomalujesz swój dom? - spytał Kent.

Springer spojrział na budynek, w którym mieszkał. Mimo że był to najlepiej utrzymany dom na całej ulicy, kolumny w stylu z czasów króla Jerzego, podtrzymujące ganek, wyraźnie oblażyły z farby, ponieważ rynna była zapchana lodem i woda spływała właśnie po kolumnach.

- Jak tylko dostanę należność za konsultację w sprawie twojego zapalenia migdałków.

- Powinieneś doprowadzić go do porządku - gderał Kent. - Albo postawić nowy. Mówię ci, że ta działka koło mnie może być twoja, kiedy tylko zechcesz.

Tak jak kilku innych miejscowych przedsiębiorców, Kent zbudował nowoczesną posiadłość na drodze Spotting Mountain, niecały kilometr za miastem.

- Mówisz jak Margaret.

- Nie możesz jej mieć tego za złe. Te stare stodoły są dla kobiety czymś strasznym.

- Podoba mi się mój dom.

Budynki stojące przy Main Street, teraz zupełnie zniszczone, postawiono pod koniec ubiegłego stulecia, kiedy wyrąb lasu, wydobywanie granatów, turystyka i świeżo ukończony zakład Spotting przyniosły Hudson City nieoczekiwane bogactwo.

Ale stare lasy zostały wycięte do końca pierwszej wojny światowej. Kopalnie

granatów zbankrutowały podczas kryzysu latach trzydziestych. Szpital podupadł i w końcu został zamknięty.

A kiedy zaczęło się wydawać, że napływ turystów ocali miasteczko, nowa międzystanowa autostrada przecięła góry o piętnaście kilometrów na wschód. Dziś koszt pomalowania domów białą farbą, który byłby drobnym wydatkiem dla ich pierwszych mieszkańców, przekraczał możliwości obecnych właścicieli.

- Cholerni mali wandale! - wybuchnął Kent.

Zawartość przewróconego kosza na śmiecie wysypała się na ulicę pod sklepem Rigby'ego. Powyżej znak "zakaz parkowania" kołysał się, jak pijany.

- Po kiego czorta dzieciaki muszą to robić? Całe miasto wygląda przez to obrzydliwie.

- Uspokój się, Bob. Oni nie kupują Hudson City.

Kent z widocznym zdenerwowaniem spojrzął do tyłu, ale mężczyźni z niebieskiego kombi patrzyli prosto przed siebie. Jechali przez dzielnicę handlową - krótki, podwójny rząd połączonych ze sobą dwupiętrowych budynków z krzykliwymi, tandetnymi wystawami sklepów, zrobionymi z aluminium i plastiku. Od ponad dziesięciu lat miasteczko egzystowało dzięki mizernym zarobkom miejscowych farmerów odstawiających mleko, niewielkiemu wyrębowi drewna, nielicznym nowojorczykom, przyjeżdżającym tu na lato i zasiłkom, otrzymywanym przez chronicznie bezrobotnych obywateli. Postawione przez Boba Kenta tablice: "Do wynajęcia" zebrane w szarych oknach kilku pustych sklepów unaoczniały stan, w jakim znajdowało się Hudson City.

Działały tylko następujące instytucje: sklep Rigby'ego, fryzjer, będąca w opłakanym stanie siedziba "Sun" - miejscowej gazety, oddział Pierwszego Narodowego Banku Warrington, monopolowy, pralnia (również podległa przedsiębiorstwu z Warrington), poczta i sklep spożywczy IGA.

Kent obejrzał się ponownie, kiedy mijali opuszczoną stację benzynową Shella o zabitych deskami oknach. W miejscach dystrybutorów ziały nie osłonięte dziury, a cały jej teren pokrywały odłamki szkła.

- Odpręż się - powiedział Springer. - Nie ma w stanie Nowy Jork miasta, w którym nie

byłoby zamkniętej stacji benzynowej.

- Skurczybyki - mruknął Kent. - Najpierw wykupują starą, wspaniałą stację, a za parę lat wycofują się i zostawiają nam bałagan.

- Ty im ją sprzedałeś - przypomniał Springer z uśmiechem. - Cholernie źle wygląda.

- To popatrz na szpital.

Kent rozpromienił się na widok miejskiego szpitala - nowoczesnego, parterowego budynku z cegieł i szkła, z podjazdem dla karetki.

- Dużo lepiej.

Obiekt z sześcioma łózkami był zasługą Springera i jedynym jasnym punktem na tle gospodarczego upadku miasteczka. Alan wpadł na pomysł zbudowania go, przyglądając się, jak samochód pomocy drogowej należący do stacji benzynowej Granda holował poplamione krwią szczątki jakiegoś kombi z autostrady. Kierowca wykrwawił się na śmierć, gdyż najbliższy szpital znajdował się w Warrington, pięćdziesiąt kilometrów od miejsca wypadku. Od autostrady do Hudson City było tylko piętnaście kilometrów.

Springer wynajął terenowy furgon używany przedtem jako rajdowy wóz techniczny i zamontował w nim radiotelefon. Zdobył też szybką karetkę pogotowia. W ten sposób stworzył oddział ratunkowy, zdolny przewieźć, w ciągu dwudziestu minut od chwili wypadku, ofiarę katastrofy do specjalnie przystosowanego pokoju, stanowiącego izbę przyjęć. Dopóki Alan nie zdołał przekonać rady miejskiej, aby zbudować mały szpital, cytrynowożółty ambulans stał się postrachem wąskich, krętych dróg rejonu Adirondack.

Dzięki karetkie i szpitalowi mieszkańcy mieli lepszą opiekę zdrowotną, niż mogłby zapewnić im zdany tylko na siebie lekarz. A odkąd zmotoryzowani turyści zaczęli ubezpieczać się od wszelkich kosztów ewentualnego leczenia, zajmowanie się nimi było dochodowym przedsięwzięciem, które pokrywało wydatki związane z utrzymaniem kliniki i pozwoliło opłacić pensje Springera, młodego lekarza na stażu, który pracował na nocnej zmianie, siostry przełożonej, ośmiu niepełnoetatowych pielęgniarek, portiera, dwóch kierowców karetki i sekretarki.

Mijając kościół Alan skręcił w lewo, w drogę wiodącą na górę Spotting, przebiegającą

koło cmentarza - schludnie utrzymanego, ogrodzonego zbiorowiska skromnych pomników ocienionych starymi drzewami. Zaraz za nim ulica Spotting łączyła się z drogą na górę. Springer upewnił się, czy przybysze się nie zgubili, ale młodzi ludzie jechali jego śladem.

- Wiesz, to zabawne - odezwał się.

- Co?

- Oni się niczemu nie przyglądają. Zupełnie, jakby nic ich nie obchodziło, albo jakby już tu byli. Nawet nie zaglądną w mijane boczne ulice.

Kent z widocznym bólem przełknął ślinę i potarł gardło. - Tak jak mówiłeś - nie kupują miasta.

- Pamiętasz Burger Kinga?

- Skurczybyki!

Przed dwoma laty Kent i paru innych miejscowych przedsiębiorców utworzyli spółkę, mającą wykupić koncesję na bar szybkiej obsługi, który, jak planowano, dostarczałby miejsc pracy bezrobotnym, dochodów inwestorom i podatków miastu (Springer przedstawił kontrpropozycję utworzenia kliniki dla narkomanów, która byłaby dotowana z funduszy federalnych; nikt jednak nie chciał mieć na górze Spotting takiego towarzystwa). Firma Burger King wyraziła zainteresowanie propozycją, ale w końcu zdecydowała, że dwupasmowa szosa stanowa jest za mało ruchliwa, aby mogła utrzymać restaurację.

- Burger King może się wypchać - powiedział Kent. - Jeśli będziemy mieli hotel, McDonald sam będzie się do nas dobijać.

Droga na górę Spotting zawracała parokrotnie, w miarę jak wspinała się na tysiącdwustumetrowy masyw dominujący nad Hudson City i okolicznymi dolinami. Płaty śniegu ciągle leżały w zacienionych wąwozach. Droga błyszczała w słońcu. Odpady z kopalni granatów wmieszały się w tłuczeń, a kawałki jasnych kamieni znaczyły punktami jej nawierzchnię. Białe smugi soli pokrywały szosę, dowodząc ciężkich zmagania ze śniegiem i lodem, by utrzymać ją przejezdną.

Kiedy mijali skupiska nowych domów, zbudowanych na polu, gdzie dawniej rosła lucerna, Kent sięgnął nad ręką Alana i nacisnął klakson. Żona burmistrza, malutka, okrągła

kobieta grabiąca rzadki trawnik zamachała w odpowiedzi. Dalej, namalowany ręcznie szyld na ubogim, wiejskim domu reklamował znajdujący się wewnątrz sklep z kosmetykami. Duża suszarka do włosów stała porzucona w kuchennym oknie. Pola były puste; ziemia wciąż zamrznięta. Wkrótce miała zacząć się odwilż. Wiosenne słońce już nadtopiło powierzchnię, ale farmerzy musieli poczekać jeszcze z tydzień, aż gleba odtaje na całej głębokości i wyschnie powstałe błoto. W miarę jak droga wznosiła się, ziemia stawała się coraz surowsza, skupiska młodych drzew - coraz częstsze. Tu i ówdzie stały opuszczone stodoły, a pola uprawne, pozostawione po raz pierwszy od stu lat bez opieki, porastały brzoźami i topolami. Minęli chatę, stojącą tuż Przy drodze. Wraki samochodów zaśmiecały podwórko. Płachty Plastik zwiślały z czarnych dziur w dachu ze smołowanego gontu. O Jezu - jęknął Kent odwracając nerwowo głowę w stronę kupców.

- To wygląda jak piekło. Ta cholerna chata zbije z pięć tysięcy dolarów z ceny...

Springer nie odpowiedział. Ubóstwo było w tych stronach równie zwyczajnym zjawiskiem jak przenikliwe zimowe mrozy. Pamiętał je dobrze. Gdy dorastał, każdego października zbierał gazety, żeby pozatykać szpary w ścianach i ochronić chatę ojca przed wiatrem. Do marca papier tyle razy przemakał i wysychał, że zmieniał się w brunatny pył. Kwietniowe zamiecie, nic nadzwyczajnego w górach, gdzie zima czasem powracała w pełni ze wściekłymi podmuchami wiatru, ciągle przypominały mu, że dawniej, gdy budził się w taki dzień, koc, pod którym spał, pokryty był śniegiem.

Opony wyślubiły błotniste koleiny w tłuczniowej nawierzchni, w miejscach, gdzie z lasu wyłaniały się wąskie, gruntowe drogi. Ogołoczone pagórki znaczyły miejsca, w których ludzie Mosera wycinali pozostałe resztki starego boru. Springer zjechał na samą krawędź drogi i zamachał do pasażerów niebieskiego samochodu, żeby zrobili to samo. Wyładowana do granic możliwości ciężarówka jadąca z przeciwka z niebezpiecznie chwiejącym się ogromnym stosem pni przetoczyła się obok.

Jakieś półtora kilometra dalej, w połowie odległości do szczytu, droga skręcała i rozszerzała się w miejscu, gdzie spotykała się z podjazdem. Oflankowana wyrośniętymi, płózącymi krzewami, zwieszającymi się z masywnych, kamiennych słupów, czarna, żelazna brama zamykała drogę do Zakładu Spotting.

Była to ponura, wiktoriańska budowla z szarego kamienia, o dachu z łupkowej dachówki w podobnym kolorze i zakratowanych oknach. Wysoka na dwa piętra i szeroka na

siedemdziesiąt metrów, wyrastała złowieszczo z trawnika porośniętego chaszczami. Zza jej pleców wynurzał się nagi wierzchołek góry Spotting. Widoczne były miejsca, skąd pracujący w kamieniołomach ludzie wyrywali głązy przeznaczone do budowy zakładu. Ośrodek otaczało grubo ponad sto hektarów pustego pola ogrodzonego zardzewiałym płotem i kamiennymi murami. Niewielu jego mieszkańców zostało wyleczonych. Nikt nigdy nie zdołał uciec.

Stróż Robbie, jednoręki weteran wojenny, któremu podarowano mały domek w zamian za ochronę budynków przed dalszą dewastacją, pozdrowił burmistrza i doktora przy bramie.

- Pozamiatałem, panie Kent. Wszystko w porządku.

Bob podziękował mu, a Robbie nachylił się bliżej okna i spytał:

- Myśli pan, że jeśli to kupią, pozwolą mi zostać?

- Pewnie - odparł burmistrz. - Poza tym masz umowę dożywotnio. Nie ma się czego bać.

Robbie pogrzebał w zamkach, aż ustąpiły i odepchnął bramę. Podjechali do frontowych drzwi. Niebieskie kombi za nimi.

- Popatrz na te kraty - powiedział Kent. - Mówiłem bankowi, że powinniśmy je wywalić, ale szkoda im było pieniędzy. Wygląda jak więzienie.

Kiedy czterej mężczyźni wysiedli z samochodów, burmistrz próbował coś powiedzieć, lecz jeden z obcych nie dopuścił go do słowa i przedstawił się jako Gabriel Fuller. Drugi mężczyzna, nic nie mówiąc, oglądał drzwi wejściowe.

- Miło mi panów poznać - oznajmił Alan.

- Jest pan dyrektorem szpitala - stwierdził Fuller.

- A zatem panowie wiecie co nieco o naszym mieście - odparł grzecznie doktor.

- Chcemy obejrzeć, jak to wygląda w środku, panie Kent.

- Jasne.

Burmistrz wyszukał z pęku odpowiedni klucz i otworzył masywne drzwi. Kiedy powoli odsuwały się, buchnął im w nozdrza stęchły zapach.

- Tak to wygląda - zaczął przystając w progu. - Nikt nie zajmował budynku od jakichś dziesięciu czy piętnastu lat.

Jednak Fuller i drugi mężczyzna już go minęli. Burmistrz pospieszył za nimi.

- Ale dach jest solidny. Nie cieknie.

Springer podązał ostatni, zgrzytając butami po kawałkach rozbitego szkła.

- Przez okna dostało się troszkę wody - powiedział Kent, dodając - bo bank nie chciał zapłacić za to, by je zabić. Ale Robbie - ten facet, którego widzieliście przy bramie - opiekował się wszystkim.

Fuller i jego towarzysz zignorowali słowa burmistrza.

Frontowy hali był wyłożony dębowym drewnem, większą jego część zajmowały kręte schody, wznoszące się dostojnie na pierwsze piętro. Po obydwu stronach znajdowały się duże pokoje, w których mniej niebezpieczni pacjenci mogli przyjmować odwiedzających. Kent zrobił uwagę na temat niezwyklej atrakcyjności drewniano-gipsowego wystroju.

- Będziecie mieli świetne pomieszczenia na świetlice.

- Imponujące - odparł Fuller, wążąc słowo, jakby chciał powiedzieć: "przesadnie duże".

Mroczny parter stwarzał pozory elegancji, gdyż był przeznaczony dla oczu odwiedzających, którzy płacili za utrzymanie zakładu. Natomiast pierwsze i drugie piętro, oddzielone od głównych schodów dźwiękoszczelnymi drzwiami, stanowiło zimną, dobrze działającą maszynę do sprawowania kontroli nad pensjonariuszami.

Najważniejszą troską ośrodka było zapewnienie całkowitego bezpieczeństwa. Nic nie zakłócało pola widzenia pomiędzy rozmieszczonymi w regularnych odstępach w szerokich, prostych korytarzach, stanowiskami strażników. Żelazne bramy oddzielały każdą grupę dziesięciu cel, po to, aby w razie potrzeby oddzielić je od siebie i powstrzymać rozprzestrzenianie się buntu. Cele były ohydnyymi, zakratowanymi komórkami, o powierzchni

nie przekraczającej trzech metrów kwadratowych. W wielu z nich znajdowały się poplamione i zbutwiałe prycze. Pomieszczenia te miały przytłaczająco niskie sufity z osłoniętymi siatką żarówkami, ciężkie drzwi z małymi okienkami z prętów i nie osłonięte zlewy i toalety. Mimo że wejścia były pootwierane, a we wszystkich zamykach tkwiły klucze, każdy pokój zdawał się ciągle więzić wspomnienia strachu i upokorzenia.

Kent zwrócił uwagę na ich jedyną zaletę.

- Bieżąca woda i kanalizacja w każdym pomieszczeniu. Rzadkość w budynkach z tego okresu.

Springer przyszedł mu z pomocą:

- Jeśli wyburzycie ścianki działowe, z dwóch takich cel wyjdzie całkiem przyjemny pokój.

Fuller nic nie odpowiedział. Jego pozbawiona wyrazu twarz wskazywała na to, że nie zrobiła na nim wrażenia ani sugestii Alana, ani okropny wygląd pomieszczeń. Doktor pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział dwóch ludzi do tego stopnia pozbawionych wyobraźni. Żaden z nich nie zareagował na posępną atmosferę miejsca. Jedynie kiedy zatrzymali się, żeby zajrzeć w ohydny dziurę sięgającą głęboko do piwnicy, przez twarz gościa przemknął chwilowy błysk zainteresowania.

Karna izolotka, loch dla najbardziej krnąbrnego więźnia, była zbudowana z surowych kamieni, miała solidne żelazne drzwi, otwór odpływowy w podłodze i kajdany przytwierdzone do ściany. Fuller przyglądał się jej przez parę minut, po czym sprawdził, czy drzwi dobrze się zamykają.

Odwiedzili kuchnię, kotłownię i pomieszczenia magazynowe, a na końcu, gdy już mieli wychodzić, odkryli kaplicę, gdzie witraże i gipsowy ołtarz wyglądały, jakby zostały przewiezione z jakiegoś europejskiego kościoła. Fuller i jego milczący towarzysz przyglądali się w zamyśleniu.

- To naprawdę coś, prawda?

- Nic lepszego nie uda nam się kupić - zgodził się gość.

Odwrócili się nagle. Burmistrz i doktor wymienili spojrzenia mówiące "no i co teraz" i

poszli za obcymi na wewnętrzny, betonowy dziedziniec, potem obejrzeni jeszcze pozostałe zabudowania - szopy, stodoły i garaże, niewidoczne od frontu. Z domku stróża unosił się pachnący drewnem dym. Słońce topiło lód, który pokrywał ziemię w ogrodzie.

- Panie burmistrzu - odezwał się Fuller.

- Tak, sir?

Springer ukrył uśmiech. Kent wymawiał słowo "sir" w "szlachecki" sposób, co dawało jasno do zrozumienia, że używanie go sprawiało mu przyjemność.

Przybysz zapytał o zaopatrzenie w wodę i prąd. Była tam duża, napełniona przez strumień cysterna, wkopane w zbocze słupy sieci publicznej i stary, być może dający się naprawić awaryjny generator prądu. Kiedy burmistrz wskazał mieszczący go budynek, drugi z przybyszów pobiegł, żeby obejrzeć urządzenie. Fuller spytał, czy cysterna na wodę znajduje się w obrębie ogrodzonego terenu i wyglądał na zadowolonego, a raczej, jak pomyślał Springer, wręcz uspokojonego pozytywną odpowiedzią Kenta. Fakt, że posiadłość była samowystarczalna, miał najwyraźniej istotne znaczenie dla nabywców.

- Wywożenie śmieci zapewnia miasto - powiedział Bob - Jestem pewien, że możemy zawrzeć korzystną umowę.

- Mówi pan "miasto", panie burmistrzu. Ale ono nazywa się Hudson City.

- Mówię o całej miejscowości, której centrum stanowi Hudson City. Jako jego burmistrz sprawuję de facto władzę nad okolicą, razem z naszą Radą Miejską. Pięciosobową. Zajmujemy się...

Przerwał, gdyż właśnie wrócił drugi mężczyzna, który znacząco spojrzał na Fullera. Ten zapytał:

- Czy macie własną policję? Kent przytaknął.

- Mamy jednego swojego człowieka, a w razie potrzeby wsparcie policji stanowej - wskazał na północ. - Ich budynki stoją piętnaście kilometrów za miastem. Oczywiście jeśli będziemy mieli duży napływ turystów, zatrudnimy więcej ludzi. Ta posiadłość Podlega naszej lokalnej jurysdykcji.

Springer dodał:

- Mimo że leży poza granicami miasta, odpowiadamy za nią my, a nie policja stanowa.

- Tak - powiedział Fuller takim tonem, jakby wiedział o tym już wcześniej.

- Mmm... będziecie mieć otwarte przez cały rok? - spytał Bob. Przybysz obrzucił długim spojrzeniem cały teren, po czym wyjął z kieszeni płaszcz portfel i podał Kentowi czek.

- Oto zaliczka, panie burmistrzu. Będziemy negocjować z bankiem w Nowym Jorku.

Kent spojrział z ukosa.

- Dziesięć tysięcy dolarów. Firma Revelations Incorporated. Kalifornia.

Przybysze już odwrócili się w kierunku swojego samochodu.

- Czy mogę jeszcze coś dla panów zrobić? - zawołał za nimi burmistrz, wyraźnie oszołomiony tempem wydarzeń.

Fuller zatrzymał się i z wyrazem uprzejmości na twarzy powiedział:

- Tak, panie Kent. Kiedy tylko bank zawiadomi pana o sfi-nalizowaniu transakcji, proszę dopilnować, żeby domek stróża został zwolniony.

Pete Lewis znajdował się sam w swoim sklepie. W powszednie dni tygodnia nie opłacało mu się zatrudniać sprzedawcy. Wytarł do połysku brudną ladę wokół kasy, aż powietrze zrobiło się duszne od cytrynowego zapachu, po czym usiadł na stolku i przekartkował katalog rozmaitych drobiazgów. Jego zawartość bardzo odbiegała od tego, co sprzedawał swoim stałym klientom. Jednak jeśli zostałby otwarty hotel, mógł pojawić się popyt na kosztowne gadżety i pamiątki. Jeśli miał w ogóle powstać. Nikt na dobrą sprawę nie wiedział, co firma Revelations chciała zrobić z nabytym obiektem, chociaż Bob Kent utrzymywał, że to musi być hotel, i sugerował Levisowi, żeby wynajął sąsiedni, pusty sklep i przeznaczył go na dział upominków.

Dzwonek u drzwi wejściowych zadźwięczał zachęcająco. Właściciel podniósł wzrok i ze zdziwieniem zobaczył młodą, jasnowłosą parę, mężczyznę i kobietę, ubranych w nowe, grube, jeansowe kombinezony. Ponieważ nie znał ich, pomyślał, że muszą to być wczasowicze, którzy przyjeżdżają tu na wakacje do swoich letnich domków i w tym roku zjawili się wcześniej. Dzięki Bogu za małe przysługi. Często zdarzało się, że Pete przesiedział cały poranek, nie widząc żadnego klienta.

- Witam! - zawołał. - Czym mogę służyć?

- Powiem panu, kiedy będziemy go potrzebować - powiedział mężczyzna. Z wyraźnym zdecydowaniem podążyli od razu w kierunku działu farb. Lewis pomimo wszystko podszedł do nich, pokazał im różnobarwne próbki i czekał, aż coś wybiorą. Nie miał w zwyczaju pozostawiać klienta samemu sobie. Mówił swojemu sobotnio-niedzielnemu sprzedawcy, że właśnie usłużność różni jego firmę od każdego sklepu sieci w Warrington; prawdziwym jednak powodem jego postępowania było uczucie czegoś w rodzaju osobistego zagrożenia, jakiego doświadczał, gdy ktoś przekraczał jego progi. Dzwonek u drzwi odezwał się znowu. Weszli trzej młodzi mężczyźni, kierując się prosto w stronę pił spalinowych.

- Przepraszam państwa, za chwilę wracam - powiedział Lewis. Zostawił parę i podszedł do nowych przybyszy. Zwrócił uwagę, że ich fryzury były krótsze niż te, jakie nosiła miejscowa młodzież. Eleganckie, ulizane.

- Pomóc wam, chłopcy?

- W porządku - odparł jeden, podnosząc okazałą piłę firmy McCulloh i próbując fachowo jej wyważenia. Był starszy od pozostałych. Ciężki, prosty, metalowy krzyż zwiślał mu z szyi. Jego towarzysze przyglądali się w milczeniu.

- To potężna piła - powiedział Lewis.

- Ma pan większą?

- Jasne. Co pan powie o tej w oknie?

Zanim Lewis zdołał go zatrzymać, najniższy z przybyłych wszedł prosto na wystawę i szarpnął piłę ze stojaka otoczonego lasem grabi i motyk. Gdyby któreś grabie wpadły na piramidę czerwonych puszek z benzyną...

- Ostrożnie! - ostrzegł sklepikarz, ale młody człowiek wy dostał się z łatwością, nie zahaczając o nic i cała trójka zaczęła oglądać piłę. Lewis nie umiał tego wyjaśnić, ale ci ludzie wydawali mu się jacyś inni niż goście z miasta, do których był przyzwyczajony.

Dzwonek zadźwięczał i wkroczyła kolejna czwórka przybyszów, maszerując - to słowo przyszło mu do głowy później - do działu tekstylnego.

- Zaraz wracam - pospieszył za nimi, oszołomiony nie-spotykanym ruchem. Para przy półkach z farbami zdejmowała czterolitrowe puszki. Przystanął, żeby im pomóc, ale spostrzegł, że nowa grupa już wyciąga zza lady koce. Przeprosił i pospieszył do tekstylnego.

- Pomóc?

Dwie kobiety, klęcząc, przebierały stos i podawały błękitne koce mężczyznom.

- Więcej niebieskich nie ma?

Lewis nachylił się i zbadał wzrokiem regał. Jego szybcy klienci byli już przy kasie. Odezwał się dzwonek. Sklepikarz chciał się podnieść, ale się opanował. Nie wszystko naraz. Wgrzebał się głębiej i znalazł jeszcze jeden błękitny koc.

- Więcej - powiedziała kobieta.

- Zamówię je - odrzekł Lewis. - Będą za tydzień.

Wysunął się z regału i wyprostował. Kilku mężczyzn stało przy kontuarze. Przepychając się przez klientów, którzy kupowali koce, pospieszył za ladę i na wszelki wypadek położył rękę na kasie.

- Przepraszam, byłem zajęty. Czym mogę służyć?

Mężczyźni wybierali śrubokręty, kombinerki i szczyrki z papierowych kubeków do mieszania farby, w których były wystawione. Zadzźwięczał dzwonek. Lewis wspiął się na palce, żeby spojrzeć ponad głowami kupujących, ale nie udało mu się to. Na moment wpadł w panikę. Nie da sobie rady z tymi wszystkimi ludźmi. Nie zachowywali się tak, jak jego stali klienci, którzy poczekaliby cierpliwie, albo przyszli później, czy też wzięli coś i zapisali do rachunku.

Dzwonek znów się odezwał. Przy ladzie zebrały się dziewczyny trzymające chwiejące się stopy nie opakowanych talerzy. Jedna z nich dźwigała największy jaki znalazła w sklepie rondel, wypełniony przyborami kuchennymi.

Jeszcze raz dzwonek. Czy to część przybyszów wychodziła, mając dosyć czekania? Czy coś wynieśli? Lewis rzucał się za kontuarem, żeby móc zobaczyć drzwi wejściowe. Przyszło jeszcze więcej ludzi.

- Zaraz lecę! - zawołał.

Jego wystraszony głos był najgłośniejszym dźwiękiem w sklepie, wypełnionym szuraniem stóp i szelestem poruszanych towarów. Nagle zrozumiał, co różniło tych ludzi od roześmianych, trajkoczących właścicieli letnich domków.

Zachowywali absolutne milczenie.

Mężczyźni z piłami porozumiewali się jedynie spojrzeniami. Grupka z kocami, których stopy jedna z kobiet podawała im, stała cierpliwie jak juczne zwierzęta. Para kupująca farbę zносиła w ciszy puszki na ladę. Dziewczyny z talerzami także się nie odzywały. Inna, której wejścia nie zauważył, zaciągnęła ku kasie mnóstwo mioteł i ścierek do podłogi; trzymając je czekała cierpliwie ze spuszczonego wzrokiem.

Człowiek noszący metalowy krzyż położył na ladzie dwie piły spalinowe, zajmując resztę wolnego miejsca. Spojrzał na Lewisa przenikliwymi, niebieskimi oczami i powiedział:

- Proszę zrobić listę. Załadujemy samochody.

- Jesteście państwo razem? - zapytał sklepikarz.

Zdał sobie sprawę, że to oczywiste. Wszyscy zachowywali się i działali jednakowo. Ich niebieskie kombinezony, robocze koszule i blond fryzury były jak mundury.

Mężczyzna bez słowa położył czek na ostrzu jednej z pił. Lewis obejrzał go z niepokojem. Wtedy zauważył nazwę firmy wy. drukowaną w lewym, górnym rogu. Revelations Inc. Żołądek mu podskoczył. Przyjechali.

Sklepiarz uśmiechnął się odruchowo, próbując wymyślić jakąś kwestię, ale spokojne, wyczekujące spojrzenie przybysza sprawiło, że zaczął podliczać zakupy w swojej księdze. W odpowiedzi na skinienie głową mężczyzny, ładna, mniej więcej szesnastoletnia dziewczyna wyjęła pióro i notes i sporządziła własną listę, wymieniając każdą pozycję dziwnie monotonnym głosem. Lewis, zdając sobie sprawę z tego, że jest kontrolowany, pracował w skupieniu, myśląc nad tym, jak wyciągnąć od nich coś na temat hotelu.

W miarę jak zapisująca wymieniała kolejne przedmioty, nabywcy zabierali swoje zakupy i wnosili ze sklepu. Kiedy lada opróżniła się, właściciel został sam z mężczyzną i dziewczyną. Rachunek wyniósł 463 dolary i 38 centów. Doliczył podatek, a mężczyzna wypisał czek.

- Dziękuję - powiedział Lewis. - I witam w Hudson City. Płonął z ciekawości, chcąc zapytać o ich plany, ale poprzestał na zaproszeniu.

- Jestem diakonem w kościele. Zajrzyjcie z przyjaciółmi w niedzielę.

Mężczyzna z krzyżem na szyi zatrzymał swój ciężki wzrok na twarzy sklepikarza.

- Wkrótce odwiedzimy pański kościół, diakonie Lewis.

- Im prędzej, tym lepiej - stwierdził sprzedawca. Jeszcze nikt nigdy nie nazwał go "diakonem Lewisem". Poczł się zadowolony z tego tytułu.

- Zabrakło koców - stwierdził nieznajomy.

- Natychmiast zamówię - odparł pośpiesznie właściciel. - Ile?

- Masę - zaśmiała się dziewczyna. - Rozłożyliśmy się w głównym hallu, a tam jest tak zimno.

Wyrzuciła z siebie te słowa, i wyraźnie zeszywniała, jak gdyby nagle okazany entuzjazm przeraził ją. Powoli, niechętnie, zwróciła wzrok ku mężczyźnie. Z napiętą twarzą wyszeptowała:

- Przepraszam.

Ale on odwrócił się na pięcie i wyszedł ze sklepu. Przez chwilę stała, jakby wrosła w ziemię, drżąc niczym wystraszony szczeniaczek, po czym pisnąwszy coś niewyraźnie pobiegła za nim. Podczas gdy przybysze ładowali swoje samochody kombi przed sklepem Lewisa, dziewczyna o bladej cerze i głęboko osadzonych oczach podeszła do zakratowanego okienka miejscowej poczty rzuciła na wąską marmurową ladę niebieską kopertę. Czekala niecierpliwie, popychając palcami list, aż Sophie Wilkins, kierowniczka, podniosła swoje ciężkie kształty z obrotowego krzesła zbliżyła się do szyby z przyjaznym uśmiechem na twarzy.

- Słucham, kochanie?

- Chcę wysłać list polecony. - Głos nieznajomej był dziwnie bezbarwny, jak gdyby powtarzała wyuczoną kwestię.

- Dokąd?

- Adres jest na kopercie.

Odwróciła ją tak, żeby Sophie mogła przeczytać.

- San Mateo, Kalifornia? - urzędniczka była zaskoczona. Kiedykolwiek widywała nieznaną w Hudson City twarz, auto-matycznie przyjmowała, że to letnik z Nowego Jorku.

- I poproszę pokwitowanie.

- Nie wszystko naraz - powiedziała Sophie. Zważyła list. - Przesyłka kosztuje trzynaście centów.

- Mówili mi, że więcej.

- Kto ci powiedział?

Dziewczyna nie odezwała się, przycisnęła tylko palce do marmurowej ludy, aż jej zbieleły. Sophie wzruszyła ramionami.

- Cóż, mieli rację. Polecenie listu będzie kosztować dwa dolary, dziesięć centów.

Nieznajoma uspokoiła się wyraźnie.

- I dwadzieścia pięć centów za pokwitowanie. Zgrabną ręką szybko podliczyła cyfry, mówiąc:

- To będzie tak - dwa trzydzieści pięć, dwa czterdzieści pięć; dwa dolary i czterdzieści osiem centów.

Dziewczyna otworzyła lewą dłoń. Dwie zgniecione jednodolarówki, ćwierćdolarówka, dwie dziesięciocentówki i trzy centy wypadły na ladę.

- Dobrze - powiedziała Sophie, wygładzając banknoty. - Jest akurat. Napisz teraz swój adres na tym blankiecie, a ja zajmę się resztą.

Nieznajoma nagryzmoła adres.

Urzędniczka ostemplowała list i pokwitowanie. Wybałuszyła oczy.

- Ulica Spotting Mountain dwieście dwadzieścia? To stary szpital! - Pstryknęła palcami. - Jesteś z firmy Revelations! Wprowadziliście się?

Dziewczyna odpowiedziała sztucznym uśmiechem i spojrzała przed siebie, jak gdyby oglądała odległy widok.

Sophie wyciągnęła rękę pod kratą i dotknęła dłoni nieznajomej. Nie tylko kierowała pocztą, była również organistką w kościele, a także szwagierką Boba Kenta i żywo interesowała się gospodarką Hudson City. Spytała śmiało:

- Czy to będzie hotel?

Nadal patrząc gdzieś przed siebie przybyszka po omacku poszukała zielonego blankietu pokwitowania i znalazłszy go, odwróciła się i wyszła, ocierając się o wchodzącą parę młodych ludzi. Zbliżyli się do zakratowanego okienka. Tak jak ich poprzedniczka, mieli

na sobie niebieskie kombinezony. Mężczyzna podszedł pierwszy.

- Chcę wysłać list polecony. - Trzymał niebieską kopertę. - I poproszę pokwitowanie.

- Nie wszystko naraz - powiedziała Sophie zdenerwowanym głosem. Weszło kilkoro następnych klientów, formując kolejkę. Akurat w momencie, kiedy chciała zadzwonić do Boba Kenta i przekazać mu nowinę.

Jak się wydawało, przybysze zamierzali wkrótce przywrócić starą budowlę na górze Spotting do życia. Wstawili szyby w niektóre wybite okna, zabili deskami pozostałe, pomalowali bramę wjazdową. Mimo że wszyscy młodzi ludzie przyjeżdżający do miasteczka swoimi niebieskimi kombi wyglądali niemal jednakowo, właściciele miejscowych sklepów, sprzedający im żywność, narzędzia i materiały budowlane wyławiali coraz to nowe twarze. Potwierdzała to także Sophie Wilkins, mówiąc, że obcy regularnie wysyłali listy polecane do San Mateo w Kalifornii.

Założyli sobie telefon z zastrzeżonym numerem; rzecz niemal niespotykana w tych stronach, oraz podjęli zadziwiającą decyzję naprawy starego generatora, zamiast podłączyć się do sieci publicznej. Kierowca, który przywiózł im pierwszą dostawę oleju napędowego, został później zasypany pytaniami. Ale nie mógł na nie odpowiedzieć. Sześciu milczących młodych ludzi towarzyszyło mu do wielkich, podziemnych zbiorników i z powrotem do bramy. Był na terenie ośrodka. Ale nic nie widział.

Wszyscy przybysze byli grzeczni, ale irytująco małowólni, tak że mieszkańcy Hudson City mogli się tylko domyślać ich zamiarów. Powszechnie uważano, że przyjeżdżający codziennie ludzie byli architektami i projektantami wnętrz, przysyłanymi w celu zaplanowania przebudowy. Duża liczba przesyłek pocztowych odnawianych do Kalifornii wskazywała na wzmożone konsultacje z siedzibą firmy Revelations Incorporated. Zwracano uwagę, że wielu z nich wyglądało zbyt młodo jak na inżynierów. Logicznym wytłumaczeniem tego faktu wydawała się opinia, że byli zatrudnieni do sprzątnięcia, gotowania i innych prac fizycznych.

W miarę jak nastawała wiosna, osuszając błotnistą ziemię, mieszkańcy miasteczka zaczynali się niecierpliwić. Nowe okna i pomalowana brama ani trochę nie odmieniły ponurego oblicza górującej nad Hudson City budowli. Nawet ci, którzy podjeżdżali pod górę, aby przyjrzeć się jej z bliska, nie stwierdzali większych zmian w wyglądzie ośrodka.

Trawniki, zieleniące się po kwietniowych deszczach, pozostawały nadal zarośnięte, a podjazd ciągle był pełen głębokich kolein.

Wreszcie pewnego dnia, kilku potężnych mężczyzn o silnych ramionach i dłoniach zgrubiałych od ciężkiej pracy zeszło do składu drewna Kena Mosera, gdzie sprzedawano różne materiały budowlane. Wypyтали o wszystko kierownika, wykazując fachowe zainteresowanie, po czym powiedzieli staremu Kenowi, żeby zakupił ogromną ilość wysokiej na trzy metry metalowej siatki, drutu kolczastego, słupków i cementu. Żądali natychmiastowej dostawy i odmówili, kiedy Moser zaproponował im wykonanie robót.

Pete Lewis sprzedał im dziesięć łopat - cały swój sezonowy zapas, wszystkie nożyce do cięcia drutu i rękawice robocze.

- Co wy tam chłopaki robicie? - zapytał, kiedy podliczył zakupy.

- Ogrodzenie - odpowiedział jeden, akcentując w sposób typowy dla południowca.

Sklepikarz uśmiechnął się uprzejmie - był szczególnie usłużny dla klientów, którzy tyle kupowali. No cóż, mówią o nich, że są dobrymi sąsiadami.

Dwa dni później największa ciężarówka Mosera wtoczyła się po drodze na górę Spotting z pierwszym ładunkiem siatki dwuipółkilometrowej długości. Czekala na nią gromada krzepkich mężczyzn i kobiet. Kierowca, Ollie Fraser, bratanek starego Kena, zaszedł w czasie przerwy na lunch do sklepu Rigby'ego, gdzie znajdował się dystrybutor z napojami.

- Tak szurniętych ludzi jeszcze nie widziałem. Powiedziałem, że podjadę ciężarówką wzdłuż płotu - tam prawie na całej długości prowadzi stara, polna droga - ale nie wpuścili mnie za bramę. Ile te szpule ważą? Czterdzieści kilo?

- Czterdzieści pięć - odparł stolarz, pochylony dalej przy ladzie nad swoją kawą.

- Dziesiątka? - spytał inny. - Czterdzieści pięć jak nic. A może nawet pięćdziesiąt.

- No - - mówił Ollie. - - Jak tylko stanąłem, te dzieciaki wskakują na ciężarówkę. Odcinają. Łup! - spadła. Już trzech chłopaków wtacza ją przez bramę i dalej pod górę. Druga trójka czeka na następną szpulę. W pięć minut poszła tona drutu. Jak dźwigiem! Nawet nie zdążyłem rozprostować kości. Z powrotem na drogę. Załadować. I na górę. Raz-dwa i do widzenia.

Stolarz roześmiał się wesoło.

- Wreszcie miałeś co robić, Ollie.

- Oj, miałem.

Stojący przy kontuarze hydraulik odezwał się głośno:

- Myślałem, że wszyscy będziemy tam budować.

- Z tego co słyszałem - odpowiedział kierowca - nie zgodzili się, kiedy Ken zaproponował im wykonanie prac; a liczył naprawdę tanio.

- Czym on się martwi? Już dostał forszę za sprzedaż siatki. Pierwszy stolarz dorzucił:

- Płot to jedna sprawa. Przebudować tę kupę kamieni to co innego. Będzie robota.

- Po cholere oni w ogóle to ogradzają?

The Cut była starą, używaną niegdyś przez drwali drogą, wiodącą w poprzek bliższej szczytu góry części terenów należących do ośrodka. Buster Crayton i kilku innych hodowców mlecznych krów przywrócili ją do życia, kiedy zakład stał opuszczony. Teraz, gdy przybysze rozebrali stare, pordzewiałe płoty i kopali dziury pod nowe, metalowe słupki zalewając je cementem, a potem zaczęli zakładać błyszczącą, drucianą siatkę, Crayton mówił z niezadowoleniem, że zapewne odetną skrót, który zaoszczędzał farmerom osiem kilometrów w drodze do miasteczka.

Jego sąsiedzi uważali za oczywiste, że w ogrodzeniu będą bramy, ale pewnego popołudnia zobaczył, że to on miał rację. The Cut została odcięta płotem, zwieńczonym od góry pięcioma rzędami drutu kolczastego.

Zatrzymał swojego dodge'a power wagon - dwudziestoletni wehikuł o potężnych zderzakach, z gatunku niezniszczalnych, masywnych maszyn o ogromnej sile; to ostatnie określenie pasowało zresztą idealnie do samego właściciela pojazdu. Wściekły, zaczął wrzeszczeć na przybyszów, pracujących w głębi lasu przy ogrodzeniu, Zignorowali go zupełnie, co doprowadziło Bustera do ostateczności.

Zareagował po swojemu.

Włączył najniższy bieg i napęd na cztery koła, wdepnął gaz do samego końca i przedarł się przez płot, jak gdyby był zrobiony ze sznurka.

Z szerokim uśmiechem na ustach przewalił się pędem przez teren ośrodka i wybił dziurę z drugiej strony. Przestał jednak złośliwie chichotać, gdy zorientował się, że stracił w boju jedno z bocznych lusterek. Rozzłoszczony poniesioną szkodą, popędził do biura firmy Boba Kenta, gdy tylko zjechał do miasta i zażądał, żeby burmistrz zrobił coś w tej sprawie.

Kent odparł bez dłuższego namysłu:

- Buster, myślę, że to ich własność.

- Ta droga jest używana od piętnastu lat. I była czynna na długo przedtem, zanim zbudowali ten dom wariatów. Lepiej załatw, żeby pozostała otwarta.

- Coś ci powiem. Zadzwońmy do Freda Zinsera; zobaczymy, co on powie.

- Po co?! - wybuchnął Crayton. Burmistrz sięgnął po telefon.

- To problem prawny, prawda? Po to właśnie płacimy miejskiemu adwokatowi.

- Powiedz mu, że droga ma być przejezdna, albo zaczną się kłopoty.

Kent wykręcił numer.

- Cześć Fred! - Patrząc na rozgniewanego farmera, wyjaśnił jego skargę: - Mam tu w biurze Bustera Craytona. Mówi, że ci przyjezdni chcą zagrozić The Cut.

- Już próbowali - wtrącił rolnik.

- Zastanawia się, czy możemy coś z tym zrobić - dodał burmistrz i słuchał z wyrazem zastanowienia na twarzy, kiedy Zinser radził mu zrobić nowym sąsiadom awanturę.

- Nie - mówił Kent - nie chcemy tego. - Spojrzał na zagniewaną twarz Bustera. - Co radzisz?

- Co zdecydujesz, Bob - odpowiedział cicho adwokat. - Ale z tej drogi korzysta raptem dziesięć, dwanaście osób.

- Dzięki, Fred.

Kent odłożył słuchawkę i pokręcił głową.

- Przykro mi, Buster. Fred mówi, że to ich własność. Mogą z nią zrobić, co zechcą.

Crayton wypadł przez drzwi z zadziwiającą szybkością.

- Zobaczymy.

Załatwił swoje sprawunki, napił się kawy u Rigby'ego i pojechał do domu, spiesząc się, aby zdążyć przed zmierzchem. Dojechawszy do The Cut, zobaczył szereg młodych mężczyzn i kobiet w niebieskich kombinezonach, stojących ramie przy ramieniu w poprzek drogi. Niektórzy z nich ciągle trzymali narzędzia, którymi naprawili płot, stojący za nimi prosto i równo, jak gdyby nic się nie stało. W spokoju obserwowali go, gdy podjeżdżał bliżej.

Co za cholerna bezczelność!

Wychylił głowę przez okno, zatrąbił i wrzasnął:

- Słuchajcie wy tam, tą drogą zawsze można było jeździć, więc nie macie prawa jej blokować! Ostrzegam was, że za każdym razem, kiedy ją zagrodzicie, rozwalę płot!

Przyglądali mu się spokojnie.

- Słyszycie?!

Nikt nie odpowiedział. Zmierzchało. Las rosnący po obu stronach drogi zdawał się pochłaniać jego głos. Ogarniała go furia, a twarz coraz bardziej mu czerwieniała. Czy im się wydaje, że zagrodzą drogę po prostu stojąc sobie? Może powinien wysiąść i przyłać któremuś? Nagle wpadł na dużo lepszy pomysł.

Wskazał palcem na duży głaz leżący niedaleko półciężarówki.

- Cofam. Potem ruszam pięćdziesiątką. Kiedy minę ten kamień, nie zdołam się już zatrzymać, więc lepiej zmiatajcie.

Odjechał tyłem jakieś dwieście metrów i ruszył naprzód. Obcy stali jak wmurowani, z kamiennymi twarzami. Buster zatrąbił. Samochód szybko zbliżał się do żywej przeszkody. Jeżeli zaraz nie uciekną... Przegra, jeśli się zatrzyma. Odszkodzą. Z rykiem minął głaz, a intruzi rozpierzchli się na boki.

Wtedy go zobaczył i krzyknął przerażony.

Wdepnął hamulec do oporu. Półciężarówka wpadła w poślizg, sunąc z hurgotem w kierunku płotu, wzdłuż którego wykopano głęboki rów przecinający drogę. Jeśli w niego wpadnie, rozwali samochód. Desperacko skierował półciężarówkę w las. Kępa młodych drzewek osłabiła impet, ale pomimo to wpadł na okazały dąb. Uderzył piersią w kierownicę, a głową wyrzwał w szybę.

Oszołomiony, siedział przez kilka minut; potrząsnął głową dla otrzeźwienia i ostrożnie wyszedł z samochodu. Bolały go żebra. Jutro będzie jeszcze gorzej. Przedni zderzak był mocno wgnieciony i wyglądało na to, że krata wlotu powietrza o mało nie przebiła chłodnicy. Jeden z reflektorów został zmiażdżony.

Obcy przyglądali mu się z kamiennym spokojem, tak jak poprzednio. Crayton napiął mięśnie, wściekły, że udaremnił jego zamiary. Spowodowało to przeszywający ból w klatce piersiowej. Miał dziwne uczucie, którego nigdy przedtem nie doświadczył, pocierając potłuczoną głowę, wdrapał się z powrotem do wozu. Silnik niechętnie zaskoczył, po długotrwałym chrobocie rozrusznika. Crayton wycofał się z lasu, upokorzony spojrzeniami intruzów i zawrócił w stronę Hudson City, mając przed sobą długą drogę do domu. Zapadał zmrok, kiedy jechał główną ulicą, zaniepokojony, czy skrzypiące odgłosy dolatujące od przodu oznaczają, że uszkodził ramę. Nagle jego wzrok przykuło coś dziwnego. Zatrzymał samochód i popatrzył na górę, która stanowiła ledwie odcinający się na tle mroczniejszego nieba cień.

W starym ośrodku świeciło niebieskie światełko. Później zapłonęło kolejne i jeszcze jedno. Rozejrzał się, żeby pokazać to komuś, ale ulica była pusta. Błękitne błyski zapalały się w kolejnych oknach jak rozkwitające nagle kwiaty, rozprzestrzeniając się szybko w kierunku skrzydeł budynku, aż wypełniły wszystkie okna. Przyglądając się temu w zdumieniu, zrozumiał nowe uczucie, które go ogarnęło. Po raz pierwszy w życiu Buster Crayton czuł się bezradny.

- Pańska żona na drugiej linii, doktorze.

Springer spojrział na zegarek. Trzecia. Od pierwszej pracował w spokoju, przyjmując przeziębionych, uczulonych na kwitnienie dębu, którzy dostali wysypki, i paru innych z infekcjami wirusowymi czy skaleczeniami.

- Odbiorę w biurze.

Miło kontrastujące z jasnym gabinetem przyjęć biuro Alana było wyłożone ciemną boazerią; na podłodze leżał brązowy dywan, przy ścianach stały półki z książkami i duża, również brązowa kanapa. Okno naprzeciw ładnego biurka wychodziło na podjazd dla karetek, na którym Reggie, kierowca, doprowadzał do połysku żółty ambulans marki Cadillac.

Springer rozłożył się wygodnie w swoim fotelu.

- Cześć, kochanie.

- Idę do domu. Co chciałbyś na obiad?

- Nie będę na obiedzie. Muszę pojechać na górę po panią Cook i...

- Dlaczego ta kobieta nie może przyjść do kliniki jak każdy? Pani Cook mieszkała po przeciwnej stronie góry Spotting na samotnej farmie bez telefonu i prądu.

- Ona ma dziewięćdziesiąt trzy lata - powiedział Alan. - Ledwo potrafi się dowlec do szopy i z powrotem.

- Dobra. Coś sobie z Samanthą przegryziemy. Potem możemy zjeść razem.

- Lepiej nie czekaj. Mam spotkanie u Boba o ósmej. Skubnę u Mary jakąś kanapkę.

- Dlaczego nic mi nie mówiłeś? - złościła się Margaret.

- Chciałem do ciebie zadzwonić, jak tylko będę wolny. Bob uważa, że mając w perspektywie otwarcie hotelu powinniśmy znów spróbować zdobyć koncesję na bar szybkiej obsługi. Zaproponował mi spółkę.

Nie zainteresowała się tym.

- Kiedy cię wreszcie ujrzę?

- Postaram się być o jedenastej.

Wrócił do kliniki. Angela Gallagher, przełożona pielęgniarek, siedziała przy biurku skrzyżowawszy swoje zgrabne nogi. Była to piękność o klasycznej urodzie i kruczoczarnych włosach. Skończyła trzyletnią szkołę pielęgniarek. Jej inteligencja i opanowanie bardzo mu pomagały podczas nagłych wypadków.

- Kto następny? - spytał Springer.

- Możesz wierzyć lub nie, ale poczekalnia jest pusta. - Zapaliła papierosa.

- One cię zabiją - powiedział doktor. Angela zaciągnęła się głęboko.

- Rzucam. Obiecuję.

Alan usiadł na stołku i nalał sobie burbona do papierowego kubka.

- A to zabije ciebie - odgryzła się.

Springer uśmiechnął się znad krawędzi kubeczka.

- Moja droga pani. Mężczyzna i kobieta piją od dziesięciu tysięcy lat. Gatunek przetrwał. Odkąd zaczęli palić papierosy, umierają na choroby płuc. Dlaczego nie skoncentrujesz się na innych zachciankach?

- Czy chcesz... - zaczęła.

Przerwał jej wysoki, chudy siedemnastolatek o pryszczatej twarzy, który wszedł do gabinetu. Rękawy jego czerwono-czarnej kurtki były o wiele za krótkie, tak że odsłaniały kościste nadgarstki. Chłopak wyglądał na wystraszonego.

- Panie doktorze...

- Danny? Co się stało?

Danny Moser wszedł kuśtykając; zakrwawiona szmata owijająca jego prawą stopę

zostawiała na podłodze czerwony ślad.

- Zraniłem się...

Springer był już na nogach, podtrzymując biedaka pomógł mu Przejść przez pokój i położyć się na stole do badania pacjentów. Angela zgasła papierosa w zlewie i napełniła metalową miskę ciepłą wodą.

- Leż spokojnie - powiedział doktor - bo zaraz nam zemdlejesz.

Danny odparł nosowym, jęklwym, choć już pewnym siebie głosem:

- Wszystko w porządku, panie doktorze. Ale boli jak cholera. Mając siedemnaście lat, Danny zdążył już zyskać sobie reputację największego rozrabiaki w miasteczku. Ojciec chłopaka, "czarna owca" w rodzinie Moserów, porzucił jego matkę wiele lat temu. Danny, odkąd opuścił szkołę, był już dwukrotnie aresztowany za handel prochami i marihuaną, które sprzedawał dawnym kolegom z klasy. Mieszkał z matką, na pół inwalidką, w chacie na końcu ulicy Spotting. Springer był jedyną osobą w Hudson City, którą chłopak mógłby określić mianem przyjaciela.

- Co się stało?

- Pracowałem w lesie. Siekiera mi się ześlizgnęła. Prawie odciąłem sobie palec.

Alan z Angelą odwinęli zaschnięty bandaż.

- Gdzie pracowałeś?

- Na górze - odpowiedział Danny wymijająco. - W bok od Rock Road.

Springer dalej odwijał bandaż, aż dotarł do brudnej skarpetki. Rozciął ją nożyczkami, które podała mu pielęgniarka, ostrożnie umył chłopcu stopę, i zobaczył ranę - głębokie rozcięcie idące od podbicia aż do przerwy pomiędzy dużym palcem a pozostałymi. Danny wykrzywił się z bólu i szarpnął nogą, kiedy doktor włożył jego stopę do miski.

- Spokojnie, synku. Muszę ją oczyścić.

- Boli jak s... - przerwał, spotykając się z szybkim spojrzeniem Springera. - Boli jak cholera, panie doktorze.

Angelą przyniosła świeżą wodę i tampony. Lekarz przyjrzał się poszarpanej bruździe ze zdumieniem.

- Gdzie masz but?

- Eee... Zostawiłem gdzieś na górze. Byłem w szoku. Springer spojrział na ranę i pokręcił głową.

- Zrobiłeś to siekierą?

- Ześlizgnęła się - zajęczał Danny. - Prosto na moją nogę.

- Co rąbałeś?

- Drzewo. A co pan myśli? Dlaczego pan pyta?

Doktor patrzył na stopę chłopca, a ten coraz bardziej się denerwował.

- Dostałem robotę. Ten gość chciał drewna na opał. Wiedziałem, gdzie w zeszłym roku złamało się drzewo.

- Jaki gość?

- Jakiś facet na drodze Spotting.

- Angela - powiedział Springer - mogłabyś zamknąć po-czekalnię? Skończę z tym tutaj.

- A co z panią Cook?

- Później.

Chłopak spojrział łakomie na jej szerokie, pełne biodra, kiedy wychodziła z pokoju. Odwrócił się, spotkawszy się ze wzrokiem doktora.

- Danny, jeszcze nigdy w życiu nikt mi nie wciskał takiego kitu. W zasięgu pięciominutowego spaceru drogą Spotting leży chyba ze sto martwych drzew, jeśli ten facet nie ma takiego na własnym podwórku.

- Myśli pan, że kłamię? Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Springer odparł łagodnie:

- Moi przyjaciele nie opowiadają takich bajek. Twoja stopa nie jest przecięta.

- Nie jest przecięta? - zawył Danny. - Niech pan spojrzy, jeszcze mi krew leci.

Koło dużego palca, gdzie rana była najgłębsza, sączyła się powoli krew. Doktor wytarł ją jałową gazą.

- Leci. Ale to nie od siekiery. Wygląda, jakby cię coś przewierciło. Ale nie wiem co i nie będę mógł cię wyleczyć, dopóki się nie dowiem.

Danny oblizwał wargi.

- Jak to: nie będzie pan mógł?

- Nie wiem, jaką infekcję mogłeś złapać. To się może naprawdę źle skończyć, jeżeli nie będę wiedział, od czego to jest. Co się stało?

- Nie powie pan nikomu?

- To zależy.

- Widziałem w telewizji, że lekarze nie powinni donosić na swoich pacjentów.

- Donosić o czym? Danny spojrział w sufit.

- To postrzał.

- O Boże, kto cię postrzelił?

Chłopak spojrział na doktora nieobecny wzrokiem.

- Sam się postrzeliłem. Wyglupiałem się z tym rewolwerem i nagle wypalił i...

- Jakim rewolwerem?

Danny wskazał głową na plecak, który porzucił w drzwiach.

- Tam jest.

W plecaku była para tenisówek - Springer stwierdził, że chłopak musiał długo iść, kilka tabliczek czekolady, buteleczka pigułek, których wolał nie oglądać, i mały rewolwer

kalibru dwadzieścia dwa. Wysunął bębenek i wyjął naboje.

- Skąd to masz?

- Kupiłem od chłopaka w Warrington. Dałem mu trochę trawy. To nic złego mieć broń.

- Dobra, chodź tutaj. Zrobię ci rentgen. Muszę się upewnić, czy nic sobie nie złamałeś.

Danny opuścił nogi i przykuśtykał do aparatu.

- Mogę poruszać palcami.

- To dobrze.

- Nie powie pan nikomu, co? Springer uśmiechnął się mimo woli.

- Czego? Że nosisz naładowaną broń, czy że używasz nogi jako celu?

Zabiedzone policzki chłopaka poczerwieniały gwałtownie.

- Jednego i drugiego.

- Nie, nie powiem nikomu.

Doktor zrobił prześwietlenie, odkaził ranę, znieczulił zastrzykiem provacainu i zeszył rozerwaną skórę sześcioma szwami.

- Dziwne - odezwał się chłopak. - Czułem szycie i jednocześnie nie czułem. Rozumie pan?

- Jakbyś oglądał się w kinie.

- Tak! - krzyknął. - Dokładnie.

Czasami Danny reagował tak żywo nawet na jakieś mało ważne stwierdzenie. Springer pomyślał, że umysł tego chłopaka musi być jednym wielkim zbiorowiskiem kłębiących się myśli i pytań, na które nie znalazł jeszcze odpowiedzi. Jednak przeważnie Danny nie otwierał się przed nikim, nawet przed nim.

- Jak tam leci, Danny? - zagadnął doktor. - Dalej pracujesz na stacji benzynowej?

Chłopak spuścił głowę.

- Stary Grand mnie wyrzucił.

- Co się stało?

- Aaa, spóźniłem się parę razy.

- Jak dla kogoś pracujesz, musisz przychodzić w porę. Ten ktoś liczy na ciebie...

Umiesz machać pędzlem?

- Jasne.

- Kiedy tylko się ociepli, możesz pomalować moją werandę. Zabandażowałam ranę i pomógł chłopcu założyć tenisówki.

- Zmienimy opatrunek w piątek, a szwy zdejmujemy w przyszłym tygodniu.

- Mogę dostać z powrotem mój rewolwer?

- Wezmę go jako zapłatę. Dziesięć dolców za wizytę i dziesięć za prześwietlenie.

- Wykupię go malowaniem.

Springer wrzucił broń i naboje do szuflady.

- Nie chcę, żebyś to nosił.

- Mogę kupić drugi.

Doktor zbliżył się do chłopaka, aż ten napiął mięśnie.

- Wydostałem cię z pudła dwa razy. Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię! Jeżeli wpadniesz w tarapaty z powodu nierejestrowanej broni, nie będę ci mógł już pomóc.

Danny wbił wzrok w podłogę.

- Rewolwer nie jest ci potrzebny - powiedział łagodnie Alan.

- A jak będę chciał zapolować?

- Nie z tym. Hej, coś ci powiem. Burmistrz Kent urządza u siebie strzelnicę łuczną.

Chciałbyś się nauczyć strzelać?

- Pójdziemy na polowanie? - spytał Danny z zainteresowaniem.

- Kiedy dojdiesz do siebie, możesz iść z burmistrzem. Ja nie poluję.

- Nie będzie chciał.

- Bardzo by chciał. Zaczniemy ćwiczyć w przyszłym tygodniu moim łukiem.

- Dziękuję, panie doktorze. - Złapał plecak, a wychodząc zatrzymał się jeszcze w drzwiach. - Panie doktorze, mógłby mi pan załatwić pracę w hotelu?

- Jasne. Kiedy tylko...

- Przepraszam - powiedziała Angela zaglądając do gabinetu.

- Mamy złamaną nogę.

- Czyją?

- Jednego z tych młodych z ośrodka. Leży na sali operacyjnej.

- Naprawdę?

Przybysze znajdowali się w okolicy już od miesiąca, ale Springer jeszcze żadnego nie spotkał.

- Już lecę! Uważaj na siebie, Danny - powiedział, kładąc w przelocie rękę na ramieniu chłopaka, gdy wychodził z gabinetu. - Do zobaczenia w piątek.

- Doktorze...? - powiedziała niepewnie pielęgniarka. Springer był w połowie drogi do hallu. Zaniepokoił go ton jej głosu.

- Co się stało, Angelo?

- Jego przyjaciele nie chcą go zostawić.

- Jak to: nie chcą go zostawić?

- Lepiej sam zobacz.

Gdy Alan wpadł na salę, zobaczył czterech młodych ludzi stojących wokół stołu operacyjnego. Mówili coś po cichu do poblądłej ofiary wypadku.

- Wypadł z okna. Ma złamaną nogę - poinformował go rosły mężczyzna o twardym spojrzeniu.

- Dziękuję wam - powiedział doktor. - Proszę zaczekać na zewnątrz. Zaraz się nim zajmiemy.

- Zostaniemy - odparł przybysz.

- Na pewno nie! Wyjdźcie już wreszcie - pomachał niecierpliwie ręką.

- Pomożemy panu.

- Jest pan lekarzem?

- Byłem sanitariuszem w Wietnamie. Uspokoimy przyjaciela, kiedy pan będzie nastawiał mu nogę.

Springer skrzyżował ręce na piersi.

- Moja pielęgniarka się tym zajmie. Proszę wyjść. Mężczyzna podszedł bliżej.

- Doktorze - powiedział stanowczo. - Zamierzamy zostać z przyjacielem. Czy mógłby pan zacząć?

- To absurd. Nie możecie tu zostać. Gdyby pan był sanitariuszem, wiedziałby pan, że infekujecie tu wszystko dookoła jak jasna cholera.

- Nie ma otwartej rany - odparł nieznajomy. - Wygląda na nieskomplikowane złamanie, więc może pan zwyczajnie ją nastawić.

Springer poczerwieniał.

- Jeżeli to takie proste - warknął ze złością - to po co mi

zawracacie głowę?

- Potrzebny jest rentgen - padła spokojna odpowiedź.

Pozostali trzej przybysze ignorowali tę wymianę zdań, mamrocząc coś do leżącego. Cała piątka miała na sobie identyczne niebieskie koszule i kombinezony. Spodnie poszkodowanego były rozcięte aż do uda; leżał zeszywniały z bólu z lekko opuchniętą łydką. Spojrzał na Springera błagalnym wzrokiem.

- Posłuchaj, synu - odezwał się doktor. - Nie mogę się tobą zająć, dopóki twoi przyjaciele nie wyjdą. Mógłbyś ich poprosić, żeby poczekali na zewnątrz?

Chory potrząsnął głową, zaciskając wargi z bólu.

- Proszę nam zaufać - mówił ciągle ten sam mężczyzna.

- Wiemy, co robimy.

Czekali na odpowiedź, patrząc ciężkim wzrokiem. Springer rozważał wezwanie pomocy, ale szybko się rozmyślił. Minimalna opuchlizna wskazywała na to, iż żadna tętnica ani żyła nie została uszkodzona, co oznaczało, że nastawienie nogi nie sprawi mu kłopotu. Nic się nie stanie, jeśli tu będą obecni.

- No dobrze. Zrobię prześwietlenie. Odsuńcie się trochę. Stali z boku, gdy Angela pomagała mu przy rentgenie i czekali w spokoju parę minut, aż wróciła z ciemni. Zgodnie z przypuszczeniem, było to nieskomplikowane złamanie goleni. Alan przygotował igłę.

Człowiek, który mówił, że był sanitariuszem, wyjął mu z ręki strzykawkę.

- Żadnych środków, doktorze.

- Co?!

- Nie potrzebujemy lekarstw.

Springer odebrał mu ją błyskawicznym ruchem.

- Może i nie potrzebujecie, ale wasz przyjaciel potrzebuje. Ma zbyt skurczone mięśnie, żeby się nim zająć. I cierpi. A będzie go bolało o wiele bardziej, kiedy będę mu nastawiał nogę, co jeśli kiedykolwiek pan widział, panie medyku z Wietnamu, polega na tym, że szarpnę ją tak mocno, żeby się wyprostowała. Bez narkozy będzie ryczał z bólu i wierzgając, pogorszy złamanie. Potrzebuje valium dla rozluźnienia mięśni i morfiny dla złagodzenia bólu.

- Przygotujemy go.

- Co zrobicie?!

Na skinienie sanitariusza przybysze otoczyli stół i położyli dłonie na ciele chorego. Mamrocząc coś pod nosem, mężczyzna dotknął złamanej nogi końcami palców. Pacjent skrzywił się z bólu. Inni dotykali jego skroni, klatki piersiowej, ud. Przybysz ponownie coś zamruczał, tym razem głośniej, a pozostali dołączyli do niego. Dźwięki zlały się w melodię.

- Co robicie? - spytał Springer.

Zamknęli oczy. Jęk podobny do pieśni trwał dalej.

- Patrz! - wyszeptała Angela.

Człowiek leżący na stole zaczął wiotczeć. Wygięte z bólu plecy opadły płasko na stół. Usta, tak mocno zaciśnięte jeszcze chwilę przedtem, rozluźniły się w półśmiechu. Oczy zamknęły się, jak w czasie snu. Pieśń stała się szybsza. Zdumiony Springer patrzył, jak na jego oczach naprężone mięśnie nogi puszczały.

Sanitariusz wyciągnął przed siebie mały, metalowy krzyżyk, który zwisał mu z szyi. Przesuwał go z namaszczeniem między palcami i modlił się na melodię pieśni:

- Dobry Boże, błagamy Cię, zaopiekuj się swoim cierpiącym sługą. Michał potrzebuje Twojej litości. Prosimy Cię, pomóż mu, w imię Twojego Syna, Jezusa. Amen.

Otworzył swoje niesamowite oczy.

- Może pan nastawiać kość, doktorze. Zafascynowany, Springer odsłonił choremu powiekę i zaświecił mu w oko. Źrenica była zwężona, jak po zażyciu narkotyków. Przytknął stetoskop do piersi pacjenta. Serce było spokojnie, równo, powoli. Ostrożnie dotknął złamanej nogi. Chory leżał w bezruchu.

Alan przygotował się i chwycił go za stopę. Przez cały czas przybysze śpiewając dotykali ciała chorego. Pociągnął raz, szybkim i pewnym ruchem.

Prześwietlenie wykazało idealnie wykonane nastawienie.

Kiedy skończył, sanitariusz popatrzył na niego z szacunkiem.

- Jest pan bardzo dobry, doktorze. Springer uśmiechnął się z uznaniem.

- Wy też nie jesteście kiepscy. Dobra, przenieśmy go do łóżka. Angela popchnęła wózek i razem ze Springerem przetoczyli pacjenta do sali o sześciu miejscach. Towarzysze chorego podążyli za nimi. Chłopak zaczynał się budzić.

- Dajcie mu trochę odpocząć. Możecie go odwiedzić jutro rano. - powiedział Alan.

Przybysze wymienili spojrzenia, mruknęli coś do przyjaciela i opuścili szpital. Springer z Angela wrócili do kliniki.

- To było niesamowite - zastanawiała się. - Jak cudowne uzdrowienie.

- Nic z tych rzeczy.

- No to jak oni to zrobili?

- Myślę, że przez akupresurę. Ten śpiew to tylko bzdury. Czy jest ktoś w poczekalni?

Angela wpuściła młodego miłośnika strugania, który dostał na urodziny nowy nóż. Była z nim matka, więc pielęgniarka poszła na oddział szpitalny. Springer związywał szwy, odwracając uwagę chłopca opowieścią o rzeźbieniu totemu, kiedy pielęgniarka wpadła z powrotem do gabinetu.

- Alan... doktorze! Zabrali go!

- Co?!

- Zabrali tego ze złamaną nogą. Nie ma go!

Springer poklepał chłopca i kazał, by matka przyprowadziła go we wtorek, tłumiąc gniew do czasu, aż oboje wyszli.

- Kto do cholery pozwolił im go zabrać? Która pielęgniarka miała dzisiaj dyżur?

- Jenny. Wyszła na chwilę, a kiedy wróciła, już chłopaka nie było. Portier widział, jak wkładali go do swojego kombi. Nie przyszło mu do głowy, że dzieje się coś złego.

- Genialne! Dobra, odwołaj popołudniowe wizyty. Mów, że mam tu nagły wypadek.

Zrzucił z siebie fartuch i włożył tweedową kurtkę.

- Dokąd jedziesz? - spytała Angela.

- Odzyskać mojego pacjenta, do diabła.

Kiedy doktor wypadł ze szpitala, Reggie nadal polerował ambulans. Spojrzał na twarz Springera, rzucił szmatę i wskoczył za kierownicę. Doktor usiadł koło niego i zapiął pasy.

- Stary szpital.

- Szybko?

- Bardzo!

Reggie włączył syrenę. Karetka przemknęła przez główną ulicę i wjechała na drogę wiodącą na górę Spotting. Reggie, który sam zmontował ten samochód, mówił o nim z dumą, że pokonuje wzniesienia i zakręty jak rakieta na szynach. Przyspieszając na wyjściach z zakrętów, przekraczając na prostych sto pięćdziesiąt, prowadził ściskając kierownicę obiema rękami i rozglądając się uważnie we wszystkie strony, nie patrząc tylko w lusterko wsteczne.

Kiedy karetka z piskiem zatrzymała się przed zamkniętą bramą zakładu, Reggie przeprosił za to, że przejechanie czterokilometrowej trasy zajęło mu aż trzy minuty.

- Było pod górę, panie doktorze. Springer odpiął pasy.

- Zaczekaj tu.

Odnalazł guzik dzwonka koło świeżo pomalowanej bramy i nacisnął go. Odczekał kilka minut, zdając sobie sprawę z tego, że Reggie mu się przygląda, ale nikt nie zareagował. Stojąc tak samotnie na skraju drogi, patrząc na niedostępną budowlę wznoszącą się w oddali, doktor poczuł się mały i słaby, co wzmocniło jego gniew. Wcisnął guzik do oporu, przytrzymując go pięścią, aż w końcu otworzyły się drzwi frontowe, a człowiek podający się za sanitariusza wyszedł z budynku i skierował się ku bramie, zachowując kamienny spokój.

- O co chodzi, doktorze?

- Oddajcie mojego pacjenta, albo dzwonię na policję.

- Ma tutaj znakomite warunki. Po co marnować łóżko w pańskim szpitalu?

- Sam się będę martwił o moje łóżka. Zostanie wypuszczony, skoro tak mówię.

- Doktorze...

- Do diabła! - warknął Springer. - Nie mam zamiaru na ten temat dyskutować. Nie mieliście prawa wyciągać tego człowieka z mojego szpitala.

- Chciał wrócić do domu. Potrafimy się nim zaopiekować. Springer złapał za żelazne pręty bramy.

- To nie jest ważne!

- A co jest ważne?

- Ważne, że znajduje się pod moją opieką, aż do czasu, kiedy go wypuszczę.

Sanitariusz odpowiedział z wyraźnie sprawiającą mu przyjemność bezczelnością:

- Czy to nie tak, że po prostu się panu nie udało, doktorze? Myśli pan, że jest to warte ściągania waszej policji i wtargnięcia siłą do prywatnej posiadłości?

Mięśnie karku Alana napięły się boleśnie. Jako specjalista pracujący wśród prostych ludzi, był przyzwyczajony do chłodnego szacunku, jakim go darzyli, i do tego, że jego polecenia są wykonywane. W rzeczywistości, sanitariusz miał rację - pacjent mógł dochodzić do siebie w domu, a Springer był wściekły z powodu okazanego mu nieposłuszeństwa.

Odetchnął głęboko parę razy i potarł szyję.

- Dobra, panie medyk. Macie go, to trzymajcie. Ale, do diabła, jeżeli wzrośnie mu temperatura, albo pojawią się jakiegokolwiek oznaki zakażenia, przywieźcie go do mnie natychmiast. I sprawdzajcie co jakiś czas palce chorej nogi. Jeśli będą zimne, to znaczy, że puchnie pod opatrunkiem, odcinając dopływ krwi.

- Wiemy - odparł sanitariusz. Odwrócił się i odszedł. Springer patrzył na niego bezradnie, aż ten zniknął we wnętrzu budynku. Alan czuł się zmieszany, pokonany i wściekły. Wrócił do karetki, skrzyżował ręce i gapił się przed siebie na mijany krajobraz. Zanim dojechali do szpitala, wybuchnął gorzkim śmiechem. Musiał przyznać, że było coś absurdalnego w tym, że lekarz ścigał pacjenta, który uciekł ze złamaną nogą. Angela czekała w izbie przyjęć.

- Co się stało?

Springer opadł na krzesło i położył nogi na biurku.

- Uciekł.

Pielęgniarka podała mu papierowy kubek z burbonem i zapaliła papierosa.

- W tym wszystkim jest coś dziwnego.

- Dziwnego? Jest coś niezwykłego w operowaniu bez znieczulenia i porywaniu pacjentów z łóżek?

- Ja mówię poważnie - pokazała wizytówkę, leżącą na biurku. - Spójrz na to.

Springer podniósł karteczkę.

- "Joseph Malley, ulica Spotting Mountain, Hudson City, stan Nowy Jork. Grupa Błękitny Krzyż - Błękitna Tarcza, firma Revelations Inc.". To już coś; może nam zapłacić.

- Widzisz imię? - powiedziała Angela. - Joseph. Pamiętasz, kiedy się modlili, mówili coś o Michale.

- Cudownie. Jeśli posłużyli się fałszywym imieniem, nie możemy obciążyć rachunkiem Błękitnego Krzyża.

- Na kartce jest napisane Joseph.
- Więc kto to jest Michał?
- Dobre pytanie - odparła pielęgniarka obciągając spódnicę.
- Mały problem, jak na taki szalony dzień.
- Mamy jeszcze czas dla pani Cook? - spytała Angela.
- Mamy mnóstwo czasu - wyszeptał, popychając ją w kierunku kanapy.

Doktor obudził się i pomacał ręką po podłodze w poszukiwaniu zegarka. Siódma trzydzieści. Jeszcze dużo czasu. Angela leżała obok, opierając głowę na jego ramieniu. Patrzył na jej pełne, białe biodra: teraz wydawały się jeszcze szersze, gdyż zgięła nogę w kolanie. Gorąca łza kapnęła na pierś. Uniósł się na łokciu.

- Płaczesz?

- Nie.

Następne łzy potoczyły się po jej policzku, spadając ciepłym deszczem na skórę Alana.

- Co ci się stało?

Odwróciła twarz. Springer usiadł i przytulił ją do siebie.

- Co się stało? Angela otarła dłonią oczy.

- Odchodzę, Alanie.

Poczuł bolesny skurcz w żołądku.

- O czym ty mówisz? Dlaczego?

- Ty się tylko mną bawisz.

- Nie bawię się.

- To mi przestało odpowiadać. Proszę cię, przestań. Wyszarpnęła się z jego uścisku;

jej duże piersi podskoczyły.

- Zakochałam się w tobie. Chcę, abyśmy mieli wspólne życie. Jeśli nie chcesz ze mną żyć, to znaczy, że się tylko mną bawisz.

- Ja... - nie wiedział, co powiedzieć.

Od dwóch lat, odkąd Angela pracowała w szpitalu, łączyła ich szczerą, serdeczną przyjaźń, a ich romans wybuchł dopiero niedawno. Dostarczał mu wiele radości, a zarazem gnębiło go poczucie winy.

- Nie mam ci tego za złe - mówiła Angela. - Ponieważ nie chcesz opuścić Margaret, ja muszę wyjechać.

- Ale przecież jesteśmy przyjaciółmi. Dzięki tobie praca tutaj jest wspaniała. Rozmawiamy. Potrafię ci wszystko o sobie opowiedzieć. Łączy nas nie tylko łóżko.

- Łóżko? - powtórzyła Angela gorzko. Kopnęła splątane ubrania, walające się po podłodze. - To nie jest łóżko... Wiesz, czego bym chciała?

- Czego?

- Chciałabym, żebyśmy spędzili chociaż jedną całą noc i obudzili się rano razem.

- Nie mogę tego zrobić.

- Oczywiście, że nie możesz. Dlatego właśnie odchodzę. Popatrzyli na siebie, była to ostatnia chwila oczekiwania na decyzję, której Springer nie podjął. Angela odwróciła się, znowu zaczęła płakać.

- Mówisz całkiem serio? - zapytał.

- Tak.

- Możesz nadal tu pracować.

Potrząsnęła głową, a jej czarne włosy zafalowały.

- Nie. W okolicy nie ma żadnego zajęcia dla niezamężnej kobiety - Uśmiechnęła się. - Próc ciebie.

Złapał Angelę za rękę i chciał ją przyciągnąć ku sobie, ale mu nie pozwoliła.

- Nie.

- Będzie mi ciebie strasznie brakować.

Przycisnęła jego dłoń do swojej piersi, a potem się cofnęła.

- Jeżeli nie znajdę zamiast pana jakiegoś zamiennika, doktorze, wrócę, żeby zarzucić sieć.

- Dick Lewis mówi, że mają w piwnicy tajny pokój, w którym chodzą sobie bez ubrań.

- Samantho - ucięła Margaret. - Jedz śniadanie. Springer zaśmiał się.

- Dick tam był?

- On chyba zmyśla - odparła Samantha. - Mówi, że to taka komuna, trochę jak hippisowska, ale nie wierzę, żeby komunę było stać na kupienie takiego miejsca, prawda?

- No pewnie.

Był ciepły poranek. Przez otwarte drzwi dolatywała z ogrodu silna woń kwiatów i świeżo skoszonej trawy. Doktor objął córkę ramieniem.

- Zaprzyjaźnacie się z Dickiem? Samantha wpatrywała się w swoją owsiankę.

- Słyszałam, jak opowiadał dziewczynom i chłopakom w stołówce - wymamrotała.

Springer potrafił sobie wyobrazić, jak to było: grupa dzieciaków jadła i śmiała się przy jednym stole, a Samantha siedziała sama przy drugim. Pocałował jej włosy.

- Hej, powiedziałem Danny'emu Moserowi, że nauczę go strzelać z łuku u wujka Boba. Może zapytać Dicka i innych, czy też by nie przyszli? Chcesz się nauczyć strzelać?

- To może być trochę niebezpieczne - wtrąciła Margaret.

- Naprawdę nie - odparł Alan.

- I nie podoba mi się pomysł, żeby Samantha widywała się z tym chłopakiem.

- Dam sobie radę z Dannym... Co na to powiesz, kochanie?

- Wiem - wymamrotała Samantha. Myślisz, że te "o labogi" umieją strzelać? O laboga" było u nich takim słówkiem do zabawy, ale tym razem nie podziałało.

- Wszyscy będziecie początkujący - ciągnął nie zrażając się doktor. - Ale dostaniecie najlepszego nauczyciela na świecie. - Wujka Boba? - Mnie, głupolu. Tym razem zachichotała.

- Chcesz?

- Mhm.

- Zapytam ojca Dicka, czy się zgadza. Kto jeszcze?

- Nie wiem.

- Pomyśl o jakiejś dziewczynie - powiedział, mając nadzieję, że nie dał jej zbyt trudnego zadania. - Porozmawiamy o tym wieczorem.

Poranek spędził na wstępnych rozmowach przez telefon z kandydatkami do objęcia posady siostry przełożonej. Polecała je ta sama agencja z Albany, z której przysłali Angelę. Ich młode, pełne ciekawości głosy przypominały mu jej pierwszy telefon. Szpital wydawał się cichy i pusty. Angela wprawdzie zaofiarowała się, że zostanie do czasu przyjazdu nowej pracownicy, aby wprowadzić ją we wszystko, ale ponieważ Alan widział, jak bardzo chciała wyjechać, podziękował jej. Już teraz żałował tych paru dni bez niej.

W czasie przerwy na lunch wyszedł na spacer i odebrał swoją pocztę - rachunki i magazyn "Time". Przypomnił sobie, że zawsze o tej porze jedli z Angelą przy jego biurku. Sophie Wilkins była zajęta w okienku, wypisując pokwitowania na listy polecane dla całej kolejki ludzi z ośrodka Spotting. Ich niebieskie koszule i kombinezony stały się teraz częstym widokiem na ulicach miasta. Wydało mu się, że rozpoznał jednego z ludzi, którzy byli u niego w szpitalu.

- Jak tam z nogą pańskiego przyjaciela?

Mężczyzna uśmiechnął się zdawkowo. Springer wrzucił ramionami - wszyscy oni byli tak do siebie podobni. Szedł chodnikiem, rozglądając się, pozdrawiając znajomych, zaglądając do sklepów, aż zauważył atrakcyjną kobietę o sięgających do ramion czarnych włosach, wyglądającą przez okno drugstoru. Była to nowa twarz w miasteczku, naprawdę ładna. Kobieta zapewne chciała tu zostać przynajmniej jakiś czas, ponieważ miała na sobie fartuch i stała za dystrybutorem z napojami.

Springer wszedł do sklepu i usiadł przy ladzie. Dystrybutor znajdował się z prawej strony. Po lewej stały regały z galanterią, kosmetykami i lekarstwami bez recepty. W głębi Dwight Rigby urzędował za ladą, sprzedając lekarstwa na receptę, poustawiane na półkach w

maleńkiej alkwie. Jarzeniówki gryzące się ze staromodnym, pokrytym blachą sufitem oświetlały jaskrawym blaskiem wypolerowaną podłogę z czarnych i białych kafelków.

Z bliska nieznajoma okazała się jeszcze piękniejsza. Springer pozdrowił ją i poprosił o kawę i kanapkę z tuńczykiem.

- Czy najpierw podać panu kawę? - odezwała się miłym, choć smutnym głosem.

- Tak, proszę.

Patrzył, jak nalewa kawę z ekspresu szybkimi, ale niezgrabnymi ruchami, jakby starała się ukryć, że nie jest obyta z tym urządzeniem. Przeląło się na spodek. Sięgnęła po ścierkę, wytarła talerzyk i postawiła z powrotem na ladzie. Potem podeszła do chłodni i wyszukała pokryte lodem pojemniki z sałatką z tuńczyka. Springer otworzył swoje czasopismo i czytał, aż przyniosła mu kanapkę, nerwowo się uśmiechając. Kiedy zapewnił ją, że kanapka wygląda wspaniale, wzięła ścierkę i zaczęła wycierać ekspres do kawy, wyglądając przez okno na ulicę.

Alfred Potter, rosły hydraulik o czerwonej twarzy wtoczył się ciężkim krokiem do sklepu i zamówił dużą colę. Wyzłopał ją głośno. Odchylając głowę, aby nabrać pełne usta lodu, zauważył Alana w starym, przymglonym lustrze.

- Witam, doktorze; słyszałem, że stracił pan pacjenta. Springer rzucił ponury uśmiech.

- Dobrze słyszałeś, Alfie. Najszybszy jednonogi facet, jakiego kiedykolwiek widziałeś.

Alfie roześmiał się gromko, wydając z siebie dźwięk przypominający grę na kotle.

- Kiedy o tym usłyszałem, powiedziałem: "Skurczybyk, nareszcie znalazł się facet na tyle cwany, żeby się zmyć, zanim doktor Springer nastawi mu nie tę nogę".

- Czy już wyciągnęli twoją ciężarówkę z gnojówki Fostera? Alfie zaśmiał się jeszcze głośniejsze.

- Jeszcze jej nie znaleźli.

- Na drugi raz po prostu przywiąż do niej splawik.

- Spławik? Aaa, to dobre! - śmiał się, wycierając łzy. Springer ugryzł kolejny kęs kanapki.

- Hej, doktorze?

- Co, Alfie?

Monter wskazał głową w kierunku starego ośrodka.

- Co tam się do cholery dzieje? Budujemy hotel, czy nie?

- Trafiłeś mnie: nie wiem - powiedział Springer. Kątem oka dostrzegł, że kobieta zza lady zdawała się uważnie przysłuchiwać, mimo że nadal patrzyła w okno. - A co ty o tym myślisz?

Alfie przełknął trochę lodu.

- Moser sprzedał im masę rur kanalizacyjnych. Wygląda na to, że sami to sobie naprawiają.

- Każdy głupek potrafi założyć kanalizację, Alfie. Poczekaj, aż tylko podłączą ciśnienie do tej starej instalacji wodociągowej. Jeszcze będziesz jeździł cadillakiem.

- Ty jesteś w porządku, doktorze. Najdowcipniejszy skurczybyk, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

Springer uśmiechnął się dziękując za komplement i wrócił do swojej kanapki. Alfie mówiąc: "Jesteś w porządku", miał na myśli nie dopowiedziane: "pomimo że tak się wtedy stawiałeś", z czego obaj zdawali sobie sprawę.

W 1972 roku doktor organizował kampanię wyborczą McGover-na na przewodniczącego rejonu Adirondack i pojechał na Florydę jako delegat. Swoim śmiałym działaniem nastawił wrogo do siebie lokalne organizacje demokratów i republikanów oraz zyskał reputację człowieka aktywnego, co w tej konserwatywnej okolicy było synonimem niebezpiecznego radykała. Wzięli odwet, zduszając pomysł utworzenia centrum odwykowego dla narkomanów, a także ignorując zeszłoroczną propozycję Alana, by zbudować tanie domki wypoczynkowe na ulicy Spotting. Rozmawiano nawet o pozbawieniu go kierownictwa szpitala, ale zablokował to Bob Kent. Jakim kosztem, do tego burmistrz nigdy się nie

przyznał.

Alfie skończył chrupać lód, zapłacił i wyszedł. Doktor otworzył swój magazyn. Zgrabna dłoń ostrożnie zabrała pusty talerzyk. Ciężka złota bransoleta na przegubie nie pasowała do kelnerki podającej napoje. Springer spojrział w górę i spotkał się ze wzrokiem nieznajomej. Oczy miała brązowe, smutne i duże w wyrazistej, choć delikatnej twarzy.

- Pani jest tu od niedawna, prawda? - Dzisiaj pierwszy dzień.

- Mam na myśli, że pani jest od niedawna w mieście.

- Tak.

Włożyła talerz do zlewu za ladą. Proste włosy falowały w rytm dziewczyny, kiedy wycierała kontuar.

- Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Alan Springer,

- Ellen Barbar - odpowiedziała. - Słyszałam, jak ten pan nazwał pana doktorem. Jest pan lekarzem?

- Wspólnikiem w gangu razem z pani nowym szefem. Lekki uśmiech zaokrąglił jej usta. W jej dużych oczach i szczupłym, zgrabnym ciele było coś z porzuconego dziecka, szukającego pomocy. Mimo że nie była zbudowana tak jak Angela, jej twarz i oczy zdradzały podobne jak u tamtej połączenie wrażliwości i siły. Uwielbiał spokój i opanowanie Angeli, cenił sobie jednak również momenty, w których zachowywała się gwałtownie i nieobliczalnie. Margaret, mniej pewna siebie, starała się zawsze za wszelką cenę panować nad swymi reakcjami. Czasami zastanawiał się, czy zrobił coś, co mogłoby stać się dla niej powodem do obaw.

Przyglądając się przez chwilę Ellen, zauważył w niej jakiś chłód i zdecydowanie, które początkowo uszło jego uwagi. Miał wrażenie, że oceniała go w myślach, jakby próbowała oszacować jego wartość.

- Czy ma pani zamiar zostać tu na dłużej? - spytał.

- Być może - powiedziała w chwili, kiedy Dwight Rigby, człowiek o zmierzwiionych włosach i zapadłych policzkach właśnie wchodził za ladę, przy której urzędował.

- Cześć, Alan! Czy poznałeś już moją nową dziewczynę z bufetu? - zagał.

- Właśnie przed chwilą - odparł Springer i uśmiechnął się porozumiewawczo do Ellen, jakby chciał skomentować protekcyjne sformułowanie użyte przez Rigby'ego. - Może zaprosicie ją na przyjęcie u Wrightów?

- Czemu nie? - odparł aptekarz.

- Matt Wright jest dyrektorem szkoły średniej - wyjaśnił doktor. - Będzie to coś w rodzaju przyjęcia z okazji mającego nastąpić niebawem szczęśliwego zakończenia roku szkolnego. Dobra okazja, żeby poznać ludzi.

- Dziękuję. Chętnie się wybiorę. Czy pan się zgadza, panie Rigby?

- Jasne.

- Świetnie - zakończył Alan. - To do zobaczenia. Trzymaj się, Dwight.

Szedł powoli w kierunku szpitala, ciesząc się ciepłym, majowym dniem. Powietrze było nieruchome i przez chwilę pomyślał, że chciałby pójść do domu, usiąść na trawniku od strony ogrodu i poczytać sobie. Będzie jednak musiał poczekać z tym aż do weekendu. Zaspokoił swoje pragnienie leniuchowania przyglądając się wystawom sklepowym i zatrzymując u Lewisa, żeby zapytać go, czy jego syn nie przyszedłby na lekcje łucznictwa.

Musiał poczekać, gdyż Pete uwijał się jak w ukropie pomiędzy kilkoma przybyszami, którzy składali długie zwoje konopnego sznurka, a drugą grupką, zdejmującą z wystawy motyki i grabie.

- Cześć Al! - zawołał Lewis. - Idę do ciebie za minutkę. Podliczył zakupy. Springer zdziwił się, widząc, że Pete już im sprzedaje na kredyt. Kiedy tylko wyszli, sklepikarz zaczął poprawiać poplątane zwoje sznurka na szpulach.

- Co tam dobrego? - spytał ożywionym głosem. Doktor powiedział, o co mu chodziło.

- Dobry pomysł. Dickowi może się to spodobać. Miałby co robić po lekcjach.

Dzwonek u drzwi zadźwięczał głośno, zapowiadając przybycie kolejnych młodych ludzi. Lewis pospiesznie podniósł wzrok, a Springerowi przez moment wydało się, że sklepikarz wygląda na zmęczonego.

- E... przepraszam cię, Al - wymamrotał odwracając się. - Mam dzisiaj pełne ręce roboty.

Przybysze przetoczyli się tłumnie przez drzwi i rozbiegli się pomiędzy półkami i ladami. Lewis miotał się nerwowo po sklepie, jakby nie mógł się zdecydować, kogo najpierw obsłużyć.

- Do zobaczenia, Pete - powiedział doktor. - Pogadaj z Dickiem.

Zabiegany sklepikarz przytaknął i schylił się, żeby podnieść biały fartuch, który zrzuciła kobieta, grzebiąca w pośpiechu wśród towarów. Kiedy Springer otwierał drzwi, Lewis gwałtownie odwrócił się na dźwięk brzęczącego dzwonka.

Tego wieczora, przy obiedzie, doktor powiedział Samancie, że ojciec Dicka Lewisa uznał lekcje łucznictwa za dobry pomysł, po czym spytał, czy już kogoś zaprosiła.

Samantha zaczerwieniła się gwałtownie.

- Jeszcze nie - odparła cichutko, patrząc w stół.

- Nie trać czasu.

- Zaproszę kogoś, tato. Margaret odezwała się:

- Nie musisz, kochanie. Tata może się zabawiać z samymi chłopakami.

- Myślę - powiedział Alan spokojnym tonem - że Samantha bardzo by chciała do nas dołączyć.

- Tylko jej nie pchaj na siłę - odparła Margaret.

- Przepraszam, mogę już pójść? - spytała Samantha drżącymi ustami.

Springer poczuł się strasznie. Jego córka była taka nieszczęśliwa!

- Chcesz odrabiać lekcje?

- Już skończyłam.

- To co będziesz robić?

- Czytać - włożyła swój talerz do zmywarki i poszła na górę. Alan odwrócił się ze złością do Margaret, ale mówił spokojnie głosem.

- Słuchaj. Czy ty przestaniesz zachęcać to dziecko, żeby stale się ukrywało?

- Nie zachęcam jej, żeby się ukrywała. Ja tylko nie chcę, żebyś ją zmuszał.

- Do czego?

- Do narzucania się ludziom. Będzie się zaprzyjaźniać, kiedy będzie chciała.

- Narzucania się? Ona w ogóle nie ma znajomych! Nic nie robi, tylko chowa się w swoim pokoju. Wiem, że to trudny wiek dla niektórych dzieci, ale to także czas, kiedy uczą się żyć w społeczeństwie, porozumiewać się, współdziałać z innymi, a ty jej w tym nie pomagasz.

- Popychanie na siłę to nie jest pomoc.

- Margaret, musisz ją przynajmniej wspierać.

- Ona ma piętnaście lat - odparła. - Jest już wystarczająco dorosła, żeby sama podejmowała takie decyzje.

- Chcę, żeby miała okazję nauczyć się cieszyć z towarzystwa innych ludzi.

- Nie wszyscy są podobni do ciebie, Alanie. Są ludzie, którzy wolą nie panoszyć się wszędzie i nie narzucać innym.

- O co ci do cholery chodzi?

- O nic. Po prostu... przestań ją zmuszać!

- Co ona będzie robić w czasie wakacji? Margaret wydała się zaniepokojona.

- Co masz na myśli mówiąc "robić"?

- Może powinniśmy wyjechać pod namiot?

- W żadnym wypadku! W zeszłym roku było strasznie!

- Zaczekaj! Zapanujmy nad tym dramatem. Stęskniła się za domem - przywieźliśmy ją do domu. I co? Czy ma zostać tu na zawsze?

- Nie musi wyjeżdżać na camping. Zawsze mówisz, jaka wspaniała dla dzieci jest wieś. Niech się nią cieszy! Może pójść na spacer, wspinać się, popływać, robić co tylko będzie chciała.

- Sama?

Margaret walnęła pięścią w stół.

- Jeśli tak będzie chciała! Zostaw ją w spokoju, Alanie!

- Przestań krzyczeć.

- Wyprowadzasz mnie z równowagi.

W jej oczach pojawiły się łzy. Springer wstał, odłożył serwetkę na krzesło i położył ręce na jej ramionach. Odsunęła się.

- To jest twoja odpowiedź na wszystko, prawda? Po prostu przytulisz się do mnie i wszystko dobrze.

Cofnął się, zaskoczony.

- Dotykanie bywa dla mnie sposobem wyrażania uczuć.

- Cóż, ja tego tak nie odczuwam.

- Przepraszam - odpowiedział.

- Muszę posprzątać.

Nie podnosząc wzroku, wstała i zaczęła układać talerze w zmywarce. Springer ruszył, żeby jej pomóc, ale odepchnęła go ze zniecierpliwieniem. Popatrzył na nią przez chwilę i wyszedł na znajdującą się od strony ogrodu werandę. Odetchnął chłodnym, wieczornym powietrzem.

Niebo było wyjątkowo przejrzyste i gwiazdy wydawały się tak bliskie, jak niebieskie światła w starym ośrodku. Margaret, Margaret... Co on takiego zrobił? Co się stało? Kiedyś

byli w sobie zakochani. A teraz stanowili tylko parę ludzi, którzy nie mają sobie zbyt wiele do powiedzenia, łączy ich zaś ze sobą nieszczęśliwe dziecko. W dużej mierze miało to związek z Hudson City. Springer kochał okolicę Adirondack i ciągle cieszył się ze swego tryumfalnego powrotu do miasteczka, w którym jego rodzina dawniej żyła w ubogiej chacie. Margaret nienawidziła tego wszystkiego. Kiedyś w czasie strasznej kłótni powiedziała, że nigdy by nie przyjechała, gdyby wiedziała, że mają tu zostać. Alan zwrócił jej uwagę, że oboje nie wiedzieli - złapał tymczasowe zajęcie, świeżo po studiach, kiedy Margaret spodziewała się dziecka i potrzebował jakiejś stałej pracy. A teraz był zbyt zaangażowany zawodowo w miasteczku, żeby wyjechać.

Kiedy wrócił do mieszkania, kuchnia była pusta, a z góry, łazienki, dolatywał szum prysznic. Springer usiadł w fotelu i starał się skupić myśli na tym, co przeczytał w magazynie "Time".

W dziale medycznym przerzucił pobieżnie szósty już chyba w tym roku artykuł na temat litu, nie dowiadując się niczego nowego, i przejrzał ostatnie strony, zostawiając wiadomości polityczne na koniec. Zastanawiał się, czy czytać trzystronicowy artykuł w dziale religijnym, kiedy nagle usiadł jak wryty, ściskając gazetę obiema rękami.

Tematem artykułu była nowa sekta religijna. Springer zwrócił uwagę na zdjęcie grupy modlących się ludzi. Przyglądał się z niedowierzaniem. Jednym z wyznawców okazał się ten wysoki, jasnowłosy sanitariusz, który uprowadził człowieka ze złamaną nogą.

Oczyście się dla Chrystusa - głosił podpis. - Zgromadzenie Modlitwy Błękitnego Bractwa.

W artykule opatrzonym tytułem Przednia straż, "Time" opisywał szybko rosnącą fundamentalistyczną sektę, nazywającą się Błękitne Bractwo. Wyznawcy czcili Michała Archanioła, posłańca bożego, który wyrzucił Szatana z nieba. Wierzyli, że waleczny Archanioł wkrótce zstąpi na ziemię, aby oczyścić ją przed ponownym nadejściem Chrystusa.

- Błękitne Bractwo? - powiedział głośno Springer. Przyjrzał się uważniej zdjęciu. To był ten sam mężczyzna.

Skrajnie purytańscy członkowie Bractwa nawrócili na swoją wiarę tysiące ludzi na Zachodnim Wybrzeżu i chcieli nieść swoje posłanie na wschód. Zwolennicy sekty mówili o miłości, zrozumieniu i prostej, wypływającej z serca wierze, którą propagowali wśród

wyznawców. Wielu byłych narkomanów i uciekinierów z domów doświadczyło pozytywnej przemiany, jaką Braciszkwowie, jak ich zdrobniale nazywano, wywołali w ich życiu.

Przeciwnicy sekty oskarżali ją o pranie mózgow, pozbawianie nawracanych woli i zmuszanie ich, aby poświęcili swoje życie i mienie na rzecz ruchu. Kilku potomków bogatych rodzin oddało sekcje swój majątek, a w jednym wypadku Bractwo wystąpiło do sądu i wygrało, zatrzymując to, co zostało mu zapisane.

Zwolennicy i przeciwnicy byli jednak zgodni co do jednego. Wyznawcy wyjątkowo skutecznie zdobywali nowych członków oraz duże sumy pieniędzy, które wydawali dla wypełnienia swojej misji. Sekta miała całkiem spore posiadłości w Kalifornii, Oregonie i w stanie Waszyngton. Wybierali na swoje siedziby rejony wiejskie, mimo że wyznawców werbowali zwykle w miastach. Przywódcą Błękitnego Bractwa był tajemniczy, rzadko widywany człowiek, znany jedynie jako Michał.

W tej chwili Springer przypomniał sobie, że kiedy chłopak, Joseph, leżał na stole operacyjnym, jego współtowarzysze prosili Boga, żeby ulżył cierpieniu Michała. Rany boskie, to gromada fanatyków! Niech no tylko miasto się o tym dowie. Biedny Bob!

Nie będzie hotelu. Doktor wybuchnął nerwowym śmiechem. Obląkani wrócili! I tym razem to oni mają klucze do bramy wejściowej.

Bob Kent spurpurowiał.

- Skurczybyki! Dlaczego nie powiedzieli, kim są?!

Springer sączył burbona i mówił:

- To by niczego nie zmieniło. Bank i tak by im to sprzedał.

- Powiedz to wyborcom! - podniósł głos burmistrz. - O rany, będą mnie winić za to, że nie powstanie żaden hotel! Ten cholerny bank musiał o wszystkim od dawna wiedzieć!

- Zapomną o wszystkim do listopada.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy!?! - ryczał Kent. - Oprócz tego, że nie będzie hotelu?

- To oznacza mnóstwo rzeczy - odparł spokojnie Springer. - Ale wiem, co cię gnębi.

Nie będą płacić podatków.

- Masz cholerną rację! - powiedział Bob. - Osiemdziesiąt hektarów pięknej ziemi i największy, przeklęty budynek w całej okolicy. Czy wiesz, że na obszarze Catskills niektóre z okręgów straciły jedną trzecią mogącego przynieść podatki majątku na rzecz działających za darmo fanatyków - medytujących, guru, czy jak im tam? Nie, nie będą wolni od podatków w tym mieście!

- Życzę powodzenia!

- Błękitne Bractwo - jęczał Kent. - Dlaczego my? - spojrzał na Springera, który uśmiechał się uprzejmie. - Bawi cię to, Alanie?

Doktor wzruszył ramionami.

- Mówiłem ci. Mogliśmy zbijać masę pieniędzy na ośrodku dla narkomanów.

- Nie chcę o tym słyszeć. Hotel wyciągnąłby nas z dołka!

- Przykro mi, Bob. Nie przyszedłem tu, żeby się odgrywać. Pomyślałem tylko, że chciałbyś dowiedzieć się o tym pierwszy.

- Taak - westchnął Kent. - No cóż, mamy nowych sąsiadów. Postarajmy się skorzystać na tym jak najwięcej. Będą potrzebować ubrań, jedzenia i innych rzeczy, a jeżeli pozostaniemy w dobrych stosunkach, to nadal będą kupować na miejscu. - Podniósł swoje krępe ciało z fotela i nalał więcej burbona do szklaneczek. Jego okrągła twarz rozjaśniła się. - Myślę, że celowo starają się tu zadomowić i przyczynić się do rozwoju miasta. Za te same pieniądze, które tu wydają, mogliby kupić o wiele więcej w Warrington albo w Saratodze.

- To prawda - zgodził się Springer. Kent zatarł ręce.

- Tak. Będzie dobrze.

Doktor wstał i przeszedł parę kroków przez wyłożony drewnem salon burmistrza. Spojrzał na swoje odbicie w błyszczącej z powodu nocy szybie, zajmującej całą południową ścianę pokoju i włączył światło na zewnątrz domu. Młoda sarenka skubała krzaki przy końcu sekwojowego tarasu; nagle oświetlona, podskoczyła i dała susa w ciemność.

- Wiesz, co mnie martwi?

- Co? - spytał Kent.

Springer patrzył przez krąg światła w otaczający mrok.

- Czego ci ludzie szukają w Hudson City?

Tom House - właściciel, wydawca i jedyny reporter lokalnego tygodnika "Sun", wyszedł na ulicę w poszukiwaniu sekciarzy. Przystojny, mimo nadciągającej sześćdziesiątki, był pedantycznym człowiekiem i niezależnie od pory roku nosił zawsze ten sam czarny garnitur, białą koszulę i wąski krawat. Mieszkał samotnie w pokoju na tyłach swego biura.

Urodzony w Hudson City, rozpoczął pracę pomagając ojcu w redagowaniu "Sun", ale szybko przeszedł do "Press" - gazety wychodzącej w Binghamton, później do "Post-Dispatch" w St Louis, aż wreszcie do "New York Herald Tribune", przemierzając wielkimi krokami ścieżkę, którą kroczyli zdolni dziennikarze.

Ze wszystkich swoich sukcesów najżywiej wspominał pewne popołudnie w hotelu St Regis - kiedy to wzniosł się na szczyt kariery, zanim wszystko przepadło. Umówił się na spotkanie z wydawcą, który chciał zrobić książkę z cyklu jego artykułów "Światła wielkiego miasta". Przechodząc przez jasno oświetlony bar przystawał, żeby pozdrowić kolegów z pracy, wielbicieli jego talentu czy znajome piękne kobiety. Rozkoszował się sławą, cieszył sukcesem, który osiągnął.

Ale książki nie wydano, a wkrótce potem "New York Herald Tribune" zlikwidowała jego rubrykę. Później niespodziewanie zredukowała liczbę pracowników i House znalazł się na bruku. Szukał nowej pracy. Po roku prób i rozczarowań powrócił do rodzinnego miasteczka i powołał ponownie do życia nie istniejący już "Sun", który umarł śmiercią naturalną razem z ojcem Toma. Umieszczał w niej wiadomości lokalne, notki prawne, streszczenia z zebrań rady miejskiej, informacje o wypadkach samochodowych, Prowadził też rubrykę towarzyską "W domu w Hudson City".

Dochody z reklam, po odjęciu pensji drukarza, czynszu i rachunków za naprawy buicka, ledwo pozwalały związać koniec z końcem. Ubóstwo przywoływało dręczące wspomnienia tego, co stracił, ale po upływie lat zmniejszyło poziom jego oczekiwań do tego stopnia że niewielki czek i mały artykułik zapchajdziura na szóstej stronie nowojorskiej "Daily News", dla której był tylko jakimś pismakiem z Adirondack, stanowiły szczyt marzeń.

Chciał pogadać z członkami sekty, żeby napisać chwytliwy artykuł. Nie musiał się

nachodzić. Dwóch mężczyzn i kobieta wysyłało na pocztę listy polecone. Od razu kiedy się przedstawił rozmowę podjęła dziewczyna. Miała jakieś dwadzieścia osiem lat; odrobinę więcej niż jej towarzysze. Nie była zbyt atrakcyjna, ale miała sympatyczny uśmiech.

- Miło nam pana poznać.

- Dziękuję pani. Chcę powitać was w Hudson City i byłbym wdzięczny, gdybym mógł zadać państwu parę pytań.

Jej uśmiech znieruchomiał, jak na fotografii.

- W jakim celu?

- Chciałbym o was napisać.

Przybysze w milczeniu wyszli na ulicę. House pobiegł za nimi.

- Czy może mi pani opowiedzieć coś o waszej organizacji? Mężczyźni otoczyli ją, tak że Tom musiał iść przodem i oglądać się stale, żeby usłyszeć jej odpowiedź.

- Jesteśmy ruchem, panie House. Nie organizacją. Reporter otworzył notes. Zazwyczaj ludzie oczekują, by robił notatki, i wtedy mówią dalej.

- Jaki jest cel waszego ruchu?

- Jesteśmy uczniami Michała Archanioła. Jego cel jest naszym celem.

- A jaki jest jego cel? - House potknął się o krawężnik, a jeden z mężczyzn mocno złapał go za ramię.

- Jego celem - odparła kobieta, ignorując ciekawe spojrzenia, którymi ich obrzucano - jest oczyszczenie ziemi przed przybyciem Pana naszego, Jezusa Chrystusa.

- A w jaki sposób chcecie to zrobić?

- Zrobimy to - powiedziała takim tonem, jakby podobne pytanie było truizmem.

House oczekiwał, że rozwinie tę myśl, ale kobieta milczała.

- Jak? - zapytał.

- Pomagamy ludziom, jeśli starają się oczyścić.

- Konkretniej: w jaki sposób?

Nauczamy tych, którzy postanowili się oczyścić. - Nagle zwróciła się ku niemu: - A pan postanowił? Dziennikarz poczuł się speszony siłą jej spojrzenia.

- Ja tylko zbieram materiały do artykułu - powiedział pospiesznie. - A więc, jak nauczacie takiego kogoś? - Osoba, która zadeklarowała gotowość oczyszczenia swojej duszy, ciała, umysłu dla zamiarów Michała i chwały Chrystusa, potrzebuje jedynie naszego wsparcia. - Zatrzymała się i wycelowała palcem w mężczyznę, który cały czas trzymał House'a za ramię.

- Mark oznajmiła - właśnie przyjechał z Wybrzeża. Będzie prowadził dzisiaj wieczorem Zgromadzenie Modlitwy. Może opowiedzieć panu o pomocy, którą otrzymał, w czasie gdy ja wejść na chwilę do tego sklepu.

Zniknęła w sklepie Lewisa, a reporter zaczął pospiesznie notować.

- Zgromadzenie Modlitwy? Co to jest?

Mark uśmiechnął się machinalnie; jego oczy znieruchomiały, jak gdyby przyglądał się odległemu zjawisku.

- Zanim odnalazłem Michała, byłem zagubiony.

- Czy mogę zanotować pańskie nazwisko? - przerwał House.

- Brałem cały czas narkotyki i ćpałem. Byłem zepsuty, zdemoralizowany, nieczysty. Załamany. Nie miałem żadnych celów, żadnych dążeń, poza osiągnięciem chwilowej przyjemności. I nie byłem szczęśliwy. Michał dał mi wszystko, czego potrzebuję.

- Co dałeś mu w zamian?

- Wyrzekłem się Szatana. A teraz służę Michałowi.

- Co dla niego robisz?

- Wszystko, o cokolwiek poprosi. Tylko poprzez służbę możemy naprawdę kochać.

Jego towarzysz skinął głową na znak zgody.

- Myślałem, że rozmawialiśmy o oczyszczeniu - powiedział House.

- Oczyszczenie jest miłością - stwierdził Mark.

- A miłość jest oczyszczeniem - dokończył drugi. - Kochamy tych, którzy są czysti i kochamy tych, którzy nie są czysti... jeszcze.

Reporter poczuł się zbity z tropu ich prostymi odpowiedziami, ale starał się zachować pewność siebie.

- Chcecie powiedzieć, że kochacie wszystkich. Czy kochacie mnie, w tej chwili?

Oczywiście. Jest pan dzieckiem bożym. Kocham pana.

- A jeśli się nie oczyszczę?

- Oczyszczy się pan.

House szukał w twarzy przybysza kpiny, czy błysku ironii. Znalazł jedynie niewinny uśmiech i dziwnie puste spojrzenie.

- Słuchaj Mark - rzekł, zniżając głos do konspiracyjnego szeptu - zanim ona wyjdzie ze sklepu, wprowadź mnie troszkę w mechanizm tego wszystkiego. Co wy konkretnie robicie?

Mark roześmiał się i zwrócił się do swego towarzysza:

- On wkrótce będzie z nami.

- Wiem.

- Co pan ma na myśli? - spytał House.

- Pan jest taki zainteresowany, taki podekscytowany. Jest pan prawie gotów.

- Gówno prawda - przerwał dziennikarz. - Jestem reporterem. Po prostu robię, co do mnie należy.

Kobieta wróciła. Usłyszała ostatnią wymianę zdań i powiedziała:

- Każdy ma na początku jakiś powód. Niektórzy mówią, że chcą opowiedzieć przyjacielowi, albo napisać o nas. Tak naprawdę, pragną dołączyć do Michała, ale boją się porzucić swoje puste życie. Widzi pan, otacza ich pustka, więc traktują nas przyjaźnie, a dzięki temu są otwarci.

- Idiotyczne - skwitował House.

- Masz rację - stwierdził Mark. - Jest prawie gotowy. - Otoczyli Toma, poklepując go delikatnie po ramionach; śmieli się i rozmawiali. Opuścił ich towarzystwo, skrobiąc coś w notatniku. Odetchnął z ulgą, gdy niebieskie kombi sekty podjechało do krawężnika i przybysze wgramolili się do środka. Kobieta opuściła szybę i podała mu plik druków.

- Znajdzie pan tam wszystko, co potrzebne do pańskiego artykułu.

Dziennikarz przerzucił wzrokiem papiery. Były to wycinki z gazet.

- Zaraz. Te teksty na nic mi się nie przydadzą. - Zaczął głośno czytać z pierwszej z brzegu karteczki: Ponad pięć tysięcy ludzi dołączyło do ruchu Błękitnego Bractwa, aby oczyścić ziemię dla Chrystusa. Wątpię, żeby po prostu przyszli i się zapisali.

- Doznali cudu nawrócenia - odpowiedziała kobieta.

- Właśnie o to nawrócenie pytam - tłumaczył cierpliwie Tom. Uśmiechnęła się drwiąco.

- Nawrócenie jest przeżyciem, panie House, nie historyjką. Nie może pan opowiadać ludziom o rzeczach, o których nie ma pan pojęcia.

- Jak ich nawracacie? - naciskał dziennikarz. - Co z nimi robicie?

- Tak jak woda sama ustala swój poziom, tak dusza wzrasta do miłości.

- Przyciąganie ziemskie powoduje, że woda ustala swój poziom- Wyjaśnił House.

- A bóg pociąga duszę w stronę miłości - odparła kobieta.

Reporter westchnął z rezygnacją.

- No dobrze. Nie chcecie mówić o nawróceniu. A co z tym Michałem? Czy jest gdzieś w pobliżu?

- Michał jest wszędzie.

- Nie, nie, nie. Nie mam na myśli anioła. Chodzi mi o waszego przywódcę.

- Archanioła. Michał jest wszędzie.

- Czy nie może mi pani dać chociaż jednej szczerzej odpowiedzi? Co staracie się ukryć?

Mężczyzna przy kierownicy powiedział coś, czego House nie zdołał dosłyszeć, i kobieta wyciągnęła portfel z kieszeni kombinezonu.

- Chcielibyśmy kupić ogłoszenie w pańskiej gazecie. Ile kosztuje cała kolumna?

- A co to za ogłoszenie? - spytał ostrożnie dziennikarz.

- Przesłanie do mieszkańców Hudson City. Ile by to wyniosło?

- Siedemdziesiąt pięć dolarów. Dała mu pieniądze.

- Proszę notować. - Rozpoczęła natchnionym tonem kaznodziei, zbliżającego się do kulminacyjnego punktu swojej przemowy.

- I zaczęła się wielka bitwa na niebie: Michał i aniołowie jego walczyli ze smokiem, i zrzucony został ów smok wielki, wąż znany od dawna, ten, którego zowią diabłem i szatanem i który zwodzi cały świat. Biada ziemi i morzu, bowiem zstąpił do was diabeł.

House odczytał zapisany tekst.

- Zgadza się? - zapytał.

Ale samochód odjechał. Popatrzył za nim, jak oddala się główną ulicą i skręca w drogę na górę Spotting. Potem wrócił do biura i napisał artykuł o sekcje, wzbogacając swój wywiad faktami podawanymi przez "Time". Niewielu czytelników jego gazety prenumerowało "Time", a jak na standardy "Sun", był to dobry kawałek - "Daily News" nie zmieniłyby w nim ani słowa.

Przeliczył swoje siedemdziesiąt pięć dolarów. Naprawi sobie telewizor i może kupi koszulę..

Matthew Wright był dyrektorem szkoły średniej w Hudson City. Co roku, w czerwcu, organizował u siebie przyjęcie. Pracował sumiennie, a Rada Szkolna chwaliła rozważnie prowadzone finanse i oszczędne wydatki. Spotkania towarzyskie, na których podawał tanie; miejscowe wina i kupowany w plasterkach ser, wzbudzały znacznie mniejszy entuzjazm. Wiedząc czego może się spodziewać, Alan podjadł sobie w domu, zanim razem z Margaret wyruszyli na drugą stronę Main Street.

Wrightowie także mieszkali w starym domu na głównej ulicy, Przyjęcie odbywało się w salonie i jadalni. Mężczyźni mieli na sobie koszule i sportowe marynarki, kobiety - sukienki w żywych kolorach. Główny temat rozmowy stanowiła sekta. Większość gości nie miała jeszcze okazji zetknąć się z jej członkami, słuchali więc Toma House'a, który przeprowadzał z nimi wywiad, i Springera, ponieważ opatrywał człowieka ze złamaną nogą.

House cieszył się z tego, że wreszcie rozbudził czyjeś zainteresowanie. Poprawiał swoją siwą grzywkę nerwowymi ruchami kościstej dłoni.

- Same bzdury - odpowiedział, kiedy żona Wrighta, Jeannie, spytała co mówili przybysze.

- Oni nie rozmawiają, oni się modlą. Fanatycy. Jeannie Wright zacisnęła usta.

- Czy ty też uważasz ich za fanatyków, Alanie? Springer pociągnął łyk wina i uśmiechnął się do niej.

- Nie miałem okazji z nimi porozmawiać. Byłem naprawdę zajęty.

Wright był dobrze zbudowanym, muskularnym mężczyzną. Uczył kiedyś wychowania fizycznego; do tej pory prowadził treningi drużyny koszykarskiej. Na spotkaniach towarzyskich czuł się jednak skrępowany, zwłaszcza kiedy Jeannie rozmawiała z innymi mężczyznami.

- Alanie - włączył się teraz - jak to właściwie było?

Kiedy doktor opisywał szczegółowo zajście, pozostali goście stanęli wokół niego i

śluchali. House zezłościł się, widząc, że teraz Springer stał się centrum zainteresowania.

- Dlaczego pozwoliłeś im zostać w zabiegowym? - zapytał stanowczym głosem.

- Też się temu dziwię - dodała Jeannie. - Zawsze wszyscy wykonują twoje polecenia w szpitalu.

Wright, usłyszawszy w głosie żony zalotny ton objął ją władczo ramieniem.

- Wydaje mi się, że popełniłeś błąd, jaki rzadko zdarza się lekarzom - stwierdził.

Jeannie wyzwoliła się z uścisku męża. Zabrał rękę i potarł swoje krótko ostrzyżone włosy.

Springer uśmiechnął się do pozostałych słuchaczy, potem do Margaret, która właśnie przełykała wino, i odparł:

- Nic takiego się nie stało, Matt. Staram się podchodzić indywidualnie do każdej sytuacji. Nie było żadnego powodu, dla którego przyjaciele chorego nie mogliby zostać, więc im pozwoliłem.

W drzwiach pojawili się Dwight i Margy Rigby. Przyprawdzili ze sobą Ellen Barbar. Wyglądała przepięknie w prostej, czarnej sukience. Margaret, zawsze uważnie obserwująca reakcje męża, kiedy przebywali z innymi ludźmi, śledziła jego spojrzenie. Doktor spokojnie ciągnął dalej:

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Ten człowiek miał zeszywniałe z bólu i napięte mięśnie. Wtedy jego przyjaciele uspili go, zupełnie jakby nafaszerowali chłopaka zastrzykami demerolu. To naprawdę niesamowicie wyglądało.

- Zaraz, zaraz - zaproponował House - ale nie można pozwolić, żeby ludzie przychodzili i wychodzili ze szpitala, kiedy im to tylko przyjdzie do głowy. Dziwię się, że nie podjąłeś żadnego działania.

Springer wzruszył ramionami.

- Gra nie była warta świeczki.

- Alan ma rację - powiedziała Margaret. - Ma ważniejsze sprawy na głowie niż

gonienie pacjentów, którzy chcą wrócić do domu.

- Cześć, Dwight! - zawołał doktor.

Sklepiarz i jego żona dołączyli do grupy, robiąc pomiędzy sobą miejsce dla Ellen i Barbary. Margy miała tak samo zapadłe policzki jak jej mąż. Z Ellen stojącą pośrodku, wyglądali niczym, para krzyżowców, przywożących z Lewantu egzotyczną zdobycz.

- Moja nowa dziewczyna z bufetu - przedstawił ją Dwight. Mężczyźni witali powściągliwie pod czujnym wzrokiem swoich żonek.

- Alana już poznałaś, prawda?

Doktor zauważył, że Ellen rzuciła szybkie spojrzenie na Margaret.

- Chyba tak - odparła wymijająco. - Poznałam w tym tygodniu tyle osób. Wszyscy byli bardzo sympatyczni.

- Tak, spotkaliśmy się - powiedział Springer.

- Kobieta tak wspaniała jak pani, moja droga, zawsze będzie spotykać przyjaznych ludzi - powiedział Tom House szarmancko.

Doktor raczej wyczuł niż zobaczył, jak spojrzała na dziennikarza, i przewidział dokładnie, co zrobi. Lustrując gromadkę swoimi ciemnymi oczami, doszła do słusznego wniosku, że House był jedynym niezonatym mężczyzną w towarzystwie, i podeszła od razu do niego, jakby chciała zapewnić pozostałe kobiety, że nie zamierza im odbierać mężów.

Tom spytał ją, czy nie napiłaby się wina.

- Z przyjemnością - odparła Ellen, pozwalając mu wziąć się pod rękę. Pozostali odprowadzili ich wzrokiem, kiedy House powiódł ją w kierunku jadalni.

Jeannie Wright odezwała się:

- Myślicie, że nasz stary kawaler znalazł sobie przyjaciółkę?

Nie sądzę, żeby było go na nią stać - zaprzeczyła Donna Lewis, żona Pete'a, niedbale ubrana kobieta o zniszczonej twarzy.

- Widziałaś tę sukienkę?

- Pewnie - odparła Jeannie. - Ile płacisz tej dziewczynie, Dwight?

- Nie tyle, żeby mogła kupić sobie coś takiego - stwierdziła Margy.

Jej mąż przytaknął ruchem głowy.

- Zdziwiłem się, kiedy spytała o pracę. Powiedziała, że potrzebuje pieniędzy.

- No cóż, nie znajdzie ich u Toma House'a - podsumowała Donna Lewis.

- Myślę, że to całkiem elegancki facet - mruknął Wright.

Niektórzy goście wybuchnęli śmiechem i odwrócili głowy w kierunku Ellen i Toma.

- Oj Matt - powiedziała Jeannie - wydaje ci się, że każdy jest bardzo atrakcyjny.

- W tych czasach me można być pewnym nikogo. - Masz tobie! - Chciałabyś się ubierać w takie sukienki? - spytał Matt. - Czy to cię drażni?

Jego żona spojrzała na niezadowolone twarze pozostałych gości i zrećźnie zmieniła temat.

- Chciałabym wiedzieć, co obecność tej sekty będzie oznaczać dla naszych dzieci.

- Co masz na myśli? - spytał Springer.

- Tom napisał, że są jakby misjonarzami. Czy mają zamiar zająć się naszymi dziećmi?

Margaret zaniepokoiła się wyraźnie.

- Chcesz powiedzieć, że będą próbowali je nawracać?

- Nie przyjechaliby do takiego małego miasteczka jak Hudson City dla miejscowej młodzieży - uspokajał Pete Lewis.

- Widziałem już bardzo wielu z nich. To naprawdę mili ludzie.

Akurat przechodził obok Bob Kent, trzymając w ręku drinka. Jako burmistrz, starał się odgrywać rolę radosnego gospodarza na każdym przyjęciu.

- Oczywiście, że są mili - huknął jowialnie. - Mamy szczęście, że tutaj przyjechali.

- Tak długo, dopóki będą u nas kupować - - powiedział Springer.

Usta Pete'a Lewisa zacisnęły się. Kent lekko szturchnął go w żebra, mówiąc:

- Nie przejmuj się Alanem. W każdej grupie ludzi potrzebny jest jeden cynik. Dzięki Bogu, nasz jest jednocześnie dobrym lekarzem.

Springer uśmiechnął się słysząc tę reprimendę.

- Z tego co czytałem, zdobywają nowych wyznawców w dużych miastach, gdzie dzieci czują się wyobcowane i brak im celu w życiu - dodał Fred Zinser, miejscowy prawnik.

- Myślisz, że tutaj nie ma takich dzieci? - spytała Margaret.

- Oczywiście, że nie ma - odparł Matthew Wright.

- Dorastają w spokojnej atmosferze małego miasteczka i zgodnych rodzinach.

Margaret i Jeannie wymieniły pełne wątpliwości spojrzenia, ale Matt trzasnął pięścią w stół i powiedział:

- Dzieci są tutaj pod ciągłym nadzorem. Mają swoje drużyny sportowe i paru naprawdę dobrych nauczycieli, łącznie z tobą. Margaret, i kościół.

- Kościół! - parsknęła Sophie Wilkins, która właśnie przyłączyła się do grupy. - Jeśli wrócisz ze swoim barytonem, Matt będziemy znowu mieli całkiem niezły chór.

- Nie dam rady przychodzić co tydzień - usprawiedliwiał się Wright. - Wiesz, jaki jestem zajęty od czasu cięć budżetowych.

- Miałeś mnóstwo czasu - ciągnęła Sophie - kiedy nauczyciele musieli chodzić do kościoła, bo jeśli nie, to tracili pracę.

- Czasy się zmieniły - wtrącił Bob Kent, przerywając jej atak.

- A co z dziećmi, które nie należą do żadnej drużyny? - zapytała Margaret.

- Bardzo dużo im dają lekcje w-f - odparł Wright, dodając z powagą: - Nasza szkoła jest dostatecznie mała, żeby zaopiekować się każdym uczniem.

- To dlaczego aż tylu nie zdało? - ciągnęła Margaret.

- Przesadzasz - zaczął się denerwować Wright. - Co roku promujemy wyższy procent uczniów... poza minionym rokiem, który był wyjątkowy.

Springer powiedział:

- Margaret być może trochę przesadza, ale ma także rację. W tej okolicy nie brakuje ubóstwa oraz ignorancji, którym szkoła nie zawsze potrafi przeciwdziałać. Leczę ludzi z chorób, które prawdopodobnie nie występują w cywilizowanym świecie od pięć-dziesięciu lat. Na litość boską, mam kobietę z pelagrą. Awitaminozą. Wiecie dlaczego? Nieustannie pije piwo. Jest po prostu zbyt zalana, żeby pamiętać o braniu witamin, które jej przepisuję. To matka jednego z twoich uczniów - dodał, robiąc przytyk Wrightów; chociaż nie do końca mówił prawdę, bowiem Danny Moser już rzucił szkołę. Ale byli inni, znajdujący się w podobnej sytuacji.

- No i? - - spytał Wright. - Czy za stan tej kobiety my ponosimy odpowiedzialność?

- Chodzi mi o to, że są dzieci, którym szkoła nie zdołała pomóc.

- Słusznie - potwierdziła Margaret. - Jeśli ta cała sekta będzie chciała się zająć naszą młodzieżą, znajdą tu dokładnie tyle samo nieszczęśliwych, wyobcowanych nastolatków, ile w każdym dużym mieście. I co wtedy zrobimy?

- Tutaj nie może się zdarzyć nic poważnego - powiedział Wright.

Margaret dalej atakowała Wrighta, którego twarz stawała się bardziej czerwona. Doktor, wiedząc że jego żona nie wygra w tej walce na słowa, zaczął przechadzać się po pokoju. Wpadł na Eda Strattona. Sprzedawca samochodów pił wino z miną człowieka, żałuje, że to nie żytnia.

- Witaj - powiedział chłodno. - Jak leci?

- Cześć, Ed. Wspaniale, wspaniale.

Jakiś czas temu byli przeciwnikami w sporze na temat budowy tanich domów.

Doktor wskazał ruchem głowy na brzuch Strattona, mówiąc:

- Schudłeś ostatnio.

Ed poruszył cygarem, które trzymał w zębach.

- Kiedy mówisz jako lekarz, słucham cię pilnie. Czuję się znacznie lepiej.

- A teraz skończ z paleniem.

- Do diabła z takimi radami!

- Gdzie jest Janet?

- W domu z dziećmi. Nie lubimy opiekunek. Niech mordują dzieci u kogo innego.

Springer rozejrzał się po saloniku. Większość gości zebrała się wokół dużego stołu z serem, ale Margaret i Wright ciągle siedzieli na środku pokoju. Żona gestykulowała swoją pustą szklanką, a dyrektor machinalnie przytakiwał i patrzył w podłogę.

- Lepiej pójde ratować Margaret, zanim Matt ją wyleje. Do zobaczenia, Ed.

- Słusznie - powiedział Stratton.

Przechodząc przez pokój, zawołał Kenta do pomocy. Razem uspokoił Margaret i Wrighta kierując ich uwagę w stronę stołu z przekąskami, gdzie House, Ellen Barbar, Lewisowie, Rigby'owie, Spencerowie - właściciele sklepu IGA, Zinserowie i inni rozmawiali i pochłaniali resztki sera.

Burmistrz wybuchnął głośnym śmiechem:

- Zostawmy to Błękitnym Braciom, na pewno będą chcieli porozmawiać. Może powinniśmy zaprosić ich na następne przyjęcie - podsumował burmistrz.

Pete Lewis wziął tę wypowiedź na serio:

- To dobry pomysł, Bob. Zaprośmy ich na festyn w sierpniu.

- Jasne! - wrzasnął Kent. - Dlaczego nie?

- Już im mówiłem, żeby przyszli do kościoła - powiedział - Może wszyscy

powinniśmy tak robić, kiedy tylko ich zimy. Pomożemy im się tu zadomowić.

- Słusznie - śmiał się Kent. - Psiakrew, nawróćmy ich wcześniej niż oni nas - mrugnął do Springera.

Doktor odezwał się:

- Pokonajmy Bractwo jego własną bronią.

- Zrobimy z nich wszystkich prezbiterian z Hudson City - kontynuował burmistrz. - Kiedy sobie z nimi poradzimy, weźmiemy się za świrów. I tak Hudson City znajdzie się na mapach "Przysyłajcie do nas waszą wykolejoną młodzież. Wyprostujemy ją". Zrobimy wszystkich prezbiterianami z Hudson City. Cały świat!

- To nie jest śmieszne! - powiedziała głośno Ellen Barbar. Burmistrz przestał się śmiać.

- Co nie jest śmieszne?

- Nie ma z czego żartować. Wiem wszystko o nich i o tym, co robią.

Goście odwrócili się ku niej, zaskoczeni poważnym tonem.

- A co oni robią?

- Kradną dusze.

Springer i Kent wymienili zdumione spojrzenia. Spencer uśmiechnął się głupkowato. Jego żona i Margy Rigby skinęły głowami, jakby grzecznie zachęcały kogoś, kto opowiada kiepskie dowcipy, żeby mówił dalej. Niebieskie oczy Toma House'a stały się czujne, a Margaret, zaglądając w swoją szklanke, powtórzyła:

- Kradną dusze?

Matthew Wright odezwał się:

- To bardzo mocne sformułowanie.

- Zabrali mi siostrę.

- Słucham?

- Trzymają moją siostrę.

- Braciszkanie?

- Proszę ich tak nie nazywać. To zdrobnienie powoduje, że wydają się niewinni, a członkowie Błękitnego Bractwa nie są niewinni. Są bardzo niebezpieczni. Zrobili jej pranie mózgu.

- Niech pani da spokój - powiedział Bob Kent.

- Myśli pan, że żartuję? - popatrzyła na niego spokojnym, stanowczym wzrokiem, ale jej głos zdradzał. - Trzymają Rose od czterech miesięcy.

Słuchali z niepokojem, niezadowoleni, że wesołe żarty zmieniły się nagle w poważną rozmowę. Oddzieleni w swoim małym miasteczku od otaczającego świata, słabo znali problemy wykraczające poza codzienne życie. Starzy ludzie chorowali i umierali, ginęli w wypadkach samochodowych; żywność i paliwo kosztowały coraz więcej, młodzi ludzie pobierali się, potem rodziły się im dzieci, czasem rodziny się rozpadały. Ale znaki czasu: wojny, zmieniający się sposób życia, polityka, miejskie zamieszki były tylko jak błyskawice migające w oddali za górami.

- Czy ma pani na myśli - spytał Springer - że przetrzymują ją wbrew jej woli?

Przytaknęła, zagryzając wargi.

- Ustanowiono przeciwko temu prawa. Dlaczego nie pójdzie pani na policję?

- Ja...

- Chwileczkę - przerwał Kent. - Czy ona jest tu, na górze?

- Tak - odparła Ellen.

- Jest pani pewna? Czy pani to wie, z całą pewnością?

- Wiem, że tam jest.

- Widziała ją pani? - naciskał burmistrz.

- Nie. Dlatego tu przyjechałam. Żeby ją odnaleźć.

- Ale nie ma pani dowodu na to, że tu jest.

- W i e m, że ona tu jest.

- Dobrze, ale to nie wystarczy.

- Przestań, Bob - powiedział Alan. - Daj jej szansę.

- Bob ma rację - odezwał się Pete Lewis. - Charlie Daniels nie może się tam władować na jej życzenie. To prywatna posiadłość.

- Nie prosiła o pomoc waszego gliniarza - przerwał Springer, zdenerwowany sposobem, w jaki zlekceważyli jej słowa.

- Czy mogę coś powiedzieć? - spytała Ellen.

- Proszę mówić dalej - odezwał się Kent. - Ale nasza policja...

- Wiem, że nic nie mogą zrobić - powiedziała. - Już tego próbowałam.

- Jak pani siostra zetknęła się z nimi? - zainteresował się Tom House.

Z początku Ellen mówiła jakby z trudem, ale wkrótce opowieść potoczyła się wartko. Jej nastrój udzielił się wszystkim; w pokoju zapadła cisza.

Siostra Ellen, Rose, miała dwadzieścia jeden lat. Rok temu skończyła college i wyjechała na Zachodnie Wybrzeże, gdzie włączyła się po okolicach San Francisco, studiując zen, praktykując jogę, żyjąc z przypadkowych zajęć, szukając celu.

Dostała pracę jako bileterka w pornograficznym kinie.

Niektórzy goście uśmiechali się niepewnie.

Pewnej nocy grupa członków Błękitnego Bractwa napadła na kino. Zatrzymali projektor, włączyli światło i przemawiali do widzów, aż przyjechała policja i rozpędziła ich. Rose, pod wrażeniem zapału tych ludzi poszła na spotkanie sekty w parku, Golden Gate.

Zachęcona ich entuzjazmem i dyscypliną, pojechała na weekendowe rekolekcje do

Big Sur, powróciła na tygodniowe szkoleni i wkrótce potem stała się członkiem sekty. Wyrzekła się szatana ślubowała poświęcenie swojego życia Michałowi i zapisała im swój samochód i niewielkie oszczędności.

Ellen dowiedziała się o tym, kiedy Rose zadzwoniła do niej, do Nowego Jorku, gdzie pracowała jako programistka komputerowa Siostra jednym tchem wyrecytowała, że Michał Archanioł ma zstąpić na ziemię, aby przygotować ją na ponowne przyjście Chrystusa. Rose żądała, żeby Ellen też się przyłączyła do sekty, zanim będzie za późno.

- Mówiła jak wariatka - powiedziała Ellen wzdrygając się. - Próbowałam z nią porozmawiać, ale deklamowała tylko nawiedzone teksty o Archaniele, bliskim nadejściu Chrystusa i grzechu. Szalona rozmowa. To było tak nienormalne, że wzięłam wcześniej urlop i pojechałam do San Francisco.

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

- Znalazłam ją żebrzącą na ulicach.

Muzyka skończyła się; było to ostatnie nagranie na kasecie i magnetofon wyłączył się z wyraźnie słyszalnym pstryknięciem.

- Żebrzącą? - powtórzył ktoś.

- Żebrzącą - potwierdziła Ellen z bólem. - Wszyscy mieszkali poza miastem, na dużej farmie. Każdego ranka zawozili ich do miasta, aby żebrali. Rose opowiadała, że czasem potrafi łączyć ponad sto dolarów. Mówiła takim tonem, jakby czuła z tego powodu dumę, ale jednocześnie była zażenowana i taka zmęczona, nienaturalnie blada... Staralam się przekonać ją, żeby ich porzuciła, ale nie udawało mi się zazwyczaj rozmawiać z nią sam na sam, ponieważ pracowali w grupach i pilnowali się nawzajem. Parę razy, kiedy na ulicy panował duży tłok, mogłam zabrać ją na bok, ale była wystraszona, rozglądała się bez przerwy dookoła, bojąc się, że nas zobaczą. Błagała mnie, żebym się do nich przyłączyła. Twarz i oczy miała takie dziwne... jakby była zahipnotyzowana; wiedziałam, że nie kontroluje tego, co robi. Kiedy widziałam ją ostatni raz, nagle wybuchnęła płaczem. Objęłam ją, a potem chciałam stamtąd zabrać, ale dostrzegli nas jej towarzysze. Jeden z nich rozkazał, by została z nimi. Inni zaś odepchnęli mnie i zanim mogłam cokolwiek zrobić, wsadzili moją siostrę do samochodu i odjechali.

- Wtedy poszłam na policję. Byli - spojrzała w górę, jakby szukając odpowiedniego słowa - współczujący. Napływało wiele podobnych skarg, ale policjanci powiedzieli mi, że nie mogą przeszukać farmy Błękitnego Bractwa bez nakazu sądowego. Wzięłam z pracy pieniądze za urlop i wynajęłam prawnika. Sędzia wydał nakaz. Policja przeszukała farmę. Członkowie sekty zaprzeczyli, jakoby Rose Barbar kiedykolwiek tam przebywała. W ciągu godziny adwokaci Bractwa, najlepsi prawnicy w San Francisco, uzyskali nakaz wstrzymujący wszelkie działania. Policja musiała go respektować i Ellen została sama.

Wypytyjąc dawnych wyznawców, którzy porzucili sektę, dowiedziała się, że Rose została zabrana do innego ośrodka na Zachodnim Wybrzeżu.

- Przewieźli ją na północ, potem do Oregonu, potem do stanu Waszyngton.

W jej głosie brzmiała nieugięta stanowczość, kiedy opisywała, jak podążała śladami uprowadzonej siostry. Zajęło jej to trzy miesiące; obecnie była pewna, że Rose znajduje się w Hudson City.

- Co pani zamierza teraz zrobić? - spytał Springer Ellen wzruszyła bezradnie ramionami.

- Sama dobrze nie wiem. Nawet moi rodzice się poddali. Nie mogą mi już dać ani grosza więcej. Mówią, że muszą pogodzić się z decyzją Rose.

- Może mają rację - odezwał się Kent.

- Ona nie podjęła decyzji - zaprzeczyła Ellen gwałtownie. - Zrobili jej pranie mózgu. Muszę ją ratować.

- Może nie chce zostać uratowana - ciągnął burmistrz.

- Jak ona wygląda? - spytał Pete Lewis. - Całe ich gromady przychodzą do mojego sklepu. Być może ją widziałem.

Ellen pogrzebała w torebce i wyjęła fotografię.

- Jest ruda - powiedziała. - Mniej więcej mojego wzrostu i bardzo do mnie podobna.

Springer spojrzał na zdjęcie dziewczyny o twarzy dziecka. Nie miała tak delikatnych rysów jak Ellen, ale duże, melancholijne oczy były takie same. Podał fotografię Tomowi

House'owi. Nikt jednak nie rozpoznał uprowadzonej. Margaret odezwała się:

- Musi pani o nich wiedzieć więcej niż my. Jak pani myśli, dlaczego się tu osiedlili?

- Rosną w siłę. Rozprzestrzeniają się na cały kraj - odparła złowieszczo Ellen.

Odpowiedzią na jej słowa było długie, pełne napięcia milczenie.

- Powiem wam, dlaczego tutaj są. Mają tu masę miejsca i całkowity spokój - stwierdził Bob Kent.

- Słusznie - stwierdził Pete Lewis. - Nie mają zamiaru nas niepokoić, Margaret. Chcą po prostu być sami. Z całą pewnością nie zamierzają żebrać na naszych ulicach. Charlie Daniels wsadziłby ich do ciupy, zanim by się obejrżeli.

Słuchacze roześmieli się hałaśliwie. Ktoś włączył z powrotem muzykę. Ellen odwróciła się do Toma House'a i do uszu Springera doleciały jego słowa:

- Odprowadzę cię do domu.

Kiedy wyszli, przyjęcie rozpoczęło się na nowo. Gościom ulżyło, że nie muszą się zajmować nową mieszkanką i jej problemami. Mimo że doktor zapytał kilka osób, co sądzą o opowieści Ellen, nikt nie chciał poważnie o tym porozmawiać i nie wychodził poza stwierdzenie, że prawdopodobnie dziewczyna, która pracowała w pornograficznym kinie, nie mogła mieć zbyt dobrze poukładane w głowie.

- Jej rodzice mają rację - powiedział Matthew Wright, trzymając w objęciach Jeannie.

- Niektóre dzieci po prostu nie wyrastają na porządnym ludzi.

- Ona jest naprawdę zdeterminowana - stwierdził Springer.

- I taka atrakcyjna - dodała zjadliwie Jeannie. - Chodź, trenerze. Łykniemy sobie jeszcze trochę wina.

Alan kręcił się po pokojach. Margaret rozmawiała z Fredem i Betty Zinserami. Wyrzwał w ciemność. Jego dom znajdował się niedaleko, po przeciwnej stronie ulicy. Świeciło się w pokoju Samantha. Spojrzał na zegarek. Prawie północ; ale jutro nie ma szkoły, więc nic nie szkodzi. Od strony sklepów doleciał brzęk rozbijanej butelki, później głośny śmiech i kroki biegnących. Potem nastąpiła cisza.

Światło w pokoju Samantha zgasło. Springer posłał w jej kierunku niemy pocałunek i wrócił do środka po Margaret. Na najwyższym schodku przystanął i znów popatrzył w ciemność. Niebo zachmurzyło się i widać było niewiele gwiazd. Ale wysoko, ponad miasteczkiem, w oknach starego zakładu, płonęły niebieskie światła.

- Spadamy! - krzyknął Danny Moser.

Pokuśtykał chodnikiem tak szybko, jak tylko pozwalała mu na to boląca stopa. Dławiąc się ze śmiechu, bracia Stratton, Jackie i Roscoe wyprzedzili go i pobiegli w kierunku tonącej w bezpiecznej ciemności opuszczonej stacji Shella. Danny podążył za nimi, ciągle mając w uszach brzęk rozbijanej butelki.

Odwrócił się i zobaczył, że snop światła padającego przez szyby w drzwiach posterunku wydłużył się i miejscowy policjant, Daniels, wyskoczył na dwór rozglądając się w obie strony Main Street. Danny przywarł do muru, a potem pognął naprzód, aż osłonił go cień garażu.

Odnalazł Jackie'ego i Roscoe'ego chichoczących za budynkiem z szarych pustaków. Oparł się o zimny beton i starał się uspokoić oddech.

- Nieźle! - pomyślał.

Roscoe nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

- Pst... - uciszał go Jackie. Miał dopiero piętnaście lat; był podekscytowany tym, że towarzyszy swemu starszemu bratu, i przerażony, co zrobi ich ojciec, jeśli złapią ich na chlaniu z Dannym Moserem.

- Kopsnij szluga - rzucił Danny. Znał to wyrażenie z filmu wojennego, który oglądał w telewizji. Roscoe posłusznie wyjął paczkę Cameli.

- Przypał - rozkazał Moser.

Jackie zapalił papierosa Danny'emu i Roscoe'emu i przytknął zapalną do swojego. Danny potrącił go, tak że zapalnik zgasł.

- Trzy od jednej zapalniczki?!

Roscoe podał Jackie'emu swego papierosa, a ten odpalił sobie od żarzącej się końcówki.

Danny odczekał, aż Jackie zaciągnie się głęboko, po czym rzucił mimochodem.

- Posterunkowy Daniels idzie.

- Co?! - Jackie zakrztusił się dymem i zaczął kaszleć.

- Ciii...! - uspokajał go Roscoe, rozglądając się nerwowo dookoła. - Zjeżdżajmy.

- Zobaczyl Jackie'ego - ciągnął Danny.

- Co?! - krzyknął Jackie. - Nie, nie mógł mnie zobaczyć. Ty biegłeś ostatni.

- Zadzwoń do waszego ojca.

- Gówno prawda - zaprzeczył Roscoe, ale głos mu się załamał.

- Lepiej chodźmy do domu - powiedział Jackie.

- Nie - mruknął Moser. - Żartowałem. Poszedł w drugą stronę. Rozluźnij się, misiu.

Roscoe roześmiał się.

Danny rzucił niedopałek w ciemność.

- Masz jeszcze trawkę? - zapytał.

- Trochę.

- To na co czekasz? Roscoe wyszeptał:

- Myślę, że Jackie ma dosyć.

- Jesteś jego matką?

- Dobra - zgodził się Jackie - mogę sobie zajarać. Roscoe wyciągnął skręta z kieszeni koszuli. Danny zabrał mu go z ręki, podpalił zwiniętą bibułkę i zaciągnął się głęboko.

- Skąd masz ten syf? Roscoe roześmiał się:

- Od ciebie!

- Ale śmieszne! - powiedział Danny.

Jackie śmiał się ciągle. Zaciągnął się skrzętem i zasłonił usta dłońmi, żeby powstrzymać atak kaszlu. Podawali sobie peta, aż stał się za krótki, żeby można go było trzymać. Danny złapał niedopałek koniuszkami palców niczym szczypcami chirurgicznymi i pociągnął ostatni raz.

- Niezła - stwierdził Roscoe. - Skąd ją wzięłeś?

- Pożyczyłem od doktora Springera.

- Dał ci ją?

- A jak myślisz, misiu?

- Ukradłeś ją? - spytał Jackie.

- No i?

- Czy to od niego wzięłeś te pigułki?

Danny szturchnął Roscoe'ego jego otwartą ręką.

- Trzymaj język za zębami, Roscoe.

- Hej, ja tylko...

- Zapamiętaj, Roscoe. Doktor nie daje mi żadnych pigułek j lepiej nie mów, że mi daje. Wpakujesz go w kłopoty.

- To co?

Danny szturchnął go znowu.

- Nie chcę więcej tego słyszeć.

- To skąd je miałeś?

- W Warrington jest taki chłopak.

- Kto?

- Jak chcesz pigułek, przychodzisz do mnie. Ale doktora zostaw w spokoju.

- Dobra, stary.

- To ciebie też dotyczy, Jackie.

Jackie spojrział ze strachem na starszego kolegę.

- Okay, Danny; ja nic nie powiedziałem.

- Po prostu pamiętajcie - Danny wbił wzrok w braci. Wreszcie roześmiał się:

- Dobra, nie ma problemu. Co chcecie teraz robić? Jackie ziewnął.

- No - mówił Moser - powiedzcie coś!

- Nie wiem - stwierdził Roscoe.

- Okay - uśmiechnął się Danny. - Idźcie za mną.

- Dokąd?

Moser rozejrzał się wokół garażu, sprawdził, czy posterunkowy Daniels nie kręci się w pobliżu, i ruszył główną ulicą w stronę kościoła. Chwilę potem dołączyli młodzi Strattonowie.

- Dokąd idziesz, Danny?

- Zobaczycie.

Skreślił w drogę, prowadzącą na górę Spotting. Kiedy doszli do ulicy Spotting, Roscoe spytał:

- Idziesz do domu?

- Czy wyglądam na faceta wracającego do domu? Kiedy minęli ostatnią latarnię, Jackie zdziwił się:

- Hej, dokąd idziesz?

- Chodźcie.

Szedł teraz szybciej, zadowolony ze swojej tajemnicy. Bracia podążali za nim,

szepcząc między sobą. W końcu, kiedy przeszli pogrążoną w mroku drogą jakieś czterysta metrów, Danny oznajmił:

- Podejrzymy Braciszków.

- Co? - zdziwił się Roscoe.

- Dom dla świrów? - upewnił się bojaźliwie Jackie.

- Zobaczymy, co oni tam robią - odparł Danny, ruszając znowu. Jackie i Roscoe wymienili urywanym szeptem kilka zdań i pobiegli za nim.

- Zaczekaj!

- Co jest?

- Nie chce nam się iść trzy kilometry, żeby popatrzeć na dom wariatów.

- Podejźmy bliżutko - wyjaśnił Danny. - Zobaczymy, co tam się dzieje.

- Wejźmy tam? - spytał Jackie.

- Pękasz, misiu? - śmiał się Moser. - Frajerze, pękasz!

- Nie możemy tam wejść - powiedział Roscoe. - Mają płot.

- Nie umiesz przeleźć?

- A jeśli nas złapią? - zaprotestował Jackie.

- Byłem tam milion razy.

- Ale nie odkąd ci ludzie tam siedzą - zauważył Roscoe.

- Nie przeszkodzą mi.

- Ja nie chcę - Jackie był bliski płaczu.

- Zamknij się, frajerze. Roscoe zawahał się znowu.

- Myślę, że nie powinniśmy.

- Co z wami jest, chłopaki?

Zza zakrętu wyjechał samochód, rzucając przed siebie snopy światła. Chłopcy odskoczyli w bok i odwrócili twarze w ciemność.

- Chcę iść do domu - jęczał Jackie. - Tata mógł...

- No nieee... - szydził Danny. - Znowu zaczynacie te teksty o ojcu? Zresztą i tak jest na przyjęciu u starego Wrighta.

- Późno już - powiedział Roscoe. - Jeżeli nas złapie, kręcących się tak po nocy, będzie z nami kiepsko. Lepiej chodźmy.

- Macie cykora, frajerzy.

- Wracasz?

- Nie ma mowy, stary. Wchodzę tam.

- Lepiej nie, Danny.

- Kopsnij szluga, leszczu. Opowiem wam jutro, jak było.

- Chrzanisz - powiedział Roscoe. - Nie pójdziesz sam.

- Myślisz? - Danny zapalił papierosa, ścisnął go w zębach i pokuśtykał pod górę. Kiedy się obejrzał, Strattonów już nie było. Leszcze, spēkali. Szedł szybko, mimo że rwała go stopa. Droga była pogrążona w głębokiej ciemności. Od czasu do czasu wchodził w smugę światła padającą z okien mijanych domów; parę razy wyprzedzały go samochody. Poza tym był zupełnie sam.

Pół godziny później dotarł do bramy posiadłości sekty. W majaczącym w mroku budynku płonęło kilka niebieskich świateł. Bramę i podjazd spowijał mrok. Danny dygotał w zimnym, nocnym powietrzu i żałował, że nie wziął od Roscoe'ego jeszcze jednego papierosa. Błękitne światła hipnotyzowały go. Dostrzegł dwoje ludzi stojących przy oknie; rozmawiali. Wydawało mu się, że to kobiety, ale z tej odległości nie był tego pewny. Jedna objęła drugą ramieniem i powoli odeszły w głąb pokoju.

Kiedy Danny upewnił się, że nikt go nie widzi, postawił stopę na ozdobnym żelaznym

elemencie bramy i podciągnął się do góry. Wrota drżały tak jak jego nogi. Na wierzchołku zatrzymał się na chwilę i przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę. Potem, uważając, żeby kolce nie rozdarły mu ubrania, przekroczył najwyższe pasmo drutu i opuścił się na ziemię.

Przykucnął, gotów rzucić się do ucieczki, ale nic się nie wydarzyło. Noc była spokojna. Za jednym z odległych okien przesunęła się jakaś postać. Danny dał nura w cień i ukrył się za kamiennym słupem. Kiedy szedł pod górę, spocił się tak, że był mokry, teraz zrobiło mu się zimno. Z wysiłkiem wstał i ruszył wzdłuż brzegu trawnika, znajdującego się koło podjazdu, zatrzymując się w miejscu, gdzie droga skręcała w kierunku frontowych drzwi. Wreszcie, zadowolony, że nikt go nie widzi, pokuśtykał przez trawę w stronę prawego skrzydła budynku, chyłkiem przemykając się przez padające z okien snopy światła.

Przesunąwszy się bokiem wzdłuż ściany, wspiał się do najbliższego okna i zajrzał do dużego pokoju bez mebli. Drewniana podłoga połyskiwała w delikatnym świetle świec. Kilkoro mężczyzn i kobiet siedziało po turecku na podłodze ze splecionymi dłońmi, kołysząc głowami w górę i w dół. Usłyszał wysoki, monotony dźwięk śpiewanej pieśni. Zaciekawiony, przysunął się bliżej szyby.

Silna ręka wbiła się w jego biceps i odciągnęła go od okna. Skowycząc z przerażenia, Danny zdołał uwolnić się od napastnika i zaczął uciekać. Z ciemności wyskoczył cień. Chłopak zatrzymał się i skręcił w bok, ale drugi cień wynurzył się nagle wprost przed nim. Zawrócił i wpadł na trzeci cień.

Straszliwe uderzenie trafiło go w splot słoneczny; przewrócił się na ziemię ze sparaliżowanymi kończynami. Silne ręce podniosły go na nogi. Próbował otworzyć usta i złapać powietrze, ale nie mógł. Cienie zbiegły się ze wszystkich stron. Półprzytomny, zobaczył że frontowe drzwi się otworzyły. Powlekli go w tamtą stronę. Jego stopy objęły się o schodki.

Ciężkie wrota zatrzasnęły się za nim.

Ulica Spotting, skupisko zaniedbanych maleńkich drewnianych domków, zbudowanych dla personelu zakładu psychiatrycznego, sąsiadowała z cmentarzem. Springer miał właśnie skręcić w Main Street, kiedy zauważył wielebnego Daviesa układającego kwiaty na grobie żony. Był gorący, sobotni dzień.

Pastor poczuł na sobie czyjś wzrok i wyprostował się powoli. Patrząc dookoła zza grubych szkieł okularów swoimi rozbieganymi oczami krótkowidza, dostrzegł Springera i podszedł do płotu. Jego twarz rozjaśniła się, gdy z bliska poznał Alana.

- Dzień dobry, doktorze. Tak myślałem, że to pan.

Był formalistą, wolał używać tytułów niż imion. Springer odpowiedział uprzejmie:

- Wielebny Davies! Jak się pan miewa?

- Całkiem dobrze - odparł pastor piskliwym tenorem. Rozejrzał się po nieskazitelnie czystym kościelnym podwórku.

- Wspaniały dzień, nieprawdaż?

- Piękny - zgodził się Alan. - Przyjemnie jest na dworze. Davies zawahał się, jak gdyby chciał rozmawiać, ale bał się wtrącać w cudze sprawy. Pogładził siwe wąsy.

- Był pan na wizycie domowej? - skinął głową w stronę ulicy. - Rozumiem, że z panią Francis nie jest najlepiej.

- Znacznie jej się poprawiło - zaprzeczył Springer. - Byłem teraz u pani Moser.

- Jest chora?

- Nie. Nie bardziej niż zwykle. Szukałem Danny'ego. Widział go pan? - Doktor umawiał się na jutrzejsze popołudnie na pierwszą lekcję łucznictwa, ale nie mógł odnaleźć młodego Mosera.

- Nie, nie widziałem. Mam nadzieję, że nie wpakował się znowu w kłopoty -

powiedział pastor.

- Ja też - westchnął Springer - ja też.

Davies wskazał głową złożony pod pachą doktora egzemplarz tygodnika "Sun".

- Przeglądał pan reklamy?

Alan uśmiechnął się.

- Tak. Nasi nowi sąsiedzi. - Otworzył gazetę na całostronicowym ogłoszeniu. Tekst znajdował się w środku, a do tego House umieścił krzyże w każdym rogu. - Oczywiście, że to z Biblii.

- Powiedział. - Ale z której księgi?

- Z Objawienia świętego Jana Apostoła. Apokalipsy, jak jest potocznie nazywana. Z ostatniej księgi. Dziwne.

- Dlaczego?

- To mieszanina kilku wierszy z rozdziału dwunastego. I do tego pozmieniali je po swojemu. - Pastor wyglądał na zdziwionego. - Niezwykłe, nie sądzi pan? Fundamentalisci zazwyczaj przyjmują Pismo dosłownie, a wersję kanoniczną uważają za niepodważalną. Ma pan chwilę czasu? - Czekał niecierpliwie, jakby był pewien, że usłyszy zaprzeczenie.

Springer spojrział na zegarek.

- Jasne.

- Proszę wejść. Pokażę panu, o co mi chodzi.

Przeszli do plebanii. Odkąd w zeszłym roku zmarła jego żona, stary pastor trzymał większą część domu zamkniętą, korzystał tylko z kuchni, małego gabinetu i niewielkiej sypialni na dole.

Weszli do ciemnego pokoiku o zasłoniętych oknach, pełno tu było książek i precyzyjnie wykonanych, misternych modeli żaglowców: kliperów, statków wielorybnych, barek, kutrów i korwet - owoców życiowej pasji Daviesa. Na jednej ze ścian wisiały stare mapy nawigacyjne, a oświetlenie stanowiły mosiężne lampy okrętowe o czerwonych i

zielonych szybkach. Pokoik wyglądał bardziej na schronienie emerytowanego kapitana marynarki niż na gabinet pastora. Davies nigdy nie był na morzu ani nawet nie mieszkał w pobliżu wybrzeża.

Odkąd owdowiał, oprócz wygłaszania co niedziela chaotycznych kazań, zajmował się wyłącznie swoim ulubionym hobby. W kącie, na stole do pracy, oświetlonym kreslarską lampą jarzeniową, znajdowało się jego ostatnie dzieło - na wpół ukończony model regatowego żaglowca "America" - zdobywcy pucharu o tej samej nazwie. Davies zbudował go sam, od podstaw, używając oryginalnych planów i odtwarzając w miniaturze każdą śrubkę i deskę szkunera.

Springer nachylił się, żeby przyjrzeć mu się z bliska. Pastor włączył lampę. Od cienkiej jak ołówek stępki odchodziły maleńkie żebra, niczym ości pstrąga. Poszycie kadłuba było wykonane mniej więcej w połowie.

- Piękny - powiedział Alan. - Naprawdę piękny. Davies uśmiechnął się z dumą.

- Jeszcze dwa-trzy miesiące i wezmę się za pokład.

- Jak często pracuje pan nad tym?

Pastor odwrócił głowę, jakby wstydził się odpowiedzieć.

- Staram się znaleźć na to cztery godziny dziennie - oczywiście, kiedy wykonam wszystkie obowiązki. Napije się pan cherry?

- Jeśli nie sprawi to kłopotu...

Davies wyłączył jarzeniówkę i pokój ponownie oświetlał tylko delikatny blask lamp okrętowych. Nalał dwie szklaneczki i wskazał Springerowi krzesło. Kiedy wypili pierwszy łyk, położył na stole otwartą Biblię i pokazał doktorowi rozdział dwunasty Księgi Objawienia św. Jana Apostoła.

Pastor oddychał ciężko, pochyliwszy się nad stołem i w półmroku wskazywał poszczególne fragmenty tekstu. Doktor poczuł lekki zapach potu.

- Zaczyna się tu, od wiersza siódmego - powiedział Davies, pokazując palcem miejsce: - I zaczęła się wielka bitwa na niebie: Michał i aniołowie jego walczyli ze

smokiem... Potem przeskakują do wersu dziewiątego: Zrzucony został ów smok wielki... a dalej przechodzą do wiersza dwunastego. Bardzo dziwne.

Springer przeczytał ustępy znajdujące się pomiędzy wybranymi wersami.

- Sens pozostaje ten sam.

- Oczywiście - zgodził się Davies. - Znaczenie pozostało nienaruszone, poza...

- Czym?

- Akcent jest położony na co innego. Widzi pan, pominęli wiersz dziesiąty. - usłyszałem głos donośny w niebie mówiący: Teraz stało się zbawienie i potęga i królowanie Boga naszego, i władza Chrystusa Jego... Przez ominięcie wersu, zrobili z Michała Archanioła kogoś o pierwszorzędnym znaczeniu, podczas gdy w istocie jest on tylko jednym z wielu sług Boga i Jego Syna.

- Być może to szczegół - ciągnął dalej pastor - ale z wiersza dwunastego wyrzucili pierwszą linijkę: Przeto weselcie się niebiosa i mieszkańcy ich. Zamiast tego przechodzą bezpośrednio do: Biada ziemi i morzu... - Uśmiechnął się niespodziewanie i skubnął wąsa.

- Chyba nie nadażam za panem - powiedział Springer.

- To wskazuje na ziemskie zadania tych ludzi. Błękitne Bractwo - mniej zajmuje się niebem, czy życiem wiecznym, niż tym, co dzieje się tu i teraz.

- Rozumiem.

- Mówią nawracanym przez siebie ludziom, że życie na Ziemi może zostać odmienione i że zmianami będzie kierował Michał Archanioł. Wie pan, to takie amerykańskie.

- Amerykańskie?

- Pragmatyczne.

- Bezpośrednie działanie, tu i teraz - zrozumiał nagle.

- Dokładnie tak - pastor zaśmiał się smutno. - Mogę panu powiedzieć jedną rzecz: oni obiecują więcej niż my. - Zamknął Biblię i spojrzął na swoje żaglowce ponad obrębem

szklanki. Kiedy znów się odezwał, ton jego głosu wskazywał, że dręczą go złe przeczucia. Powiedział: - Chciałbym wiedzieć, czego oni tutaj chcą...

Po drodze do domu Alan wstąpił na posterunek. Nie był on większy od zwykłego sklepiku. Składał się z małego pokoju z ławą dla interesantów i biurka za przegrodą dla policjanta. W końcu krótkiego korytarzyka znajdowała się pojedyncza cela. Była, jak zwykle zresztą, pusta, chociaż Springer zawsze widział w niej ducha swego ojca, odsypiającego na drewnianej pryczy jakąś libację.

- Witaj! - pozdrowił wchodzącego doktora Charlie Daniels, żyłasty mężczyzna przed trzydziestką. Był miejscowym chłopakiem, który do swego zawodu przyuczył się odbywając służbę wojskową w żandarmerii. Miał na sobie koszulę i spodnie khaki, do pasa przypiął pistolet małego kalibru, a do koszulki odznakę okazałych rozmiarów.

- Jak leci, Charlie?

- Dobrze. Co tam słyhać?

- Szukam Danny'ego Mosera. Daniels zmrużył oczy i spytał:

- Co zrobił tym razem?

- Nic. Po prostu chcę go znaleźć. Jego matka mówi, że nie Pojawił się w domu od paru dni.

- To beznadziejny przypadek, Al.

- Jeszcze nie - odparł Springer.

- Słuchaj, mogę się z tobą założyć, że znów pojechał stopem do Saratogi, żeby kupić narkotyki.

- Obiecał mi, że więcej tego nie zrobi. - Doktor nie zrażony tym, że policjant uniósł z powątpiewaniem brwi, ciągnął dalej: -W każdym razie, zastanawiam się, czy coś się dzieciakowi nie stało.

- Al, wiesz co? Jeżeli ten mały degenerat po prostu zniknął, to nie byłaby to najgorsza rzecz, jaka kiedykolwiek zdarzyła się w tym mieście. Ale będę nadstawiał uszu. Jeśli nie pokaże się w ciągu mniej więcej tygodnia, ogłosimy zaginięcie. Dobra?

- Dzięki, Charlie.

- Wkrótce się znajdzie - powiedział Daniels. - To pewne jak śmierć.

11

Z dzwonnicy prezbiteriańskiego kościoła rozbrzmiewał monotony nawołujący dźwięk. Przenikliwy odgłos rozchodził się daleko w gorącym, nieruchomym powietrzu. Ludzie zdążający w jego kierunku przyspieszyli kroku. Szli w stronę białego kościoła stojącego przy zakręcie drogi, otoczonego ze wszystkich stron starymi samochodami i półciężarówkami, którymi przyjechali mieszkańcy dalej położonych domów.

Springer uśmiechnął się do swojego odbicia w oknie sklepu Lewisa. Mając po bokach Margaret i Samanthę w ładnych, bawełnianych sukienkach, sam był ubrany w szary, letni garnitur, który zwykle rezerwował na podróże w interesach do Albany. Wyglądał jak człowiek ze zdjęcia w jednym ze starych numerów "Saturday Evening Post". Przedstawiało ono oddanego męża, kochającego ojca, poważanego obywatela i uczciwie praktykującego chrześcijanina.

Pomachali do Charliego Danielsa, który kierował ruchem, i weszli do kościoła, gdzie rozbrzmiewało organowe preludium Bacha. Bob Kent i Pete Lewis usługiwali jako odźwierni. Kent pocałował Margaret w policzek i poklepał Samanthę po głowie. Podał Springerowi program nabożeństwa, mówiąc:

- Czy cuda będą trwały wiecznie?

- Dzieńdoberek, diakonie - szepnął Alan. - Jak się macie?

- Pobożnie - wymamrotał Kent. - Tylko zachowuj się jak trzeba!

- Dzień dobry - wyszeptał poważnie Pete Lewis. Lewis pełnił funkcję diakona z powołania; Kent - ponieważ jako burmistrz musiał ją piastować. Syn Lewisa, Dick, przybiegł z następną partią programów, bo właśnie zabrakło. Pozdrowił Springera i powiedział "cześć" Samancie, która schowała dłoń w rękę ojca i odmruknęła prosto w podłogę:

- Cześć.

Usiedli na końcu ostatniej ławki z prawej strony - zawsze zajmowali to miejsce. Springer oddał się błogiemu relaksowi.

Ściany i sklepienie były pomalowane na biało, stanowiąc dobrze kontrastujące, czyste tło dla jaskrawych witraży, bukietów wiosennych kwiatów, złotego ołtarza i znajdującej się za nim draperii z czerwonego aksamitu. Na każdym z okien widniało nazwisko rodziny, która je ufundowała, gdy przed ośmiu laty budowano świątynię, a więc: Moser, Kent, Grand, Lewis, Whalen, Rigby, Spencer i na nowym witrażu: Springer. Stare okno Moserów, którym marnie się teraz wiodło (ostatnim mężczyzną w rodzinie był młody Danny), wyleciało w czasie zamieci i doktor zapłacił za nowe. Wmawiał sobie, że zrobił to dla Margaret, która uwielbiała kościół, ale tak jak i dom na głównej ulicy, był to symbol przynależności do miasteczka, w którym dorastał, choć czuł się tu jak ktoś obcy.

Kiedy Pete Lewis i Bob Kent zamykali masywne dwuskrzydłowe drzwi, wpadła jeszcze rodzina rolników - ojciec w starym, za luźnym garniturze, jego żona i trzy małe córeczki w znoszonych, choć czystych sukienkach. Kent odprowadził ich wśród śmiechów i szeptów do wolnej ławki, a Lewis upewnił się, że nikt więcej już nie nadchodzi, i zamknął wrota.

Wielebny Davies wszedł do kościoła małymi drzwiami znajdującymi się w pobliżu pulpitu. Uśmiechnął się nieśmiało, jakby przestraszony faktem, że ludzie na niego czekają, pokręcił białego węża i podszedł do ołtarza. Sophie Wilkins zaczęła grać pieśń na rozpoczęcie, którą zaśpiewał chór - osiem sopranów piszczących radośnie i głęboki bas Alfiego Pottera. Następnie Davies wezwał swoim wysokim tenorem do rozpoczęcia modlitwy i zgromadzeni odśpiewali pierwszy hymn - "Niech nastanie światłość".

Margaret śpiewała pięknie. Springer wtórował jej o oktawę niżej. Czuł, jak Samantha kurczy się koło niego. Jej usta układały się w słowa, ale nie wydobywała z siebie żadnego dźwięku. Kiedy usiedli, otworzyła Biblię, którą przyniosła, i wpatrzyła się w tekst widniejący na ścianie ponad organami. Po przyznaniu się do win i deklaracji przebaczenia, ułożonymi w formie dialogu, Davies przeczytał wstęp z drugiego rozdziału listu powszechnego św. Jakuba Apostoła, wersy: czternasty, piętnasty i szesnasty.

- Cóż pomoże, bracia moi, jeśliby kto mówił, że ma wiarę, ale uczynków by nie miał?

Czyż wiara mogłaby go zbawić? I jeśli by brat i siostra nie mieli ubrania i potrzebowaliby codziennej żywności, a ktoś powiedziałby im: „Idźcie w pokoju, ogrzejcie się i nasyćcie” - a nie dalibyście im tego, czego ciało ich potrzebuje, cóż by to pomogło? W kościele, przy zamkniętych drzwiach było gorąco. Wielebny Davies uśmiechnął się blado i przeszedł do swojego ulubionego tematu kazań.

- Chrześcijanie stanowią największą, najbardziej efektywną siłę na świecie, powołaną do walki z cierpieniem, ubóstwem i głodem. Ponieważ, jak poucza ich Biblia, mają obowiązek okazywania swojej wiary, miłości do Boga, muszą przyczyniać się do dobra tych, którym wiedzie się gorzej.

Bóg nie może patrzeć z radością na ziemię, kiedy istoty ludzkie cierpią. Dlatego wierni z tej świątyni posłali żywność i lekarstwa do Biafry, dlatego kilka rodzin zaofiarowało się przyjąć do siebie wietnamskie sieroty, ofiary tego nieszczęsnego konfliktu. Dlatego przygotowujemy nasze bożonarodzeniowe koszyki dla potrzebujących i wspomagamy przedsięwzięcie wydawania śniadań w szkole. Ale możemy uczynić więcej...

Delikatny tenor drobnego pastora działał usypiająco. Springer ziewnął i rozejrzał się dookoła. Margaret słuchała kazania z największym zainteresowaniem, ale Samantha napotkawszy jego wzrok drgnęła. Jej Biblia była otwarta na liście św. Jakuba. Uśmiechnęła się nieznacznie do ojca i wskazała na wersy następne za tymi, które przeczytał Davies:

- Czyż nie dzięki uczynom dostąpił usprawiedliwienia Abraham, ojciec nasz, ofiarowując na ołtarzu syna swego, Izaaka?

Spojrzała na niego pytająco. Springer nachylił się bliżej.

- Co?

- Świąteczne koszyki?

Doktor zagryzł wargi, żeby powstrzymać się od śmiechu.

- Można to różnie interpretować, mądralo - mruknął.

- Ciii...! - odezwała się Margaret.

- Przepraszam, kochanie.

Trącił Samanthę łokciem i przyłożył palec do ust. Kiedy zachowywała się w ten sposób, co zdarzało się rzadko, można było mieć nadzieję, że pewnego dnia wreszcie dojrzeje.

Wielebny Davies zadawał serię retorycznych pytań, robiąc pomiędzy nimi dłuższe pauzy. Twarde powierzchnie drewnianych ławek, tynkowanych ścian i wysokiego sklepienia powodowały, że kościół miał surową akustykę. Kaszel rozlegał się suchym, głośnym trzaskiem, a najcichsze szepty szeleściły nieprzyjemnie. Masywne drzwi nie dopuszczały dźwięków z ulicy, dzięki czemu wewnątrz było spokojnie, jak w roku 1900; jedyna różnica polegała na tym, że teraz kościół wypełniało o połowę mniej osób.

- Którzy są wierni? - pytał Davies. Jego oczy krótkowidza miały spojrzeniami po milczącym kościele.

Trzy donośne stuknięcia w drzwi przerwały ciszę.

Wierni odwrócili się w ławkach, spoglądając na wejście. Bob Kent i Pete Lewis stojący po obu jego stronach wymienili spojrzenia. Wielebny Davies patrzył badawczo przez nawę. Po chwili wahania Kent uchylił drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Zdumienie na jego twarzy zastąpił natychmiast ciepły uśmiech. Otworzył drzwi na całą szerokość i pomachał do pastora, aby ten przerwał kazanie. Do kruchty wkroczył podwójny rząd mężczyzn i kobiet w czystych, wyprasowanych roboczych koszulach i kombinezonach. Mijając burmistrza, wmaszerowali do kościoła i zajęli ostatnie pięć ławek po obu stronach nawy - kobiety po lewej, mężczyźni po prawej. Kiedy już wszyscy znaleźli się na miejscach - pięćdziesiąt osób, jak ocenił Springer - usiedli jednocześnie jakby na niewidzialny znak i patrzyli w milczeniu w kierunku ołtarza.

Wśród stałych uczestników nabożeństw, patrzących z przyjaznymi uśmiechami w tył, rozległ się szmer aprobaty. Wielebny Davies odchrząknął.

- Witamy - zawołał. - Witamy w naszym kościele. Jak miło widzieć tyle nowych twarzy.

Członkowie sekty wbili wzrok w pastora. Żaden z nich nie odpowiedział uśmiechem czy choćby skinieniem głowy, nie odwzajemnił jakimkolwiek gestem faktu przyjęcia do wspólnoty. W kościele zapanowała grobowa cisza, tak głęboka, iż zdawało się, że intruzi byli

wrogo nastawieni do wiernych.

Mieszkańcy Hudson City odwrócili się z powrotem do ołtarza z zakłopotanymi minami. Wielebny Davies zawahał się, spoglądając znad swojej księgi na milczących przybyszów, a złowieszcza cisza coraz bardziej niepokoiła zgromadzonych. W końcu przemówił:

- Dzisiejszy tekst - wyjaśniał dla naszych nowych braci - jest z listu św. Jakuba Apostoła. Cóż pomoże, bracia moi, jeśliby kto mówił, że ma wiarę, a uczynków by nie miał? Czyż wiara mogłaby go zbawić?

Uśmiechnął się nerwowo i zapatrzył w swój tekst. Wierni czekali ze zniecierpliwieniem i kiedy odnalazł zgubione miejsce, a potem powrócił do kazania, rozległy się westchnienia ulgi.

Jeden z członków sekty, chłopak, nie mogący mieć więcej niż siedemnaście lat, zajął miejsce obok Springera. Siedział sztywno; jego ręce spoczywały nieruchomo na wyprasowanym kombinezonie. Miał krótko ostrzyżone i gładko przyczesane włosy. Twarz pozostawała nieruchoma, oczy bez wyrazu utkwiał w pulpicie, nawet nie mrugał.

Doktor spojrział wzdłuż ławki. Czterej mężczyźni o przystrzyżonych głowach i barczystych ramionach, podobni do siebie jak dwie krople wody, siedzieli w identycznych pozach, obserwując Daviesa. Po drugiej stronie nawy przycupnęło sześć dziewczyn, także o twarzach bez wyrazu i krótkich, prostych włosach. Nie miały w sobie nic kobiecości, gdy tak nieruchomo, jak lalki, patrzyły na pastora.

Davies ciągnął kazanie. Głos miał niczym piskliwy klarnet grający monotonną melodię. Przyglądał się nerwowo grupie siedzącej w tyle kościoła i coś w ich spojrzeniach, jakby skrywających wymówkę, poruszyło go mocno. Zaczął lekko stukać w pulpit palcami, potem mechanicznie uderzać w niego otwartą dłonią.

Wydało się to równie niepokojące jemu samemu, jak i słuchaczom. Głos załamywał mu się parokrotnie, a raz zgubił wątek na całe dziesięć sekund. Wierni z Hudson City siedzieli na krawędziach ławek, w ciszy i napięciu, współczując miotającemu się pastorowi, pełni obawy, co nastąpi dalej.

Kiedy wreszcie skończył, Sophie Wilkins wykazała przytomność umysłu i rozpoczęła

następny hymn potężnie brzmiącymi akordami. Zgromadzeni powstali i żywo włączyli się do modlitwy, gubiąc swój niepokój w radosnym śpiewie. Ale prawie natychmiast ucichli, gdy zauważyli, że przybysze pozostali na swoich miejscach, nieruchomi, milczący, o twarzach bez wyrazu niczym manekiny.

Sophie Wilkins grała, tłukąc w klawisze, aż sklepienie kościoła drgało od potęgi dźwięku. Kiedy przebrzmiały ostatnie akordy, wierni niepewnie usiedli i znów pełna napięcia cisza przytłoczyła zebranych.

Wielebny Davies drżącym głosem odczytał ogłoszenia duszpasterskie, a potem, z wyrobioną rutyną, diakoni zaczęli podawać tacę. Kent i Lewis zajęli się środkową nawą, podając mosiężne, wyłożone aksamitem naczynie pierwszej z brzegu osobie, która wrzucała swoją kopertę i przekazywała je swojemu sąsiadowi. Kiedy taca dochodziła do drugiego końca ławki, odbierali je Spencer i chłopiec ze szkółki niedzielnej i posyłali z powrotem wzdłuż następnego rzędu. Davies siedział na krześle na lewo od pulpitu, ze zwieszoną głową; policzki mu płonęły.

Wszystko szło gładko aż do momentu, w którym Kent doszedł do pierwszej z ławek zajmowanych przez przybyszów i wyciągnął rękę z błyszczącą tacą. Siedzący z brzegu blondyn gapił się prosto przed siebie. Burmistrz nachylił się i wyszeptał coś, czerwieniejąc na twarzy. Mężczyzna zignorował go. Bob wycofał się i spróbował z następnym rzędem. Ta sama niema odpowiedź.

Kent podszedł po kolei do wszystkich ławek, wszędzie z jednakowym skutkiem. Kiedy dotarł do ostatniej, w której siedział Springer, spróbował jeszcze raz. Znow nic. Zacisnął usta, ale jego wzrok nadal wyrażał zakłopotanie.

Doktor sięgnął po portfel.

Margaret spojrzała na niego z niepokojem, lecz Alan nie przejmując się tym wyjął pięciodolarówkę.

- Przepraszam, synu - zwrócił się głośno do siedzącego obok niego chłopaka. - Czy mógłbyś podać diakonowi moją ofiarę?

Przybysz z kamiennym spokojem gapił się przed siebie.

- Powiedziałem - powtórzył Alan - że proszę o podanie mojej ofiary diakonowi.

W kościele znowu zapanowała martwa cisza. Ludzie z pierwszych ławek wyciągnęli szyje i patrzyli. W odpowiedzi spotkali się ze spojrzeniami członków sekty.

Springer nabrał powietrza, ale wtedy Kent odezwał się:

- Dziękuję, doktorze. Z przyjemnością podejść po nią. Ominął z tyłu ławkę i wyciągnął rękę. Alan wrzucił piątkę i mrugnął do niego. Burmistrz odwrócił się z drżącymi nerwowo ustami. Niosąc przed sobą tacę, dołączył do Lewisa stojącego w środkowej nawie. Mieszkańcy Hudson City powstali i zaśpiewali: Chwalmy Boga za wszystkie Jego łaski, a diakoni podeszli do ołtarza, aby oddać ofiary wielebnemu Daviesowi.

- Musiałeś zrobić przedstawienie? - syknęła Margaret, kiedy usiedli.

- Tak - odparł Springer. Spojrzał na Samanthę szukając w jej oczach aprobaty, ale córka pochyliła się nad swoją Biblią i znieruchomiła, zawstydzona. Pociągnął ją za rękaw.

- Kotku? Odsunęła się od niego.

- Nie jest tak źle - powiedział. Zauważył, że chłopak siedzący w ich ławce przygląda się tej scenie.

- Tak, tato.

Na otwartą książkę kapnęła łza. Nieznajomy nadal patrzył

Davies położył tacę na ołtarzu i zwrócił się ku wiernym poruszał ustami i wydawało się, że chce spróbować coś powiedzieć ale Sophie Wilkins zagrała pierwsze akordy pieśni na zakończenie i zebrani z wahaniem zaczęli śpiewać. Błękitni Bracia nadal pozostali na miejscach. W ich milczeniu było coś złowieszczonego.

Hymn dobiegł końca; wielebny Davies odmówił krótkie błogosławieństwo i ruszył na sztywnych nogach wzdłuż nawy, uciekając wzrokiem od kamiennych spojrzeń sekciarzy. Stał, jak zwykle przy drzwiach wejściowych, aby zamienić parę słów z parafianami.

Sophie Wilkins zagrała na wyjście Corellego; pięknie, aż do bólu. Ludzie wstali, szepcząc między sobą i zaczęli dążyć w stronę drzwi. Zatrzymali się na niewidzialnej linii, dzielącej ich od siedzących wyznawców Błękitnego Bractwa, jakby bojąc się ją przekroczyć

obawiając się przejść zbyt blisko przybyszów. Bez dającego się zauważyć sygnału, członkowie sekty nagle jednocześnie powstali i wyszli z kościoła, mijając Daviesa, którego nie obdarzyli ani jednym słowem czy chociażby spojrzeniem. Maszerując w dwóch kolumnach, odeszli drogą na górę Spotting w kierunku swojej siedziby.

Pięćdziesięcioro milczących ludzi zachowywało się tak, jakby stanowili jedno.

- To było świętokradztwo!

Pulchne ciało Sophie Wilkins trzęsło się z oburzenia. Ciągłe wystrojona w kwiecistą niedzielną sukienkę, zrzuciła buty i w samych pończochach dreptała po gęstej trawie na podwórku z tyłu domu Boba Kenta.

- Rozmyślnie poczekali, aż nabożeństwo się zacznie.

- Daj spokój, Sophie - próbował złagodzić burmistrz, nalewając sobie nowego drinka.

Nie mów do mnie: "Daj spokój, Sophie", Robercie Kent. Springer uśmiechnął się do Mary Kent, siostry Sophie i pociągnął duży łyk dżinu z tonikiem. Siedzieli w kręgu, na dębowych krzesłach za domem burmistrza. Słońce paliło z wysokiego nieba. Grill na węgiel drzewny czekał na sekwojowym tarasie. Alan zaczął się uspokajać, choć ciągle myślał o porannym incydencie.

Margaret twierdziła, że robiąc w kościele scenę, zachował się równie niedorzecznie jak intruzi z Błękitnego Bractwa. Położyła się do łóżka z bólem głowy i zamiarem pozostania tam aż do poniedziałkowego poranka. Pielęgnowała swoją złość, rozpamiętując ciągle od nowa swoje upokorzenie, aż udowodniła sobie, że mąż nie mógł mieć racji. Jędza. Alan gapił się na górę, zieloną i łagodną w południowym oświetleniu. Zaletą domu Boba było to, że nie roztaczał się stąd widok na stary zakład. Gdyby chociaż Samantha potrafiła zrozumieć. Próbował jej coś wytłumaczyć, kiedy szli do domu, ale pozostała milcząca, zaciskając usta tak samo jak Margaret i nie odzywała się, podczas gdy jej matka ze złością oskarżała go o pogorszenie sytuacji w kościele.

Ponieważ Danny Moser nie pojawił się, Springer odwołał lekcję łucznictwa i przyszedł sam; tylko po to, żeby usłyszeć podobną kłótnię, toczącą się w domu burmistrza. W czasie, gdy Sophie ciągle go atakowała, Kent patrzył na swoją żonę błagalnym wzrokiem. Mary była niższa od siostry i nie tak impulsywna.

- Bob nie mógł wiele zrobić - powiedziała łagodnym dziewczęcym głosem.

Sophie nie poczuła się uspokojona.

- Naprawdę, Mary? Cóż, doktor Springer co zrobił. Uważam, że był pan wspaniały, doktorze.

Springer uśmiechnął się leniwie.

- Zainspirowała mnie pani anielska muzyka.

Kent skubał swoje plażowe spodenki, gładził włosy porastające jego blade nogi, to znów potrząsał lodem w szklance.

- Może lepiej było ich zignorować.

- Zignorować! - krzyknęła Sophie. - Siedzieć jak myszy pod miotłą i pozwolić im to robić?

- I tak już to wcześniej zrobili - zniecierpliwił się Bob. - Było po wszystkim. Przyszli do kościoła i pokazali nam, że nie chcą, byśmy przyjęli ich do wspólnoty. Nie mówię, że podoba mi się taki sposób działania, ale zaczynają mieć tu w okolicy znaczenie. Ciebie i naszego dobrego doktora mogą nie obchodzić zyski, jakie przynoszą miastu, ale właściciele sklepów na pewno obchodzą, do jasnej cholery.

- Interes - prychnęła Sophie - nie upoważnia do nieopowiedniego zachowywania się.

- Będziemy musieli nauczyć się z nimi żyć.

- Być może będziemy zmuszeni nauczyć się z nimi żyć - wtrącił Springer - ale, do diabła, na pewno oni będą musieli nauczyć się żyć ze mną.

- Nie bądź taki cholernie niezależny - powiedział Kent. - Jako lekarz jesteś jakby reprezentantem miasta, rozumiesz? Postaraj się tym wszystkim nie przejmować.

- Przejmuję się i dzięki temu Pete Lewis może skupić się na sprzedawaniu łopat do kopania dołków pod słupki ogrodzeniowe.

Sophie wybuchnęła śmiechem. Bob posłał jej gorzki uśmiech. Mary podskoczyła jak przestraszony kurczak, mówiąc:

- Sophie, mogłabyś mi pomóc przy stekach? Zapal zaraz ogień, Bob.

- Dobrze.

- Alanie, na pewno nie chcesz pójść po Margaret? Byłoby tak miło, gdyby do nas dołączyła.

- Dziękuję, Mary, ale nie. Margaret jest dzisiaj bardzo zajęta. Widać było, że nikt nie uwierzył w to kłamstwo.

Kiedy Sophie i Mary poszły do mieszkania, Kent odezwał się ponurym głosem:

- Sklepiarze mają dobry rok. Daj mi spokój, na litość boską. Chcesz znowu rozpocząć kolejną ze swoich krucjat?

Springer podziwiał Kenta bardziej, niż się do tego przyznawał, przez co trudniej było mu znieść jego krytykę.

- Przepraszam. To nie jest aż takie ważne, a dzisiaj mamy zbyt piękny dzień, żeby się tym przejmować. W porządku?

- W porządku - uśmiechnął się Bob. - Jeszcze jednego drinka?

- Chętnie.

Samantha miała swoje tajemne miejsce. Kiedy była zmęczona czytaniem, albo bardzo smutna - tak jak dzisiaj, ponieważ wszyscy w kościele patrzyli na nią niczym wygłodniałe węże - wyglądała przez okno, patrząc na tyły placu zabaw. A potem cichutko schodziła na dół i szła do swojej kryjówki, gdzie chowała się za drewnianym płotem, oddzielającym plac od starych torów kolejowych i słuchała, jak jej rówieśnicy śpiewają i grają na gitarach po drugiej stronie.

Zasłuchana zauważyła sekciarza dopiero gdy stanął za nią. W przestkach zasłoniła usta i zaczęła się zastanawiać, jakim sposobem nadszedł tak po cichu. To był ten chłopak, który siedział koło taty w kościele. Dwaj inni czekali po drugiej stronie torów i przyglądali się Samancie. Przestraszyła się, że szkolni koledzy mogą usłyszeć jej głos i odnaleźć kryjówkę.

Ale nieznajomy przyłożył palec do ust, jak gdyby znał jej tajemnicę.

Przykucnął i spojrzał dziewczynie w twarz. Nie lubiła, kiedy ktoś podchodził do niej blisko. Chciała się odwrócić, ale nie potrafiła. Miał takie spokojne oczy. Skinął, aby nachyliła się bliżej.

Bob Kent usłyszał już dość.

- Wszystko wkrótce się uspokoi - odezwał się do członków Rady Miejskiej, którzy zostali na prywatną dyskusję po cotygodniowym spotkaniu w poniedziałek wieczorem. - Nie zrobili przecież nawet jednego ruchu przeciw komukolwiek poza tym absurdem w kościele. Nie musimy się na nich wściekać. Po prostu chcą być pozostawieni samym sobie i - uśmiechnął się - żeby wolno im było wydawać w Hudson City pieniądze.

- O, to, to - powiedział Gary Spencer uśmiechając się spokojnie. - Właśnie dlatego nie chcę, żeby jakiś w gorącej wodzie kąpany facet ich niepokoił. Kupują mnóstwo żywności.

- I narzędzi, i materiałów - dodał Kent kiwając głową w stronę Pete'a Lewisa i starego Kena Mosera. - Uspokoi się. poczekajcie, to zobaczycie.

Joe Preston, kierownik miejscowego oddziału banku Warrington, podniósł rękę. Siedział cicho podczas całej dyskusji, z nieobecny wyrazem twarzy.

- Chciałbym coś powiedzieć, Bob.

Preston był krzepkim mężczyzną o czerwonej twarzy. Wyglądał bardziej na traktorzystę niż na pracownika banku. Rozejrzał się po swoich kolegach z rady i ściszył głos:

- Jest pewien problem natury etycznej. Nie powinienem o tym mówić, ponieważ to poufna informacja, ale i wkrótce będziecie się o tym dowiedzieli. Tylko nie rozgłaszajcie, że to wyszło ode mnie.

Pete Lewis, Gary Spencer, Moser i Kent przytaknęli, a na ich twarzach odbiło się zainteresowanie.

- O co chodzi, Joe?

- Wiecie, że mamy hipotekę na starą stację Shella.

- Jasne - odparł burmistrz - nadal próbuję ją dla was sprzedać.

Preston wyglądał na zawstydzonego.

- No cóż Bob, ponieważ moje główne biuro znajduje się w Warrington, musieliśmy z Rayem Petersem zinwentaryzować także i tę nieruchomość.

Kent wzruszył ramionami.

- Ray Peters nie umiałby sprzedać Arabom klimatyzacji.

- Być może, ale sprzedał stację.

- Tak? A to skurczybyk... kto ją kupił?

- Błękitne Bractwo.

- Co?!

- To, co mówię. Rozmowy prowadzono w zeszłym tygodniu. Jutro transakcja zostanie sfinalizowana.

Członkowie rady siedzieli w milczeniu. Nagle Kent wybuchnął:

- Psiakrew! Ten obiekt przynosił rocznie cztery tysiące w podatkach! Już mamy to z głowy!

Preston podniósł grubą dłoń i powiedział:

Tylko kiedy był czynny, Bob. Przez ostatnie dwa lata nie zarobiliśmy na tym ani centa.

- Wiem. Ale jeszcze byśmy zarobili.

- Widziałeś, żeby ostatnio budowali gdziekolwiek nowe stacje benzynowe?

- Coś byśmy tam urządzili - odparł z uporem Kent.

- Nieprawda - zaprzeczył Preston. - Zresztą tak czy siak, teraz należy do nich. Chciałem was tylko uprzedzić.

- Po kiego czorta potrzebna im stara stacja benzynowa?

W godzinę po zawarciu transakcji w Warrington, dwadzieścioro mężczyzn i kobiet zeszło drogą z góry Spotting niosąc narzędzia, farbę, miotły i ścierki. Zaczęli od wyrwania dykt, którymi były pozabijane drzwi, i pozamiatania rozbitego szkła, po czym odmalowali zaniedbany budynek. Kilku mężczyzn pomierzyło obiekt i poszło do składu Mosera, gdzie

zamówili tafle szkła, elementy instalacji elektrycznej i drewno. Inni zaczęli zakopywać znajdujące się za stacją dziury po dystrybutorach.

Kiedy przechodzący ludzie przystawali i pytali, co tu będzie, w odpowiedzi otrzymywali miłe uśmiechy i obietnicę, że będą zapraszać wszystkich. Zapraszać do czego? Sekciarze uśmiechali się ponownie i wracali do pracy. Ze środka dochodziło głośnie stukanie młotków i wycie elektrycznej piły. Pracowali aż do nocy, potem pomaszrowali na górę ze śpiewem na ustach, niosąc latarnie o niebieskim świetle.

Następnego dnia praca toczyła się dalej. Sadzili kwiaty, najwyraźniej wyhodowane koło ośrodka, w wypełnionych ziemią otworach po dystrybutorach, wstawili nowe okna i dokończyli malowania od zewnątrz na jasnobłękitny kolor. Zajechały nie oznakowane ciężarówki z rejestracją z Albany, z których wysiedli nowi sekciarze. Rozładowali z wprawą auta i zanieśli wszystko do środka. Były to jakieś ciężkie pudła, osłonięte skrywającym kształty brezentem.

Gromadzący się na chodniku gapie zaczęli snuć domysły, co tam może powstawać. Ale drzwi pozostawały zamknięte, a robotnicy milczeli. Dwadzieścia do trzydziestu osób pracowało od wczesnego poranka aż do północy, uwijając się dookoła starej stacji.

W ostatnim dniu roku szkolnego, kiedy zaczęło się ściemniać, praca została zakończona. Matt Wright właśnie zamykał uroczystość w dusznej sali liceum; ludzie spacerowali dla nabrania powietrza po ulicach, kiedy wrota dawnej stacji Shella stanęły otworem. Silny reflektor rozjaśnił ogromny szyld wymalowany jaskrawoniebieskimi literami:

CENTRUM ROZRYWKI BŁĘKITNEGO BRACTWA ZAPRASZAMY
WSZYSTKICH

Młodzież zgromadziła się w pobliżu, stając po drugiej stronie ulicy, i patrzyła, jak w oknach zapłonęły nagle dziesiątki niebieskich żarówek. Gapili się na ten olśniewający widok. Na skraju miasteczka, na tle ciemniejących gór, przeistoczony budynek wyglądał niczym miniaturowe miasto, przystań światła i radości w ogarniającej wszystko nudnej, ciemnej nocy. Nastolatki podchodzili coraz bliżej, rzucając ciche komentarze i głośno się śmiejąc. Sekciarze żwawo uwijali się w środku. Widać było ich sylwetki w oświetlonych oknach.

Młodzież zbliżała się coraz bardziej; zbierało się ich coraz więcej. Nagle w rytmie wybijanym głębokim basem rozległy się donośne dźwięki słodkiej, melodyjnej muzyki

country. Sekciarze wysypali się na zewnątrz i zgromadzili się po obu stronach drzwi. Uśmiechali się zachęcająco.

- Chodźcie! - zawołali. - Zapraszamy wszystkich.

Z wahaniem, podążając za najbardziej śmiałym chłopakiem, którego nonszalancki krok ukrywał odczuwany strach, dzieci z Hudson City podeszły do otwartych drzwi.

Springer, wracając następnego wieczora z kliniki, usłyszał w domu wrzawę. Margaret stała na środku kuchni z założonymi rękoma i zaciśniętymi ustami. Samantha, zalewając się łzami, rzuciła mu się w ramiona. Springer przytulił ją i ruchem warg, bezdźwięcznie, ponad jej głową zapytał:

- Co?

- Nie - powiedziała Margaret ignorując pytanie męża - w żadnym wypadku nie wolno ci tam pójść!

- Do Centrum Rozrywki? - spytał Alan z niedowierzaniem. Przez cały dzień wysłuchiwał w klinice opowieści na ten temat.

Jego pierwszą reakcją na to, że Samantha chciała tam iść, był zachwyty. Co skłoniło jego dziecko do opuszczenia bezpiecznego pokoju i książek?

- Proszę, tatusiu - szlochała. - Nie mogłabym tam pójść?

- Pobiegnij na chwileczkę na górę, kochanie. Musimy omówić to z mamą.

- Ale Dick mnie zaprosił. Naprawdę, tato, mogę iść? Springer poczuł dreszcz radości i ulgi. Czy to możliwe, żeby chudy piętnastolatek w okularach, ze zmierzwionymi włosami, wyciągnął Samanthę między ludzi?

- Wszystko będzie w porządku, kochanie. Skocz tylko na górę, za chwileczkę tam będę.

Samantha uścisnęła go mocno i wbiegła po schodach, nie patrząc na matkę.

- Margaret, czy nie zwróciłaś uwagi na wyraz jej twarzy? Ona naprawdę chce wyjść razem z innymi dziećmi. To wspaniale. Przysięgam, że kiedy zobaczę tego chłopca, ucałuję go.

- To bardzo miły chłopak i może ją zabrać, ale gdzieś indziej.

- On ma piętnaście lat, a w okolicy nie ma innego miejsca, gdzie piętnastoletni chłopiec mógłby umówić się na randkę.

- Mogą zrobić sobie piknik.

- Nie zaprosił jej na piknik. A co jest złego w Centrum Rozrywki?

- Ci ludzie, Alan. Nie chcę, żeby była narażona na kontakty z nimi.

- Narażona? Proponują muzykę i trochę darmowych napojów. Co w tym złego, do licha?

- Nie!

- Będziesz musiała zdobyć się na więcej niż: "nie!", Margaret. Nie chcę bez powodu sprawiać temu dziecku przykrości. Czekaj, posłuchaj chociaż - powiedział, widząc, że żona zamierza protestować. - Cały dzisiejszy dzień słuchałem opowieści o tym miejscu. Każdy, kto przychodził, mówił na ten temat. Dzieciaki, które tam poszły wczoraj wieczorem, dobrze się bawiły. Oni nie pozwalają pić, palić ani brać narkotyków. Po prostu umożliwiają im miłe spędzenie czasu. I wszystkim się to spodobało. Młodzież miała rozrywkę.

- To jest podstęp - sprzeciwiła się Margaret.

- Podstęp? Daj spokój, kochanie.

- Skąd wiesz, czego oni chcą?

- Zobaczymy, czego chcą. Jeśli coś będzie nie w porządku, nie pozwolimy jej pójść nigdy więcej. Ale dzisiaj niech idzie. Kochanie, mieliśmy nadzieję i modliliśmy się, żeby wydostała się ze swojej skorupy. Jeśli ją powstrzymamy, wróci do niej i nigdy więcej nie wyjdzie.

- A co będzie, jeżeli...

- Co? Sprzedadzą ją jako niewolnicę? Do licha, Margaret, oni są organizacją religijną.

- Otóż to - odparła Margaret. - "Nawrócili" pięć tysięcy ludzi w ciągu dwóch lat. Nie fundują im tego tańca ze zwykłej uprzejmości.

- Okay, doszliśmy do tego - spojrzał w kierunku schodów i zniżył głos. - Samantha

jest bardzo mądrym dzieckiem. Jest bystra i odpowiedzialna. Czyta więcej niż ty, na litość boską. Ogląda wiadomości i oboje rozmawiamy z nią jak z osobą dorosłą. Została nauczona samodzielnego myślenia, i jeśli podejdziesz do niej jakiś fanatyk, z całą pewnością będzie umiała zorientować się, kim on jest.

- To załężniona, zakompleksiona dziewczyna - wyszeptała Margaret. - Właśnie takie dzieci ci ludzie wciągają.

- Wiem, że potrafi uważać na siebie - powiedział Alan. - To jej pierwsza randka, Margaret. Jej pierwsza. Pamiętasz swoją? Nie możesz temu przeszkodzić. To byłoby okrutne. Żaden powód na świecie nie będzie miał dla niej sensu. Pozwól jej iść, kochanie. Będzie zbyt podekscytowana tym, że gdzieś się wybrała, by myślała o tej ich religii. Niech pobędzie z innymi dziećmi i zabawi się trochę.

Margaret rozłożyła ręce.

- Tak się boję.

Springer przyciągnął ją bliżej.

- Zawsze się bałam, co się zdarzy, jeśli zaprosi ją gdzieś jakiś zły chłopak. Ale Dick jest dla niej idealny - znów zniżył głos. - Z tego co opowiada mi Pete, sędzę, że to prawdopodobnie również pierwsza jego randka. Są po prostu stworzeni dla siebie.

- Do jedenastej - zgodziła się Margaret. Springer uśmiechnął się.

- Ani minuty dłużej. To by było zabawne, no nie? Boimy się, żeby jej nie "nawrócili", a tu ona wraca do domu w ciąży.

- Alanie!

- Żartuję sobie.

Wbiegł po schodach na górę. Kiedy Samantha otworzyła drzwi i zobaczyła jego twarz, rozpromieniła się i uśmiechnęła radośnie.

- Możesz iść - powiedział Springer. - O jedenastej w domu.

- Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

- Baw się dobrze, kotku. Mama cię kocha, wiesz. Nie była złośliwa, tylko zachowywała się jak... matka.

- Tato?

- Słucham, kochanie?

- Którą powinnam założyć? - zaprowadziła go do pokoju. Margaret ustroiła go aż do przesady białymi koronkami, haftowanymi poduszkami i prześwitującymi zasłonami, pomimo protestów Samantha, że ledwo starczało miejsca na jej książki i pluszowe zwierzaki. Na łóżku z baldachimem leżały trzy sukienki.

- Tę środkową.

- Poważnie?

- Nie?

- Chyba nie.

- A tę żółtą?

- Chyba nie.

- Hmm... A może tę zieloną?

- Tato! Wyglądam w niej na dwanaście lat.

Springer, zadowolony, pogładził brodę. Po raz pierwszy od laiku miesiący byli sobie znowu bliscy.

- No cóż? Dokąd nas to prowadzi? Samantha otworzyła z trzaskiem drzwi szafy.

- Donikąd. Nie mam się w co ubrać. - Spojrzała na łóżko. - Naprawdę podoba ci się ta środkowa?

- No pewnie. Potrzyмай ją.

Była niebieska i nie tak dziecinna jak dwie pozostałe; bez rękawów, z małym dekoltem. Samantha trzymała ją przed sobą; uśmiechnęła się do ojca z zawstydzieniem.

Springer przyjrzał się sukience z uwagą.

- Myślę, że bez tych spodni będziesz w niej wyglądać pięknie. Naprawdę pięknie.

- Serio?

- Serio. Przejrzyj się.

Stała przed lustrem. Nadal miała wątpliwości.

- Uwierz mi, aniołku. Jest w sam raz. Samantha uśmiechnęła się znowu.

- Naprawdę ci się podoba?

- Tak.

Spojrzała na niego zagadkowo.

- Tato?

- Co?

- Jak myślisz, dlaczego Dick zaprosił mnie na tańce?

- Bo jesteś taka wspaniała, aniołku.

Kiedy znów spojrzała w lustro, Alan odwrócił się, by ukryć łzy wzruszenia.

- Czy powinnam zrobić sobie taką fryzurę?

Jedną ręką przytrzymała sukienkę, drugą zaś usiłowała upiąć włosy. Przez sekundę Springer zobaczył, jak Samantha będzie wyglądała w wieku dwudziestu lat. Podniósł jej pluszowego pieska.

- Nie - powiedział poważnie - jest ci o wiele ładniej z rozpuszczonymi. Lepiej już się ubieraj. Mama czeka z obiadem.

Zegar nad kominkiem wybił jedenastą.

- Gdzie ona się podziewa? - spytała Margaret.

- Uspokój się - odezwał się Alan. - Nie denerwuj się do pięć po.

Siedzieli przy stole w jadalni, popijając kawę. Na talerzyku leżały rozsypane ciasteczka z mąki owsianej, które upiekli. Obok stał dzbanek lodowatej oranżady.

- Dorosła tak szybko - powiedziała Margaret. - Ledwo mogę uwierzyć. Zdajesz sobie sprawę, że za trzy, cztery lata może się wyprowadzić?

- Będzie nam luźniej, na starość.

- Czy ty potrafisz rozmawiać kiedykolwiek poważnie?

- Przepraszam, już mówię poważnie. To smutne. Ale to jeszcze nie koniec świata - ani nas.

Margaret spojrzała na niego z zadumą.

- Jesteśmy tacy różni, prawda?

Alan uśmiechnął się niewyraźnie. Udzielał mu się jej nastrój; radość z randki Samantha ustępowała miejsca pełnym melancholii wspomnieniom przeżytych lat i wydarzeń.

- Czasami wydaje mi się, że nie różnimy się tak bardzo, ale żyjemy z daleka od siebie.

- Co ty chcesz przez to powiedzieć?

- Nie wiem - poczuł się bardzo zmęczony. - Myślę, że chciałbym, aby łączyło nas więcej. Żebyśmy więcej rozmawiali. Więcej powiedzieli sobie przez te lata.

Roześmiał się próbując przerwać poważny nastrój chwili, ale przestał, widząc, że Margaret usiłuje powstrzymać łzy.

- Ja bym tylko chciała... Och Alanie, jestem taka zmęczona tym, że jestem sama.

Springer wstał i wziął ją w ramiona. Jej ciało napięło się i wyczuł, jak Margaret próbuje się rozluźnić. Pocałował ją w szyję, delikatnie, powoli; teraz, gdy ponownie naprężyła mięśnie, przeszedł przez nią dreszcz pożądania. Przywarła mocno do jego piersi; jej dłonie z wahaniem przesunęły się koło jego pasa. Nagle się odwróciła.

- Co się stało?

- Drzwi. Samantha. - Twarz Margaret oblał rumieniec. Wygładziła włosy, przesunęła

ustami po jego brodzie.

- Później. Obiecuję. - Dotknęła jego ust i zawołała: - Tutaj, kochanie!

Zbliżył się odgłos kroków i po chwili w drzwiach stanęła Samantha i Dick Lewis.

- Hej, jak było? - spytał Alan.

- Dobrze, tato - odparła Samantha. Wyglądała na zmęczoną.

- Naprawdę fajnie, panie doktorze - powiedział Dick. Miał przekrzywiony krawat, a koszula pofałdowała mu się wokół paska, jak kamizelka ratunkowa, z której wypuszczono powietrze. Przesępował niecierpliwie z nogi na nogę.

- Wejdźcie - powiedział Alan. - Akurat mamy trochę ciasteczek.

- I oranżady - dodała Margaret. - Siadaj, Samantho, czy możesz zostać, Dick? Chcesz zadzwonić do domu?

- Jeśli można...

- Możesz rozmawiać z telefonu w dużym pokoju - powiedział Springer. Zaprowadził chłopca do aparatu. Kiedy wrócił do jadalni, Samantha z wypiekami na twarzy opowiadała matce o potańcówce.

- Dawali napoje za darmo, ile kto chciał. Billy Wright wypił osiem coli i zjadł sześć hot-dogów.

- Myślę, że zobaczę go rano w szpitalu - skomentował doktor.

- No i mają naprawdę niezłą szafę grającą. Nie trzeba do niej wrzucać pieniędzy. Można włączyć to, co się tylko chce.

- Tańczyłaś? - spytała Margaret.

- Trochę. Nie jestem w tym zbyt dobra, ale mnie nauczyli.

- Kto? twoi koledzy?

- Nie, Braciszkwowie. Staliśmy tam z Dickiem - on też nie umie wiele - a wtedy

podeszło dwoje gospodarzy i pokazali nam, jak się tańczy.

- Czy było fajnie?

- Pewnie. To okazało się łatwe - podniosła wzrok uśmiechając się nieśmiało, kiedy wrócił Dick. - Nadepnął mi na nogę.

- Sprawimy ci jakieś drewniane buty - powiedział Alan - ze stalowymi czubkami. Siadaj, Dick.

Jak na standardy Hudson City, jadalnia Springerów wyglądała niczym sala muzealna i chłopak był trochę onieśmielony. Stół w stylu empire pochodził z aukcji w Saratodze, politurowane dębowe drewno odbijało światło żyrandola, który wisiał tu, kiedy Springerowie się wprowadzili. Margaret poświęcała mnóstwo czasu na robótki ręczne i zrobiła piękne koronki, którymi obiała krzesła. Kiedy Dick sztywno usiadł, w kuchni zadzwonił dzwonek. Samantha zachichotała widząc zaskoczenie kolegi.

- Rodzina, która tu kiedyś mieszkała, miała kucharza - wyjaśnił doktor. - Nigdy nie zdemontowaliśmy dzwonka. Jest pod dywanem, dokładnie pod twoją stopą.

- Aha - uspokoił się Dick.

- Samantha często go używa.

- Nieprawda, tato.

- Przy okazji; ile zjadłeś hot-dogów, Dick?

Chłopak poprawił sobie okulary.

- Tylko dwa.

- To lepiej zjedz trochę ciastek, zanim się przewrócisz. Margaret podsunęła mu talerz. Dick wybrał jedno, podniósł do ust, a potem zmienił zdanie i podał je Samancie. Odpowiedziała uśmiechem i wzięła. Chłopak sięgnął po następne i zaczął je ogryzać dookoła.

- Co robiliście oprócz tańca? - spytał Springer.

- Niektórzy grali w bilard - odpowiedział Dick. - Ci którzy przyszli sami.

- Powiedziałam mu, żeby pograł - powiedziała Samantha - ale nie chciał.

- A ludzie, którzy to prowadzą. Jacy byli? - zainteresowała się Margaret.

- Oj, naprawdę fajni - stwierdziła Samantha. - Prawda Dick?

- Tak, oni naprawdę wiedzą, jak to jest.

- Jak co jest? - chciał się upewnić Springer.

- No, wie pani; jak się ma tyle lat, co my - potrząsnął głową ze zdumieniem. -
Naprawdę wiedzą.

- Co masz na myśli? - spytała Margaret. - Rozmawiali z wami?

- Tak - odparła Samantha. - Było ich wielu; starsi, dwudziestoparoletni ludzie; kiedy tylko widzieli, że ktoś jest sam, albo nie bawi się, podchodzili i rozmawiali. Byli naprawdę mili.

- Hmm, a o czym rozmawiali?

- O różnych rzeczach.

- Zastanawiam się - powiedział Springer - czy mogłabyś wyrażać się nieco jaśniej?

- Czy mówili coś o religii? - zapytała Margaret.

- Modlili się. Wszyscy się modliliśmy.

- Modliliście się? Na potańcówce?

- Pewnie. Jak w kościele. Zamknęliśmy oczy i jeden z nich odmówił modlitwę.

- Tak - dorzucił Dick - to było naprawdę ekstra.

- Co? - spytał Alan.

Samantha i jej kolega wymienili spojrzenia.

- To było tak, jakbyśmy po prostu z Nim rozmawiali - odpowiedziała.

- Z Bogiem?

- Nie, z Michałem. Aniołem.

- Archaniołem - poprawił Dick.

- Co to znaczy: rozmawialiście z nim?

- No, po prostu, oni powiedzieli: "Dobry Michale, prosimy Cię, pomóż wszystkim dzieciom wspaniale się bawić na tańcach". To wszystko.

- Tak - powiedział chłopiec. - To było tak, jakby on znajdował się za drzwiami w sąsiednim pokoju, czy gdzieś w pobliżu.

Margaret zebrała ze stołu kilka okruszków.

- Czy namawiali was do czegoś?

- O co ci chodzi? - spytała Samantha.

- No, czy... Nic, po prostu uważaj.

- Co masz na myśli, mamó? - powtórzyła pokrywając zmieszanie uśmiechem.

- Mama chciałaby wiedzieć, czy prosili, żebyście robili coś dla ich organizacji.

- To nie jest organizacja, tato. To jest ruch!

Ed Stratton oceniał, że jest najbogatszym człowiekiem w Hudson City. Był przedstawicielem Chevroleta. Parking i salon zajmował obie strony szosy stanowej, o czterysta metrów na północ od miasteczka. Odziedziczył swoją firmę po ojcu, który założył ją w 1931 roku. Co więcej, był uważany za równie upartego skurczybyka jak jego staruszek i cieszył się z tej reputacji. Strattonowie mieli rodzinne motto: jeśli ktoś w promieniu stu kilometrów chce kupić chevroleta, a nie chce go nabyć u Eda Strattona, to niech idzie do Forda.

Ed siedział właśnie przy biurku w rogu swojego salonu sprzedaży żując pierwsze tego dnia cygaro, kiedy zobaczył dwóch mężczyzn w roboczych koszulach i kombinezonach idących drogą do miasta. Słońce odbijało się od dużych, metalowych krzyży, które zwisały im z szyi. Sekciarze, pomyślał z goryczą, przypominając sobie swoje markotne dzieci, które zostały z matką. Zabronił im zbliżać się do Centrum Rozrywki. Wychowywanie dzieci było dla niego proste - wystarczyło trzymać je z dala od kłopotów do czasu, kiedy będą mogły same zadbać o siebie, a z tego co słyszał na przyjęciu u Matta Wrighta, Błękitne Bractwo oznaczało kłopoty.

Stratton zmarszczył brwi. Skubańcy skierowali się w stronę jego firmy i szli prosto do salonu. Ich stary chrysler kombi musiał nawalić. Uśmiechnął się złośliwie - rozczarują się, jeśli wydaje im się, że pozwoli swojemu mechanikowi tracić czas na tego grata.

Weszli bezgłośnie, minęli stojące na wystawie samochody nie zaszczycając ich nawet jednym spojrzeniem i zatrzymali się przy jego biurku. Obaj mężczyźni byli niewysocy, szczupli. Schludni, mili; wyglądali jak gdyby źle się czuli w swoich roboczych ubraniach.

Jeden z nich powiedział:

- Chcemy kupić cztery ciężarówki z odkrytą platformą, jednego pick-upa i trzy pięciodrzwiowe samochody osobowe.

- Jakiego koloru? - spytał Stratton.

- Niebieskiego.

Ed odłożył cygaro. Przybysze nie żartowali. Osiem pojazdów! Tyle udawało mu się sprzedać w ciągu dobrego miesiąca.

- Wszystkie mają być niebieskie?

- Wyposażenie standardowe, bez radioodbiorników, bez klimatyzacji.

Właściciel przyjrzał się ich twarzom bez wyrazu. Przypominali mu rewidentów z General Motors, którzy wpadali co jakiś czas bez zaproszenia - ludzi o kamiennych twarzach, nie trwoniących zbytecznie czasu.

- Mam dwie niebieskie ciężarówki i jeden wóz pięciodrzwiowy. Resztę sprowadzę do jutrzejszego popołudnia.

- Cena.

Stratton zaczął pisać w notatniku, ogryzionym drewnianym ołówkiem.

- Okrągła suma, dokładnie tyle, ile warte są samochody. Po cztery tysiące pięćset za ciężarówki, pięć tysięcy za pick-upa, po cztery tysiące trzysta za osobowe. Razem będzie trzydzieści pięć tysięcy dziewięćset.

- Rabat.

- Już odliczyłem.

- Dziesięć procent.

Ed odłożył ołówek, sięgnął po cygaro i zamyślił się głęboko. Większa zniżka przy tak dużym zakupie byłaby na miejscu, ale nie lubił, gdy ktoś na niego naciskał. Z drugiej strony, sprzedawca Forda z Warrington znajdował się na tyle blisko, że lepiej było zgodzić się na ich propozycję. Poza tym, jeśli sekta zamierzała zadomowić się tu na dłużej - a wszystko na to wskazywało - jeszcze przyjdą do niego nie raz.

- Dobrze, odliczę trzy tysiące sześćset. To będzie trzydzieści dwa tysiące trzysta dolarów, plus VAT. Razem trzydzieści cztery tysiące dwieście trzydzieści osiem dolarów. Zapłacicie panowie przez bank?

- Zapłacimy od razu - odparł mężczyzna, który prowadził całą rozmowę. Wypisał czek

i podał go Strattonowi.

- Chwileczkę. Powiedziałem trzydzieści cztery tysiące dwieście trzydzieści osiem. Tu jest tylko trzydzieści dwa trzysta.

- Nie płacimy VAT-u.

Ed poczerwieniał. Miał ochotę podrzeć ich czek na kawałki. Wiedział jednak dobrze, że tego nie zrobi.

Niebieskie samochody i ciężarówki sekty stały się powszednim widokiem, codziennym przypomnieniem o jej obecności. Krążyły po ulicach i pobliskich szosach i wkrótce ludzie przestali zwracać uwagę, gdy widzieli, jak parkowały koło sklepu albo jechały wyładowane materiałami, wioząc w szoferce dwójkę lub trójkę uśmiechniętych mężczyzn i kobiet. Tylko czasem ktoś odczuwał niepokój, gdy uświadomił sobie, że przybyszów jest coraz więcej.

Codziennie na poczcie pojawiały się nowe twarze. Każdego dnia dwa lub trzy samochody stały przed Centrum Rozrywki, które otwierano po południu. Jasno oświetlone okna gasły dopiero o północy. Pomimo że szyld zapraszał wszystkich, obiekt odwiedzały tylko kipiące energią nastolatki. Młodzi wpadali tam od przypadku do przypadku, a w każdą sobotę wieczorem gromadzili się tłumnie na dyskotecę. Wielu z nich zaczęło nosić niebieskie koszule i kombinezony - uniformy Błękitnego Bractwa.

Oceniono, że w siedzibie Bractwa mieszkało dwieście do trzystu osób - określenie "stary zakład" stopniowo znikало z lokalnego słownictwa. Dwie czy trzy setki religijnych fanatyków to duży procent ludności Hudson City, które liczyło około tysiąca mieszkańców. Stary szpital mieścił pięciuset pacjentów. Po co sekcje potrzebne było tyle miejsca? Czy miało przyjechać jeszcze więcej wyznawców?

Pewnego sobotniego, lipcowego poranka sprawa się wyjaśniła. Przez miasteczko przejechały powoli trzy autobusy turystyczne, skręciły w lewo, w drogę prowadzącą na górę Spotting i jeszcze przez pewien czas było słychać, jak ciągną pod górę na niskim biegu.

Tego samego popołudnia doktor Springer pił kawę w sklepie z Ellen Barbar. Uroda dziewczyny, a także jej obsesja przyciągały go. Przemierzała wzgórza dookoła ośrodka Błękitnego Bractwa, mając nadzieję, że choć zobaczy siostrę. Słońce opaliło jej policzki,

nadając egzotycznej twarzy cygański wygląd.

Kierowcy autobusów zaparkowali swoje srebrzyste pojazdy na głównej ulicy, weszli do sklepu i zamówili śniadanie.

Mieli na sobie ciemnozielone, gabardynowe garnitury, koszule koloru khaki i czarne krawaty.

Doktor zagadnął:

- Mieliście daleką podróż?

Jeden z nich, krzepki Murzyn, siedzący obok Springera odpowiedział:

- Do wytrzymania. Z Nowego Jorku.

- Zanim nie zjechaliśmy z Northway - odezwał się inny. - To, co nazywacie drogami, u nas nadawałoby się na podjazd pod garaż.

- Co za gromada świrów! - westchnął trzeci. Wszyscy trzej mówili z nowojorskim akcentem.

- Świrów? - zapytał Alan.

- On ma na myśli pasażerów - wyjaśnił Murzyn. - Żeby ich pan widział! Co to za chałupa tam, na górze?

- Kiedyś był tam szpital psychiatryczny. Kierowcy roześmiali się.

- To w sam raz dla nich - powiedział jeden. Spojrzeli na Ellen i pokiwali zgodnie głowami. Springer widząc ich uśmiechy, zainteresował się:

- Dlaczego mówi pan, że to świry?

- Słyszałeś pan kiedy o Błękitnym Bractwie?

- Mieszkają tam, na górze - odparł doktor. - Nasi nowi sąsiedzi.

- Tak? Będziecie mieć z nimi cudowne życie.

Ellen przyniosła kawę. Kiedy dolewali sobie śmietanki i słodzili, do barku podszedł

Dwight Rigby i poprosił go o sprawdzenie jakiejś recepty odnośnie dawkowania lekarstwa.

- Pan jest doktorem? - spytał Murzyn.

- Tak.

- Tego mi właśnie trzeba - przesunął się na stolku, jak gdyby było mu bardzo niewygodnie. - Ta noga mnie zabija.

- Prawa noga? - upewnił się Springer.

- Tak. Skąd pan wie? Rwa kulszowa. Boli mnie w czasie jazdy. Mam pigułki na to, ale boję się brać, kiedy prowadzę.

- Niech pan wyjmie portfel z tylnej kieszeni.

- Co??

- Powiedziałem, żeby...

- Słyszałem pana, doktorze. Nie mam zamiaru go wyjmować.

- Proszę go wyjąć. Uciska panu nerw na biodrze. Powoduje objawy rwy kulszowej.

Kierowca sięgnął ręką i wyciągnął pękaty portfel.

- Poważnie? - zapytał niepewnie.

- Poważnie.

- Wypróbuję to.

- Dokąd mam przesłać rachunek? Murzyn się uśmiechnął.

- Będę tu w przyszłym tygodniu. Te świry wynajęły nas na dłuższy czas. Jak mnie przestanie boleć, to postawię panu kawę.

- Świetnie, będziemy kwita. Dlaczego nazwał ich pan "świrami"?

Ellen przyniosła jeszcze więcej kawy oraz talerze pełne jajeczniczy na kielbasie, tostów i smażonych kartofli.

- Bo są świrami. Krzyczą, wrzeszczą, śpiewają, wyją. I modlą się tak, że chyba zamodlą się na śmierć. Modlili się żarliwiej niż czterdziestu baptystów w tonącej łodzi. Modlili się za siebie nawzajem, modlili się za autobus, za drogę, nawet za mnie.

Kierowca siedzący obok zaśmiał się znowu.

- Powiedziałem jednemu z nich, że będą o godzinę szybciej, jeśli wymodlą, żeby nie było w pobliżu glin. Ale nie uznał tego za dobry żart.

Springer, Ellen i znajdujący się w sklepie klienci słuchali z uwagą opowieści kierowców. W autobusach przyjechało stu pięćdziesięciu świeżo nawróconych. Była to głównie młodzież z Nowego Jorku - nastolatki i dwudziestolatki. Wielu z nich wyglądało na zaniepokojonych, ale opiekunowie z sekty zajmowali ich ciągle śpiewaniem hymnów i długimi modlitwami.

Pasażerowie zaczęli się hałaśliwie i dziwacznie zachowywać już na dworcu Port Authority w Nowym Jorku i nie przestali, dopóki autobusy nie dojechały do żelaznej bramy ośrodka Błękitnego Bractwa. Żaden z sekciarzy nie miał ze sobą bagażu; kierowcy wiedzieli, że mają ich w niedzielę wieczorem zabrać z powrotem do Nowego Jorku. Mimo że pasażerowie zachowywali się głośno, kierowcy byli zgodni co do tego, że sprawiali o wiele mniej kłopotów niż zwykła gromada pijanych turystów, jadących na narty. Ich opiekunowie zamietli nawet autobus, kiedy cała zgraja wysiadła.

- Czy byliście w środku? - spytała Ellen z nadzieją.

- Nie, proszę pani. Zatrzymali nas przy bramie. Nie pozwolili nam nawet... skorzystać z łazienki.

- Jak myślicie, co oni tam robią? - zapytał jeden z kierowców.

- Właśnie się nad tym zastanawiamy - odparł Springer.

- Nad czym wy się wszyscy zastanawiacie? - rzuciła ostro Ellen. - Robią weekendy szkoleniowe dla ludzi, którzy zgłosili się na zebraniach. Przenieśli się ze swoją działalnością do Nowego Jorku. Prawda?

- Ma pani rację - zgodził się Murzyn. - Zaczepiali ludzi na Czterdziestej Drugiej ulicy. Zrobili wielkie zgromadzenie w Parku Centralnym.

- Hudson City jest ich nowym obozem szkoleniowym - stwierdziła Ellen. - Dlaczego tu przyjechali. To ich centrum na Wschodnie Wybrzeże.

Zapadła cisza, którą przerwali kierowcy:

- Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Dzięki za radę, doktorze.

Kiedy skierowali się ku drzwiom, do sklepu wbiegł mały chłopiec ściskając w rękę ćwierćdolarówkę. Zobaczył Murzyna i stanął jak wryty z rozdziawionymi ustami, po czym zrobił pół obrotu i wybiegł. - Co mu się stało, do licha? - zdziwił się kierowca.

Rigby i jego klienci odwrócili w zawstydzeniu wzrok. Springer uśmiechnął się.

- Jest pan prawdopodobnie pierwszym czarnym człowiekiem, jakiego ten dzieciak widział poza telewizją.

Kierowca zaśmiał się szczerze. Wyjął z portfela dolara i podał go Ellen.

- Kupi mu pani jakiś napój na mój rachunek, jeżeli tu wróci. Uśmiechnął się do Springera, wyszedł i pokuśtykał do autobusu.

Trzy silniki zawarczały jednocześnie. Parę minut później ich pomruk ucichł na południe od miasteczka.

- No cóż - ktoś odezwał się w końcu. - Myślę, że już wiemy, co oni tu robią.

- Ja nie mam nic przeciwko - powiedział Rigby. - Jedyne, czego potrzebują, to ciche miejsce dla swojej pracy. Nie będą nas niepokoić.

- Jeszcze będzie pan żałował, że tu przyjechali - odparła Ellen Barbar.

- Alan? Tu Ellen Barbar. Nie gniewa się pan, że dzwonię do pana do domu?

Springer miał obiekcje, ale wyraził je oględnie:

- Gniewać się? A dlaczego miałbym się gniewać? Nawet jeśli odebrałaby moja żona i usłyszała pani piękny głos, nic by się nie stało.

Ellen wydawała się zaskoczona.

- Jednak gniewa się pan. Przepraszam. Nie myślę o naszej przyjaźni w ten sposób - jej głos znów się ożywił. - Próbowałam najpierw dzwonić do szpitala, ale powiedzieli, że poszedł pan do domu. To ważna sprawa.

- Proszę się nie lękać. Jaka ważna sprawa?

- Ktoś czeka na pana w gospodzie Henry'ego.

- Kto?

Odpowiedziała, że nie może mu tego wyjawić przez telefon. Kiedy spotka się z tą osobą, będzie wiedział, po co go o to prosiła. Springer poczuł ciekawość - wszystko, czym zajmowała się Ellen, musiało mieć związek z sektą. Zapytał, czy ona też tam będzie.

- Nie - odparła stanowczo. - Nie możemy być widziani razem.

To zdanie wyjaśniło Alanowi sporo - zaczął się domyślać, kim może być ta osoba.

Powiedział Margaret, że musi pójść do szpitala, a w szpitalu poinformował, że będzie w gospodzie Henry'ego. Bar ów zajmował frontową połowę małego, drewnianego domu, zbudowanego przy szosie stanowej o półtora kilometra od miasteczka. Doktor wjechał na parking i zaparkował pomiędzy starym fordem a białym cadillakiem eldorado z kalifornijską rejestracją. Kierowca forda drzemał przy stoliku w kącie. Wynikało z tego, że rosły mężczyzna w eleganckiej, tweedowej marynarce grający sobie w bilard, był właścicielem cadillaca, i najprawdopodobniej osobą, z którą doktor miał się spotkać.

Springer podszedł do niego i wyciągnął rękę.

- Tajemniczy nieznajomy, jeśli się nie mylę?

Przybysz odłożył kij, wyszczerzył w szybkim uśmiechu garnitur białych zębów i ścisnął mocno rękę doktora.

- Przepraszam za ten dziwny sposób zaanonsowania mojego przyjazdu. Chciałbym, żeby moja wizyta w Hudson City pozostała między nami i naszą wspólną znajomą. Nazywam się Frank Bissel.

- Przeczuwałem, że będzie pan psychiatrą leczącym "nawróconych". Czytałem o panu w "Time".

- Przesadzili tam, zapewniam pana.

- Czy Ellen pana wynajęła?

- Nie. Rozpoznała mnie w motelu. Zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedziała mi o panu i doszedłem do wniosku, że dobrze będzie się z panem skontaktować. Miło mi, że przyszedł pan się ze mną spotkać.

Bissel miał około pięćdziesiątki, rzadziejące czarne włosy i miłe, brązowe oczy, które czyniły jego wyrazistą twarz łagodniejszą. Wyglądał jak były zawodnik futbolu amerykańskiego.

- Wybrał pan dobre miejsce na spotkanie - stwierdził Springer.

Bissel rozejrzał się po słabo oświetlonej sali - sufit był z korkowych płytek, ściany pokrywała plastikowa wykładzina, a na podłodze leżało popękane linoleum, wytarte aż do drewna dookoła obrzeża stołu.

- Wyobrażam sobie, że ludzie w tej okolicy piją u siebie w domu.

Doktor zachichotał:

- W piątek wieczorem mają tu całkiem niezłe walki.

- To nie są walki - powiedział Bissel - tylko ucieczka od codzienności. Czy mogę postawić panu drinka?

Wyszukali parę stołków, które wydawały się czyściejsze i mniej chybotliwe niż reszta, i usiedli. Henry przyczłapał z kuchni. Był nie ogolony, na nogach miał ranne pantofle.

- Cześć, doktorze.

- Cześć, Henry. Jak tam interes? Henry wzruszył ramionami.

- Może poprosimy dwa razy Depth Charges? - Zapytał Bissel.

Henry przesunął zdumionym spojrzeniem po skąpo zastawionej półce.

- Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

- To nic - uspokoił go Bissel. - Niech pan zacznie od dużego kufła piwa.

- Genny? - spytał Henry. Tym razem Bissel wyglądał niepewnie.

- Genesee - wyjaśnił Springer. - Miejscowy browar. Bardzo dobre.

- Trzymam pana za słowo.

Henry otworzył dwie butelki i nalał piwo do kufli, po czym wytarł ręce w szary fartuch.

- A teraz - powiedział Bissel - dwie porcje najgorszej żytniówki, jaką pan ma.

- Mam Seagrams.

- Niech pan ją zachowa na piątek. Ta będzie dobra; w szklaneczkach. Teraz proszę się przyglądać.

Bissel wpuścił pełną szklaneczkę do piwa; zatoneła, i wylądowała pionowo na dnie kufła. To samo zrobił ze szklanką Springera.

- Jest pan gotów?

- Żartuje pan.

- Są sprawy, na temat których mężczyzna nie żartuje. Proszę uważać na zęby i nie połknąć szkła.

Bissel Wyzłopał cały kufel i chwycił ustami wypadającą szklaneczkę. Usiadł z powrotem, wytarł usta i spytał:

- Zamierza pan wchłonąć swojego drinka przez osmozę?

- Ja zawsze sączę sobie po łyku.

- Jeśli pije pan po łyku, to nie działa w ten sam sposób. Widzi pan, wysokoprocentowy alkohol jest cięższy niż piwo i...

- Uczyli mnie tego na chemii organicznej.

- No więc?

- No więc popijam po łyku. Na zdrowie - Alan pociągnął łyk.

- To jest drink hutników z Pensylwanii.

- Będę o tym pamiętał, jeśli zmienię zawód. Bissel roześmiał się.

- Jeszcze jedno piwo, Henry, bez gorzały.

- Jakie?

- Zwykle Genny.

Springer poczekał, aż Henry odejdzie do kuchni.

- Co miał pan na myśli mówiąc, że dobrze będzie się ze mną skontaktować?

Bissel rzucił spojrzenie w stronę kuchni, potem zerknął na śpiącego w rogu człowieka.

- Przepraszam.

Wstał i wrzucił całą garść monet do czerwono-zielonej szafy grającej, która stała przy ścianie naprzeciwko. Rozległ się głos Arlo Guthriego śpiewającego "The City of New Orleans".

Bissel wrócił do baru.

- Oczywiście, jestem tu w interesach. Mam kontrakt na znalezienie, wydostanie i

doprowadzenie do ładu psychicznego syna szczyty z branży samochodowej z Detroit. Myślę, że mają go tutaj. Jest mnóstwo rzeczy, których chciałbym się od pana dowiedzieć o tej okolicy. Ellen mówiła, że pan się tutaj urodził...

- Czy Ellen obiecała panu moją pomoc?

- Powiedziała, że pan jej współczuł z powodu siostry. Springer wtopił wzrok w twarz Bissela, aż przyciągnął jego spojrzenie.

- Nie jestem wcale pewny, czy aprobuję pańską pracę, panie Bissel. A jeśli już mowa o Ellen, to sam pan ją widział. Każdy by jej współczuł.

Bissel uśmiechnął się.

- Z pewnością. Jednak, zanim zmienię pańskie zdanie na temat mojej pracy, chciałbym zacytować słowa wielkiego i mądrego człowieka, pana Nelsona Neversa z Chicago. Mają one tutaj zastosowanie. - Pociągnął łyk swojego piwa. - Trzy zasady życia. Zakazy. - Odliczał je na silnych palcach o zadbanych paznokciach. - Nigdy nie jedz obiadu nazywanego "U Mamusi". Nigdy nie graj w karty z człowiekiem nazywanym doktorem. I nigdy, przenigdy, nie śpij z kobietą, która ma więcej kłopotów niż ty.

- Piękne - powiedział Springer.

- A ona ma kłopoty, przyjacielu. Chce pan usłyszeć twierdzenie Bissela?

- Dobra.

- Każdy piękny tyłek jest nierozzerwalnie związany z osobą. Springer uśmiechnął się ponuro.

- Co ma pan na myśli, mówiąc, że Ellen ma kłopoty? Bissel spojrzał na niego z bliska i powiedział poważnym głosem:

- Mimo że podziwiam jej wytrwałość, mam podejrzenia co do motywacji. Siostra jest dla Ellen wymówką, dzięki niej może się usprawiedliwić, że nie uczestniczy w życiu.

- Jak to: nie uczestniczy w życiu?

- Zaraz wyjaśnię dokładniej. Co inteligentna, młoda, wykształcona kobieta, która

miała dobrą pracę, robi w tym zabitym deskami miasteczku podając napoje? Niech pan słucha, Springer. Spotkałem mnóstwo ludzi takich jak ona. Ludzi, których życie było puste i nudne. Ni z tego, ni z owego, ich dziecko, czy rodzeństwo, dla którego tak naprawdę nic w życiu nie zrobili, przyłącza się do jakichś Braciszków czy innych świrów i teraz już mają cel, mają po co żyć: trzeba ratować dziecko. To nagle wypełnia całe ich życie. Tak się właśnie stało z Ellen.

- Po czyjej pan jest stronie? - zapytał Springer.

- Dzieciaków. Są w samym środku tego wszystkiego. Wobec tego i ja zapytani: czego pan nie próbuje?

- Tego, że robi pan to na siłę, oraz, mówiąc szczerze, tego, że zarabia pan na problemach tych ludzi.

Bissel zaśmiał się.

- Zarabiam? Moi prawnicy to dopiero zarabiają! Jestem oskarżony w dwóch stanach o naruszenie przemocą wolności osobistej. W Oregonie Braciszkwie mają przeciwko mnie stały nakaz - nie wolno mi zbliżać się do nich nie więcej niż na kilometr. Do tego jeszcze jakaś biedna, pomyłona dziewczynka, która do nich wróciła, oskarża mnie o gwałt. Są łatwiejsze sposoby zarabiania na życie.

Bissel pociągnął jeszcze jeden, długi łyk, opróżniając kufel.

- Jeśli już rozmawiamy o zmuszaniu siłą, spowodowanie, żeby człowiek siedział spokojnie, jest podstawowym i niezbędnym warunkiem tego, by można było z nim rozmawiać; to pierwszy krok na drodze do przywrócenia im normalnego myślenia. Ludzie Błękitnego Bractwa trzymają ich naprawdę krótko. Muszę pokazać dzieciakowi, jakiego wariata z niego zrobili, po to aby zlikwidować efekt prania mózgu, żeby skasować w nim program, jakim go napełnili. To zajmuje czas i wymaga odosobnienia. - Uśmiechnął się. - Płukanie mózgu jest naprawdę męczące. Siedziałem z jednym dzieciakiem przez sześć dni w zamknięciu, zanim go złamałem.

- A co się z nim stało potem? - zapytał Springer.

- Wszystko dobrze. Studiuje teraz prawo w Stanford. Proszę posłuchać, opowiem

panu, skąd wiedziałem, że został wyleczony. Sześć dni, prawda? Zupełnie nagle, jego twarz się zmienia. Mruga oczami, jak gdyby się budził. Wreszcie mówi: "Dzięki, Frank. Dzięki za przywrócenie mnie do życia". Obaj jesteśmy nie ogoleni, brudni; wyglądamy jak para włóczęgów. Pokój zdemolowany przez nas, szarpiących się ze sobą, opakowania kanapek porzucane po pomieszczeniu, a my tam stoimy, ściskając się nawzajem; on mówi: "dziękuję, dziękuję". To najlepszy chłopak, z jakim kiedykolwiek pracowałem. Wszystko było warte tej jednej chwili. Czy teraz poda mi pan rękę?

Arlo Guthrie skończył śpiewać. Po chwili usłyszeli nową piosenkę. Springer odpowiedział:

- Nie jestem przekonany, że to, co pan robi, jest dobre. Nic nie wiem o chłopaku, którego ma pan ratować.

- Wszystko o co proszę, to trochę informacji. Alan zawahał się, a Bissel potarł brodę.

- Czy ma pan dzieci, doktorze?

- Mam córkę, Ellen musiała to panu powiedzieć.

- Osiemdziesiąt lat temu w Ameryce było niewiele rodzin, które nie straciłyby dziecka z powodu jakiejś choroby. W latach sześćdziesiątych zaczęliśmy je tracić z powodu narkotyków. Dzisiaj czekają na nich ludzie niszczący umysły. Ile lat ma pańska córka?

- Piętnaście.

- Chłopak, którego szukam, ma szesnaście.

- Niech pan nie stosuje takich tanich chwytów.

- Być może kiedyś ja, czy ktoś podobny do mnie będzie szukać pańskiego dziecka.

Springer przyjrzał mu się uważnie. Mimo wszystko Bissel mu się podobał.

- Pan naprawdę wierzy w to, co robi, prawda?

- Tak.

- Co chciałby pan wiedzieć?

- Świetnie - powiedział Bissel i klasnął w ręce. - Będzie pan mówił. Przeglądałem szczegółową mapę tej okolicy. Pod zachodnim płotem ośrodka sekty, około stu metrów na południe od tej starej drogi idącej przez posiadłość, przechodzi rów. Jeśli wierzyć mapie, nie widać go z drogi. Czy jest suchy?

- W tej chwili tak - odparł Alan. - Ale w godzinę po deszczu będzie tam płynęła woda głęboka na ponad metr. To nie jest najlepsze miejsce, żeby dostać się do zakładu. Wyląduje pan prosto w samym środku urwistych skał. Nie ma się czego złapać. Wąwóz opada na piętnaście metrów.

Bissel przytaknął.

- Nie podobało mi się to na mapie.

- W dzień jest to prawie niemożliwe do przejścia. W nocy - w ogóle nie ma mowy.

- A jeśli zrzucę w dół linę?

- Jeżeli jest pan w tym dobry, to czemu nie. Wyobrażam sobie, że tak. Ale jak pan wróci, ciągnąc ze sobą więźnia?

- Klienta - poprawił Bissel, uśmiechając się lekko. Springer potrząsnął głową.

- Pod drogą Spotting Mountain biegnie dren odwadniający, prowadzi na ukos, przez północno-wschodni róg ich posiadłości. Płot przechodzi nad nimi, ale musieli zostawić ten dren nie osłonięty, bo gdyby go zagrodzili, to śmiecie zatkałyby go, a woda zalałaby drogę.

- Jest pan pewien?

- Tak - odparł Springer - To jest jakieś czterysta metrów przez las od budynków. Przełaziłem przez niego, kiedy byłem dzieckiem.

Danny Moser był sprytnym, doświadczonym złodziejem sklepowym i jedna okazja wystarczyła, żeby jego szybkie dłonie zadziałały. Złapał widelec, schował go w cuchnącym odpływie celi i powyginał jego zęby w wytrychy, którymi zaczął pracowicie badać sekrety wielkiego zamka w ciężkich metalowych drzwiach.

Nie wiedział, ile minęło czasu. Już nie myślał o nim. Przeszły trzy, cztery posiłki i kilka sesji z instruktorem. Zemdlął w czasie ostatniej, a kiedy obudził się w celi, bał się, że powiedział o widelcu. Zajrzał w odpływ. Wytrych znajdował się na miejscu. Zatykając nos z powodu smrodu, wyciągnął go i powrócił do swojej pracy.

Kiedy zamek ustąpił, Danny był tak podniecony, że niewiele brakowało, by szarpnął za drzwi i pobiegł na ślepo korytarzem, jak dziecko. Powstrzymał się jednak, oparł się o drzwi i spróbował zrobić następny krok. Czuł się dziwnie. Sesje szkoleniowe powodowały, że jakoś trudniej mu się myślało. Zacisnął pięści, aż ból spowodowany wbijaniem paznokci w dłonie otrzeźwił jego umysł.

Miał widelec, którego trzonek naostrzył, pocierając go o kamień. Był dobry. Mimo że nienawidził trenera tak mocno, że mógłby go zabić, przeszył go dreszcz radości, kiedy tamten wyraził swoją aprobatę. To było idiotyczne. Włożył tenisówki. Co jeszcze? Rozejrzał się po celi.

Jego sznur?

Zapomniałby sznura. Był schowany za postrzępioną pryczą. Uplół go z nitek wyciągniętych z posłania. Wyjmowanie kawałków, które były wystarczająco mocne, zajęło mu mnóstwo czasu. Najpierw miał mu służyć do ucieczki, ale później zawiązał pętlę na jednym z końców. Dawało mu to swego rodzaju komfort psychiczny - wiedział, że jeżeli nie będzie mógł tego wszystkiego wytrzymać, to może się powiesić.

Teraz miał przed sobą lepszą drogę ucieczki. Drząc pchnął drzwi; ustąpiły ze szczękiem. Korytarz wydawał się pusty. Otworzył szerzej i spojrzał w przeciwną stronę. Nikogo. Ze swoją bronią w tylnej kieszeni i sznurem przewieszonym przez ramię, posuwał się krok po kroku mijając zamknięte drzwi pokoju szkolenia, których widok przyprawił go o

mdłości, do końca długiego korytarza, gdzie odnalazł małą, nie oświetloną klatkę schodową.

Na parterze do jego nozdrzy doleciał ostry zapach pokostu i wosku. Wydawał mu się wspaniały, tak się przyzwyczaił do smrodu panującego w celi. Z drugiej strony drzwi dochodził śpiew. Dźwięk zmroził go do kości. To była część jego najgorszych wspomnień.

Pomknął na pierwsze piętro, usłyszał kroki, pobiegł na drugie. Panowała tu cisza. Ostrożnie otworzył drzwi i zobaczył świeżo pomalowany korytarz oświetlony sznurem nie osłoniętych żarówek. Niektóre drzwi były otwarte. Wślizgnął się do ciemnej celi. Była noc. Okno uchyliło się z łatwością, ale niestety, drogę zagraadzały kraty. Zamknął i spróbował w następnym pokoiku. Było zakratowane, tak samo jak następne i następne. Wszystkie cele miały zakratowane okna. Drzwi wydawały się ciągnąć w nieskończoność; czuł się tak podniecony, że kiedy wreszcie znalazł okno bez krat, omal go nie minął.

Przywiązał swój sznur do wystającej belki i zrzucił ostrożnie w dół. Wspiął się na parapet i powoli opuszczał się po kamiennej ścianie. Nie było to łatwe, ponieważ jego ręce osłabły. Okno na pierwszym piętrze oślepiło go snopem światła. Ześlizgnął się szybko w dół, parząc sobie ręce. Zatrzymał się raptownie, aby złagodzić ból, i zawisł całym ciężarem na sznurze. Sznur pękł.

Spadł, wybijając po drodze szybę butem. Zamroczyło go uderzenie o ziemię, ale strach podniósł go na nogi; rzucił się w ciemność. Usłyszał za sobą kroki. Wybiegł na pole chwytając łąpczywie chłodne, czyste, nocne powietrze.

Stary Wright, u którego trenował biegi, wyrzucił go za palenie, pomimo że był najszybszym biegaczem w szkole. Serce uspokoiło się po chwili. Nie miał w ustach papierosa, odkąd złapali go dawno temu. Nie uda im się znowu go dopaść.

Biegł długo z góry ścieżkami, których nie mógł znać nikt, poza urodzonym tu chłopakiem. Dopiero kiedy przystanął, żeby odpocząć i pomyśleć, niedaleko skraju miasta, opanował go strach. Czuł się, jakby wymazali mu część mózgu. W czasie gdy jego płuca odpoczywały, myślał. Doktor Springer. Szpital. Odnaleźć go za cieniem starej stacji Shella. Upewnić się, że droga jest wolna, a potem dobiec do niego. Wejście do izby przyjęć było zawsze otwarte.

Podniósł się na bolące nogi i zmusił się do truchtu. Doktor Springer się nim zaopiekuje. Ochroni go. Ukryje. Biegł szybciej. Już niedaleko.

Coś było nie tak. Ta cała jasność. Co się stało ze stacją Shella? Przystanął na skraju przerażającego kręgu światła, który wnikał prosto w las, i przyglądał się długo, próbując przetrwać zmianę. Nie rozumiał. Jak miasteczko mogło tak się zmienić. Co oni mu zrobili? Jak długo go trzymali?

Zawrócił, pobiegł przez las i drogę Spotting Mountain na cmentarz, przemknął się za kościołem, przez drogę i od tyłu, poprzez ciemne podwórko dotarł do szpitala.

W oknie przesunął się mężczyzna w białym. Serce Danny'ego zamarło. Praktykant. Nie było doktora. Jego usta zaczęły drżeć. W oczach pojawiły się łzy. Otarł je. Idiota! Przecież doktor jest w domu. Po cichu skierował się na drugi koniec miasteczka.

Nie zauważył sekciarzy, czekających w ciemności dookoła szpitala.

Danny leżał w zbutwiałej ziemi pod gankiem starego Wrighta i obserwował dom Springera. Miał przed sobą otwarty widok między dwoma krzakami bukszpanu wyznaczającymi granice posiadłości Wrighta. Dom doktora znajdował się po drugiej stronie ulicy, w odległości kilkudziesięciu metrów; nie było jego samochodu. Świeciła się lampa na froncie, a w środku, na piętrze jaśniały okna.

Danny czekał długo, drżąc z niecierpliwości, kiedy drogą nadjeżdżał jakiś samochód. Nagle na podjazd wjechał wóz Springera. Serce Danny'ego zaczęło walić. Doktor wysiadał. Wstał, rzucił się, ile tylko sił w kierunku wchodzącego po schodkach Alana. Obmyślił sobie drogę: prosto przez trawnik Wrighta, potem skok nad grządką z kwiatami, przez ulicę i jak najprędzej po ścieżce.

Przeskoczył przez kwiaty. Ręce, białe plamy pośród ciemności, zamknęły mu usta, wbiły się w ramiona i pociągnęły go bliżej w cień krzaków. Danny szarpał się ze wzrokiem wbitym w plecy Springera, kiedy ten otwierał drzwi i wchodził do swojego domu. Próbował bezskutecznie krzyknąć w rękę, zasłaniającą mu usta. Światło przed domem zgasło.

- Bissel odjechał - powiedziała cicho Ellen, ostrożnie obserwując siedzących przy ladzie ludzi.

- Dokąd? - spytał Alan.

- Powiedział tylko, że jeszcze się zobaczymy. I że bardzo mu pan pomógł.

- To naprawdę ciekawy człowiek.

- Jestem wdzięczna za to, co zrobiłeś, Alanie.

- Nic nie zrobiłem. Prosiłaś go o pomoc?

- Rozmawialiśmy o tym. Powiedział, że być może będzie mógł to zrobić taniej niż zwykle. Słyszał pan dziś rano autobusy?

Springer widział je z okna pokoju. Siedział tak, sącząc kawę, rozkoszując się gorącym, letnim porankiem, rozmawiając z Ellen, kiedy kierowcy wrócili z góry i weszli do sklepu.

Murzyn zauważył doktora i machnął mu ręką.

- Proszę dać temu człowiekowi filiżankę kawy.

- Z nogą lepiej? - upewnił się Alan.

- Przestała boleć w środę. Wyrzuciłem pigułki i podarłem rachunek od lekarza.

Kierowcy zamówili śniadanie. Jeden z nich powiedział:

- Przywieźliśmy wam następnych świrów.

- Nową grupę? - spytał Springer.

- Tak. O rety, szkoda, że pan nie widział tamtych poprzednich w niedzielę wieczorem. Zupełnie pokręcenie.

Czarny mężczyzna przytaknął.

- Żywe trupy. Wielkie oczy i uśmiechy jak u sparaliżowanych. Opiekunowie mówili: "módlcie się", a trupy się modliły. Mówili: "śpiewajcie", a trupy śpiewały. Jak w horrorze. Nie wiem, co oni im zrobili, ale zrobili to dobrze.

- Nigdy pan czegoś takiego nie widział. Wrzeszczeli, krzyczeli, a tu nagle zapada zupełna cisza i wszyscy zaczynają płakać. Zgrzytają zębami, wyją, a opiekunowie biegną w tę i z powrotem pomiędzy siedzeniami i krzyczą, że mają jeszcze trochę popłakać. Płaczą jeszcze i jeszcze, a tu nagle opiekunowie zaczynają się śmiać, a wtedy trupy też. Śmieją się

jak dzicy, a potem śpiewają kolejną pieśń.

- To samo u mnie - powiedział drugi kierowca. - Przez całą drogę.

- Tak - odezwał się trzeci. - Potem nagle zaczęli się ściskać i całować, zupełnie jakby mieli zamiar rozpocząć wielką orgię; z tym że chłopcy całowali chłopców, a dziewczyny - dziewczyny, ponieważ posadzili ich oddzielnie - chłopaków po jednej stronie autobusu, dziewczyny po drugiej.

- Ale to nie miało związku z seksem - powiedział Murzyn. - Tylko takie poklepywanie, jakby pan trzymał swoje dzieci na kolanach. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Takie przyjazne - podsunął mu Springer.

- Niezupełnie. Raczej jak gdyby dodawali sobie otuchy albo...

- Gratulowali - wtrącił jego sąsiad. - Jak wtedy, kiedy wieziemy do domu zwycięską drużynę futbolu.

- Racja. Nawet wyglądali, jak po poważnym meczu. Naprawdę padnięci. Ale jeżeli któryś z nich zaczynał przysypiać, ci opiekunowie rzucali się na niego z łapami i budzili.

- Wyglądali, jakby nie spali od tygodnia. Murzyn posmarował kanapkę dżemem.

- Zastanawiam się, co się stało z tymi, którzy się nie pokazali.

- Z kim? - zdziwił się Springer.

- Dwadzieścioro z nich nie wróciło.

Tego wieczora postanowił wpaść na potańcówkę sekty i zobaczyć, jak to wygląda. Jaskrawe światła Centrum Rozrywki były wyspą w otaczającej ciemności, a słyszalny nawet z oddali dźwięk szafy grającej obiecywał dobrą zabawę młodzieży przybywającej tłumnie pieszo i w starych gruchotach.

Kiedy Alan podszedł bliżej, poczuł skurcz w żołądku. Margaret bardzo się ucieszyła z jego wyjścia, ale nie chciała pójść razem z nim, gdyż obawiała się, że obecność ich obojga może onieśmielić Samanthę.

Słyszając muzykę i okrzyki młodzieży, doktor przypomniał sobie czasy, kiedy sam był

nastolatkiem; chadzał samotnie na tańce, mając nadzieję, że zdarzy się coś niezwykłego, co odmieni jego życie. Może spotka dziewczynę, może ktoś zaoferuje im przejażdżkę swoim samochodem, może jego ojciec nie zniszczy wszystkiego, zataczając się w pobliżu szkoły, pijany do nieprzytomności.

Wrota Centrum Rozrywki były otwarte. Springer wszedł w środek roześmianej grupy. Jeśli uśmiechnięty, młody człowiek, który natychmiast pojawił się koło niego, nie był zadowolony z wizyt dorosłych, to nie pokazał tego po sobie.

- Witamy - powiedział wylewnie. - Może coś do picia?

Alan odrzucił wspomnienia i podążył za nim poprzez zatłoczony parkiet w kierunku dystrybutora z napojami. Ściany jasno oświetlonego pomieszczenia były pomalowane na biało, betonowa podłoga na niebiesko. Większość młodzieży miała na sobie te same kombinezony i koszule, jakie nosili gospodarze, których różniły od miejscowej młodzieży przyklepione uśmiechy i metalowe krzyże zawieszane na szyi.

Sekciarze, w wielu miejscach na sali, byli zajęci rozmową z dzieciakami, roznoszeniem napojów i ciastek, łagodnym zachęcaniem podpierających ściany, aby przyłączyli się do zabawy. W odróżnieniu od opiekunów na zabawach szkolnych, zwracali się do każdego z osobna i wprowadzali go w wir imprezy. Muzyka grała głośno i brzmiała jak któraś z piosenek country, które Alan znał, aż do momentu, w którym usłyszał słowa. Brzmiały tak:

Nie wiem jak ten prosty Krzyż mógł uwolnić świat od win, wiem, że zlitował się dobry Bóg bo wielka miłość w Krzyżu tym.

Zwrotka mówiła o tym, że trzeba porzucić grzech na rzecz prawego życia; kiedy zaczął się refren, tańczący włączyli się w śpiew. Chwyając papierowy kubek z colą, Springer krzyknął:

- Wygląda na to, że dobrze się bawią.

- Cieszymy się, że pan przyszedł, doktorze Springer - odpowiedział człowiek, który go powitał. - To wola boża, że się pan tu akurat dzisiaj znalazł.

- Co jest szczególnego dzisiajszego wieczora?

- Będziemy mieli później dla pana niespodziankę.

- Jaką niespodziankę?

- Jeżeli powiemy, to nie będzie niespodzianki. - Młody człowiek uśmiechnął się. - Samantha to wspaniałe dziecko. Bardzo ją lubimy.

- Gdzie ona jest?

- Tańczy z przyjaciółmi. Czemu pan jej nie poszuka? Doktor powoli ruszył dookoła zatłoczonego pomieszczenia.

Wielu nastolatków pozdrawiało go, a sekciarze przyglądali się z przyklepionymi uśmiechami. Zauważył, że krzyże, które nosili, zdawały się oznaczać "rangę". Zauważył Samanthę, która tańczyła z Dickiem; jej twarz płonęła z radości.

Zaciekawiony muzyką, podszedł do szafy grającej i zaczął czytać tytuły piosenek. Wszystkie były religijne. Wiele nosiło logo firmy nagraniowej o nazwie "Głos Błękitnego Bractwa". Samantha była teraz bliżej. Starał się, żeby go zauważyła, ale w tym momencie jeden z opiekunów, dwudziestoparoletni mężczyzna objął ramionami ją i Dicka i zaprowadził do rogu sali. Mówił coś poważnie, koncentrując uwagę na Samancie; od czasu do czasu zwracał się do jej kolegi.

Najwyraźniej w oczekiwaniu na znak zgody. Chłopiec przytaknął i odezwał się do Samanthy. Springer dostrzegł, że jej ramiona drżą.

Ruszył w kierunku córki, ale sekciarz, który go powitał, podszedł razem z roslym mężczyzną, wzrostu Alana, ale znacznie potężniejszym, którego przedstawił jako instruktora.

Springer zjeżył się.

- Czy on ma jakieś imię?

"Instruktor" miał wnikliwe spojrzenie i uśmiechniętą twarz, wyrażającą całkowity spokój.

- Może pan mówić do mnie John... Czy słowo "instruktor" przeszkadza panu?

- Tak. Zwierzęta mają instruktorów, treserów; ludzie nie. John uśmiechnął się z

zadowoleniem.

- Bóg działa na różne sposoby. Wszystkie praktyczne. Realizuje swoją wolę. Tylko to ma znaczenie, nieprawdaż?

- Czy mogę pana o coś zapytać? - powiedział Springer, śledząc Samanthę kątem oka.

- Oczywiście.

- Fundamentalisci zazwyczaj krytykują korzystanie z przyjemności życia, takich jak muzyka rozrywkowa, taniec i bilard. Dlaczego wy nie?

- Nie wdając się w debatę, czy Błękitne Bractwo jest czy nie sektą fundamentalistyczną - a nie jest - powiem, że stanowimy ruch - mogę powołać się na Biblię. Pierwszy list do Koryntian, rozdział dziewiąty, wers dwudziesty drugi: Dla słabych stałem się słabym, abym słabych pozyskał. Stałem się wszystkim dla wszystkich, aby wszystkich zbawić.

Springer wskazał głową na tańczące pary.

- Przyszliście do wszystkich.

- Nie dawajcie zgorszenia... jako i ja wszystkim we wszystkim staram się dogodzić, nie szukając, co dla mnie jest pożyteczne, ale co do wielu, aby byli zbawieni.

- Jeżeli już mówicie o ocalonych - powiedział Springer. - Czy macie tam na górze osobę o nazwisku Rose Barbar?

- Ktoś, kogo pan zna?

- Znajoma znajomej.

- Tej niespokojnej młodej kobiety z drugostoru?

- A więc wie pan, o kim mówię?

- Nie, nie wiem. Mamy mnóstwo Rose, mnóstwo Johnów, mnóstwo... Alanów. I codziennie więcej, doktorze. Czy zastanawiał się pan, gdzie pan będzie stał, kiedy nadejdzie Mesjasz?

- Z boku - odpowiedział Springer. - Tak, żebym mógł dostrzec, kto za nim stoi i go podtrzymuje.

- Humor to potężna tarcza, doktorze. Ochroni pana przed wszystkim... poza sobą samym.

- Potrafię sobie ze sobą poradzić, do diabła - powiedział Alan. Uśmiech Johna zniknął.

- W domu Michała nie żartujemy na temat Diabła.

- W takim razie przepraszam, John. Nie przyszedłem tu, żeby was napastować. Chciałem zobaczyć miejsce, w którym moja córka spędza tyle czasu.

- Czy wątpi pan w nasze intencje?

- Szczerze mówiąc, zastanawiam się nad nimi. To Centrum Rozrywki jest świetnym miejscem, gdzie młodzież może się bawić. Ale niektórzy z nas, z miasteczka niepokoją się tym, co dzieje się w waszym ośrodku.

- Siedziba Bractwa to miejsce dla tych, którzy szukają Boga.

- Trochę martwimy się o to, czego szuka Bractwo - odparł Alan. - Wnioskuje, że szkolicie nowo nawróconych

John uśmiechnął się.

- Nawrócony nie może wiele zdziałać dla sprawy Michała, póki nie zostanie wyszkolony i wprowadzony do ruchu.

- Radzę, żebyście nie starali się tego robić tutaj, w Centrum Rozrywki - powiedział Springer. - Nie próbujcie nawracać naszych dzieci. - Jego słowa zginęły w hałaśliwym pomieszczeniu i poczuł się trochę głupio z tego powodu, że je wypowiedział.

John zdawał się wyczuć jego zakłopotanie.

- Najpierw pan mówi, że wasze dzieci potrzebowały takiego centrum, a potem, że nie powinniśmy w ogóle mieć z nimi do czynienia.

- Nie powiedziałem tego. Ja tylko...

- Czy pan wolałby kierować takim miejscem? Ilu rodziców w pańskim mieście poświęciłoby wystarczając dużo czasu, żeby zająć się dziećmi?

- Nie mówię, że nie jesteśmy wdzięczni.

- A c o pan mówi?

- Tylko tyle, że lepiej by było, gdybyście nie wkraczali zbyt głęboko w nasze życie. Będziemy umieli sobie poradzić, jeżeli zostawicie nas samych. - Jego słowa znów zabrzmiały agresywnie, aż stał się niespokojny pod kamiennym spojrzeniem Johna.

Instruktor pozostał beznamiętny, Springerowi zaś nie udało się opanować.

- Michał dał Błękitnym Braciom misję do spełnienia. Mamy oczyścić ziemię dla Chrystusa. I kto mógłby w związku z tym czuć się zagrożony? Nie oczyszczony? Grzesznik?

- Kiedy zaczniecie decydować, kto jest nie oczyszczony i kto jest grzesznikiem, wszyscy będziemy zagrożeni.

- Naszą misją nie jest ukaranie nie oczyszczonych - wyjaśnił John. - Oni też są dziełem bożym, a nawet Michał nie ośmieliłby się osądzać dzieła bożego. Zamierzamy ich oczyścić.

- "Oczyścić" to takie mało konkretne określenie - powiedział Springer.

- Wolałby pan: "nawrócić"?

- Brzmi jaśniej.

- A czy pan sprzeciwia się temu, żebyśmy nawracali ludzi dla Chrystusa?

Doktor zastanowił się nad tym pytaniem. Emocjonalnie rzecz ujmując, nie podobał mu się taki pomysł i nie mógł sobie wyobrazić, żeby mogło się to zdarzyć jemu, ale rozważając to spokojnie, uważał, że ludzie mieli prawo próbować nakłaniać innych, żeby się z nimi zgodzili. Wyraził ten paradoks w odpowiedzi:

- Nie, jeśli zrobicie to uczciwie.

- Uczciwie?

- Jeśli potraficie nakłonić kogoś przedstawiając mu swój punkt widzenia, to dobrze. Ale jeśli go zmuszacie, to jestem temu przeciwny.

- Czy mówi pan o praniu mózgu? - spytał John. Bezpośredność pytania zdziwiła Springera.

- To pan powiedział.

- Wiem, co mówią ludzie. Nie pozwalamy, żeby coś takiego łączyło się z naszą misją. Więc jeśli nawracamy używając argumentów, to wszystko w porządku?

Pierwszy raz Alan dostrzegł pod nieruchomym uśmiechem nieco emocji. Triumf?

- Jeden z naszych instruktorów ma doktorat z filozofii, doktorze Springer. Napisał pracę na temat semantyki ogólnej. Czy zechciałby pan z nim podyskutować?

Alan uśmiechnął się.

- Prędzej zgodziłbym się walczyć z Muhammedem Ali.

- Zrozumiał pan, co mam na myśli.

- To nie jest argument. Wasz doktor filozofii może mówić do mnie na okrągło, ale nie jest w stanie zmusić mnie, abym się z nim zgodził, dopóki jestem w pełni władz umysłowych. To nie jest to samo, co pranie mózgu.

Muzyka zatrzymała się. Jakby na rozkaz młodzież rozproszyła się na boki i stłoczyła pod ścianami. John zniknął w tłumie i Springer zobaczył młodą kobietę, która zaczęła grać na pianinie. Wtórowało jej dwóch mężczyzn na skrzypcach; słuchacze zaczęli klaskać w rytm melodii. Samantha i Dick ciągle rozmawiali z człowiekiem z sekty. Na oczach Alana, chłopiec odsunął się, a mężczyzna położył ręce na skroniach Samantha. Powiedział coś, a ona zamknęła oczy.

Potem, ku zdziwieniu Springera, śmiało weszła na środek pokoju, złożyła przed sobą ręce i spojrzała na pianino. Jej twarz płonęła z emocji.

Pianistka uderzyła kilka dźwięków. Samantha wzięła głęboki oddech i zaśpiewała:

Bliżej, mój Panie, wciąż bliżej Ciebie! Dzięki Krzyżowi znajdę się w niebie...

Śpiewała silnym kontraltem, a słuchacze zdawali się zahipnotyzowani urodą jej głosu. Springer patrząc na córkę pomyślał, że jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie. Gdyby Margaret mogła ją zobaczyć!

Śpiewa wciąż Tobie Twój lud w potrzebie. Bliżej mój Panie, wciąż bliżej Ciebie.

Gdy skończyła, pospieszył przez salę i uściskał ją.

- To było piękne, kochanie. Wspaniałe.

Samantha zamrugała oczami, jakby wychodziła z transu. Potrząsnęła głową i mówiła monotonię:

- Dziękuję, dziękuję - Odwróciła się do pozostałych, którzy tłoczyli się dookoła i powtarzała: - Dziękuję.

Alan cofnął się, żeby dopuścić do córki jej kolegów, ale tego wieczora, kiedy z ożywieniem opowiadał Margaret o występie Samantha, niepokoiło go wspomnienie pustego spojrzenia córki, kiedy próbował jej pogratulować. Drażyło go straszne, na wpół tylko ukształtowane przeświadczenie, że cokolwiek dało Samancie siłę, żeby wystąpiła, zabrało jej coś w zamian.

Parę dni później Samantha zakomunikowała przy obiedzie, że Błękitne Bractwo zamierza urządzić piknik.

- Tam, na górze? - spytała Margaret.

- Tam, mamó - popchnęła przez stół skrawek papieru. - Powiedzieli, że każdy poniżej szesnastego roku życia musi mieć pozwolenie. Proszę, niech tata to podpisze.

Springer zawahał się.

- Czy Dick też idzie?

- Pewnie - odparła Samantha. - Pan Lewis sprzedał im parę grillów.

- Czy moglibyśmy też pójść? - spytała Margaret.

- Niestety nie, mamó. To tylko dla młodzieży. Może następnym razem.

- Chciałabym usłyszeć jak śpiewasz, kochanie.

- Usłyszysz. Podpisz tylko na dole, tato. Już wpisałam swoje nazwisko.

- Dobrze, moja mała. Pozwól, że to przeczytam.

Pisemko było podobne do tych, jakich używała szkoła przed wycieczkami klasowymi. Samantha podała mu długopis i oparła się na jego ramieniu, a on odczytał głośno: - Niniejszym udzielam pozwolenia Samancie Springer - złotoustemu słowikowi - na wzięcie udziału w pikniku, który odbędzie się w siedzibie Błękitnego Bractwa w sobotę, siedemnastego czerwca i zacznie się w południe. Oczekuję, że moje dziecko wróci do Centrum Rozrywki w Hudson City na Main Street o szóstej wieczorem.

Podpisał i podał jej kartkę. Wyglądała na nieszczęśliwą.

- Co się stało, koteczku?

- Nie powinieneś śmiać się z mojego śpiewania.

- Śmiać się? Oj, mała, przepraszam. Tak się tylko z tobą drażniłem. Jestem taki dumny z twojego występu. To było wspaniałe.

- Powinnaś wstąpić do chóru szkolnego - powiedziała Margaret.

- Nie mam, wołałabym nie.

- Ale skoro śpiewasz tak dobrze...

- Mogę śpiewać w Centrum Rozrywki, kiedy tylko będę chciała. Pójdę do siebie do pokoju, dobrze?

- Idź, kochanie. Deser zjemy później...

Samantha wbiegła po schodach. Springer pokiwał głową.

- Ona staje się naprawdę energiczna. Skacze jak mały żrebak.

- Bardzo mi się nie podoba pomysł, żeby tam poszła - powiedziała Margaret. - Poza miastem i jeszcze w tym strasznym budynku. Jesteś pewien, że powinniśmy ją puścić?

- Przejeżdżałem dzisiaj koło siedziby Bractwa. Rozbijają na trawniku przed frontem duży namiot. Dobrze go widać od bramy. Nie sądzę, żeby nagle mogło wydarzyć się coś złego.

- Ale ona staje się tak z nimi związana, Alan. Zabierają jej mnóstwo czasu - praca domowa z nauki Biblii, a potem te tańce; była tam już dwa razy w tym tygodniu - Margaret odgarnęła kosmyk włosów z czoła. - Boję się, Alanie. Oni się stali częścią tego miasta. Są wszędzie wokoło, a dzieci...

- Wiem - odparł Springer. - Mnie to też niepokoi. Ale tak naprawdę nie możemy mieć pretensji o nic, co dotąd zrobili.

- A najście na kościół?

- To było nie w porządku. Ale nie ma nic wspólnego z dziećmi. No i wtedy gdy zabrali tego człowieka ze szpitala, ale to nie było aż takie ważne. Od tamtej pory zorganizowali dzieciom naprawdę miłe lato. Kiedy ostatni raz widziałas jakiegoś dzieciaka wystającego na rogu ulicy?

- Boję się, Alanie.

Doktor ujął jej zimną rękę w swoją.

- Wiem, o co ci chodzi. Zobaczmy, co będzie po pikniku. Może będziemy musieli coś zrobić.

- Co możemy zrobić?

- Zobaczmy, co oni tam wyczyniają.

Jak odgadł Springer, sekta zorganizowała swój piknik pod jasnoniebieskim namiotem, przed ośrodkiem. Pod płótnem wystawiono stoły, a różne gry odbywały się na trawniku; wszystko było świetnie widać z drogi. Od czasu do czasu dzieci wchodziły do kamiennego budynku, ale większość czasu spędziły bawiąc się z sekciarzami na dworze. Jak zauważyli niektórzy z przyglądających się ludzi - trudno było odróżnić z tej odległości młodzież z Hudson City od Braciszków, tak wielu nastolatków zaczęło nosić niebieskie koszule i kombinezony. Kiedy piknik się skończył, dzieci pomaszzerowały trzy kilometry w dół i dotarły do Centrum Rozrywki dokładnie o szóstej, tak jak obiecywano. Każde z nich ścisnęło w rękę pamiątkę tego dnia - małą niebieską broszurkę.

Samantha opowiedziała, że bawiła się świetnie. Opaliła sobie nos, a na kolanach miała plamy od trawy, które były wynikiem przegranej w przeciąganiu liny.

- Czy Dick też miał dobrą zabawę? - spytała Margaret.

- Chyba tak. Nie widziałam go zbyt długo.

- O? Pokłóciliście się?

- Nie. Po prostu każde z nas robiło co innego. On grał w baseball.

- Z kim się bawiłaś? - interesował się Springer.

- Ze wszystkimi. Mogę wziąć prysznic? Cała jestem brudna. Pognała po schodach i w chwilę później jej rodzice usłyszeli, jak śpiewa w łazience.

Margaret uśmiechnęła się.

- Nigdy nie widziałam jej tak szczęśliwej. Może to wszystko wyjdzie nam na dobre.

- Wygląda zdrowo - przyznał Alan.

Przy obiedzie Samantha uraczyła ich żywą relacją ze swojej zabawy. Położyła się wcześniej do łóżka, ale o północy, kiedy doktor wszedł na górę, zobaczył, że jeszcze się u niej świeci. Czytała niebieską broszurkę.

- Spać - powiedział Springer. - Miałaś dzisiaj długi dzień. - Pocałował jej brwi.

- Piłeś - odezwała się.

- Wypiliśmy po szklanecze wina - wyjaśnił. - - Idź spać, kochanie.

Kiedy wychodził z jej pokoju, usłyszał, że modli się na głos po ciemku. Prosiła Boga, żeby oczyścił ziemię, i błagała o zbawienie jej matki i ojca. Zakończyła słowami:

- W imię Jezusa i jego obrońcy, Michała. Amen.

Doktor obudził się wcześniej; idąc ku schodom wślizgnął się po cichu do pokoju Samantha i wziął błękitną broszurkę z jej nocnego stolika. Była to Apokalipsa napisana nowoczesnym angielskim językiem. Przeczytał ją w kuchni nad filiżanką kawy; skończył, zanim Margaret i Samantha zeszły. Margaret miała na sobie sukienkę, Samantha - dzinsy.

- Samantha nie chce iść do kościoła - oznajmiła Margaret.

- Dlaczego nie, mój aniele?

- Jakoś nie mam dzisiaj ochoty.

- Ale mama będzie musiała iść sama.

- Ty możesz z nią pójść.

- Nie dzisiaj - odparł Alan. - Cały tydzień obiecywałem sobie spacer po wzgórzach. - Podniósł nogę i pokazał, że włożył już buty, których używał w czasie wycieczek.

- W porządku - powiedziała Margaret.

- Będę czytać Biblię w domu - stwierdziła Samantha.

- Tę? - zapytał Springer podnosząc broszurkę.

- Czytałeś ją? - - spytała Samantha, rzucając mu ostre spojrzenie.

Doktor przestraszył się wzroku córki. Dziewczynka, jaką zawsze była, zamieniała się w kogoś obcego.

- Tak, czytałem - powiedział. - Czy Michał, który pisze, że jest autorem tej wersji, to ten sam Michał, do którego modliłaś się wieczorem?

Margaret z niepokojem podniosła wzrok. Nie słyszała wczorajszej modlitwy.

Samantha wypila cały sok pomarańczowy jednym haustem.

- Jest dwóch Michałów, tato. Michał Archanioł i Michał założyciel Błękitnego Bractwa.

- Sprytny zbieg okoliczności - zakpił Alan.

Oczy Samanthy stały się nieruchome, tak jak tej nocy, kiedy śpiewała. Wyrecytowała monotonnym głosem:

- Tak jak jest Trójca: Ojciec, Syn i Duch Święty, tak też jest Dwójca: Michał Archanioł i Michał Błękitnego Bractwa.

- Ale chyba nie uważasz, że Michał jest aniołem, prawda? Samantha się zarumieniła.

- Michał jest archaniołem.

- Spotkałaś go na pikniku? - pytała Margaret. Dziewczynka zawahała się. Zamknęła oczy.

- Czułam jego obecność.

- Był tam? - interesował się Alan.

- Nie. Ale wkrótce go zobaczę - dodała z zapalem. - Wiem, że go zobaczę. - Jej twarz i głos znowu się ożywiły. - Mówią, że jest wspaniały, tato. Naprawdę wspaniały.

- Z pewnością - - zgodził się Springer.- Ale postaraj się pamiętać, że to tylko człowiek. Może wspaniały, może nie. Sama osądzisz. Proszę cię, nie pozwalaj innym kształtować z góry twojej opinii. Poczekaj, aż sama go spotkasz.

- Jest archaniołem - odparła Samantha z uporem. - I wiem, że jest wspaniały.

- Posłuchaj, co mówi twój ojciec - powiedziała Margaret.

- Jest wspaniały - powtórzyła Samantha. - Ocali nas. Musisz w to uwierzyć, mamó. Uratuje ciebie i tatę, i mnie.

Alan już miał na końcu języka sarkastyczną odpowiedź, ale ujrzał w oczach córki determinację i zmilczał. Nie miał zamiaru zbliżać jej jeszcze bardziej do członków sekty.

- Kiedy masz nadzieję go spotkać? - spytał łagodnie. Samantha uspokoiła się.

- Jak przybędzie. Powiedzieli, że wkrótce.

Doktor zszedł z frontowej werandy. Poranek był piękny. Wyż znad Kanady, który przypląnął w nocy, przyniósł chłodną północną bryzę i kryształowe czyste powietrze. Ruszył szybkim krokiem w stronę drogi Spotting Mountain. Na cmentarzu zobaczył pastora Daviesa, który przechadzał się zamyślony, ze spuszczoną głową; pewnie przepowiadał sobie kazanie.

W miarę jak droga wznosiła się, Springer zwalniał kroku. Szybki marsz zrobił swoje; przeżycia minionego tygodnia, praca w szpitalu i niepokój o Samanthę odplýwały w dal.

Słońce grzało mocno, ale wiaterek przyjemnie chłodził. W krzakach rosnących po obu stronach drogi śpiewały ptaki. Szeleściła kukurydza na polu, świeże zboże błyszczało w słońcu. Kopnął na bok leżącą na drodze puszkę po piwie i spojrzał pod górę. Część jej zielonego zbocza ciągle znajdowała się w cieniu szczytu. Nie padało od dwóch tygodni i kurz zmatowił połyskujące zwykle na zboczach granaty.

Kiedy mijał dom Boba Kenta, zobaczył jak ten strzela z łuku na tylnym podwórku; relaksował się przed pójściem do kościoła. Springer szedł dalej, mając nadzieję, że nie został zauważony. Przeszedł koło dwóch mężczyzn, którzy naprawiali stojącego przed ich chatą cadillaca, rocznik sześćdziesiąty czwarty. Maski i bagażniki były otwarte; wóz miał zdjęte koła i spoczywał na cementowych klockach.

Doktor pozdrowił ich i wspinał się dalej, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby przyjrzeć się dzikiemu kwiatowi albo ptakowi karmiącemu młode. W pewnej chwili usłyszał dziecięcia stukającego w drzewa. Szukał go wzrokiem, ale ptak znajdował się głęboko w lesie. Przystanął znowu, kiedy doszedł do miejsca, tuż przed zakrętem, skąd rozciągał się rozległy

widok na Hudson City.

Biała wieża kościelna odcinała się wyraźnie od kępy drzew. Można było dostrzec całą Main Street aż do sklepów na południu miasteczka. Widział swój dom i szeroką, zieloną połąkę znajdujących się za szkołą boisk. Stary tor kolejowy, wiodący do kopalń granatów znaczył za miastem kropkowaną linię. Skład materiałów Mosera wyglądał jak brązowa plama na zielonym trawniku.

Przerwał mu dźwięk. Rytmiczny. Coraz głośniejszy. Zdawał się dolatywać zza zakrętu drogi. Doktor nastawił głowę i nasłuchiwał z zaciekawieniem. Odgłos był miarowy, ale nie pochodził od maszyny. Brzmiał jak ciężki krok idących ludzi. Alan obserwował drogę. Tupot się zbliżał.

Niczym maszerująca armia, zza zakrętu wyłoniły się dwie zwarte kolumny Błękitnych Braci. Mężczyźni szli po lewej, kobiety po prawej; dowodzący mieli na sobie duże, żelazne krzyże. Metal błyszczał w słońcu, chwiejąc się w rytm kroków. Zajmowali całą szerokość drogi; kiedy zza zakrętu wyszli ostatni z grupy, Springer stwierdził, że jest ich przynajmniej setka.

Szli prosto na niego, zachowując ciszę, jeśli pominąć łomot ich stóp, i minęli go spokojnie, zupełnie jakby tam nie stał ze zdumionym wyrazem twarzy, odległy o jakieś dwa metry. Przeleciał wzrokiem po ich kamiennych obliczach, szukając Johna instruktora albo sanitariusza, ale nie rozpoznał nikogo. Nie chcąc zaakceptować absurdalnej sytuacji, kiedy setka ludzi ignoruje idącego połąką człowieka, zamachał i zawołał głośno:

- Dzień dobry! Nikt nie odpowiedział.

- Hej! Dzień dobry. No, cześć! Co, nie odpowiecie? Minęli go, zachowując spokój na twarzach.

- Miłego dnia! - krzyknął za nimi. Instynktownie czuł, że idą do kościoła; zastanawiał się, czy nie powinien zawrócić. Ale co mógł zrobić, poza ostrzeżeniem, że właśnie nadchodzą? Z nim, czy bez niego, Davies i jego diakoni i tak nie unikną konfrontacji z nieproszonymi gośćmi. Odgłos kroków oddalał się w kierunku miasteczka. Doktor wzruszył ramionami i poszedł dalej.

Po jakichś czterystu metrach znalazł się przed ośrodkiem Bractwa. Stojące w oknach

skrzynki z kwiatami niewiele zmieniły złowrogie oblicze budynku. Na frontowym trawniku nie było nikogo; brania pozostawała zamknięta, a jej środkowe pręty łączył gruby łańcuch.

Droga wznosiła się stopniowo. Springer szedł teraz wolniej, zatrzymując się, aby złapać oddech. Trakt ciągnął się wzdłuż błyszczącego, nowego płotu jeszcze przez następne czterysta metrów, a potem skręcał ostro w prawo; nawierzchnia zmieniała się z tłuczniowej na żwirową. Gdyby doktor poszedł drogą jeszcze półtora kilometra, znalazłby się na parkingu odległym o kilkaset metrów od szczytu góry. Zamiast tego przekroczył mały wąwóz i przeciął obszar gęsto porośnięty młodymi cedrami, idąc wzdłuż najwyżej położonej, zachodniej strony płotu. Po prawej znajdował się wysoki grzbiet łączący się z górą. Przeskoczył przez strumyk i kroczył dalej, aż dotarł do dużej łąki. Tam skręcił, oddalając się od płotu w kierunku mniejszego szczytu.

Idąc ostrożnie wśród wysokiej trawy, uważał na dziury, dzikie róże i trujący bluszcz. Posuwał się w górę, aż doszedł na wierzchołek łagodnego, porośniętego trawą pagórka, za którym znajdowała się skalna ściana. Na jednym z jej końców, otoczony cedrami i dzięki temu niewidoczny nawet z bliska wyłom w skałach stanowił stromą ścieżkę. Doktor wspinał się na nią, pomagając sobie rękami i znalazł się na równej, trawiastej polance, leżącej o jakieś trzy metry ponad pagórkiem.

Z trzech stron otaczały ją skały. Z nieosłoniętej strony, z której przyszedł Alan, rozciągał się piękny widok na leżącą poniżej łąkę. W oddali, o jakieś osiemset metrów stąd, za płotem i lasem, można było zobaczyć dachy i budynki należące do Błękitnego Bractwa. Mimo że kiedy przechodził koło bramy budowla wydawała się opuszczona, z tego punktu Springer dostrzegł małe niebieskie figurki poruszające się po terenie ośrodka.

Polana była nieomal całkowicie płaska, kolistą, o średnicy nie większej niż siedem metrów. Był na niej miękki mech, krótka trawa i... koc, na którym leżała Ellen Barbar w obciętych, dżinsowych szortach i czerwonym, wzorzystym biustonoszu. Plecami do góry, wsparta na łokciach, tkwiła z przyklejoną do oczu potężną lornetką.

Silnie pchnięte wrota otworzyły się uderzając w ściany kościoła. Wierni odwrócili głowy, wystraszeni nagłym łomotem. W progu stało trzech członków Bractwa o groźnych twarzach; za nimi, aż do ulicy, ciągnęła się cała kolumna sekciarzy.

Wielebny Davies ścisnął swój pulpit.

- Witamy - wykrztusił z siebie drżącym głosem. Odchrząknął i powtórzył: - Witamy w naszym kościele.

Przybysze wmaszerowali równym krokiem do środka, zatrzymali się przy samym pulpicie i wlepili w pastora pogardliwe spojrzenia. Davies aż się cofnął. Zszedł z podwyższenia, oblizał nerwowo wargi i popatrzył błagalnym wzrokiem na stojących z tyłu diakonów.

- Proszę... - wymamrotał, poruszając nerwowo rękami, jak gdyby jego palce szukały kryjówki w fałdach szaty.

Jeden z wiernych wstał rozzłoszczony. Nie wzbudziło to jednak żadnego zainteresowania ze strony nieproszonych gości. Ich oczy nadal śledziły pastora. Mężczyzna rozejrzał się po wystraszonych twarzach sąsiadów i nie widząc żadnego wsparcia, usiadł z powrotem. Zgromadzeni zaczęli niespokojnie szeptać między sobą, a sekciarze wciąż się przyglądali. W kościele zapanowało głębokie milczenie. Kiedy było już zupełnie cicho, przybysze zaśpiewali:

Bliżej, mój Panie, wciąż bliżej Ciebie! Dzięki Krzyżowi znajdę się w niebie...

Śpiewali zdecydowanie i szybko, jakby to był wojenny hymn. pieśń brzmiała niczym wyzwanie, potępienie mieszkańców miasteczka, ubranych w swoje odświętne stroje, okiennych witraży, połączonego ołtarza, czerwonego aksamitu, łagodnego nakłaniania pastora do wiary.

Choć jak wędrowiec, zaszło już sionce, ciemność na niebie...

W tyle kościoła diakoni sprzecjali się nerwowym szeptem.

- Nie możemy na to pozwalać - mówił Bob Kent.

- Ale jak ich powstrzymać? - spytał Gary Spencer.

- Może lepiej będzie, jak sprowadzę tu Charlie'ego Danielsa - zaproponował burmistrz. Głosy śpiewających grzmiały mu w uszach, drwiąc z jego bezsilności i niezdecydowania.

- Nie - syknął Pete Lewis. - Nie możesz tego zrobić. Spróbujmy z nimi porozmawiać.

- Nie będą słuchać.

- To co możemy zrobić?

Kent został uwolniony od konieczności znalezienia odpowiedzi. Do kościoła wpadł Charlie Daniels z przenośnym głośnikiem w rękę. Rzucił okiem na śpiewających sekciarzy, osłupiałych wiernych, przestraszonego pastora.

- Przepraszam, panie Kent. Czekali, aż wejdę na posterunek. Zajmę się tym.

Podniósł głośnik do ust. Burmistrz wyszarpnął mu go.

- Nie, poczekaj.

Daniels popatrzył spode łba.

- To co pan chce, żebym zrobił?

- Nie możesz używać tego w kościele - powiedział Pete Lewis.

- Co chcesz im powiedzieć, Charlie? - spytał Spencer. Policjant spojrział z ukosa na zaniepokojonego sklepikarza, jak gdyby nie zrozumiał pytania.

- Chcę im powiedzieć, żeby przestali i wynieśli się stąd.

- A jeżeli nie wyjdą?

- Będę się tym martwił, jeśli się tak stanie. - Podniósł głośnik.

- Nie - powiedział Spencer. - Nie możemy im tego zrobić.

- Popatrz, co oni robią tobie - skontrował Daniels. Po czym zwrócił się do Kenta: - Panie burmistrzu, chcę pańskiego pozwolenia na rozwiązanie tej sytuacji. Oni zakłócają spokój i przerywają legalne, publiczne zgromadzenie.

Kent spojrzał na plecy śpiewających.

- Nie możemy ryzykować tutaj konfrontacji. Mogłaby się komuś stać krzywda. A może po prostu skończą, a ty wyjdiesz na głupiego.

- Wezwę policję stanową.

- Nie - upierał się burmistrz.

- Zamierza pan pozwolić im przejąć kontrolę nad kościołem? Bob unikał wzroku policjanta.

- Nie wiem. Może zaraz pójda.

W słowach Danielsa zabrzmiało lekceważenie:

- To pańskie miasto. Zrobi pan, co zechce. Będę na posterunku, jeśli okaże się potrzebny... sir. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł dumnym krokiem.

Lub jeśli na radosnych skrzydłach przebiję chmury, cóż sionce, księżyc i gwiazdy? Wznoszę się do góry...

- Musimy coś zrobić - powiedział Kent. Od pewnej chwili dostrzegł lodowate spojrzenie Sophie Wilkins siedzącej przy organach. Popatrzył przez kościół, spotkał się z jej wzrokiem i porozumiewawczo kiwnął głową. - A jeśli poprosimy ich, żeby pomodlili się z nami, kiedy skończą śpiewać? - Świetny pomysł - poparł go Lewis. - Nie mogą odmówić przyłączenia się do modlitwy.

Burmistrz pospiesznie przepowiedział sobie kwestię, którą zamierzał wygłosić, i ruszył żwawo w kierunku ołtarza.

Bliżej, mój Panie, wciąż bliżej Ciebie...!

Przebrzmiały ostatnie słowa i zapadła cisza. Kent podniósł obie ręce i otworzył usta. Ale Błękitni Bracia odwrócili się do niego plecami. Już wychodzili z kościoła.

- Znalazłeś mnie jednak - powiedziała Ellen, nie odrywając oczu od lornetki, kiedy Springer ukląkł koło niej.

- Przychodziłem tu, kiedy byłem dzieckiem - wyjaśnił doktor. - Widzisz coś?

- Nic nadzwyczajnego. Niektórzy z nich uprawiają ogród... Urządzają coś w szopie... Pralnię.

- Żadnego śladu Rose?

- Żadnego.

Opuściła lornetkę i zamrugła zmęczonymi oczami.

- Od jak dawna się tak przyglądasz?

- Nie wiem. - Odwróciła się na plecy i popatrzyła na zwisające nad nią liście. - Wysłałam z miasta o świcie. - Wskazując swój plecak powiedziała: - - Ponieważ mówiłeś, że przyjdiesz, przyniosłam trochę wina i sera.

Alan otworzył wino i pokroił ser, wyjął także owoce i orzechy, które wziął ze sobą. Nalał wina do plastikowych kubków i podał kobiecie jeden.

- Na zdrowie.

Ellen wypła mały łyk i odstawiła kubeczek.

- Już wariuję - mówiła. - Przyglądanie się jest niemal równie okropne jak beczynność. Ciągłe te same twarze. Nie wypuszczają jej. Och, Alanie. - Spojrzała mu w oczy pierwszy raz, odkąd przyjechała. - Cieszę się, że przyszedłeś.

- Ja też - przyznał Springer. Podał jej orzechy i owoce. - Zjedz trochę białka.

Jedli i rozmawiali, a Ellen znów lustrowała posiadłość Błękitnego Bractwa. Wreszcie opuściła lornetkę z westchnieniem rezygnacji.

- Dlaczego przyszedłeś? - spytała. Alan wzruszył ramionami.

- Jest ładny dzień. I lubię cię.

Zmrużyła oczy; wyraz jej twarzy złagodniał i stał się delikatny.

- Doceniam sposób, w jaki ze mną rozmawiasz i słuchasz mnie. Mnóstwo ludzi myśli, że zwariowałam, skoro to wszystko robię. Takie zajęcia dla samotników.

Springer uśmiechnął się.

- Ty też jesteś samotny, Alanie.

- Czasami.

- Dlaczego?

Chciał zbyć ją jakimś żartem, ale nagle przypomniała mu się Angela i wkrótce usłyszał własne słowa opisujące jak wypełniła pustkę w jego życiu, większą niż kiedykolwiek sądził.

- Była młoda i kochała medycynę. Inteligentna. Myślę, że lubiłem ją uczyć. Stała się moim oczkiem w głowie. Cenniejszym niż mój biedny praktykant, którym powinienem się zajmować, a rzadko go widuję. On pracuje w nocy, ja w dzień. - Roześmiał się. - Ale ona była o wiele ładniejsza.

Jego śmiech zniknął w miarę opowiadania. Ellen słuchała z większą uwagą niż zazwyczaj. Rzadko się zdarzało, żeby koncentrowała się dłużej na jakimkolwiek temacie nie mającym związku z jej obsesją, zauważył Alan.

- A więc ciągle jesteś samotny - powiedziała, kiedy skończył. - Albo znowu samotny.

- Czasami.

Odwróciła się na brzuch, uniosła lornetkę i przyjrzała się sekciarzom.

- Co zamierzasz z tym zrobić? Kolejna pielęgniarza?

- Nie mam żadnych planów, jeśli o to ci chodzi.

- Myślę, że szukasz.

- To widać?

- Tylko dla kogoś, kto jest do tego przyzwyczajony.

- A ty jesteś?

- Wielu mężczyzn myślało, że jestem tą, której szukali. Brak emocji w jej słowach sprawił, że zabrzmiały one jak zaproszenie. Jej uśmiech, jeśli się uśmiechała, skrywały włosy.

- Oceniając z mojego punktu widzenia - powiedział powoli Alan - przynaję, że rozumiem ich.

Pochylił się, odsunął jej włosy i pocałował w kącik ust. Powoli opuściła lornetkę, odwróciła ku niemu twarz, aż złączyli się w długim, namiętym pocałunku.

Springer leżał na plecach, patrząc na bezchmurne niebo. Jego myśli snuły się leniwie. Wokół śpiewały ptaki, bzykały owady. Jego ciało przebiegało drzenie. Przeżywał raz jeszcze ich zbliżenie.

Coś nagle zakłóciło ten spokój.

Ellen poruszyła się koło niego i przypomniał sobie, jak ją posiadał. Miała przyjemność i dała mu przyjemność. Jeszcze nigdy jego ciało nie było tak pieszczone, a dusza tak pusta.

Wrócił do rzeczywistości.

Alan zerwał się gwałtownie na dźwięk bliskich głosów, przestraszony, że sekciarze wyszli poza swój teren, później zły, że mogło go to zaniepokoić. Ellen spojrzała na polanę szeroko rozwartymi oczami. Byli jeszcze sami, ale głosy zbliżały się coraz bardziej.

- Tam, na łące - powiedział Springer. Podczołgali się bliżej i wyjrżeli znad krawędzi grzbietu.

Trzy metry niżej i dwadzieścia dalej dwie pary rozkładały koce na piknik. Doktor widział ślad, który wydeptali w wysokiej trawie, idąc od zachodu, wzdłuż płotu ośrodka Bractwa.

- Letnicy - stwierdził. - Na Rock Road, jakieś półtora kilometra w tamtą stronę, jest

parę domków.

Ellen skinęła głową zamiatając włosami mech, na którym leżeli nago.

- Poszłam tam w zeszłym tygodniu.

Przybysze rozebrali się do kostiumów kąpielowych. Jeden z nich cicho grał na gitarze, a pozostali rozkładali jedzenie i wino, zachowując się na luzie, jak bliscy przyjaciele. Springer i Ellen przyglądali się im przez parę minut ze swojego punktu obserwacyjnego, dopóki nie upewnili się, że tamci nie zamierzają spacerować po okolicy. Wycofali się na własny koc.

Brzmienie gitary i odległe, radosne śmiechy były miłym dodatkiem do głosów ptaków i szumu wiatru w liściach drzew. Doktorowi poprawił się humor. Ellen znów zbliżyła się do Alana upierając się, że najpierw ona doprowadzi go do rozkoszy.

- Zepsujesz mnie - protestował.

- Za dużo myślisz - odparła.

Pomyślał, że jest bardzo piękna. Później, kiedy zapadali w kolejną drzemkę, jej obraz migotał mu przed zamkniętymi oczami, aż musiał je otworzyć, żeby potwierdzić to, co zdawało mu się, że pamiętał.

Gdy znów się obudził, z głową na ramieniu Ellen, słońce stało niżej. Zamrugał, zastanawiając się, co wybiło go ze snu. Gitary już nie było. I głosy wydawały się inne - zamiast słów dolatywały dźwięki. Usłyszał jęk. Ellen otworzyła oczy.

- Co to?

- Nie wiem - odparł. - Zobaczymy. - Przyczołgali się do krawędzi grzbietu i spojrzeli na łąkę.

- No, to dopiero prawdziwy piknik - stwierdził Alan. Pośród pustych butelek po winie i pozostałości po lunchu letnicy tworzyli pofalowany, wijący się kłęb nagich ciał. Jeden z mężczyzn usiadł, uwolnił rękę, aby zaciągnąć się głęboko fajką, i ponownie wrócił do orgiastycznej zabawy. Do wzniesienia dotarł słodkawy zapach marihuany.

Springer przyglądał się krytycznie, przesuwając rękę po plecach Ellen.

- Amatorzy.

- Mhmm.... - mruknęła Ellen. - Popatrz! - rzuciła nagle. Przestraszony nagłą zmianą w jej głosie, Springer spojrział tam, gdzie wskazywała.

- O, nie! - przylgnął do mchu i pociągnął za sobą Ellen. Drżała.

Wzdłuż płotu wspinali się Błękitni Bracia. W sile trzydziestu czy czterdziestu osób wyszli na łąkę szeroką, nierówną łąwą.

- Ach! - wyszeptała Ellen. - Co oni zamierzają zrobić? Twarze sekciarzy były jak nieruchome maski. Podchodzili coraz bliżej i bliżej, aż ludzie na kocach zorientowali się, że nie są sami. Patrzyli z niedowierzaniem i przestachem na gromadę o kamiennych obliczach, która ich otoczyła. Powoli doszli do siebie; kobiety zaczęły sięgać po ubrania, mężczyźni przykucnęli w defensywnych pozach. Jedna z członkiń Bractwa, surowa, energiczna kobieta o szorstkim głosie, krzyknęła:

- Bójcie się Boga i oddajcie Mu chwałę, bo nadchodzi godzina Jego sądu.

Dołączyło do niej kilka innych, równie nieprzyjemnych głosów:

- Babilon upadł, a wszystkie narody piją wino gniewu, spowodowanego cudzołóstwem tego miasta. Macie nienawidzić nierządnic, pożreć jej ciało i spalić ją w ogniu.

Jeden z siedzących mężczyzn zerwał się na nogi. Był wysokim, dobrze zbudowanym człowiekiem o mięśniach pływaka. Twarz miał czerwoną od gniewu.

- Spieprzajcie stąd!

Sekciarze przyglądali mu się w milczeniu. Całe jego ciało poczerwieniało. Zaciśnął pięści.

- Spieprzajcie, świrusy! Zostawcie nas w spokoju!

Wpadł w krąg otaczających go ludzi i pchnął jednego z nich. Pierścień Braciszków zafalował, ale pozostali na miejscach. Nagi mężczyzna wyprowadził cios, ale człowiek, w którego celował, usunął się i uderzenie trafiło w powietrze. Rozwścieczony napastnik rzucił się na sekciarzy waląc obiema pięściami.

Kobiety na kocu zaczęły krzyżeć, a drugi mężczyzna pobiegł za przyjacielem, aby go powstrzymać. Krąg zablokował mu drogę i skoncentrował się na pierwszym napastniku. Popychali go, podchodzili z tyłu, a cofali się z przodu - zorganizowali sprytną samoobronę; kołysali się prawie tanecznym ruchem, znajdując się poza zasięgiem jego ciosów. Rzucił się coraz bardziej nerwowo, w miarę jak jego wściekłość wzrastała z powodu nieskuteczności prowadzonego ataku.

Zaczynał się już męczyć, a Błękitni Bracia napierali coraz bardziej, aż wreszcie zmęczony opadł na kolana; jego urywany oddech dochodził aż do uszu Springera i Ellen, leżących na wzniesieniu.

Sekciarze zacieśnili krąg i czekali. Jedna z kobiet na kocu przyniosła nagiemu człowiekowi spodnie i buty. Zaczął protestować, potrząsając spoconą głową, ale w końcu dał za wygraną i się ubrał. Bracia patrzyli w milczeniu, jak cała czwórka zwinęła koce, spakowała bagaże i zebrała się do marszu. Dopiero wtedy krąg rozstał się, ale tylko na tyle, żeby pozwolić im przejść.

Mieszkańcy miasteczka plotkowali następnego dnia o pikniku letników. Dwóch kilkunastoletnich chłopców podglądało orgię i jej przedwczesne przerwanie przez wyznawców sekty. Alan spędził nerwowe popołudnie, aż wreszcie brak wymownych spojrzeń w jego kierunku przekonał go, że nie zostali z Ellen zauważeni. Ponieważ była mowa o seksie grupowym oraz o ludziach z miasta, całe wydarzenie wzbudzało śmiech i odciągało uwagę mieszkańców od sprawy najścia na kościół.

Niektórzy porównywali obydwie incydenty i doszli do wniosku, że niepokoją ich one z tych samych powodów - wyznawcy sekty działali zazwyczaj jak jeden mąż, robili co im się tylko podobało, byli całkowicie zdeterminowani, by osiągnąć swoje cele. Co nowego zrobią? Jakie narzucą sobie granice? Czy będą coraz zuchwalsi?

Doktor zaczynał się zastanawiać, czy nie powinny zostać podjęte jakieś działania przeciwko sekcje. Nie bardzo wiedział jakie, ale coś mówiło mu, że mieszkańcy powinni się bronić. Dlatego podzłazał na niego tego wieczora telefon od Franka Bissela, który poprosił, żeby przyszedł do pokoju Ellen w motelu.

Bissel przywitał go serdecznie. Był ubrany całkowicie na czarno, od obcisłego puloweru aż po sięgające do kostek buty. Ellen siedziała na łóżku. Uśmiechnęła się do Springera i klepnęła w materac na znak, żeby usiadł koło niej.

Na łóżku leżał pas używany przez monterów napowietrznych linii telefonicznych. Do pasa przyłączone były: zwinięta nylonowa lina, nożyce do cięcia drutu, trzy pary kajdanków, czarna, plastikowa latarka, również plastikowa litrowa butelka z przezroczystym płynem i krótka maczeta. Doktor wyjął ją z pochwy - klinga miała matowy szary kolor i była ostra jak brzytwa.

- Na zarośla - wyjaśnił Bissel - nie na ludzi.

- Czy to próba kostiumowa? - zapytał Springer. Frank uśmiechnął się nieznacznie. Wyglądał na skoncentrowanego.

- Chłopak jest u nich z całą pewnością. Wiem, jak się tam dostać i wyjść, dzięki tobie.

Wynająłem dom w Utica na moją sesję przywracającą normalne myślenie.

- A więc to dzisiaj - odezwał się Alan. Wiedział, że mówi głupoty, ale nie mógł się powstrzymać. Trudno było mu uwierzyć, że to działo się naprawdę, że ten miły, misiowaty facet w średnim wieku ma zamiar wkraść się na teren zakładu, ześlizgnąć się po linie, i założyć kajdanki chłopakowi, któremu, jak uważał jego ojciec, zrobiono pranie mózgu.

- Alanie - powiedziała Ellen - Chcę cię prosić o wielką przysługę. - Złapała zimnymi palcami za jego nadgarstek, aż przeszedł go dreszcz; wtopiła w niego płonący wzrok.

- Jaka? - zapytał.

- O pieniądze. Frank chce tysiąc dolarów za odnalezienie Rose. Mam tylko sześćset.

Bissel spojrzał na Springera.

- Człowiek, którego syna szukam, płaci mi dziesięć tysięcy. Jestem prawie bez grosza, Alanie. Pieniądze przechodzą przez moich prawników jak ziarno przez gęś. Samochód ma na liczniku już sto tysięcy kilometrów. Nie stać mnie na robienie przysług.

- Tysiąc dolarów, to już brzmi jak przysługa - odparł doktor.

Bissel wzruszył ramionami.

- Przykro mi, że to nie może być za darmo.

- Nie mam przy sobie takiej sumy. Frank uspokoił go:

- Nie martw się tym. Ellen może dać mi czek, jeżeli pożyczysz jej pieniędzy na jego pokrycie. Jeżeli nie odnajdę jej siostry, podrę go i wyślę Elen kawałki.

- Zwrócę ci pieniądze - zapewniła Ellen.

- Pokryję go - obiecał Springer, myśląc o tym, że zrobiłby to nawet wtedy, gdyby nie uprawiali seksu i zastanawiał się, czy po to właśnie go sprowokowała.

Ścisnęła przegub jego dłoni.

- Dziękuję ci, Alanie. Tak bardzo ci dziękuję. Wypisała czek, a Bissel wsunął go do kieszeni.

- Chcę cię prosić o jeszcze jedną przysługę - powiedział.

- O co?

Rozłożył na podłodze mapę okolicy. Była znana doktorowi, gdyż taka sama wisiała na ścianie w jego pokoju. Frank zaznaczył na niej flamastrem granice ośrodka Bractwa. Wskazywał grubym palcem miejsca, o których mówił.

- Zostawiam samochód tutaj, obok rowu odwadniającego. A chcę wejść tędy, koło zagrodzonej drogi.

Springer przytaknął.

- I chcesz, żebym cię podwiózł dookoła góry.

- To oszczędziłoby mi drogi stąd - dotąd.

- Zaofiarowałam się, że go podrzucę - wtrąciła Ellen.

- Wolałbym ciebie - zwrócił się Bissel do doktora. Ellen uśmiechnęła się dziwnie.

- On mi nie ufa. Uważa, że jestem trochę pomyłona.

- Gadatliwa - uśmiechnął się Bissel - nie pomyłona; tak naprawdę to chodzi mi o to, że Alan zna teren.

Ellen wzruszyła ramionami.

- Wszystko jedno - powiedział Springer. - Podwiozę cię, jeśli chcesz.

- Chcę.

- Dobra. Ale jeżeli pojedziemy drogą Spotting Mountain, mogą zauważyć twój wóz, kiedy będziemy mijać Centrum Rozrywki.

Bissel prześledził Spotting Mountain Road na mapie.

- Nie widzę innego sposobu dostania się tam. Droga kończy się na tym płaskowyzu.

Doktor pokazał na kościół.

- Za cmentarzem jest polna droga, wystarczająco szeroka dla samochodu. Możemy wyjechać z miasta, minąć kościół, a potem dojechać z powrotem do Spotting Mountain Road.

- Nie widzę żadnej drogi.

- Nie ma jej na mapie. Zabiorę się z tobą. Ellen może pojechać moim wozem prosto do tego kanału odwadniającego i tam się z nami spotkać.

- Jeśli pan Bissel uważa, że można mi zaufać - wtrąciła. Frank nachylił się i delikatnie złapał ją za brodę.

- Wiem, że się denerwujesz, Ellen. Obiecuję ci, że wydostanę twoją małą siostrę, doprowadzę ją do normalnego stanu i zwrócę ci ją. Zadzwoń, jak tylko dotrę do Utica i będziesz mogła przylecieć tam jak na skrzydłach. Zgoda?

Ellen wyglądała jak bezradne dziecko.

- Zgoda - odpowiedziała cichutko.

Springer i Bissel wyszli pierwsi. Psychiatra zaparkował za motelem tak, że samochodu nie było widać od strony drogi. Kiedy otworzyli drzwiczki, wewnętrzne lampki nie zapaliły się, ale w poświacie padającej z okien motelu Alan zauważył metalowe kółka przytwierdzone do tylnego siedzenia. Frank rzucił swój pas na podłogę i zapuścił silnik.

Bissel jechał osiemdziesiątką, aż dotarli do miasta, a potem spokojnie, pięćdziesiątką po Main Street. Kiedy mijali z daleka pełne ludzi Centrum Rozrywki, wskazał głową na jaskrawe światła.

- Co chcecie z tym zrobić?

- Niewiele możemy - przyznał Springer. - Jednak zdaje się, że nie robią krzywdy miejscowym dzieciakom.

- Naprawdę? - odezwał się Frank bez przekonania. Skręcili.

- Zakręt jest zaraz za kościołem - widzisz go? Bissel pojechał prosto.

- Minąłeś go!

- Widziałem. Chcę wziąć go z drugiej strony.

Wcisnął gwałtownie pedał gazu i ciężki samochód wyskoczył do przodu. Jechał główną drogą jeszcze trzy kilometry z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę, po czym zahamował i zawrócił w kierunku miasteczka. Dwieście metrów przed kościołem Bissel zgasił światła i powoli podjechał do polnej drogi. Cadillac cichutko, przetoczył się za cmentarzem. Springer zobaczył światło w pokoju wielebnego Daviesa. Biały odbłask jarzeniówki - pastor kończył swój model żaglowca.

Dotarli do Spotting Mountain Road i Frank zahamował ręcznym, aby nie zapaliły się światła z tyłu. Droga była wolna. Ostrożnie wjechał na tłuczniową nawierzchnię i przejechał czterysta metrów, zanim ponownie włączył reflektory. Granaty w pobliskich skałach odpowiedziały rozbłyskami.

- Czy Ellen wiedziała, że dzisiaj przyjedziesz? - spytał Springer.

- Tak.

- Kiedy się dowiedziała?

- Dzwoniłem w zeszłym tygodniu. A co?

- Tak tylko pytam.

- Oczy Bissela strzeliły w jego kierunku, ale doktor gapił się na drogę. Po przejechaniu półtora kilometra Frank ze zgaszonymi światłami zatrzymał się z boku drogi.

- Uważaj na rów - ostrzegł go Springer.

- Nie martw się o to - Bissel zjechał z drogi jeszcze bardziej, aż wóz się przechylił.

- Uważaj! - rzucił Allan. - Jedziesz prosto do rowu! Samochód zaturkotał po jakichś grubych deskach i po chwili psychiatra zaparkował w lesie, chichocząc w ciemności.

- Zbudowałem zeszłej nocy mały mostek.

- Jak znalazłeś tę przecinkę?

- Zrobiłem ją sam. Chodźmy.

Gwiazdy świeciły słabiutko, tak że ledwie było widać grunt pod nogami. Bissel chwycił Springera za ramię i wyprowadził po deskach z powrotem na drogę. Właściwie

mostek składał się z dwóch grubych kłód, tak że doktor podziwiał, jak Frank zdołał tak dokładnie trafić na nie kołami. Gdyby pojechał o trzydzieści centymetrów obok, wóz leżałby już w rowie, czekając na półciężarówkę Granda, aż go wyciągnie.

Z odległości trzech metrów biały samochód był zupełnie niewidoczny. Podeszli drogą do rowu odwadniającego.

- Zaczekaj tu - powiedział Bissel. - Uważaj na Ellen.

- Dokąd idziesz?

- Myliłeś się co do odpływu. Zagrodzili go drutem kolczastym. Zniknął w ciemności i po minucie Springer usłyszał ostry dźwięk nożyc do cięcia drutu. Na drodze było widniej niż wśród drzew i zaczął przyzwyczajać się do ciemności.

Jego wzrok poraziły światła samochodu. Instynktownie schował się do rowu, aż zobaczył Ellen za kierownicą. Frank był już z powrotem. Alan nie usłyszał, kiedy tamten podchodził.

- Ty prowadź.

Doktor wsunął się na miejsce kierowcy. Ellen została przy nim, kiedy Bissel wsiadał z drugiej strony. Nic nie mówiła, ale jej twarz ciągle miała wyraz dziecięcej bezradności, jak w motelu.

- Światła - przypomniał psychiatra.

Springer wyłączył je, do czasu aż wycofał samochód. Potem pojechał z powrotem w dół i przez miasteczko, aż dotarli do Rock Road - drogi, która okrążała południową stronę góry Spotting. Stały tam skupiska letnich domów, łatwo rozpoznawalne dzięki jasnej, bursztynowej poświacie, sączącej się z ich dużych okien; coraz rzadsze, w miarę jak droga zaczynała się wspinać na oddalone zbocze góry. W końcu, po przejechaniu jakiegoś półtora kilometra w zupełnej ciemności, Springer skręcił w przecinkę, używaną kiedyś przez drwali, piaszczysto-żwirową drogę, wijącą się przez las.

- Jak daleko do płotu? - pytał Bissel.

- Czteryście metrów.

- Zatrzymaj się. Zgaś światła.

Doktor zatrzymał samochód. Psychiatra wyjął żaróweczkę spod sufitu, rzucił ją na kolana Ellen i wysiadł z wozu.

- Zawołam was, jak tylko będę na drodze.

Ellen wyciągnęła rękę przez otwarte okno i złapała go za ramię.

- Jeśli będzie stawiała opór, to nie jej wina. Powiedz, że ja cię przysłałam.

- Dam sobie z nią radę - zapewnił Bissel. Przeszedł dwa kroki i zniknął w ciemności. Ellen patrzyła za nim. Alan odczekał parę chwil. Pogłaskał jej kolano, by się uspokoiła.

- Nie mogę uwierzyć, że już prawie po wszystkim.

Bissel biegł niczym zwierzę, szybko i pewnie, suwając nogami po ziemi, żeby od razu wyczuwać ewentualne nierówności. Teraz, gdy jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności, widział wyraźnie podwójny rząd drzew, zasłaniający niebo po obu stronach drogi.

Pas do wspinania lekko uderzał go po nogach. Wreszcie zauważył płot siedziby Bractwa, kiedy znajdował się o jakieś siedem metrów od niego. Skręcił w lewo, przesuując rękoma po pasie, aż upewnił się, że wszystkie zaczepy były zamknięte.

Wąwóz. Przykucnął i usiadł na płaskiej skale, słuchając własnego oddechu. Kiedy zwolnił się na tyle, że znów słyszał odgłosy nocy, nadstawił uszu. Minęło pięć minut. Był sam. Przeciął siatkę w górę i na bok, odgiął wycięty fragment, prześliznął się przez dziurę i zamknął ją z powrotem. Czołgał się na brzuchu wzdłuż wąwozu, aż wyczuł, że doszedł do krawędzi uskoku. Znów nasłuchiwał, patrząc w otaczającą ciemność. Nikogo.

Odczepił zwój liny, przypiął ją do drzewa rosnącego na krawędzi wąwozu i rzucił w dół. Zaświecił na moment latarkę. Zanim go oślepiła, zobaczył dno wąwozu. Lina sięgnęła. Odczekał parę minut, aż znów przyzwyczaił się do ciemności, a potem zsunął się w dół, odpychając stopami od skał. Gdy był już na ziemi, odczuwał ból ramion. Przeszedł po omacku kilka metrów, aż dotarł do otwartej przestrzeni.

Teren wydawał się jasny w świetle gwiazd. Bissel trzymał się jego granicy, schodząc po pochyłości gruntu. Doszedł do drugiego wolnego od drzew obszaru i wtedy zobaczył

niebieskie światła budynku.

Kroczył w kierunku kolejnych polanek, rozglądając się ostrożnie wokoło. Minął jeszcze dwie, odpoczął chwilę i wśliznął się do małego lasu na wzgórzu, kilkaset metrów za budynkiem. Odkręcił plastikowy pojemnik i rozlał jego zawartość szerokim kołem pośród liści. Stał od strony wiatru, zapalił zapałkę, rzucił ją i pobiegł.

- Zostajesz ze mną? - spytała Ellen, kiedy dotarli do motelu. Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał dziesiątą trzydzieści.

- Jasne; zadzwonię tylko do szpitala.

Zaparkował od tyłu i poszli do jej pokoju. Ellen zamknęła drzwi i oparła się o nie.

- Cieszę się, że wyjeżdżam - powiedziała. - Nie wiem, czy mogłabym dłużej ciągnąć ten małomiasteczkowy romans.

- Wielkomijskie romanse są lepsze?

- Żony mieszkają na przedmieściach - wyjaśniła. - Ukłękła za łóżkiem i wyciągnęła dwie eleganckie walizki, podczas gdy dzwonił. Kiedy odłożył słuchawkę, usprawiedliwiła się:
- Przepraszam, nie mówiłam tego na serio. Jestem taka zdenerwowana.

Springer ujął jej dłonie.

- Przykro mi, że wyjeżdżasz.

- Dziękuję ci, Alanie. Byłeś prawdziwym przyjacielem. Nie wiem, jak bym dała sobie radę, gdybym nie mogła z tobą rozmawiać.

- Przesadzasz.

- Poważnie. Było ze mną krucho, kiedy tu przyjechałam. Zadrżała. - Boże, cieszę się, że to już koniec. - Pozwoliła Springerowi wziąć się w ramiona i pieścić, ale kiedy pocałował ją w szyję, odsunęła się od niego.

- Muszę się pakować.

Otworzyła szafkę i dużą szafę, po czym zaczęła przekładać ubrania do walizek, składając z wprawą każdą część garderoby. Doktor rozejrzał się po maleńkim pokoiku.

Szafka, fotel i łóżko praktycznie wypełniały go niemal zupełnie.

- Nie masz niczego do picia? - spytał.

- Nie, przykro mi. Może nocny portier mógłby coś przynieść.

- Nieważne.

Wyprostowała się, patrząc z niepokojem znad walizek.

- Mam nadzieję, że Frankowi nic się nie stało.

- Nie pierwszy raz to robi - uspokajał łagodnie Springer. - Działał tak, jakby urodził się po to, aby czołgać się z nożem w zębach.

- Powiedział mi, że był w jednostce wywiadowczej w czasie wojny koreańskiej.

- Teraz rozumiem - stwierdził Alan.

Usiadł w fotelu i patrzył, jak Ellen się pakuje. Przygnębiało go to, że ona wyjedzie, chociaż nie wiedział dlaczego. Rozmawiali tylko o Rose i Błękitnym Bractwie, a kochali się jeden raz, w ostatnią niedzielę na górze. Może powodem było to, że Ellen podzielała jego obawy co do wyznawców sekty. Teraz, kiedy wyjedzie, zostanie sam.

- Co zamierzasz robić? - zapytał. Spojrzała na łóżko.

- Robić?

- No, wiesz. Kiedy będzie po wszystkim; jakie masz plany?

- A, no cóż... Zabiorę Rose do domu i będę się nią opiekować, aż całkiem wyzdrowieje.

- Czy zastanawiałaś się, co zrobisz, jeśli psychoterapia nie podziała?

Teraz Ellen była spięta.

- Podziała. Jeśli Frank Bissel sobie z tym nie poradzi, to sama się nią zajmę. Ona będzie normalna.

- Jestem pewien, że Frank zdoła to zrobić.

- Tak - rzuciła, patrząc płonącym wzrokiem.

- Co będziesz robić, kiedy Rose zostanie wyleczona?

- Nie wiem. Chyba wrócę do pracy. Może zamieszka ze mną. Mogłybyśmy żyć w jednym pokoju. Myślę, że jej by to odpowiadało.

- Na pewno - zgodził się Springer. Ellen wyłowiła z torebki kawałek papieru.

- Alanie, tu jest numer mojego konta. Czy mógłbyś jutro wysłać mi czterysta dolarów? Oddam ci je, jak tylko będę mogła. Na adres szpitala?

- Może być na adres szpitala. Poślę czek bankowy, żeby mógł być zrealizowany jak najszybciej.

- Dziękuję - zabębniła palcami po prawie pełnych walizkach i rozejrzała się po pokoju.

- Pomogę ci - powiedział Alan.

Jednocześnie sięgnęli po jej czepek kąpielowy. Doktor roześmiał się smutno.

- Myślimy podobnie. Ja będę podawał, a ty układaj. Ellen odpowiedziała uśmiechem.

- Dwoje bardzo efektywnych ludzi. Rzadkie okazy. Springer przyniósł jej przybory kąpielowe i trzymał je, a ona układała tubki i butelki.

- Kiedy wyślesz mi pieniądze - mówił - a zupełnie nie ma pośpiechu, załącz swój adres i numer telefonu. Czasami wpadam do Nowego Jorku.

- Sam?

- Mogę. Uśmiechnęła się.

- Byłoby miło.

- Zadzwoń najpierw. Gdybyś miała kogoś, dam ci szansę na pozbycie się go.

- Nie planuję mieć nikogo.

- Różnie się zdarza.

- Mówiłam ci, mnie się za dużo zdarzało. Jestem teraz bardzo ostrożna.

- O czym ty mówisz?

- Przestań mnie wypytywać! - zniecierpliwiła się w końcu.

- Chciałbym wiedzieć jeszcze tylko jedno. Dlaczego przeszedłem przez twój filtr?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Springer odwrócił wzrok, widząc jej puste spojrzenie.

- Nie, dziękuję. Domyślam się. - Zaczął się odwracać, ale zobaczył, jak w jej oczach narasta zdumienie, potem nastąpił błysk zrozumienia, a wraz z nim przerażenie.

- Nie! - krzyknęła, łapiąc go za ramię. - Nie. Nie zrobiłam tego dla pieniędzy.

- To ty powiedziałaś, nie ja. Potrząsnęła głową.

- Nie, Alanie, przepraszam. Wiedziałam, że w końcu wyjadę i nie powinnam była się wiązać. Nie mogę dać sobie z tym rady. Nie potrafię mieć mężczyzny, który mnie potrzebuje.

Springer przytaknął, nie do końca pewien, czy w to wierzyć.

- Nie pomyślałaś sobie, że mogę cię potrzebować, kiedy wyjedziesz, jeśli w ogóle cię potrzebuję?

- To nie będzie mój problem, kiedy wyjadę. Przepraszam, Alanie, ale taka już jestem.

Doktor uśmiechnął się.

- Widziałem już gorsze. - Nadstawił uszu. - Słyszałaś coś? Ellen zaczęła nasłuchiwać.

- To wiatr. Dmucha coraz mocniej... Odwiedzisz nas w Nowym Jorku?

- Nas?

- Rose i mnie.

- Z przyjemnością... Chcę, żebyś coś wiedziała. Nie...

Trzy głośne, energiczne stuknięcia w drzwi przerwały mu. Spojrzeli po sobie.

- Kto to? - wymówił ruchem warg.

- Frank? - szepnęła Ellen. Springer potrząsnął głową.

- Zobacz, kto to. Zaczekam w łazience.

Usłyszeli zgrzyt samochodu jadącego po żwirze parkingu. Doktor wszedł do łazienki zostawiając nie domknięte drzwi.

- Kto tam? - zawołała Ellen. Nikt nie odpowiedział.

Obejrzała się na Alana, wzruszyła ramionami i przekreśliła klucz. Klamka poddała się z suchym szcękaniem i drzwi uchyliły się nieco. W progu stał Frank Bissel w swojej tweedowej kurtce i codziennych spodniach, oparty plecami o drzwi tyłem do pokoju, jak gdyby czekając oglądał sobie parking. Ellen odsunęła się na bok.

- Frank?

Bissel zachwiał się, a potem nabierając szybkości, niczym ścięty dąb, wpadł tyłem do pokoju i runął jak długi na ziemię. Jego głowa była odchylona pod nienaturalnym kątem od sztywnego korpusu.

Czek Ellen wyfrunął z kieszeni na jego piersiach, jak suchy liść.

Ellen zamknęła drzwi. Żeby to zrobić, musiała odepchnąć na bok jedną ze stóp Bissela. Poruszała się mechanicznie, jej oczy rozszerzyły się, usta napięły. Springer przyklęknął koło ciała. Nie ma oddechu. Nie ma pulsu. Bissel był martwy.

Ellen jęknęła zasłaniając sobie dłońmi usta. Przerazenie zdawało się obezwładniać kobietę. Doktor przytulił ją do siebie. W chwilę później odsunęła się, głos miała prawie normalny.

- Słuchaj. Jedź do szpitala.

- Po co?

- Zadzwoń tam, że jest ranny. Potem zatelefonuję po policję. Przyjedziesz swoją karetką, na wezwanie.

- Dlaczego tak...?

Pytania przelatywały mu przez głowę. Co się stało z ubraniem Bissela? Sposób, w jaki Frank upadł, wskazywał na to, że już nie żył, zanim uderzył w podłogę. To, że zabili go sekciarze z Błękitnego Bractwa, nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Dlaczego podrzucili go w ten przerażający sposób? Potrząsnął głową, próbując uspokoić myśli. Nie wiedział, co się stało i o czym mówiła Ellen.

- Po co...? - wymamrotał znowu.

- Nie możesz tu zostać, Alanie. To by oznaczało dla ciebie wszelkie możliwe kłopoty. Jedź. Powiem im, że podwiozłam go wokół góry. - Popchnęła Springera w stronę drzwi. - Pospiesz się. Zadzwoń za pięć minut. Upewnij się, czy nikt nie obserwuje domu.

Doktor otworzył drzwi. Cadillac Bissela stał zaparkowany koło samochodu Ellen; nie zauważył go, kiedy psychiatra wpadł przez drzwi. Wszystko stało się tak nagle. Nie spostrzegł nikogo na parking, więc przeszedł szybkim krokiem wzdłuż długiego, niskiego budynku i wsiadł do swojego wozu.

Po drodze do szpitala zaczął się uspokajać. Był wdzięczny Ellen, jej błyskawiczna

decyzja oszczędziła mu masę problemów; dowodziło to, że dziewczyna się nie załamała. Gdyby tak było, nie opanowałaby się tak szybko.

Praktykant zdziwił się na jego widok. Springer płacił mu za pracę w nocy, tak że sam nie musiał dyżurować i zazwyczaj korzystał z tego przywileju.

- W porządku, Mel - powiedział, kiedy młody człowiek rzucił swoje czasopismo i podniósł się na nogi.

- Pomyślałem sobie, że sprawdzę naszego szofera. Kierowca ciężarówki pokaleczył się tego popołudnia i był w lekkim szoku.

- Śpi - wyjaśnił Mel.

- Wcale się nie budził?

- Zjadł obiad o siódmej i trochę oglądał telewizję.

- Dzięki. Zajrzę do niego.

Kiedy odwracał się w kierunku sali szpitalnej, zadzwonił telefon. Mel odebrał, słuchał. Springer przystanął i czekał z zaciekawieniem.

- Co tam? - spytał, kiedy praktykant odłożył słuchawkę.

- Ktoś został ranny w motelu. Kobieta, która dzwoniła, jest w szoku.

- Zostań - zarządził Alan. - Ja tam pojedę.

Pięć minut później siedział koło Reggie'ego; pędzili karetką przez Main Street, z błyskającymi światłami, ale wyłączoną syreną.

Ellen stała w otwartych drzwiach pokoju. Jej drobne ciało wydawało się kruche i delikatne w ostrym świetle reflektorów.

- To ta laska ze sklepu - powiedział Reggie, zatrzymując wóz. Springer wyskoczył z torbą w rękę, a Reggie podjechał tyłem pod drzwi.

- Zadzwoniłaś na policję? - wyszeptał Alan, klękając koło ciała.

- Tak. Jak się czujesz?

- Wszystko w porządku; dobrze, a ty?

- Ja też - powiedziała cicho. - Pamiętaj, że się znamy i że spotkałeś Franka parę tygodni temu.

Springer podniósł wzrok, kiedy Reggie przykucnął koło niego.

- Tlen? - spytał kierowca. Zobaczył złamany kark Bissela. - Och, chyba nie.

- Chyba nie - zgodził się Alan. Spojrzał na Ellen, która splotła dłonie. - Co się stało?

Dalszą grę przerwało im głośnie przybycie policji stanowej oraz Charlie'ego Danielsa, którego jurysdykcja nie sięgała tak daleko od miasteczka, ale czuł się zobowiązany, by przyjechać. W ciągu paru minut na parkingu zapanowała atmosfera sensacyjnego filmu -nieustanne błyski czerwonych i białych świateł, zgiełk, rozmowy w radiotelefonie, zaciekawieni goście motelowi stojący w drzwiach swoich pokoiów, w koszulach i piżamach.

Springer przyglądał się twarzy Bissela, która była nienaturalnie biała w świetle flesza, gdy policyjny fotograf robił zdjęcia. Alana opanował nagły, głęboki żal. Masywne ciało psychiatry zdawało się zanurzać w śmierci, kurczyć się nieomal w oczach. Chciał, żeby już je przykryli i zabrali. Fotograf skończył swoją pracę, laborant obrysował na ziemi kontur grubą białą kredą. Ubrany po cywilnemu detektyw z wydziału zabójstw przykucnął bliżej, aby przyjrzeć się ostatni raz, i pomógł laborantowi zakryć ciało. Po chwili wstał i zapalił papierosa.

Springer wymienił parę nieistotnych uwag z policjantami, jak przy każdym wypadku. Starali się być mili, nic ich nie dziwiło, gdyż przez lata służby przyzwyczaili się do widoku śmierci. Doktor przyglądał się, jak kapitan McNelty wypytuje Ellen. Stali o parę metrów od niego. Wyglądała na zmęczoną tym wszystkim; poczuł ulgę, kiedy kapitan kiwnął na niego głową.

- Panna Barbar mówi, że pana zna.

- Tak. Jak się czujesz, Ellen? Chcesz valium?

- W porządku - na jej skroni pulsowała cienka żyłka. McNelty był najmłodszym

kapitanem w całym stanie; stał przed nimi w nienagannie wyprasowanym mundurze i wypolerowanych butach. Kowbojski kapelusz policjanta dodawał z dziesięć centymetrów do metra osiemdziesięciu wzrostu. Na jego inteligentnej twarzy pojawił się błysk zaciekawienia.

- Zdaje się, że znał pan również Bissela. Springer spojrział na ciało.

- Tak, poznaliśmy się niedawno. Wypiliśmy parę głębszych u Henry'ego. Cholernie sympatyczny facet.

- Wie pan, co on tu robił?

- Przypuszczam, że próbował włamać się do Błękitnego Bractwa, żeby kogoś uratować.

- Czy to o tym rozmawialiście?

- Tak.

- Al, dlaczego...? Doktor wzruszył ramionami.

- Polubiłem go. Zgadzałem się z tym, co robił. Nie przypuszczałem, że zostanie zabity.

- Dlaczego uważasz, że został zabity?

- Ellen mówi, że upadł do pokoju, kiedy otworzyła drzwi. Nikt nigdy nie złamał w ten sposób karku, tak się przewracając. Poza tym, kiedy tu przyjechałem, był już dość zimny. Musiał nie żyć od godziny czy dwóch, jak oceniam.

- Jest chłodna noc - powiedział McNelty. - Lekarz sądowy to zbada.

- Oczywiście, że został zamordowany - rzuciła Ellen stanowczym głosem. Miał w kieszeni mój czek. Oni próbują mnie odstraszyć.

- Nawet nie wiemy, że tam był - odrzekł kapitan.

- Mówiłam panu, że go tam podwoziłam - przypomniała Ellen. - Podrzuciłam go na tę starą drogę leśną koło Rock Road.

- Sugerowałem mu kiedyś, że tamtędy można się przedostać - dodał Springer.

McNelty pokręcił głową.

- Nie wiem, jak mogłeś się w to wmieszać, Al.

- Cóż, wmieszałem się; byłbym wdzięczny, gdyby nie wymieniano mojego nazwiska w sprawie.

- Mogę sobie wyobrazić, że byłbyś - stwierdził kapitan.

- Co pan zamierza z tym zrobić? - wtrąciła się Ellen. - Bissel nie żyje, a moja siostra ciągle tam jest, mam nadzieję, że żywa.

- Proszę się uspokoić - mówił McNelty. - Wszystko po kolei.

- Miał na sobie inne ubranie, kiedy tam szedł - powiedziała Ellen.

- Tak, rozumiem.

- A jego samochód był zaparkowany na drodze Spotting Mountain. Wiele kilometrów od miejsca, do którego go podwiozłam.

- Tak - kapitan zaprowadził Ellen do policyjnego wozu. Potem zamknął drzwiczki i wzięł Springera na bok. Mówił po cichu.

- Posłuchaj, Al. Mogliby mnie wywalić za takie teksty, ale pytam cię, czy znasz jakiś powód, dla którego powinienem jej uwierzyć?

- Tak - stwierdził doktor.

- Cholera; tak pomyślałem, że tam byłeś.

- Tego nie powiedziałem. Mówię, że znasz mnie, a ja wiem, że ona nie kłamie. Zawiozła go na miejsce. Musiał tam wejść, a oni go złapali.

McNelty potrząsnął głową.

- Jeśli mój laborant nic nie znajdzie - a do tej pory nie znalazł - to nie ma żadnych śladów walki. Żadnego dowodu morderstwa. Nic. Jedyne co możemy udowodnić, to że upadł w drzwiach, kiedy je otworzyła.

- Może odnajdziecie miejsce, przez które przedostał się do ośrodka sekciarzy.

- Może. I przeszukamy jego wóz, a także ubrania. No i zobaczymy, co wykaże autopsja - uśmiechnął się. - Może będziemy mieli szczęście i znajdziemy w nim kulkę. Alan uśmiechnął się blado.

- Jeżeli powinienem się przyznać, że z nią byłem, to się przyznam. Wyznanie to uczyniło go dłużnikiem McNelty'ego. Kiedyś się mu odpłaci, prawdopodobnie składając jakiegoś więźnia, który się poharata.

- Oszczędź sobie tego bohaterstwa - powiedział kapitan. - Jeśli nie widziałeś, jak przełaził przez płot, twoje zeznanie nie będzie wiele warte.

- Nie widziałem, jak wchodził na teren ośrodka.

- No to zdaje się, że nie mamy sprawy - McNelty sięgnął do klamki swojego wozu.

- Chcesz, żebym pojechał z tobą? - spytał Springer. Spojrzał na Ellen, która wydawała się taka drobna na tylnym siedzeniu policyjnego krążownika szos.

- Nie - odparł kapitan. - Wypisz tylko akt zgonu i wyślij faceta do kostnicy, kiedy moi chłopcy skończą. - Wsiadł do samochodu i pognał szosą na południe, w stronę Rock Road.

Ktoś odsłonił Bissela. Przyjechały następne samochody. Springer czekał, aż lekarz sądowy skończy swoje i zrobią dodatkowe zdjęcia. W końcu laboranci kiwnęli, że już po wszystkim i Alan dopilnował, by ciało znalazło się w karetkce. Reggie pojechał do policyjnej kostnicy w Warrington, z włączonym radiotelefonem; na wypadek nagłego wezwania ze szpitala. Doktor popatrzył za nim. Nie lubił, kiedy jego karetka służyła za karawan, ale takie podwójne zastosowanie było czymś zwykłym w tej słabo zaludnionej okolicy. Po paru minutach wrócił McNelty.

Kapitan pomógł Ellen wysiąść z samochodu. Drżała, była bliska hysterii. Springer zaprowadził ją do pokoju. McNelty podążył za nimi.

- Nie wierzą mi - wymamrotała Ellen wbijając paznokcie w ramię Alana.

- Połóż się - powiedział łagodnie. - Coś ci dam. Kapitan czekał w drzwiach. Skinął głową na Springera. Rozmawiali cichym szeptem.

- Nic - powiedział McNelty. - Nie znaleźliśmy miejsca, gdzie mógł wejść. Sprawdzimy jeszcze w dzień. Lepiej daj jej coś; histeryzuje na temat swojej siostry.

- Zaopiekuję się nią. - Mylił się wcześniej co do jej stanu. Była w szoku. Dał jej szklanekę wody.

Doktor zamknął drzwi. Przyniósł jej valium Usiadła gwałtownie, rzucając dzikie spojrzenie.

- Rose. Nie pomogą jej. Powiedzieli...

- Ciii... Weź to.

Przytrzymał ją ramieniem i próbował wsunąć valium do ust. Ellen szarpnęła się do tyłu i krzyknęła:

- Nie rozumiesz? Ona jest tam, na górze. Co oni jej robią?

- Uspokój się, Ellen. Zsunęła nogi z łóżka.

- Chodźmy, zanim będzie za późno. Springer chwycił ją za ramię.

- Nie, Ellen. Połknij pastylkę. Weź ją. Patrzyła na tabletkę, leżącą na jego palcach.

- Musimy ją ratować - jej głos brzmiał przeraźliwie obco.

- Weź pastylkę, Ellen.

Wybiła mu ją z ręki. Kiedy próbował podnieść lekarstwo z połańdowanej kapy, Ellen nagle zerwała się z łóżka i wybiegła z pokoju. Springer wyskoczył za nią. Parking był cichy i pusty; samochody policyjne odjechały, goście wrócili do pokojów. Ellen pędziła do swojego wozu.

- Zaczekaj - krzyknął Springer. Rzucił się za nią, ale zanim zdążył dobiec do samochodu, zamknęła się w środku. Zaczai walić w szybę i krzyczał, żeby otworzyła okno. W mdłym świetle latarni zobaczył, jak podnosi się na siedzeniu, szukając kluczyka w kieszeni obcisłych džinsów. Szarpnął za klamkę, błagając, żeby otworzyła.

Znalazła kluczyk, wpakowała go do stacyjki i zapaliła. Alan odskoczył, gdy samochód z rykiem ruszył gwałtownie w tył, wyrzucając błoto i żwir spod kół.

- Poczekaj!!! - wrzasnął.

Ellen przełączyła bieg i omijając doktora wypadła z parkingu na szosę. Przejechała kilkaset metrów, zanim zapaliła światła, potem z poślizgiem skręciła i już jej nie było.

Springer rzucił się w stronę swojego samochodu, zanim przypomniał sobie, że przecież przyjechał tu karetką. Wyszarpując z kieszeni dziesięciocentówkę, pobiegł do automatu i zadzwonił do Charlie'ego Danielsa.

- Policja Hudson City.

- Charlie, Alan Springer. Ellen Barbar przed chwilą wybiegła z motelu. Jest w hysterii. Pojechała do Błękitnego Bractwa.

- Samochodem?

- Tak. Zatrzymaj ją.

- Dobra... o kurczę, właśnie pognała Main grzejąc jak odrzutowiec. Dogonię ją. - Trzasnęła odkładana słuchawka. Doktor też odwiesił swoją i pobiegł truchtem w kierunku miasta.

Dziesięć minut później, z walącym z wysiłku sercem, dotarł do szpitala, znalazł swój wóz i ruszył drogą Spotting Mountain. Na każdym zakręcie spodziewał się Danielsa, stojącego nad wrakiem samochodu Ellen, ale zobaczył go dopiero pod bramą ośrodka sekty.

Policjant był sam. Oglądał ziemię koło wjazdu w świetle reflektorów radiowozu. Springer wysiadł z samochodu. Wysoko w budynku paliło się pojedyncze, niebieskie światło.

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem - odpowiedział Daniels.

- Jak to nie wiesz? Policjant wyprostował się.

- Niech pan się nie denerwuje, doktorze. Wydawało mi się, że widziałem, jak skręcała w Spotting Mountain Road. Wydawało mi się, kiedy tu przyjechałem, że widziałem w świetle reflektorów lekki kurz. Teraz nie jestem tego wcale pewien. Mogła skręcić w którąś z leśnych dróg, gdzieś niżej.

- Po co miałyby to robić? Nie zna tam nikogo. Daniels spojrział na górę, ledwo odcinającą się na tle nieba.

- Może pojechała dalej.

Wsiedli do radiowozu i pojechali wzdłuż terenu należącego do Bractwa i dalej, zwirową drogą do parkingu pod szczytem Spotting Mountain. Daniels wycelował reflektor w stojący tam pojedynczy samochód. Zobaczyli dwie przerażone twarze. Policjant włączył na dachu podświetloną tablicę z napisem "Policja", żeby pokazać, że nie są rabusiami, i zapytał, czy nie widzieli innego samochodu. Nie widzieli.

Kiedy wracali do wozu Springera, Daniels wywołał przez radio policję stanową i powiedział im, że kobieta, która znalazła trupa w motelu Pines, nagle wyjechała z miasteczka.

- Ale ona może być tam, w środku - zaprotestował Springer.

- Nie widziałem, jak wjeżdżała. Ty nie widziałeś, jak wjeżdżała. Nie jestem nawet pewny, czy widziałem ją na tej drodze. Nie martw się, stanowi ją odnajdą.

- Dlaczego jesteś o tym przekonany? Daniels odparł:

- Bo okręgowy lekarz sądowy i prokurator będą bardzo niezadowoleni, jeżeli kobieta, która znalazła ciało, nie stawi się w czasie śledztwa.

- A co znowu stało się z tą kobietą? - spytał sarkastycznie lekarz sądowy okręgu Warrington.

Kapitan James McNelty spoglądał z pomieszczenia dla świadków jak osaczony wilk. Było gorąco - w budynku urzędu okręgowego zepsuła się klimatyzacja i lekarz wściekał się z tego powodu.

McNelty powtórzył, że policja jeszcze nie odnalazła świadka. Patolog, trzydziestopięcioletni mężczyzna, zajmujący swoje stanowisko o parę lat za długo, jak na dobrze zapowiadającą się karierę, gderał jeszcze przez chwilę, po czym spytał kapitana o wyniki śledztwa dotyczącego miejsca pobytu Franka Bissela przed jego śmiercią.

Policja stanowa przeszukała leśną drogę w dziennym świetle. Nie zauważono żadnych dowodów na to, że Bissel przecinał płot Błękitnego Bractwa, ani że posługiwał się liną, za pomocą której, jak mówiła Ellen Barbar, miał opuścić się na dno wąwozu. Jej twierdzenia podważało to, że brakowało jakichkolwiek odcisków palców na samochodzie, butach i pasie Bissela, poza jego własnymi.

Kiedy kapitan skończył, Springer wydał swoją opinię jako medyk sądowy. Podkreślił, że temperatura ciała denata wskazywała, iż Bissel umarł wcześniej i w innym miejscu. Wyniki autopsji, jak stwierdził lekarz sądowy, nie dostarczyły jednak innych dowodów na potwierdzenie tego faktu. Przedstawił kapitanowi swój raport: kręgosłup szyjny Bissela został złamany potężną siłą działającą z lewej strony; na ciele nie było śladów walki. Wywnioskował, że Frank umarł dlatego, iż złamał kręgosłup - upadając, lub może pomogli mu w tym nieznaní sprawcy - i zalecał, żeby policja stanowa przeprowadziła śledztwo we wszystkich kierunkach i dostarczyła wszelkie nowe dowody prokuratorowi okręgowemu Warrington.

Alan został w pustym pokoju; siedział kipiąc złością, wreszcie wstał i poszukał prokuratora przechodząc przez jasne korytarze urzędu okręgowego. Dopadł go w biurze. Prokurator spojrzał niedwuznacznie na zegarek, zrobił uwagę na temat panującego upału i zgodził się poświęcić Springerowi pięć minut. Skrzyżowali kiedyś szable w kampanii

wyborczej, w 1972 roku, i czuli ten chłodny szacunek, jaki mają dla siebie dawni przeciwnicy.

Doktor powiedział:

- Wiemy, że Frank Bissel został zamordowany. Wiemy, że chciał wyciągnąć dwoje ludzi z ośrodka Błękitnego Bractwa. Myślę, że możemy z tego wywnioskować, iż to członkowie sekty złapali go i zabili.

Prokurator był miniaturowym człowieczkiem. Podniósł swoją malutką, różową dłoń w geście upomnienia.

- Przypuszczamy, że Frank Bissel mógł zostać zamordowany. Nieszczęśliwa młoda kobieta, której na razie nie możemy odnaleźć, osobiście zainteresowana sprawą, powiedziała, że Bissel zamierzał wydostać dwoje ludzi z ośrodka Błękitnego Bractwa; wiem, że ty też tak mówisz. Nikt go nie widział, jak wchodził na teren posiadłości. Nikt go nie widział idącego przez ten teren. Wobec tego, możemy myśleć sobie co tylko chcemy, ale nie możemy udowodnić, że sekciarze go złapali i zamordowali, zwłaszcza teraz, kiedy nasz świadek zniknął.

Zirytowany Springer machnął ręką.

- Mówiłem ci - powiedział - że ostatni raz, kiedy ją widziałem, jechała w kierunku ich posiadłości. Myślę, że do tej pory tam jest.

- A ja ci mówiłem - skontrolował prokurator - że policja stanowa z Ohio odnalazła jej samochód na motelowym parkingu ponad sześćset kilometrów stąd. Skrzynia biegów była uszkodzona i wyglądało na to, że porzuciła go i zabrała się z kimś.

- Upozorowali to - odparł doktor.

- Co chcesz, żebym jeszcze zrobił?

- Przeszukaj teren ośrodka. Sprawa ciągle jest w toku.

- Nie możemy tego zrobić bez nakazu, a sąd, jak wiesz, odrzucił naszą prośbę.

- Sąd - podniósł głos Alan - to sędzia Lester Strunk, którego kuzyn Wilber reprezentuje Błękitne Bractwo.

Tym razem prokurator wyglądał na zirytowanego.

- Daj spokój, Springer. Wilber Strunk nie potrzebuje żadnej pomocy od swojego kuzyna. Przedstawił naprawdę solidne argumenty, dlatego jego klienci nie powinni być niepokojeni przez policję. Jeśli nie zdobędziemy bardziej przekonujących dowodów wiążących zgon twojego przyjaciela z posiadłością sekty, nie dostaniemy nakazu.

Alan burknął coś, wyrażając swoje oburzenie, i skierował się ku drzwiom.

Prokurator zerwał się zza biurka i zastąpił mu drogę. Zamknął drzwi kopiąc je swoją małą piętą i wyciągnął szyję, żeby móc coś powiedzieć wysokiemu doktorowi.

- Springer, bardzo chciałbym wnieść oskarżenie. Błękitne Bractwo to ciekawy temat. Miałbym tu każdą ze stanowych stacji telewizyjnych. Mógłbym wystartować w wyborach do stanowego senatu. Gdyby udało mi się doprowadzić do skazania ich, mógłbym nawet ubiegać się o fotel w Kongresie.

- Zdobądź nakaz od innego sędziego - proponował Alan. Prokurator okręgowy zniżył głos.

- Już próbowałem. Zablokowali moje działania w Albany. Braciszkanie mają tam dobre kontakty... Zdziwiło cię to?

Springer uspokoił się wreszcie.

- Nie bardzo. Po prostu nigdy nie przyszło mi to do głowy. Prokurator sięgnął do klamki.

- Trudno jest występować przeciwko takiej grupie, jak oni. Jeśli nie złapiesz kogoś na gorącym uczynku, nie możesz po prostu wtargnąć do czyjejś posiadłości. Teraz jest już zresztą za późno, żeby to wszystko przeszukiwać. Mieli mnóstwo czasu, aby zatrzeć wszelkie ślady. - Zamknął drzwi, które już zaczął otwierać. - Mówiąc między nami, McNelty skopał sprawę. Powinien był wpakować się tam natychmiast. Zachował się zgodnie z prawem. Bardzo źle. Nie będzie rozprawy.

- A co z tą kobietą? Prokurator otworzył drzwi.

- A co ma być?

- Albo jest więźniem, albo nie żyje.

- Springer, ty jesteś w to wszystko trochę za bardzo zamieszany. Stań z boku i przyjrzyj się temu, co mówisz. Nawet nikt jej nie widział w pobliżu posiadłości. Pogadaj ze swoim człowiekiem, z Danielssem. Wy tłumaczy ci to - prokurator pospieszył korytarzem. Doktor słuchał, jak jego obcasy stukają po wyfroterowanej podłodze.

Klinika była tego popołudnia zatłoczona. Kiedy weszła pielęgniarka z wiadomością, że Jackie i Roscoe Strattonowie chcą się z nim porozumieć, powiedział, iż będą musieli zaczekać. Za każdym razem, gdy odprowadzał pacjenta do drzwi poczekalni, widział ich, jak siedzieli tam ze smutnymi minami, kręcąc się niecierpliwie. W końcu, za kwadrans szósta, Springer załatwił ostatniego pacjenta i wyszedł do poczekalni. Znał ich, tak jak i większość młodzieży z miasta.

- Co tam, jesteście chorzy?

- Nie - odezwał się Jackie, młodszy z nich. Tracił brata łokciem.

- Czy możemy z panem porozmawiać, doktorze Springer? - spytał Roscoe.

- Jasne. O czym?

Chłopak spojrzał na recepcjonistkę, która uprzątała swoje biurko, zbierając się do domu.

- To raczej prywatna sprawa...

Alan uśmiechnął się do swojej pracownicy.

- To gabinet lekarza. Nikt nie powie waszemu ojcu, że tu jesteście. Chodźcie. - Zaprowadził ich do swojego biura, zamknął drzwi i wskazał na kanapę. - Siadajcie. O co chodzi?

Zdejmując fartuch, podczas gdy chłopcy chrząkali z zakłopotaniem, pomyślał, że nie są dojrzały, jak na swój wiek, co nie było dziwne, zważywszy na to, jak krótko trzymał ich Ed Stratton. Nie mógł sobie wyobrazić, jak taka para niewiniątek mogła mieć problem, który wymagał rozmowy z nim. Kręcili się, mruczeli coś pod nosem.

- Niech was wreszcie usłyszę, chłopcy. Robię się głodny.

- Chodzi o Danny'ego Mosera - powiedział Roscoe.

- Ooo? - zainteresował się natychmiast Springer. - Wrócił? Chłopiec potrząsnął głową. Doktor podszedł do niego, zaniepokojony łzami, które pojawiły się w jego oczach.

- Co się stało?

- Zdaje się, że Braciszkwowie go trzymają.

- Bali się cokolwiek powiedzieć, ponieważ nie wolno im było bawić się z Dannym, ale kiedy usłyszeli o Bisselu i Ellen Barbar, naprawdę się przestraszyli i przyszli do mnie. Wiedzieli, że szukałem tego chłopaka. Wycofali się wtedy - są trochę rozsądniejsi niż ten idiota i mają ojca, który by się o nich niepokoił - ale ostatni raz, kiedy widzieli Danny'ego, szedł pod górę, żeby się wkraść do ośrodka Bractwa. Od tamtej pory zniknął.

Charlie Daniels sięgnął przez biurko i podał Springerowi kartkę.

- To nadeszło dziś rano teleksem z Nowego Jorku. Nawet nie powiedziałem jeszcze jego matce. Zadzwoiłem tam zaraz. Znaleźli jego plecak w obławie antynarkotykowej. Był wśród tych, którzy uciekli policji.

- Są tego pewni?

- W środku była jego kartka stołóvkowa. Razem z butelką quaaludes i innymi rzeczami.

- O Boże - doktor wzdrygnął się, wyobrażając sobie Danny'ego Mosera wałęsającego się po nowojorskich ulicach jak bezpański pies.

- Stracony facet, Al.

Następnego dnia Springer zdziwił się, widząc białego cadillaca Franka Bissela, zaparkowanego przed sklepem Rigby'ego. Wóz był umyty i wypolerowany, błyszczał niby upiorny rydwan. Zainteresowany doktor wszedł do sklepu, mając wrażenie, że zobaczy tam Bissela opowiadającego swoje najnowsze przygody w królestwie podziemi.

Przy ladzie, koło dystrybutora z napojami, było pełno ludzi, a Margy Rigby wyglądała na przerażoną tym, że musiała teraz spełniać obowiązki Ellen Barbar. Rozpaczliwie starała się poradzić sobie z ruchem, który panował w godzinach lunchu. Ujrawszy Alana, wskazała go

młodemu mężczyźnie, który obrócił się na swoim stołku i wyciągnął rękę.

- Jestem Rod Dwyer, doktorze Springer. Frank był moim przyjacielem.

Dwyer miał krótkie, kręcone czarne włosy i delikatną twarz. Alan uścisnął mu dłoń.

- Zdaje się, że widziałem pana podczas dochodzenia.

- Tak, sir. Wolałem wtedy pana nie niepokoić, ale chciałem podziękować za życzliwość.

- Nic takiego nie zrobiłem.

- Policjanci powiedzieli, że próbował pan walczyć, by nie zamknięto śledztwa.

- Zabiera pan ten samochód? - spytał doktor. Dwyer uśmiechnął się smutno.

- Zadzwonili do mnie prawnicy Franka. Zapisał mi go w testamencie. To była jedyna rzecz, jaką posiadał. Przyleciałem, żeby... żeby załatwić różne formalności - oczy Dwycera znieruchomiał. - Wysłałem jego ciało do Chicago. Miał tam siostrę.

Alan przyjrzał się młodemu człowiekowi.

- Jest pan studentem prawa w Stanfordzie, prawda?

- Tak. Frank mnie wyleczył. Springer przytaknął.

- Był z pana bardzo dumny. Powiedział, że okazał się pan jego najlepszym pacjentem i że wszystkie wysiłki warte były takiej chwili.

- Nie sądzę, by miał na myśli również swoją śmierć.

- Nie mówił w taki sposób, jakby miał zamiar umrzeć - odparł doktor.

- Przywrócił mi życie - w oczach Dwycera pojawiły się łzy.

- Był jedną z tych osób, których śmierci nie można sobie wyobrazić.

- Wiem - zgodził się Springer. - Kiedy zobaczyłem samochód, wydawało mi się, że zaraz go tu ujrzę.

Dwyer zamrugał oczami, płakał.

- Cholernie się boję. Jeśli taki facet jak on nagle umiera, to znaczy, że wszystkich nas to może spotkać.

Alan słuchał jego płaczu, brzęku talerzy i sztućców, szumu samochodów przejeżdżających za otwartymi drzwiami Main Street, skwierczenia mięsa na grillu. Przypomniawszy sobie swoje uczucia, kiedy był praktykantem w wieku Dwuyera i stracił swojego pierwszego pacjenta. Człowiek ten umarł nagle, w samym środku czegoś, co wydawało się świetnie przebiegającą rekonwalescencją po operacji.

Śmierć wydawała się wtedy okrutna.

- Co dostał w zamian za swoją pracę? - pytał gorzko Dwyer. Springer zmierzył go wzrokiem.

- Myślę, że zależy to od tego, co zrobisz ze swoim życiem. Młody człowiek drżał.

- Wiesz, co jest najidiotyczniejsze? Czuję ich tam, na górze.

- Błękitnych Braci?

- To jest jak fascynacja. Czuję się jak... ćpun, który wie, gdzie może zdobyć działkę. Jestem już od roku wolny, a ciągle kusi mnie, żeby tam pojechać i przyjrzeć się na nowo.

- Dlaczego?

Dwyer wyglądał przez wielkie okno sklepu. Ulicą przechodziło kilku sekciarzy, przejechał niebieski pick-up z opuszczoną tylną klapą. Na platformie siedziało troje ludzi ze zwisającymi poza krawędź samochodu nogami. Półciężarówka skrzyła, żeby ominąć jakiś samochód. Braciszki złapali jeden drugiego i trzymali się śmiejąc.

- Dlaczego? - powtórzył szorstko Alan.

Młody mężczyzna powrócił wzrokiem do ruchliwego sklepu, w którym siedzieli.

- Cel - powiedział. - Oni mają cel. Doktor rozłożył się na dobre.

- Znajdź sobie własny cel, synku. Dwyer nieoczekiwanie się roześmiał.

- Tak właśnie mawiał Frank.

- Frank miał rację. Nie brakuje ci celu; brakuje ci tego, że oni określali twój cel. Brakuje ci tego, że wszystko za ciebie robili. Brak ci wygody robienia tylko tego, co ci każą.

- To było coś więcej - ciągnął Dwyer. - To tak, jakbyś żył w rodzinie. Wiedziałeś, gdzie jesteś.

- Cholera - - przerwał Springer. - - Mówisz, jakby ci było szkoda, że tam nie zostałeś.

- Szkoda mi - zgodził się chłopak. Zamrugnął oczami, jakby zdziwiony przekonaniem we własnym głosie, i szybko dodał: -Czasami. Kiedy jestem samotny albo czymś przestraszony, albo zmartwiony. Wiem, wiem, nie musisz nic mówić. Wiem że to szaleństwo, ale ciągnie mnie tam. Czuję to teraz. Jestem samotny i wystraszony. Straciłem przyjaciela. Czuję wokół siebie taką pustkę, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy spotkałem wyznawców Błękitnego Bractwa.

Alan powstrzymał się od odpowiedzi. Usta Dwyera zaczęły drżeć, a oczy ciągle uciekały w stronę okna.

- Co oni dla ciebie zrobili, Rod? - spytał doktor łagodnie.

- Sprawili, że wszystko odeszło. Wszystko, co złe.

- W jaki sposób? Jak tego dokonali?

- W sensie technicznym? Przeladują twój umysł taką liczbą informacji o Michale, Chrystusie, Bogu, grzechu oraz ich misji ocalenia świata, że nie zostaje ci miejsca na twoje własne problemy. Nie pozwalają ci spać. Nie masz siły, żeby robić cokolwiek, poza tym, co ci każą. Jesteś wyczerpany.

- Jak w ogóle możesz rozważać przejście przez to wszystko od nowa?

- To było wyjaśnienie techniki - mówił Dwyer. - Tego, w jaki sposób to się staje. A staje się to, że życie nabiera sensu. Dostrzegasz swoje problemy jako egoistyczne bzdury. Musisz je czymś zastąpić, i wówczas odnajdujesz Boga. I zaczynasz służyć Michałowi. To nie takie kiepskie życie.

- To w ogóle nie jest życie - nie zgodził się Springer.

- Pewnie - ciągnął Rod. - Łatwo ci powiedzieć. Nie jesteś - poszukał odpowiedniego słowa - podatny. Ja jestem.

- Byłeś podatny.

- Jestem - powtórzył Dwyer. - Pomimo oddziaływania Franka - jego usta znowu zaczęły drżeć. - Nie wiem, co się ze mną stanie teraz, kiedy odszedł. Powiedział mi, że mnie zastrzeli, jeśli kiedykolwiek tam wrócę i wierzyłem mu.

Alan uśmiechnął się ze stanowczą miną.

- Cieszę się, że się spotkaliśmy, Rod. Chodźmy.

Złapał młodego człowieka za ramię, zauważając przy okazji, że jest mizernie umięśnione, i pociągnął go w stronę drzwi.

- Dokąd idziemy? - spytał Dwyer. - Nie zapłaciłem za moją kawę.

- Ja stawiam - powiedział Springer, prowadząc go przez chodnik. Zatrzymał się przy białym samochodzie, który iskrzył się

w południowym słońcu. - Wsiadaj.

- Co?

- Przyjmij, że jestem twoim nowym Frankiem Bisselem - otworzył drzwi i wepchnął Roda za kierownicę. Napisał mu na kartce papieru swój numer telefonu. - Jeśli kiedykolwiek chciałbyś odwiedzić Błękitne Bractwo - kiedykolwiek i gdziekolwiek - najpierw zadzwoń do mnie.

Dwyer wziął karteczkę.

- Wątpię, żebym... - zaczął.

- Moim pierwszym czynem jako Franka Bissela jest wsadzenie cię do tego samochodu i wysłanie bezpośrednio przez całe Stany do uniwersytetu Stanford. Nie mijaj jego siedziby. Nie rozmawiaj z żadnymi Braciszkami.

Rod spojrział na numer telefonu i odetchnął głęboko.

- Dziękuję ci. Już wszystko w porządku. Mówię poważnie; po raz pierwszy tak się czułem, odkąd mnie wyciągnął.

- Jedź już.

Dwyer zamknął drzwi i włączył silnik. Opuścił szybę. Nacisnął jeszcze raz guzik i z głośników ryknęła muzyka Boza Scaggsa.

- Zupełnie jak Frank. Krzykliwa, lecz pełna goryczy. Szyba z gwizdem podjechała do góry i samochód włączył się do dużego w okresie lata ruchu.

Doktor poczuł nagle smutek. Kogo ten młody człowiek spotka następnym razem, kiedy poczuje się słaby?

Przed sklepem Lewisa stała niebieska, odkryta ciężarówka. Od Mosera wracał pick-up. Bracia siedzieli na stosie różnych materiałów. Z błękitnego samochodu osobowego wysiadło właśnie sześć osób, idących na pocztę. Niebieskie coupe wjeżdżało do Centrum Rozrywki. Chodniki były pełne sekciarzy, niosących zakupy; wyróżniali się na tle miejscowych klientów.

Zastanawiał się, ilu ludzi mógł uratować Bissel. Pięćdziesięciu? Stu? Czy jego działanie miało jakieś znaczenie? Każdego weekendu doktor widział kolejne trzy autobusy nowo nawróconych.

Liczba wyznawców wzrastała. Mieli w sobie energię, wykonywali wszystkie rozkazy - uśmiechnął się kwaśno - dla osiągnięcia celu. Wszystko, czego potrzebowali, to ludzi, którzy nieporadnie poszukiwali sensu - jakiegokolwiek sensu w życiu, obojętnie jak mało skomplikowanego - takich Dwyerów i Moserów tego świata. Samotnych, nieświadomych, słabych, niezaspokojonych.

Bob Kent gnał przez Main Street, pracując łokciami. Bicylina o długotrwałym działaniu utrzymywała go w zdrowiu. Migdałki nie dokuczały mu od wiosny i kipiał energią, jaką ma w sobie wygłodniała wiewiórka. Podbiegł do Springera.

- Obserwowałem cię od jakichś pięciu minut. Obijasz się.

- Ja tylko czekam, aż ktoś mnie zaprosi do tego klimatyzowanego biura na drinka.

- A co, sprzedałeś szpital?

- Mam przerwę na lunch. Kent rzucił okiem na zegarek.

- Chodź. Możemy strzelić sobie po jednym. Przeszli przez ruchliwą Main Street.

- Czy biały Cadillac nie należał do tego psychiatry? - zapytał burmistrz. - Cieszę się, że już po wszystkim - mówił dalej. Wprowadził doktora do biura od frontu. - Widziałeś mój wywiad w "New York Timesie"?

- Od kiedy czytujesz "New York Timesa"?

- Odkąd zrobili ze mną wywiad na temat Błękitnego Bractwa. - Bob rozpromienił się.
- Mam stuprocentową ofertę kupna letniego domu.

- Gratuluję.

- Czemu jesteś taki smętny?

- Nie wiem. Z powodu Bissela... i w ogóle. Kent nalał dwa kieliszki burbona.

- Nie mam lodu.

- Nie szkodzi. Na zdrowie - Alan wychylił swojego drinka i wystawił rękę po jeszcze.

Kent uniósł brwi.

- Lunch, tak?

= Weekend się zbliża.

- Jest środa.

Doktor popijał drugi kieliszek.

- Co zrobimy z tymi skurczybykami? - spytał.

- Którymi skurczybykami?

- Błękitnymi Braćmi.

- Zrobimy? - upewnił się ostrożnie Kent. - Co masz na myśli mówiąc: "zrobimy"?

- Myślę, że wymykają się spod kontroli. Tutaj popełniono morderstwo, Bob. A teraz zaginęła ta dziewczyna. Zabili tam Franka Bissela, to pewne. I Bóg wie, co zrobili z Ellen Barbar.

- Nie wiemy, czy cokolwiek z tego jest prawdą - mówił burmistrz. - Pamiętaj, on ich napastował. To była sprawa pomiędzy tym psychiatrą i Ellen, chociaż słyszałem również coś o tobie, co mnie zresztą zdziwiło.

- Nie wierz we wszystko, co słyszysz.

- Dobrze - zgodził się Kent. - Od razu mi się to nie spodobało. Alan machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

- Chodzi mi nie tylko o morderstwo i tę dziewczynę. Oni nas opanowali, Bob. Naliczyłem ich dwadzieścioro przez ten czas, kiedy tam stałem.

- Każdy miał grosz w kieszeni - powiedział burmistrz.

- I nie podoba mi się to, co się dzieje w Centrum Rozrywki.

- A co tam się dzieje?

- Kierują życiem naszych dzieci. Samantha chodzi na lekcje Biblii trzy razy w tygodniu, dwa razy na śpiew, potańczyć w każdą sobotę, a teraz błaga nas, żebyśmy pozwolili jej tam siedzieć jeszcze przez parę wieczorów.

- Nie stoją teraz przynajmniej na rogach ulic - mówił Kent.

- Samantha nie wystawała na rogach ulic, wujku Bobie.

- Samantha nie, ale mnóstwo dzieciaków, których mógłbym wymienić. Nie wiem, co jest takiego niepokojącego w tym, że spędzają tam czas. - Burmistrz zaśmiał się. - Boisz się, że ma zamiar się "nawrócić"?

- A nie powinienem?

- Samantha? Jest zbyt blisko ciebie, żeby mogła wpaść w taką bzdurę.

- Nie chodzi tylko o Samanthę - nalegał Springer. Kent uśmiechnął się spokojnie.

- Jeśli nie chodzi o Bissela ani o tę kobietę, ani o Samanthę, to o co?

- Zostaliśmy przez nich opanowani.

- Bzdura - urwał burmistrz. - Idź, zrób komuś operację. Mam robotę do wykonania - nachylił się nad swoim biurkiem, przesunął papiery i spojrzał na Alana robiąc do niego oko.

Springer nie ruszył się z miejsca. Kent ponownie odwrócił się i zmarszczył brwi.

- Czy myślisz, że przesadzam? - spytał doktor. Bob przyjrzał mu się uważnie.

- Chcesz usłyszeć reprimendę czy opinię?

- Opinię.

- Przesadzasz.

Alan patrzył z politowaniem na przyjaciela. Kent odłożył swoje papiery i cierpliwie czekał. Springer odezwał się:

- Może jestem tylko przygnębiony z powodu Bissela. To był dobry człowiek. Polubiłbyś go.

- Ale już go nie ma, Alanie.

- Dzięki za drinka.

Doktor poszedł do szpitala. Przyspieszył kroku, kiedy dotarł do wejścia od strony karetek. Niebieskie kombi było zaparkowane tyłem do budynku. Kilku ponurych sekciarzy stało przy wjeździe i gapiło się na trzaskające drzwi od sali pierwszej pomocy.

Springer wbiegł bocznym wejściem. Jedna z pielęgniarek przywitała go z ulgą, mówiąc:

- To jeden z Braciszków. Właśnie go przywieźli.

- Zadzwoń do Charlie'ego Danielsa - rozkazał. - Ten człowiek zostanie tu, dopóki go nie wypuszczę.

- Nie zabiorą go, doktorze.

Alan zwrócił uwagę na dziwny ton jego głosu i pobiegł korytarzem. Dyżurna pielęgniarka wyglądała, jakby było jej niedobrze. Springer odsunął ją na bok. Na noszach leżał nieruchomo młody chłopak, może siedemnastoletni. Ktoś przykrył jego głowę. Płachta przesiąknęła krwią.

Doktor nachylił się, aby się lepiej przyjrzeć. Tył czaszki chłopca był spłaszczony, jak piłka tenisowa, odbijająca się od rakiety, uchwycona na stopklatce.

- Nie ma pulsu - powiedziała pielęgniarka.

- Przenieśmy go na stół.

- Nie mógł przeżyć tak potężnego złamania.

- Chciałbym potwierdzić pani diagnozę - orzekł Alan lodowatym głosem. Cofnął się, żeby poblądłe pielęgniarki mogły zapchać wózek na salę operacyjną, gdzie zbadał chłopaka i próbował zrobić mu masaż serca.

Było to beznadziejne.

Kiedy wyszedł z sali, potrząsając głową, czekał na niego Charlie Daniels.

- Nie żyje - stwierdził Alan. - Co się stało?

- Mówią, że wypadł z okna, z drugiego piętra. Malował skrzynki na kwiaty.

Springer masował szyję, żeby się rozluźnić.

- Dzięki, że przyszedłeś.

- Oni mnie zawiadomili - powiedział policjant.

- Gdzie są?

- Pojechali. Wiedzieli, że nie żyje.

- Och, co ja z nim zrobię? Jak on się nazywał?

- Przywiozę ci kopię mojego raportu. - Daniels zamknął notes i postukał nim w brodę.

- Ciekawe...

- Co?

- Ten dzieciak był z Detroit, to jego szukał Bissel.

Ed Stratton, dealer Chevroleta, miał dobre wyczucie w sprawach dotyczących władzy.

- Za dużo ich - stwierdził z pewnością w głosie. - W końcu mogą zacząć nami rządzić.

- Jak? - spytał Springer.

- Nie wiem jak. To nie ma znaczenia. Jest ich cała masa.

- Czy dyskutowałeś o tym na zebraniu Rady Miejskiej? Stratton zaprzeczył.

- Próbowałem parę razy. Nie słuchali. Żaden z nich nie rozumiał, o co chodzi. Lewis, Spencer i Moser cały czas plotą o pieniądzach, które wydają te skurczybyki. Joe Preston nie wyszedłby nawet z płonącej stodoły, jeśliby mu nie kazali szefowie z Warrington, a twój kumpel Bob Kent uśmiecha się i odpowiada każdemu, kto coś mówi, że to bardzo interesujące.

- Jak sądzisz, co powinniśmy zrobić? - spytał doktor.

- Zamknąłbym im ten ośrodek, gdybym mógł - stwierdził Stratton. - Ale tego nie można w żaden sposób zrobić, jeśli Rada Miejska nie wyda skurczybykom wojny. A to się nie zdarzy, dopóki Błękitne Bractwo nie zacznie wieszać staruszek na latarniach.

- Boję się o moje dziecko - przyznał Springer. Próbował wybadać Strattona, mając nadzieję, że może znaleźć w nim sprzymierzeńca, ale sprzedawca samochodów nie zainteresował się problemami rodzinnymi Alana. Kiedy zaś doktor opowiedział mu o sporze z Margaret, czy pozwolić działać córce po swojemu, czy chronić ją za wszelką cenę, Stratton jasno dał do zrozumienia, że nie darzy szacunkiem pozwalających na zbyt wiele rodziców.

- Moje dzieci mają ścisłe zakazy. Nie wolno im się zbliżać do tego Centrum Rozrywki, nieważne kiedy i po co. Jeśli przyłapię któregoś z nich na rozmowie z Braciszkiem, dostanie manto.

Springer dał sobie spokój z tym tematem, podejście Strattona stało w całkowitej sprzeczności z tym, czego uczył Samanthę.

Ed był z natury samotnikiem i nie chciał przyłączyć się do Alana w organizowaniu oporu, ale obaj, niezależnie od siebie, powtarzali znajomym o swoich obawach, aż powolutku miasteczko zaczęło zastanawiać się nad ich zdaniem. W ciągu jednego dnia każdy zdążył poznać historię o martwym chłopcu z Detroit. A teraz, w tydzień później, wiele osób włączyło się w spór na temat tego, czy sekta stanowi niebezpieczeństwo dla Hudson City.

Ten nowy trend na tyle ośmielił wielbego Daviesa, że zaczął upominać rodziców, których dzieci przestały chodzić do kościoła. W czasie kazania, w kruchcie, po mszy lub w rozmowie telefonicznej pytał, czy nie byłoby lepiej, żeby dzieci brały udział w tradycyjnym, prezbiteriańskim nabożeństwie niż w obrzędach organizowanych przez fanatyczną sektę. Ale pomimo swoich obaw ludzie uważali, że pastor atakuje ze zbyt dużym wyprzedzeniem. Niektórzy się obrazili, inni byli zawstydzeni, że nie umieją wyperswadować swoim dzieciom, aby wróciły do Kościoła. Nie potrafili znaleźć argumentów, kiedy ich pociechy tłumaczyły, że każdy nastolatek, który chodzi na lekcje Biblii i śpiewu do Centrum Rozrywki Błękitnego Bractwa, poświęca dostateczną uwagę sprawom wiary.

Liczba chodzących do kościoła spadła. Ale krytyka sekty trwała do czasu, kiedy jej wyznawcy odpowiedzieli w sposób, który wyciszył debatę i ostrzegł ich przeciwników, żeby się zastanowili.

W gorące, parne popołudnie, kiedy nad górą drgało rozgrzane powietrze i wydawało się, że wszystkie dźwięki umilkły, ciszę rozdarła wyjąca syrena. Springer pomyślał najpierw, że to alarm pożarowy, ale dźwięk był mocniejszy niż syrena, którą miała ochotnicza straż pożarna. Zawodzenie osiągnęło siłę zbliżoną niemal do granicy bólu i trwało.

Doktor zacisnął zęby i spróbował skoncentrować się na formularzach Medicaid - państwowej opieki zdrowotnej - które leżały na jego biurku. Hałas był jednak zbyt silny. Nie mogąc go dłużej wytrzymać, po pięciu minutach wypadł ze szpitala, ze złością poszukując jego źródła.

Z domów i sklepów wyszedł już tłum ludzi i zgromadził się przed szpitalem. Ci, którzy nie zatykali uszu, pokazywali palcami na drugą stronę ulicy, na Centrum Rozrywki. Alan zaczął się przeciskać wśród nich, aż zobaczył, czemu się przyglądają. Syrena wyła bez przerwy.

Tuzin starszych członków Bractwa, noszących duże krzyże przywódców, stało

dookoła błyszczącego, cytrynowożółtego samochodu strażackiego zaparkowanego przed Centrum Rozrywki. Ciężarówka miała działko do gaszenia pożaru; jej wypolerowany bok świecił chromowanymi elementami i białymi tarczami urządzeń. Drzwi kierowcy zasłaniał kawał tektury. Sekciarze uśmiechali się, zupełnie jakby nie słyszeli rozsadzającej uszy syreny.

Burmistrz Kent biegł Main Street razem z Charliem Danielssem. Bob wyglądał na przerażonego. Daniels trzymał rękę na długiej palce, przeznaczonej na nocne patrole, którą, jak zauważył Springer, nosił ostatnio zawsze przy sobie. Wycie osłabło, kiedy dobiegli do ciężarówki. Syrena zniżyła dźwięk do basowego buczenia i ucichła.

Sekciarze zamachali do mieszkańców miasteczka.

- Chodźcie tu! - wołali. - Popatrzcie!

Zaproszeniu towarzyszyły trzaski otwieranych puszek, a kiedy tłum skupił się koło strażackiego wozu, sekciarze zaczęli wtykać ludziom w ręce chłodne napoje. Doktor wziął od uśmiechniętej, zapatrzonej w dal kobiety puszkę coli. W głowie brzmiał mu ciągle ryk syreny.

Jeden z Błękitnych Braci wspiął się na ciężarówkę i stanął na dachu kabiny. Uśmiechając się życzliwie, czekał, aż każdy dostanie napój. Wtedy podniósł rękę, aby uciszyć zebranych. Rozmowy zaintrygowanych ludzi natychmiast ucichły, sekciarz odrzucił głowę w tył i przemówił głośno potężnym barytonem, z leciutko zauważalną wibracją, jaka charakteryzuje głos kaznodziei.

- Michał jest wdzięczny ludności Hudson City. Wie, od jak dawna i z jakim trudem próbowaliście zebrać pieniądze na nowy samochód dla waszej ochotniczej straży. Wie, jak niełatwym zadaniem się to okazało. Ma nadzieję, że możecie przeznaczyć zgromadzone przez was fundusze na inny zbożny cel, ponieważ przekazuje wam ten podarunek z miłością i nadzieją na dalszą przyjaźń. Niech Bóg ma was w swojej opiece, w imię Jezusa i Michała. Amen.

Dwie kobiety zerwały z drzwi kabiny tekturę, odsłaniając błyszczący niebieski napis, który głosił:

OCHOTNICZA STRAŻ POŻARNA HUDSON CITY

Bob Kent zaczął klaskać. Inni odstawili na ziemię swoje napoje i dołączyli do niego,

bijąc brawo i wznosząc okrzyki zadowolenia. Rozległy się gwizdy aprobaty. Tłum stłoczył się dookoła nowego samochodu, mieszając się z członkami Bractwa. Wielu z obecnych mężczyzn należało do straży i fachowo oglądało pojazd chwając jego wyposażenie. Do tej pory najnowocześniejszym urządzeniem w ich jednostce była sikawka, którą pompowali wodę ze specjalnych zbiorników.

Sekciarz, który przemawiał, nachylił się i podał burmistrzowi pęk kluczyków. Kent zamachał nimi nad głową i wrzasnął, żeby zawołać Archie'ego Lewisa, dowódcę ochotniczej straży. Rosły hydraulik, z rozpromienioną twarzą, przecisnął się przez tłum. Bob wskoczył na stopień samochodu, żeby wszyscy mogli go widzieć. Poprosił o ciszę.

- Chciałbym podziękować Michałowi i jego ludziom za ten wspaniały wóz. Przekazuję kluczyki Archie'emu Lewisowi, który wie, co z nimi zrobić. Trzymaj, Archie - rzucił mu je - i do zobaczenia przy najbliższym pożarze.

Lewis złapał klucze i wspiał się do kabiny. Rozległy się szepty, kiedy włączył rozrusznik. Duży, dieslowski silnik zaskoczył natychmiast, wywołując u pozostałych strażaków uśmiechy podziwu i dumy. Archie zatrąbił syreną na sprężone powietrze. Strażacy złapali się chromowanych uchwytów i przyłgnęli do ciężarówki. Okazały pojazd ruszył i dostojnie potoczył się po Main Street.

Ed Stratton przyglądał się, jak strażacki samochód odjeżdża. Zaciskał usta, cygaro zwisało mu w palcach.

Springer podszedł do niego.

- Ile to kosztowało? - spytał doktor.

- Nie wiem. Może ze trzydzieści patyków.

- Czy kupili ją za twoim pośrednictwem?

- Nie.

- Myślałem, że ty zajmujesz się sprzedażą samochodów w tej okolicy.

- Nie tym razem.

Stratton wsadził cygaro w zęby, podszedł majestatycznie do swojego samochodu i

pojechał do domu. Zastanawiał się, jakiej ceny żądało od niego Błękitne Bractwo, żeby znów robić z nim interesy. Czy wystarczy, jeśli przestanie gadać? Czy będą chcieli, żeby jego dzieci chodziły do Centrum Rozrywki?

Niech ich pokręci.

Strattonowie mieszkali tu od dawna i nie płaszcyli się przed obcymi. Jego dziadek nie był uległy, kiedy Yanderbiltowie chcieli w miejscu jego firmy wznieść swoją letnią rezydencję. Bogata rodzina w końcu go wyrugowała, ale w rok po tym, jak przeniósł się do samego Hudson City, wrócił i wysadził w powietrze tamę - jezioro zalało wtedy farmę, zamieniając ją w bagno. Również jego ojciec w czasie wielkiego kryzysu nie kłaniał się urzędowi, wprowadzającym ustawę o wyjściu z gospodarczej zapaści, które próbowały zmusić go do tego, żeby prowadził swój biznes według ich zaleceń. Także Ed Stratton z całą pewnością nie będzie się płaszczył przed bandą sekciarskich świrów.

Mogli zabrać swoje ostrzeżenie i wsadzić gdzieś... Mimo to niepokoił się, ponieważ wiedział, że pozostali - Pete, Spence i Joe najprawdopodobniej trzęśli się ze strachu.

A dokładnie o to chodziło ludziom z Błękitnego Bractwa.

Springer zdążył właśnie wrócić do swojego biura, kiedy ostrzeżenie sekty dotarło do niego w formie telefonu od dyrektora szpitala w Warrington, prywatnej instytucji, która była konkurentem Alana w ratowaniu ofiar wypadków drogowych. Spytał, czy Springer nie ma czasami trochę szczepionek przeciw grypie.

- Ile?

- Dwieście sztuk? - spytał rozmówca z nadzieją.

- Chyba znajdę. Po co wam aż tyle?

- Braciszki chcą się zaszczepić.

- Wszyscy?

- Powiedzieli, że pięćset osób. Czy to wszyscy?

- Pięćset osób! - Alan był zdumiony. Nie zdawał sobie sprawy, że było ich aż tylu. - Czy załatwiają to przez państwową służbę socjalną?

- Nie - odparł z radością dyrektor. - Płacą nam prywatnie. To dla nas świetny interes. Pożyczamy szczepionki od wszystkich okolicznych szpitali. Jak to się stało, że nie przyszedli do ciebie, Springer?

Alan nie odpowiedział na to pytanie.

- Myślę, że mogę ci dać dwieście sztuk - odparł. - Przygotuję je na rano.

- Świetnie. Mam samochód, który zbiera szczepionki od wszystkich. Dziękuję, doktorze.

Springer odłożył słuchawkę, zamyślony.

Pięćset szczepień oznaczało mnóstwo pieniędzy. Ale to nie stracony dochód go gnębił. To było ostrzeżenie: "zamknij się". Niech sobie nie myślą, że ich posłucha.

- Ale doktor był dla mnie naprawdę dobry - wymamrotał Danny Moser.

- Jesteś pewien?

Płonące oczy chłopca zamknęły się. Głowa opadła mu na pierś.

- Obudź go!

Instruktor nacisnął Danny'emu nerw pomiędzy szyją a ramieniem, aż chłopak odzyskał przytomność, kurcząc się z bólu.

Ledwo co widząc, skupił uwagę na odrapanych ścianach.

Głos instruktora był ciągle jednakowo mocny, jednostajny, drażący Danny'emu umysł. Ten dźwięk zdominował jego życie. Ledwo pamiętał czasy, kiedy go nie słyszał. Ale słowa były fałszywe. Wiedział, że nie są prawdziwe.

- Doktor nic mi nie zrobił - protestował.

- Jesteś pewien?

- Był dla mnie naprawdę dobry.

Instruktor zbliżył się jeszcze bardziej, zmuszając chłopaka do spotkania się z jego

przerażającym wzrokiem. Danny'emu ścierpła skóra. Oczy sekciarza zdawały się drążyć jego głowę, niczym świder. Jego głos huczał monotonnie jak strumień w czasie wiosennej powodzi; pytaniom nie było końca.

Ciało chłopaka rozluźniło się, zapadając w upragniony sen. Okrutny chwyt instruktora wzniecił ból w całej ręce Danny'ego, aż po koniuszki palców. Otworzył oczy.

- Jesteś pewien? - spytał znowu sekciarz.

Dwight Rigby był przerażony:

- Nie chcę, żeby przytrafiło mi się to samo, co tobie i Strattonowi, dlatego proszę cię, żebyś przestał używać mojego sklepu jako miejsca publicznych wystąpień. Zresztą przesadzasz na temat tego, co się dzieje.

- Oni są niebezpieczni - mówił Springer. - I staną się jeszcze bardziej niebezpieczni, jeśli im pokażesz, że się boisz.

Rigby poruszał swoją kościstą szczęką.

- Robisz z siebie idiotę, Al. Ludzie nie uważają, że Braciszkanie są aż tak źli.

- Bzdura - zaprotestował doktor.

Ale sklepikarz miał rację. Samochód strażacki był tylko pierwszym elementem z serii dobrodziejstw, która pociągnęła za sobą stopniową zmianę sądów mieszkańców Hudson City na temat Błękitnego Bractwa.

Sekciarze otworzyli rachunek w banku Joego Prestona. Pierwszym czekiem, jaki wystawili, była pięćsetdolarowa darowizna na rzecz nadchodzącego święta miasteczka. Dochód z uroczystości przeznaczono na różne cele społeczne, jak kościelny program świątecznych koszyków dla ubogich, działalność sportową szkoły średniej i ochotniczą straż pożarną, która ostatnio zgłosiła potrzebę przeniesienia się do większej siedziby, gdyż nie było miejsca na pojazdy, w miejsce których stanęła nowa ciężarówka.

W momencie kiedy delegacja Bractwa uroczyście wręczała darowiznę burmistrzowi, inna, większa grupa ciągnęła w kierunku miejskiego śmietnika z setkami metrów drewnianego płotu, zakupionego w składzie Mosera. Odgradzili ohydne śmietnisko w ciągu

jednego popołudnia, zasłaniając nieprzyjemny widok, i zdążyli jeszcze wrócić na czas do Centrum Rozrywki na cotygodniową zabawę dla nastolatków.

Tom House opisywał hojność przybyszów w "The Sun", a jego artykułik Sekta religijna bawi się w świętego Mikołaja w końcu znalazł się w nowojorskim "Daily News". Wysmażył kolejną historyjkę o tym, jak Bracia położyli nowy dach na domu starej wdowy, i jeszcze jedną o tym, jak całe ich gromady zeszły z góry z grabiami i motykami, aby uprawiać pole farmera, który został ranny w wypadku.

"Daily News" pewnego czwartkowego wieczora wcisnęły kawałek o dachu w swoje chaotyczne podwójne wydanie. Artykuł o warzywach spowodował natomiast, że House odebrał telefon od wydawcy, który powiedział, że bardziej interesują go informacje o znalezionych ciałach niż o dobroczynności.

- Czy ostatnio umarł jeszcze ktoś związany z sektą? Nie? To dzwoń w razie czego.

Jednakże na szczeblu lokalnym hojność Błękitnego Bractwa uspokoiła nastroje mieszkańców i kiedy gorący lipiec miał się ku końcowi i nadchodził duszny sierpień, doktor musiał przyznać, że Bob Kent i Dwight Rigby mieli rację. Pomimo że miasteczko stawało się coraz bardziej zależne od sekciarzy, niewielu ludziom zdawało się to przeszkadzać. Cieszyli się z nowego wozu strażackiego, z ruchu w sklepach, z uśmiechniętych twarzy czekających w Centrum Rozrywki i z datków na cele społeczne, a jeśli nawet mieli złe przeczucia związane ze śmiercią psychiatry i chłopaka z Detroit albo tajemniczym zniknięciem Ellen Barbar, to o nich nie mówili. Trzy tygodnie po tych wydarzeniach obawy, które wyrażał Springer, spotykały się z chłodnymi odpowiedziami bądź otwartym sprzeciwem. W końcu przestał o tym mówić. Nikt go nie posłucha, dopóki Bractwo nie zrobi czegoś, co przestraszy mieszkańców miasteczka. Nie miał wątpliwości, że do tego dojdzie. Ale to, co zdarzyło się potem, przeraziło jego samego bardziej niż kogokolwiek innego.

Siedział w swoim biurze, pracując po godzinach. Było ciemno. Zgasił górne światło. Przez łagodny szum klimatyzatora przebił się dźwięczny, metaliczny odgłos. Alan podniósł wzrok znad papierów, oświetlanych lampą stojącą na biurku i zamrugał, aby przystosować wzrok do ciemności. Ktoś wszedł do pokoju. Brzęk powtórzył się znowu. Alan usiłował coś dostrzec w ciemności.

- Danny?

W krąg światła wkroczył Danny Moser z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i z zaciśniętymi pięściami. Zmienił się. Miał krótkie, schludnie przyczesane włosy, a jego ubranie - kombinezon i koszula członków Bractwa - było w nienagannym stanie. Stał nieruchomo, patrząc Springerowi w oczy, podczas gdy doktor podniósł się z krzesła.

- Gdzie byłeś?

- Mieszkam z nimi, panie doktorze.

- Z kim?

- Z Braciszkami. Ocalili mnie.

- Błękitne Bractwo?

Oczy Danny'ego błyszczały w nienaturalny sposób.

- Chrystus nadchodzi - powiedział z zapalem. Jego twarz była blada i wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Co ty opowiadasz? To tam byłeś przez cały czas?

- Ocalili mnie.

- Mieszkasz tam?

- Jasne.

- Martwiłem się o ciebie. Twoja matka też. Trzeba było jej dać znać, gdzie jesteś.

Oczy chłopaka straciły blask.

- Powiedzieli mi, że nie byłem gotowy.

- Kto ci powiedział?

- Moi instruktorzy.

- Nie pozwolili ci do niej

- Bóg wie, że nie byłem gotowy.

Springer złapał chłopaka za wychudłe ramiona.

- Danny? Czy trzymali cię tam wbrew twojej woli?

- To była boża wola.

- Kto ci tak powiedział?

- Bóg mi powiedział. Jestem ocalony, panie doktorze. Nie palę, nie piję, nie ćpam. Jestem teraz sługą bożym. - Jego głos przybrał monotonna, śpiewną barwę. - Mamy tyle do zrobienia. Chrystus nadchodzi. Musimy przygotować ziemię, aby zwróciła się ku Niemu.

- Posłuchaj mnie, Danny. Oni ci coś zrobili. Jesteś już kimś zupełnie innym.

Chłopak patrzył na Springera pustym wzrokiem.

- To co?

Alan spojrzał na niego, po czym powiedział stanowczo:

- Przestań chrzanić! Trzymali cię przemocą. Dzwonię po posterunkowego Daniela. - Złapał za telefon. - Siadaj!

- Nie jestem więźniem, panie doktorze. Zwróciłem się ku Bogu, a On dał mi pracę.

- Pracę? - Doktor odłożył słuchawkę. - O czym ty mówisz?

- Mam pracę w Centrum Rozrywki.

- Jaką?

Dłonie Danny'ego rozwarły się. Swoimi zręcznymi palcami trzymał dziesiątki błyszczących metalowych krzyżyków na łańcuszku dzwoniących jak dzwoneczki. Klasnął w ręce z szybkością magika. Krzyżyki zniknęły. Uśmiechnął się, pokazując puste dłonie.

- Będę pracował z dziećmi.

Springer nie potrafił sprawić, żeby ktokolwiek zrozumiał powody tego, co stało się z Dannym Moserem.

- Ten chłopak dokuczał jak wrzód na tyłku - mówił Charlie Daniels. - A teraz jest w

porządku.

- Oni coś z nim zrobili.

- Absolutna prawda - zgodził się policjant. - Jakimś cudem zmienili mi tego chuligana w przyzwoitego chłopaka.

- To było nielegalne pozbawienie wolności - zdenerwował się doktor.

- Nie, jeśli nie wniesie skargi.

- A co z tą sprawą z Nowego Jorku?

- Ich policja złapała dzieciaka, który powiedział, że ukradł torbę Danny'ego. Nie wiem, co się dzieje, wiem tylko, że nie jest już poszukiwany.

- Czekaj no - mówił Springer. - Czy nie wygląda na to, że Błękitne Bractwo sfingowało całą sprawę? Spowodowali, że nowojorska policja oskarżyła Danny'ego, podczas gdy nawet go tam nie było?

Daniels wzruszył ramionami.

- Może.

- To samo mogli zrobić z Ellen Barbar i tą historią z jej samochodem.

- Może tak, może nie. Rozmawiasz z niewłaściwym człowiekiem, Al. Nie jestem detektywem, lecz gliniarzem z małego miasteczka.

- Powinniśmy przeszukać ośrodek - ciągnął Alan.

- Daj spokój. Jeśli McNelty nie może uzyskać nakazu, to jakim cudem ja mógłbym go dostać?

- Ona może być więźniem, tak jak Danny.

- Nie - teraz posterunkowy był zły. - Nie widziałem, jak tam wchodziła. Kim ona jest? Jakąś dziewczyną, jeżdżącą pomiędzy Nowym Jorkiem a Kalifornią? Policja stwierdziła, że znaleźli jej samochód. Wiem tylko, że wrócił Danny Moser i zachowuje się jak przyzwoity obywatel, działa w tym Centrum Rozrywki. W jaki sposób tak się zmienił, to jego sprawa.

Cokolwiek mu się stało, chciałbym, żeby przydarzyło się jeszcze paru łobuzom w mieście.

Wszyscy, nawet ci, którzy mieli obawy w stosunku do sekty, zgadzali się co do jednego - w sprawie Danny'ego Mosera, Błękitne Bractwo zrobiło miasteczku przysługę. Springer stwierdził ze smutkiem, że jego stosunki z pozostałymi obywatelami Hudson City powróciły do dawnego stanu. Jeszcze raz, tak samo jak w przypadku pamiętnej kampanii wyborczej, koncepcji budowy tanich domków czy centrum odwykowego dla narkomanów, jego zdanie zbyt mocno odbiegało od opinii miejscowych mieszkańców, żeby mógł wpłynąć na zmianę ich sądów.

Porażka ta odbiła się na jego nerwach. Klócił się ciągle z Margaret, która cierpiała z powodu upałów i zaczęła miewać humory. Po prostu zaczął odpowiadać ze złością na jej narzekania, które do tej pory ignorował. Wkrótce ich sprzeczki stały się prawie automatyczne. Kiedy jedno mówiło "tak", drugie odpowiadało "nie".

Napięcie panujące w ich domu popychało Samanthę ku sekcie. A im bardziej Alan protestował, widząc, co zrobili z Dannym Moserem, tym mocniej Margaret broniła córki. Ona, która zawsze starała się ochronić Samanthę przed całym światem, teraz praktycznie wpychała im ją w ręce. Springer nie potrafił tego zrozumieć - czy była tak przewrotna, czy też po prostu bała się własnego dziecka?

Pewnego dnia, kiedy wrócił do domu, znalazł swoją córkę siedzącą w buntowniczej pozie na kuchennym stole, pośród pukli długich, złocistych włosów. Trzymała jeszcze w ręku nożyce i przycinała nierówno swoją fryzurę tak, jak robiły to członkinie sekty. Ścięte włosy pokrywały jej ubranie niczym promienie światła.

Margaret spoglądała na niego z lękiem. Doktor spotkał się z jej znękanym wzrokiem; odwróciła głowę.

- Dlaczego jej pozwoliłaś? - rzucił.

- Ja to zrobiłam - odparła Samantha. - Nie potrzebowałam pozwolenia mamy.

- Ale dlaczego?! - zawołał Alan. - Były takie piękne!

- A dlaczego nie? - wtrąciła Margaret. - To jej włosy.

- Pytałem Samanthę.

- Mam do tego prawo, tato. Michał mówi, że kobiety nie powinny kusić mężczyzn nadmierną cielesnością.

- Nadmierną cielesnością?! - wybuchnął Springer. - O Boże, co za...

- Nie znęcaj się nad nią! - krzyknęła Margaret i rozpoczęła się kolejna kłótnia. Samantha uciekła do pokoju. Parę minut później trzasnęły drzwi wejściowe. Pobiegnęła Main Street w kierunku Centrum Rozrywki. Margaret poszła za mężem do dużego pokoju. Kłótnia była długa, robili sobie gorzkie wymówki. Skończyła się tym, że Springer wypadł wściekły z domu, pojechał do baru Henry'ego i upił się do nieprzytomności.

Obudził się na własnym podjeździe, kiedy w lusterko wsteczne jego wozu zajrzało wschodzące słońce, i przeżył pięć najstraszniejszych minut swojego życia, szukając na samochodzie wgniecen i uszkodzeń. Nie znalazłszy żadnych, pomyślał z wdzięcznością, że na drugi raz, kiedy się tak zdenerwuje, pójdzie piechotą.

Tego popołudnia leczył kaca, wpadając od czasu do czasu na salę operacyjną, by zaczerpnąć ożywczy łyk czystego tlenu, kiedy do kliniki wparował Bob Kent w swojej najlepszej kurtce i jasnym krawacie.

- Jak się masz? - spytał Alan.

Stosunki pomiędzy nimi ochłodziły się nieco, od czasu gdy Springer nieustannie źle się wyrażał o Błękitnym Bractwie, a Kent cieszył się z jego obecności.

- Świetnie, świetnie. - Burmistrz klasnął w ręce i zaczął chodzić po pokoju swoim energicznym krokiem, jak to zwykle robił. - Właśnie byłem na lunchu w ośrodku Bractwa.

- Tam, na górze? - zdziwił się doktor.

- Tak. Urządzili mały lunch dla Rady Miejskiej.

- Czego chcieli?

- Poczestunek pierwsza klasa - cieszył się Bob. - Stek; na trawniku z tyłu.

- Czego chcieli? - powtórzył Alan.

- Bez żadnego alkoholu. Czy przypadkiem nie... Springer wyciągnął z szuflady biurka

butelkę burbona i nalał tylko jednego drinka. Kent wychylił kieliszek. Usiadł nagle z poważnym wyrazem twarzy.

- Co jest? - spytał doktor.

- Chcą, żeby dzieci przyszły tam na weekendowe rekolekcje.

- Nie ma mowy! - powiedział Springer.

- Wiesz... Doktor czekał.

- Co: "wiesz"?

- Przedstawili to całkiem sympatycznie.

- Kupiłeś to? - spytał Alan, nie posiadając się ze zdumienia.

- Hm. Nie wiem, czy kupiłem.

- Ty nie masz dzieci.

- Wiem... Opowiadali o tym tak, że trudno było chłopakom powiedzieć: "nie". Mówili, ile wydają w miasteczku na żywność ubrania, i o tym, jak bardzo się cieszą z tego, że jesteśmy życzliwi dla ich całej sześćsetki.

- Jest ich sześciuset?

- Tak powiedzieli. A z tego, co mówi Sophie na temat ich poczty, jest to prawdopodobne.

Springer potrząsnął głową.

- To bardzo dużo - przypomniał sobie komentarz Strattona o opanowaniu miasteczka przez przybyszów. - Co mówił Ed Stratton na temat tych rekolekcji?

Kent wydał się zakłopotany.

- Hmm... Ed wyszedł. Doktor zachichotał.

- To wspaniale.

Bob szurał nogami po dywanie.

- Nie wiem. Nas cholernie to zawstydziło. Rozumiesz, siedzimy przy miłym lunchu,

oni wysuwają nam tę propozycję, a Stratton mówi: "Nie moje dzieci" i wychodzi.

- A co zrobił Pete Lewis?

- Powiedział, że to świetny pomysł.

- Pozwoli Dickowi pójść?

- Z błogosławieństwem na drogę.

- O matko, dopiero będę miał przeprawę z Samanthą!

- Pewnie nie będziesz chciał jej puścić.

- Absolutnie nie. A co ty powiedziałaś? Kent wykonał kilka niejasnych gestów.

- Wiesz, ja po prostu słuchałem i...

- Co oni mają zamiar zrobić, Bob?

- No, powiedzieli, że to będzie tak, jak pójdzie do Centrum Rozrywki, tyle że dzieciaki się tam prześpią. Będą mieć piknik i te całe śpiewy i modlitwy... co tam jeszcze. To nie brzmi przerażająco.

- "Co tam jeszcze" brzmi przerażająco. Innymi słowy, nie powiedzieli, co chcą z dziećmi zrobić.

- Nie dali nam planu zajęć, jeśli o to ci chodzi.

- Nie mogę uwierzyć, że rada dała się na to nabrać.

- Trudno było się nie dać - przyznał Kent. - To zabrzmiało jakoś tak... zwyczajnie. W innych Kościołach dzieci chodzą na rekolekcje. To nic niezwykłego.

- Jeśli jesteś taki spokojny, to dlaczego wyglądasz na tak zaniepokojonego?

- Nie jestem spokojny. Mówiąc szczerze, naprawdę wolałbym, żebyśmy się nie dali w to wkręcić.

- Niech się bujają. Nic nie podpisaliście.

- Pozostali zgodzili się. Pete obiecał, że Dick tam będzie. Preston wysyła swoją trójkę.

- Nawet Laure? Ona ma dopiero czternaście lat.

- Nawet Laure - ciągnął Kent. - Braciszkiwy wydają przez ten rachunek w banku pięćdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie. I Spencer wysła swoje dzieci - całą piątkę. Kiedy inne dzieciaki dowiedzą się o tym, będą błagały, żeby je puścić, i żadna siła ich nie zatrzyma.

Alan odpowiedział:

- Nie chcę, żeby moja córka znajdowała się w ich rękach przez cały weekend. To szaleństwo, Bob. Dwie noce tam, na górze.

- Jedna noc. Zaczynają w sobotę rano. Doktor wyjrzał przez okno na swoją karetkę.

- Dzięki za ostrzeżenie. Może pojedziemy na ten weekend do Saratogi. Na jakąś potańcówkę. Może ty i Marta wybralibyście się razem z nami?

- Dzięki za zaproszenie, ale czuję, że lepiej będzie, jeśli zostanę na wszelki wypadek tutaj.

- Jesteś wyjątkowo spokojny.

Ale wracając do domu i zastanawiając się, jak zatrzymać córkę, Springer odrzucił pomysł wyjazdu na weekend. To byłoby podstępne i nieuczciwe, Samantha na pewno będzie podekscytowana rekolekcjami; winien jest jej uczciwą dyskusję.

Nie musiał długo czekać. W chwili kiedy zasiedli do obiadu, Samantha odezwała się:

- Zgadnijcie, co się wydarzy.

- Słyszałem - odparł.

- Co? - chciała się dowiedzieć Margaret.

- Będziemy mieli specjalne rekolekcje w Ośrodku Bractwa - oznajmiła Samantha, przyglądając się twarzy ojca.

- Jakie rekolekcje, kochanie? - pytała Margaret. Wyglądała na zmęczoną przedłużającym się tego lata upałem.

- Dwudniowe - wyjaśnił Alan. Były to pierwsze słowa, jakimi odezwał się bezpośrednio do swojej żony od czasu ich wczorajszej kłótni.

Margaret wydawała się wdzięczna, że bitwa została uznana za zakończoną, ale w chwilę później jej spokój zniknął.

- Tam, na górze?

- Tylko na jedną noc, mamó. Mogę iść?

- Nie uważam tego za dobry pomysł - powiedział Springer.

- Tato? Dlaczego nie? - w jej głosie odzwał się bunt; zapłonął także w jej oczach. Potrząsnęła niecierpliwie krótko ostrzyżoną głową. - Dlaczego nie? - powtórzyła szorstko, już bez nieśmiałości.

Alan czuł się, jak gdyby rozmawiał z kimś obcym, dzieckiem kogoś innego.

- Myślimy, że nie powinnaś zostawać tam na noc.

- Czy ty też tak sądzisz, mamó? Margaret zawahała się chwilę.

Samantha zaatakowała oskarżycielskim tonem:

- Nawet tego nie przedyskutowaliście.

- My tylko...

- Rozmawialiśmy już bardzo dużo o Błękitnym Bractwie - przerwał Springer. - Uważam, że jesteś za młoda, żeby tam zostać na noc.

Samantha wybuchnęła szyderczym śmiechem.

- Uważacie, że co oni chcą mi zrobić?

- Nie wiem - odparła Margaret.

- Mniej byśmy się denerwowali, gdybyśmy wiedzieli - dodał Alan.

- Nie mogę w to uwierzyć - mówiła Samantha. - Są moimi przyjaciółmi. Spędziłam z nimi lato. Dlaczego nie mogę pójść do ich siedziby? Pozwolilibyście mi pojechać na

prezbiteriańskie rekolekcje, gdybym chciała.

- A chcesz? - spytała Margaret. - Poproszę wielbnego Daviesa.

- Nie, mam - odpowiedziała z irytacją. - Chcę pójść na moje rekolekcje.

- Myślę, że tym razem naprawdę mama i ja wiemy, co jest najlepsze. Nie chcę ci rozkazywać, ale...

- Ale rozkazujesz - odparła Samantha. - Traktujesz mnie jak bezradne dziecko. Mam prawie szesnaście lat.

- Co nie jest wystarczającym wiekiem, żeby się obronić.

- Przed czym? - krzyknęła. - Chcesz przelać swoją zjadłość przeciwko Błękitnemu Bractwu na mnie, tatusiu. Miałam z nimi do czynienia. Wiem, jacy są.

- Widziałem, co robią - odpowiedział doktor.

- A co takiego robią? - spytała Samantha szyderczo.

- Rozmawiałem z ludźmi, którzy przeszli przez ich szkolenie, a potem ich opuścili. Oni zabierają rozum ludziom, którzy nie są wystarczająco silni albo wystarczająco dorośli, aby się obronić.

- Daj spokój, tato. Mówisz, jak Ellen Barbar.

- Kto? - spytała Margaret.

- Przyjaciółka tatusia z drugstora.

- Czy nie spotkałam jej na przyjęciu u Wrightów? - upewniała się Margaret. - Nie wiedziałam, że się przyjaźniliście.

- Nie przyjaźniliśmy się - zaprzeczył Springer.

- Pracowała u pana Rigby'ego - wyjaśniła Samantha. - Pomyślałam tylko, że była również znajomą tatusia. - Uśmiechnęła się dziwnie do ojca. - Wyjechała, prawda?

- Tak myślę - zgodził się doktor. - Pani Rigby obsługuje dystrybutor z napojami.

Samantha ciągnęła:

- Zawsze źle się wyrażała o Błękitnym Bractwie.

- A co powiesz na sposób, w jaki wtargnęli do naszego kościoła? - Nie możesz pochwalać takiego zachowania.

Samantha zawahała się chwilę.

- Bardzo źle wtedy postąpili - wsparła go Margaret.

- To co? - powiedziała Samantha. - Może i tak. Ale zrobili też mnóstwo dobrych rzeczy.

- To prawda - przyznała Margaret. Springer rzucił:

- A Mussolini spowodował, że pociągi zaczęły kursować punktualnie.

- Co? - zdziwiła się Margaret.

- Tata jest sprytny - odparła Samantha. - Chce powiedzieć, że Braciszkanie to faszyci.

- Zachowują się jak faszyci - zgodził się Alan.

- Nie! - krzyknęła Samantha. - Kochają i są łagodni. Nie robią krzywdy nikomu, kto nie krzywdzi ich; nie piją, nie przeklinają, nie palą, nie kłamią, nie kradną, żyją w spokoju, uprawiają rośliny, żeby mieć żywność, i nie eksploatują nadmiernie środowiska.

- To sporo.

- Kochają Boga, tato. Żyją w harmonii ze światem.

- Mógłbym przebaczyć im wszystko, oprócz tych frazesów.

- Mają rację, tato. To jest przyszłość.

- Och, na litość boską!

- Nie mów o nich źle! - zacisnęła pięści i patrzyła wyzywająco przez stół.

- Nie krzycz na mnie, młoda damo!

- Alanie! - próbowała uspokoić ich Margaret.

- Nie pójdzie tam.

- Pójdę! - krzyknęła Samantha.

- Cśśś.... - uciszała ich Margaret. - Alanie, zawsze mówiłeś, że Samantha musi nauczyć się myśleć za siebie. Spędziła mnóstwo czasu z Braćmi i miała okazję, żeby zobaczyć, jacy naprawdę są. Więc jeśli podoba jej się to wszystko, może powinniśmy zgodzić się z jej decyzją.

- Ależ Margaret - powiedział Springer. - Zawsze mówiłaś, że za bardzo ją wypycham do ludzi.

- Nie rozmawiajcie tak, jakby mnie tu nie było - wtrąciła się Samantha. - Mama ma rację. Jestem wystarczająco dorosła, żeby podejmować własne decyzje. Idę.

- Nie idziesz - zdecydował Alan.

- Mamo? - pytała Samantha. Margaret, zmęczona, przytaknęła.

- Porozmawiamy później.

- Nie porozmawiamy - sprzeciwił się Springer. Był zły i zaniepokojony opinią Margaret. - Nie pozwalam jej tam iść i już.

- Nie możesz mnie zatrzymać - nie ustępowała Samantha. Margaret odgarnęła córce włosy z czoła.

- Idź na górę, kochanie. Proszę cię. Zajmę się tym. Samantha pobiegła ku schodom, rzucając ojcu rozgniewane spojrzenie. Powtórzył:

- Nie pójdzie.

- Właśnie że pójdzie, Alanie.

- Jak to się stało, że mówisz w ten sposób?

- Boję się, że ją stracimy, jeżeli będziemy usiłowali ją zatrzymać.

- Musimy powiedzieć "nie".

- Nie próbowałabym tego. Czasem wydaje mi się, że Samantha to wszystko, co mam.

- Daj spokój.

- Nie chcę już o tym dłużej rozmawiać. Pójdzie, i będzie miała moje błogosławieństwo.

- Mojego nie dostanie.

Wypadł przez ogrodowe drzwi, skierował się do samochodu; zmienił zamiar i poszedł przed siebie ulicą, nie myśląc o żadnym konkretnym celu. Był parny wieczór i zanim dotarł na skraj miasta, był już spocony, a jego złość częściowo minęła. Zawrócił w stronę centrum, idąc teraz wolniejszym krokiem. Łaził tak po popękanych od korzeni drzew chodnikach Hudson City, mijając cienie rzucane przez drzewa, żółte kręgi światła latarni, jasno oświetlone okna i otwarte drzwi domów, które znał od urodzenia. Słyszał całą kakofonię wieczornych hałasów - senne głosy dzieci, pomruki prowadzonych na werandach rozmów, metaliczne dźwięki z telewizorów, łomot ulubionej muzyki nastolatków.

Przystanął przed pokrytym białym gontem domem Sophie Wilkins i słuchał dźwięków gitary, było to adagio z barokowego koncertu. Światła w oknach stopniowo gasły, ludzie kładli się spać, a on ciągle chodził, myślał, rozważał. Gdy ponownie mijał dom Sophie, ciągle jeszcze grała na gitarze. Kiedy przerwała, przecisnął się pomiędzy żywopłotem a olbrzymim lśniącym chevroletem blazerem, terenowym kombi, wspiął się na werandę i zapukał do szklanych drzwi.

Nadeszła Sophie w plażowych spodenkach i bluzeczce z nadrukiem, w ręku trzymała gitarę. Wyglądała w ciemność.

- Kto tam? Alan? Co ty tu robisz? Wchodź.

- Wiem, że jest późno...

- No wchodź, wchodź.

Otworzyła drzwi i wprowadziła go do swojego wygodnego, staromodnego saloniku,

pokoju, wypełnionego ozdobnymi meblami, pokrytymi koronkowymi serwetkami, zdominowanego przez błyszczący mahoniem, gabinetowy fortepian Steinwaya.

- Właśnie miałam otworzyć sobie piwo. Chcesz?

- Dzięki.

Podeszła do kuchni i wróciła z dwiema puszkami; otworzyła je i wetknęła jedną w rękę Springera. Pił łapczywie.

- Co grałaś? - zapytał. - Bacha?

- Vivaldiego. Koncert na dwie gitary i orkiestrę smyczkową.

- Zawsze myślę tych kompozytorów.

Sophie odgarnęła kosmyk swoich siwych włosów.

- Kiedyś kościelny organista powiedział mi, jak ich odróżnić. Bach jest dla ciała. To porządek. Vivaldi jest dla duszy. To piękno.

- A Corelli? Sophie uśmiechnęła się.

- Corelli to łzy. Anielska muzyka. Zbyt wspaniała dla nas, żebyśmy mogli ją wytrzymać.

Usiadła na kanapie, położyła ręce na pulchnych kolanach i spojrzała na Alana.

- Co się stało?

Doktor opowiedział jej o weekendowych rekolekcjach. Kiedy skończył, powiedziała:

- Fatalnie, jeśli ją puścicie i fatalnie, jeśli zabronicie jej pójść.

- Boję się, Sophie. Ona ma dopiero piętnaście lat.

- Nigdy nie miałam własnych dzieci, jak wiesz - zaczęła - ale obserwowałam Boba i Mary od pieluch po dyplomy i nauczyłam się jednego. Nie będzie to dla ciebie pociechą, ale wszystko prowadzi w końcu do ukształtowania się w człowieku charakteru... Pamiętam cię, Alanie, kiedy byłeś małym, obdartym chłopcem. Popatrz na siebie teraz. Samantha to twoja

córka. Jest do ciebie podobna.

Uspokojony Springer wrócił do swojego domu ścieżką wiodącą od tyłu, przez las, drogą, którą nie szedł od lat. Margaret obudziła się, kiedy wślizgnął się do łóżka.

- Gdzie byłeś?

- Chodziłem sobie. Jak Samantha?

- Wszystko z nią w porządku. To o ciebie się martwię.

- Dam jej moje błogosławieństwo. Nie chcę tego, ale masz rację. Nie mogę jej tak po prostu zamknąć.

Ale kiedy przeproszał ją rano, ze zdumieniem stwierdził, że kłótnia sprawiła, iż stali się sobie niemal obcy, a tego Alan nie mógł znieść. Samantha pozwoliła mu się przytulić.

- Dziękuję, tatusiu.

- Tylko dbaj o siebie, kochanie. Miej oczy otwarte.

- Nie ma się czym niepokoić.

Springer pogłaskał ją po włosach. Ciągle nie mógł przyzwycząić się do tego, że są krótkie.

- Kocham cię, aniołku. Baw się dobrze.

Osiemdziesięcioro nastolatków, z zauważalnym wyjątkiem Strattonów, zebrało się wczesnego sobotniego poranka w Centrum Rozrywki i pod kierunkiem Błękitnych Braci przemaszerowało Spotting Mountain Road na górę. Prowadzący ich sekciarze byli tego dnia wyjątkowo poważni, a ich nastrój udzielił się młodzieży, która posuwała się naprzód w ciszy i zamyśleniu.

Samantha szła na samym końcu. Odwróciła się, żeby popatrzeć na ojca. Stał przed swoim szpitalem, jak samotne, wysokie drzewo na pustym polu. Przypomniał jej się nagle przerażający widok przewróconego cedru, którego korzenie sterczały w górze schnąc na wietrze. Zamrugła oczami, żeby oddalić ten obraz, i zobaczyła, jak Alan macha do niej; zaraz potem zasłonił go zakręt drogi.

Cała dygotała, a jej gołe ramiona pokryła gęsia skórka. Braciszkwowie byli dzisiaj tacy ponurzy i nie rozpoznała nikogo z Centrum Rozrywki. Chciała, żeby pośpiewali, ale szli w ciszy, jak duchy. Miała nadzieję, że będą śpiewać, kiedy dotrą do ośrodka sekty. Potem przypomniała sobie, że tego ranka nie przyjechały autobusy z Nowego Jorku.

Dla Alana i Margaret gorący, parny weekend zdawał się nie mieć końca. W miasteczku panowała niemal zupełna cisza; po ulicach poruszało się niewiele samochodów i jeszcze mniej przechodniów. Nieobecność młodzieży sprawiła, że tylko ciężkie, wilgotne powietrze przypominało o tym, że poza sypialnią, do której doktor z żoną się schowali, istnieje jakiś zewnętrzny świat. Włączyli klimatyzację, oglądali telewizję i czytali. Alan chciał iść do szpitala, ale nie mógł zostawić Margaret samej z jej niepokojem. Mało o nim mówili, ale dokuczał im równie nieznośnie, jak upał.

W niedzielę o zmierzchu dzieci wędrowały z powrotem do

Hudson City. Pozbawione towarzystwa Błękitnych Braci, wyszły ze śpiewem na Main Street. Pieśń skończyła się. Stanęli w cichym, groźnym czuwaniu przed kościołem, czym wystraszyli członków niedzielного klubu seniora, a potem, jakby ktoś dał im znak, rozproszyli się bezgłośnie jak nietoperze, przemykając w kierunku swoich domów pogrążającymi się w mroku ulicami.

Samantha, potykając się, weszła na werandę, gdzie niecierpliwie czekali rodzice. Jej oczy były jak ze szkła; drżała, była blada, wyraźnie wyczerpana fizycznie. Zaprowadzili ją do łóżka, gdzie leżała spokojnie przez parę chwil.

Nagle usiadła, rozglądając się dookoła.

- Uspokój się, kochanie. Jak się czujesz?

- Wspaniale - odezwała się wysokim, histerycznym tonem. Springer chciał ją przytulić, ale wyrwała mu się zaraz. Jej oczy nienaturalnie płonęły.

- Słyszeliście nowinę?

- Jaką nowinę? - spytała Margaret. Położyła na poduszce najbliższego w zasięgu ręki pluszowego pieska, aby odwrócić uwagę córki.

Samantha odtrąciła zabawkę na bok.

- Michał nadchodzi.

- Połóż się, kochanie.

Samantha mówiła podniesionym głosem.

- Michał nadchodzi do Hudson City. Oczyszczi nasze miasteczko dla Chrystusa.

- Czy Chrystus też nadchodzi? - zapytał kwaśno Alan.

- Nadejdzie.

- Kiedy jest spodziewany? - ciągnął Springer, nie zważając na to, że Margaret ścisnęła go za rękę.

Samantha zdawała się nie zauważać jego sarkazmu.

- Kiedy Michał powie mu, że nadeszła już pora - wyjaśniła.

- Czy dobrze się bawiłaś? - zapytała Margaret.

Słowa te, choć Margaret wypowiedziała je machinalnie, pod wpływem strachu, zabrzmiały tak pusto, że Springer wybuchnął śmiechem.

- Dobrze się bawiłaś? - powtórzył zaniepokojony i zdenerwowany. - Co oni jej, do cholery, zrobili? Co tam się działo? - spytał ostro. Margaret znowu ścisnęła jego dłoń. Cofnął rękę. - Samantho, co się stało? - nalegał.

Samantha opadła na poduszki. Życie zdawało się opuszczać jej twarz, ale głos pozostawał silny.

- Ofiarowałam moją duszę Jezusowi.

- Nawróciłaś się? - wyszeptła Margaret.

- I ofiarowałam moje ciało Michałowi.

Pod wpływem tych słów omal nie pękł ze złości. Pomysł, żeby jego córka ofiarowała swoje ciało komukolwiek, wywołał w nim niepohamowaną wściekłość, aż poczuł skurcz w żołądku, a serce zaczęło mu walić jak młotem. Pięści zacisnęły mu się same tak mocno, aż

poczuł wbijające się w ciało paznokcie.

Samantha usiadła znowu. Próbował ją położyć.

- Módlcie się ze mną - zażądała.

- Co?

- Módlcie się ze mną - powtórzyła szorstko.

- Módlmy się? O co? - spytał Alan. Samantha zamknęła oczy.

- Módlmy się za nasze dusze, żeby zostały oczyszczone. Doktor potrząsnął nią gwałtownie.

- Wyjdź z tego! Zabrała rękę.

- Obiecałam, że pomogę wam dostrzec prawdę. Módlcie się ze mną.

- Obiecałaś? Komu obiecałaś?

- Obiecaliśmy Michałowi. Każdy obiecał wziąć odpowiedzialność za dusze swoich rodziców i pomóc im odnaleźć miłość. Proszę was, módlcie się, mamó, tato. Proszę, szybko, póki jeszcze nie jest za późno!

- Nie możesz wziąć na siebie tej odpowiedzialności - próbował tłumaczyć Springer.

Oczy Samanthy były cały czas zamknięte. Zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

- Ale ja cię kocham!

- Ja też cię kocham - mówił Alan. Nie pozwól jednak, żeby ktoś ci mówił, jak pokierować moim życiem. Otwórz oczy, kochanie. - Zmusił się do śmiechu. - Ja i moja dusza wypracowały już dawno świetną umowę. Bierzemy za siebie nawzajem pełną odpowiedzialność. - Bezszykownie czekał na uśmiech.

Twarz Samanthy stężała, a powieki zacisnęły się tak mocno, że stanowiły dwie wąziutkie kreski. Zaczęła monotonicznie śpiewać:

- Módlmy się, módlmy, módlmy, módlmy, módlmy, módlmy...

- Nie w ten sposób - protestował Springer.

- Módlmy się, mamó. Proszę, módl się, módl, módl, módl.

Z wahaniem, spojrzawszy z przerażeniem na męża, Margaret usiadła na krawędzi łóżka i zwiesiła głowę.

- Módl się - nie przestawała Samantha, kiwając głową na boki. - Módl, módl, módl. Módl się do Michała, żeby oczyścił twoją duszę. - Pieśń stała się głośniejsza.

Usta Margaret poruszyły się raz i drugi.

Alan potrząsnął nią. Samantha zaczęła się kołysać, łóżko razem z nią. Margaret złapała rytm i zaczęła kołysać się tak jak Samantha. Springer wrzasnął:

- Kim jest Michał?! Nie możesz modlić się do jakiegoś wariata, tylko dlatego, że głosi wszystkim, iż ma bezpośrednie połączenie z Bogiem.

Z ust Samantha dobył się mrozący krew w żyłach wrzask:

- Módl się! MÓDL! MÓDL!!! MÓDL!!! MÓDL!!!

Ojciec wyciągnął do niej rękę. Zobaczył własne palce rozpostarte, aby zasłonić jej usta i wycofał się, jak oparzony.

Wydawała teraz okropne dźwięki. Wychodził właśnie z pokoju po torbę lekarską, żeby dać Samancie zastrzyk uspokajający, kiedy nagle jej głos zamienił się w szept, a oczy przybrały nieobecny, szklisty wyraz.

- Drogi Michale - prosiła - przebacz tatusiowi. Daj mi siłę, żebym wyleczyła mojego ojca i pomogła mu odmienić jego grzeszne życie. On sam nie potrafi sobie pomóc, Michale. Możemy go ocalić. Jestem pewna, że możemy.

Podwójny rząd nastolatków przesuwiał się w poprzek Main Street. Czterdzieści osób, ze spuszczoneymi nisko głowami, zamiatało chodnik posuwając się od Centrum Rozrywki na południe. Z daleka przypominali Springerowi migawki z Ohio ukazujące, jak proletariat zmiata śnieg z ulic Pekinu.

- Oto i oni - powiedział Bob Kent. - Później z tobą pogadam, Alanie. W porządku, Tom?

Siwowłosy dziennikarz nastawił aparat.

Kent zrobił sobie zdjęcie na rogu ulic Granta i Main, jak przygląda się zamiataczom. Był gorący, wilgotny poranek; cztery dni po rekolekcjach w ośrodku Błękitnego Bractwa i do miasteczka nareszcie powrócił spokój.

W niedzielny wieczór w wielu domach miały miejsce szokujące sceny, podobne do tej, jaka odegrała się w sypialni Samantha. Rozhisteryzowane dzieci błagały swoich rodziców, żeby porzucili grzeszny tryb życia i modlili się o zbawienie. Reakcje domowników wahały się od gniewu do posłusznego poddania się naleganiom uczestników rekolekcji. Na drugi dzień rano na ulicach i w sklepach gromadził się niespokojny tłum, opowiadający sobie przeżycia minionego wieczora i współczujący sobie nawzajem. Wszyscy zgadzali się, że sprawy zaszły za daleko, ale nikt nie wiedział, co w związku z tym począć. Nawet najwięksi zwolennicy sekty wydawali się zaniepokojeni.

Ale do czwartku dzieci stały się spokojniejsze i bardziej przytomne. Najwyraźniej wpływ rekolekcji mijał. W środę, wczesnie rano, młodzież zorganizowała akcję zmiatania ulic. We czwartek przed południem Tom House opisywał to wydarzenie z nadzieją, że uda mu się zamieścić artykuł w "Daily News". Zatytułował swoją historyjkę Braciszkwowie zmiatają do czysta i poprosił Boba Kenta, aby pozował do zdjęcia z ochotnikami.

Kiedy zbliżyli się, zwawo machając miotłami, Kent wznosił ręce w geście powitania.

- Jak się macie, dzieciaki.

House pstryknął swoim starym nikonem.

- Podejdź trochę bliżej, Bob.

- Tak jak teraz?

Zamiatacze byli coraz bliżej. Springer stanął w drzwiach. Jeden z synów Joego Prestona przejechał mu miotłą po butach i bez słowa posuwał się dalej. Doktor dostrzegł Samanthę. Poruszała się mechanicznie, ze spuszczonego wzrokiem. Koło niej kroczył Dick Lewis, pracując jak maszyna. Żadne z nich nie zwracało uwagi na innych. Podnosili wzrok tylko po to, żeby obserwować energiczne gesty przywódcy grupy. Był nim Danny Moser. Oczy chłopca, które wydawały się zbyt duże w jego zmęczonej, pociągłej twarzy, zerknęły na prawo i lewo, dostrzegając wszystko.

- Sie masz, Danny! - zawołał jowialnie Kent.

- Dzień dobry, sir - odparł Danny dotarłszy ze swoją miotłą do burmistrza. Ten odezwał się oficjalnym tonem.

- Chciałem tylko wam powiedzieć, dzieciaki, że miasto jest wam bardzo wdzięczne za to, co robicie, żeby utrzymać je w czystości.

- Hej, Danny - rzucił House. - Podnieś głowę, synku. Uśmiechnij no się.

Chłopiec skrzywił wargi w uśmiechu i powrócił do pracy.

- Hej, kochanie! - zawołał Alan, ale Samantha mijła go w zbyt dużej odległości, żeby usłyszeć. Patrzył, jak posuwali się w kierunku szkoły, gdzie strażacy rozpięli ogromny transparent obwieszczający, że w niedzielę wypada święto Hudson City.

Kent podziękował Tomowi House i kiedy dziennikarz poszedł, zwrócił się do Springera.

- Co ty mówiłeś?

Doktor spojrział na rozpromienioną twarz przyjaciela. Bob żył dla tych oficjalnych chwil; to nie była pora na krytykowanie Błękitnego Bractwa.

- Tak tylko przystanąłem, żeby powiedzieć "cześć".

- Co sądzisz o tych dzieciakach? - pytał z entuzjazmem Kent. - Czy to nie jest

naprawdę coś?

- Cudowne.

- Miasto nigdy nie wyglądało tak czysto. Wiesz, mówią, że pomalują każdemu sklep za darmo.

- Na niebiesko?

Burmistrz nie dosłyszał w słowach Springera ironii.

- Myślisz, że ta fotka może mi dodać głos czy dwa? Springer uśmiechnął się złośliwie.

- Taki z ciebie polityk? Ciągłe zapominasz, że nie masz kontrkandydata.

Kent także się roześmiał.

- Tak długo, jak będę się dobrze starał, nikt inny nie odważy się spróbować. Tom ma nadzieję, że uda mu się umieścić któreś z tych zdjęć w nowojorskich gazetach.

Koło nich przeszło szybkim krokiem kilkoro porannych przechodniów; farmer i paru przyjezdnych z Nowego Jorku. Burmistrz zniżył głos.

- Tom chce dołączyć te zdjęcia do artykułu o miejscowości wypoczynkowej! Sympatyczne, czyste miejsce, warto tu spędzić lato w nowo nabytym domku! - Powiedział przechodzącym "dzień dobry", po czym ciągnął: - Psiakrew, żeby jeszcze ta góra nadawała się dla narciarzy.

Doktor przyglądał się ludziom z miasta. Rozpoznał rudą kobietę, której piknik przerwali Błękitni Bracia. Była pociągająca, wspomnienie wywołało u niego dreszcz. Zastanawiał się, jakie były jej wspomnienia i jak by się zachowała, gdyby powiedział jej, że wszystko widział.

Spojrzał na górę. Stary zakład był ledwie widoczny w zamglonym powietrzu. Ellen. Czy znajdowała się tam, w środku? Powrócił wzrokiem do Kenta.

- Założę się, że nigdy nie myślałeś, iż będziesz chciał mieć w gazecie zdjęcie z Dannym Moserem.

Bob roześmiał się.

- Na pewno nie. Ale ten chłopak się zmienił - powiedział. -Zachowuje się jak...

- Maszyna.

- Co? - uśmiech burmistrza znikł. - Nie zaczynaj tego znowu, Alan. Dokonali cudu z nim i całą resztą.

- Z pewnością, Bob.

- Zrobili normalnych ludzi z wielu półgłówków.

- Ciągłe nie rozumiesz, co tu się dzieje, prawda? Kent zmarszczył brwi.

- To ty nie rozumiesz, co się dzieje. Robisz wokół nich wielką aferę, w której nie ma ani krzty prawdy.

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś widział Samanthę w niedzielę wieczorem.

- Samantha wygląda dziś świetnie. Jest z przyjaciółmi i pracuje na rzecz miasta. Co w tym, do licha, złego? Wiesz przecież, że do niedawna to dziecko było trochę dziwne.

- Co?!

- Na twoim miejscu byłbym wdzięczny Braciszkom za to, że nauczyli ją radości.

Springer zacisnął usta. Popatrzył na przyjaciela, odwrócił się na pięcie i poszedł do szpitala.

Kent zadzwonił później tego samego dnia.

- Zwołuję swoich dygnitarzy. Chciałem się tylko upewnić, że będziecie z Margaret na naszej świątecznej kolacji.

Doktor był wdzięczny, że Kent znalazł w sobie tyle uprzejmości i zdrowego rozsądku, żeby zakończyć ich kłótnię, zanim z czasem zamieni się w niechęć.

- Przypomniało mi się - ciągnął Kent. - Jedziemy w przyszły weekend do Saratogi, prawda?

Każdego lata ich rodziny spędzały razem weekend na festiwalu muzycznym w

Saratodze.

- Jasne - odparł Alan. - Dzięki za telefon.

- Do zobaczenia w niedzielę.

W niedzielę Margaret przygotowała śniadanie, które jedli z mężem sami. Samantha wyszła wcześniej rano na akcję zamiatania. Powiedziała, że wprawdzie nie pójdzie z nimi do kościoła, ale obiecała, że będzie na święcie miasta. Kent zaprosił Błękitne Bractwo, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi i wydawało się, że dzieci Hudson City pojawią się na uroczystości bez swoich religijnych przewodników.

Kościół był wypełniony mniej więcej w jednej trzeciej. Ludzi przychodziło coraz mniej od czasu, kiedy Davies zażądał, żeby wierni przyprowadzili z powrotem swoje dzieci. Poza tym tego dnia wielu było zajętych ustawianiem kramów i przywożeniem zwierząt z farm.

Pastor wyglądał mizernie, kiedy stanął za pulpitem, ale pośpiesznie rozpoczął nabożeństwo, po czym wygłosił kazanie z taką pasją, że Springer nieomal podskoczył w swojej ławce i zaczął z uwagą słuchać.

Temat brzmiał: "Falszywi prorocy i bezmyślna wiara". Niepozorny

Davies przeprowadzał kontratak. Jego głos potężniał. Pastor uderzał dłońmi w pulpit, jakby dodawało mu to jeszcze więcej odwagi, i na parę minut jego niezachwiana wiara i gniew sparaliżowały niewielkie zgromadzenie.

- Wybór! - krzyczał. - Wybór jest siłą protestantyzmu! Wolny wybór!

- Protestanci wybierają drogę do Pana. Poprzez ten wybór oddają Panu to, co najlepszego człowiek ma do ofiarowania - swoją zdolność do rozumowania, do myślenia. Ta zdolność, dana nam przez Boga, odróżnia człowieka od innych stworzeń i stawia go ponad zwierzętami, które Bóg także powołał do życia na ziemi.

- Myśleć, rozumować, wybierać. Chrześcijanin, który tego nie czyni, obraża Pana.

Pastor spoglądał z pogardą na drzwi, jak gdyby wzywał sekciarzy, żeby wkroczyli. Po drugiej stronie podwójnych wrót znajdował się Charlie Daniels, tak jak w każdą niedzielę od

czasu ostatniego najścia. Nikt mu nie kazał zająć tej pozycji, ale stał tam w postawie "spocznij", z głościkiem zwisającym z ręki na rzemiennym pasku, rewolwerem w pochwie i długą pałką u pasa.

Davies ciągnął:

- Protestanci i protestantki sami wybierają życie bez grzechu. Nikt nie robi im prania mózgu, żeby nie grzeszyli. Wybór Boga - to miłość do Boga, miłość dana z własnej woli, a nie wymuszona przez kogokolwiek. - Spojrzał w notatki, zgubił się i zaczął jąkać.

Czar prysł. Do kościoła wdarł się upał, a głosy śmiejących się ludzi i warkot samochodów przypomniały zebranym, że wkrótce miało zacząć się święto.

Pastor brnął dalej.

Mówił, że protestantyzm, religia protestu i wiary w indywidualny obowiązek dokonania wyboru Boga, sprzeciwia się ograniczeniu wolności jednostki przez społeczeństwo, a jednocześnie przykład, jaki ukazuje to społeczeństwo jednostce, zwróci ją z powrotem ku protestantyzmowi. Uzbrojony w wiarę pochodzącą z wolnego wyboru, protestant oprze się wpływowi społeczeństwa i ocali jednostkę dla Boga.

Zainteresowanie Springera osłabło. To, co było przedtem elektryzujące, stało się zawile, kiedy Davies oddał się swojemu zamięlowaniu do socjologii. Podobne teksty nadawałyby się bardziej do prywatnej pogawędki i kiedy wreszcie zamilkł, zebrani z weschnieniem ulgi powstali, aby odśpiewać hymn na zakończenie.

Alan i Margaret poszli leniwym krokiem do domu, aby przebrać się w coś lżejszego. Margaret włożyła kapelusz z szerokim rondem; przypomniało to nagle doktorowi pewien romantyczny dzień, który dawno temu przeżyli w Saratodze. Wziął ją za rękę, kiedy przechodzili przez ulicę, i razem poszli żułowym, szkolnym podjazdem, mijając budynek z czerwonej cegły, na którego tyłach odbywało się święto.

Uroczystość zorganizowano na otwartym, spalonym sierpniowym słońcem terenie szkolnych boisk - bramki znaczyły pole do piłki nożnej, goła ziemia - baseballowy romb do obiegania, a płytkie dołki - miejsca do gry w kulki. Obok budynku szkoły, w pobliżu bieżącej wody i łazienek postawiono stragany, obsługiwane przez spoconych, popijających piwo strażaków, którzy sprzedawali usmażone na grillach hamburgery, hot-dogi, parujące kolby

kukurydzy i puszkowane piwo, leżące w baliach wypełnionych lodem. Żony strażaków, jako drużyna pomocnicza, zajmowały się sprzedażą ciast i ciasteczek.

Zaraz za stoiskami z jedzeniem sprzedawano wyrabiane w okolicy pamiątki - haftowane serwety, koszule, podkoszulki, lalki z kukurydzy, strugane drewniane figurki, ozdobne rośliny domowe i półszlachetne kamienie. Dalej, za kłębami dymu, wydobywającymi się z grillów na węgiel drzewny, przykościelny klub emerytów przygotował rzędy ogrodowych stolików przeznaczonych na wieczorny posiłek.

W ciężkim powietrzu kłębiły się tumany kurzu, wzbijane przez setki stóp depczących po suchej trawie. Przechadzający się powoli od stoiska do stoiska ludzie - z godziny na godzinę było ich coraz więcej - przeciskali się ostrożnie wśród biegających dzieci i szczekających psów.

Stały tam również kojce ze zwierzętami, gdzie sędziowie konkursowi oceniali krowy, owce i świnie. Dzieci zaś wystawiały klatki pełne świnek morskich, królików i kurczaków. Od czasu do czasu zaryczał groźnie byk, oznajmiając publiczności, że właśnie spędza niedzielę pod cienistym drzewem.

Inne stoiska konkursowe prezentowały wyroby piekarskie, konfitury i olbrzymich rozmiarów warzywa o lśniącej skórce. Była też wystawa kwiatów, a także przenośna karuzela; stamtąd dobiegała piskliwa muzyka.

Turyści zasilili szeregi mieszkańców miasteczka, farmerów i letników, tak że późnym popołudniem kręciło się tam ponad tysiąc osób.

Doktor przyglądał się wystawie świń, kiedy odnalazła go Margaret.

- Wyglądasz na zadowoloną - powiedział, ciesząc się z jej rumieńców.

- W kościelnym straganie sprzedali cztery moje obrazki.

- Wspaniale!

- Po dziesięć dolarów za sztukę.

- Złodziejstwo!

- Namaluję więcej na przyszły rok. Widziałeś Samanthę? - stanęła na palcach i

próbowała wyłowić ją z tłumu.

Alan wyjaśnił:

- Kiedy ostatni raz ją widziałem, nakłoniła biednego Dicka Lewisa do tego, by rzucał piłeczką baseballową w butelki od mleka. Miała oko na kolejnego pluszowego pieska.

- Ach, rzeczywiście jest. Och, Alanie, tak się cieszę, że ich tu nie ma!

- Błękitnych Braci? - spytał Springer. Instynktownie spojrzął ponad dachem szkoły na górę Spotting. Polana, na której przycupnął stary szpital, złociła się w słońcu.

- Jest tak, jak dawniej. Jak gdyby ich nie było.

Margaret uśmiechnęła się i zmrużyła oczy ocienione rondem kapelusza. Dotknęła nosa Alana i powiedziała:

- Opaliłeś się.

- I zmęczyłem. Straszny hałas. Chcesz skoczyć do domu na godzinkę?

Żona złapała go za rękę.

- Wziąć prysznic - zgodziła się. - I napić się wina. Dwadzieścia minut później leżeli obok siebie w łóżku. Przez otwarte okno dolatywały odgłosy zabawy. Zwiewne, letnie zasłony zmarszczył powiew wiatru.

- Czuję się tak dziwnie - powiedziała Margaret. - Słyszemy wszystkich. To prawie tak, jakby nas obserwowali.

- Czy to cię podnieca? - spytał. Odwróciła głowę i spojrzała na niego nieśmiało.

- Coś mnie podnieca.

Pocałował ją w usta i poszukał pociechy w pieszczotach.

W jakiś czas później obudził ich donośny głos Boba Kenta. Ubrali się pośpiesznie i wrócili na uroczystość w chwili, gdy burmistrz ogłaszał wyniki przeglądu zwierząt gospodarskich. Kiedy ostatni uśmiechnięty hodowca zstąpił z podium ze swoją błękitną wstęgą, zaczął zapadać wieczór. Kent gratulował właścicielom zwierząt, a potem

przypomniał, że po kolacji, którą zaczęły szykować panie z przykościelnego klubu seniora, zaprasza wszystkich na tańce.

Kiedy umilkły głośniki, ludzie zaczęli podchodzić do stołów z posiłkiem. Słońce zniżało się, zbliżając swą tarczę do góry Spotting. Jego promienie świeciły nad szkolnym podjazdem, w przerwie pomiędzy budynkiem i drzewami. Mrużąc oczy z powodu blasku, Springer, Margaret i Samantha usiedli z Mary Kent, Sophie Wilkins i rodziną Lewisów przy stole burmistrza, podczas gdy Bob przechodził przez tłum witając się ze wszystkimi, których mijał.

Sophie prychnęła:

- Woli ścisnąć ludziom rękę, niż zabrać się do jedzenia.

- Przestań, Sophie.

- Czy on nie wie, że nie zaczną podawać, dopóki nie usiądzie? Doktor patrzył z rozbawieniem, jak jego przyjaciel powoli posuwa się w kierunku stołu. Alan widział setki znajomych twarzy - dzieci, które odbierał, dorosłych, których leczył. Zapach jedzenia mieszał się z silną wonią zwierząt. Springer delikatnie trzymał za rękę Margaret.

Spostrzegł, że Alfie Potter wygrał błękitną szarfę za swoją konkursową świnię. Zdobywał ją co roku, ku konsternacji zawodowych farmerów, którzy uważali, że hydraulik nie odróżniłby okazałego wieprza od małego hipopotama. Założył na siebie swoją wstęgę, natychmiast wszyscy zdobywcy szarf poniżej szesnastego roku życia zrobili to samo.

Springer spoglądał na uśmiechnięte twarze, słuchał rozmów i szczerego śmiechu i pomyślał sobie, że może wszystko jest w porządku. Może nic aż tak ważnego nie zdarzyło się w Hudson City. Zmiany nie były w tych górach czymś nowym. Z perspektywy lat wydawało się, że wszystko - letnie domy, drwale, kopalnie granatów, kolej, szpital - zostawiło po sobie jakiś ślad. Być może ta ziemia i ludzie przyjmą także i Błękitne Bractwo, tak jak przyswoili sobie to, co nastąpiło przed nim.

Kent dotarł do stołu i usiadł.

- Wyglądasz na szczęśliwego - powiedział.

- Dobrze mi.

Doktor właśnie chciał podzielić się swoimi refleksjami z przyjacielem, kiedy zauważył, że zapadło milczenie. Ludzie poruszyli się, jak gdyby nad stołami przeleciał zimny powiew.

- Co się dzieje? - zapytał burmistrz.

Alan odwrócił się w kierunku stłumionego łomotu maszerujących stóp. Springer spojrział na czerwoną tarczę słońca i zobaczył na jej tle długą, podwójną kolumnę sekciarzy schodzącą ze szkolnego podjazdu. Mężczyźni i kobiety, idący jak zwykle osobno, skręcili za rogiem budynku i skierowali się w stronę świętujących mieszkańców miasteczka. Doktor ocenił, że przybyszów było co najmniej trzystu, może jeszcze więcej. Czego chcieli? Miejscowi popatrywali na siebie nerwowo.

Nagle czoło kolumny zatrzymało się i członkowie Bractwa przegrupowali się w duże koło, stojąc o jakieś siedem metrów od stołu. Samantha, Dick i inni nastolatki machali do nich i wołali "cześć". Przybysze kiwali do nich w odpowiedzi, zachowując jednak milczenie. Usiedli na ziemi, szybko odpakowali przyniesione ze sobą kanapki, powstali znowu, równo jak wyćwiczone wojsko, i zaśpiewali:

Żywimy się tobą, Chlebie niebiański, naszym pokarmem jest Ciało Pańskie; by nasze dusze były zbawione, niech Chlebem Żywym będą karmione.

- To pieśń przed Komunią - powiedziała Margaret.

- Członkowie Bractwa przyjmują Komunię za każdym razem, kiedy jedzą - wyjaśniła Samantha.

Sekciarze ponownie usiedli i skłonili głowy, zanim zabrali się do posiłku. Mieszkańcy miasteczka niespokojnie szeptali między sobą, aż Pete Lewis odezwał się głośno:

- Widzicie? Po prostu przyszli miło spędzić czas, tak jak wszyscy. Nawet przynieśli ze sobą jedzenie.

Przyciszone rozmowy trwały jednak dalej. Pomimo uwagi sklepikarza, nagłe przybycie sekciarzy nadal wydawało się groźne. Nie tyle przyłączyli się do uroczystości, co raczej rzucili jej wyzwanie.

- Okay - powiedział Bob Kent tak głośno, żeby poruszyć siedzących przy pobliskich

stolikach - Zorganizujmy się. Ja idę po hot-dogi, kurczaki i hamburgery. Alanie, niniejszym zlecam ci przyniesienie sałatki kartoflanej i kukurydzy. Przydadzą się też napoje i piwo. Pete, skoczysz? Dobrze? Chodźmy. Wszyscy inni mogą sobie siedzieć.

Zapał burmistrza okazał się zaraźliwy - Springer i Lewis ruszyli w kierunku stołów z jedzeniem. Wrócili obładowani podając przyniesione skarby Mary i Sophie, które zaczęły nakładać je na papierowe talerzyki. Margaret zajęła się piwem i napojami dla dzieci. Uśmiechnęła się do Samantha, która zrobiła krytyczną uwagę na temat alkoholu.

- Wszyscy gotowi? - spytał Kent, kiedy talerze były już pełne. Sophie Wilkins wycelowała w niego nóżką od kurczaka.

- Czy mógłbyś z łaski swojej na pięć minut przestać być burmistrzem? Podaj sól, Alanie... Alanie?

Uwagę Springera odciągnęło nagle poruszenie wśród siedzących po turecku na trawie Błękitnych Braci. Wydawali się podekscytowani. Po raz pierwszy ich żelazna dyscyplina zdawała się nie funkcjonować. Oglądali się na boki i rozmawiali z podnieceniem - pewnie czegoś szukali, jak sądził doktor.

Nagle, jak stado owiec, które odwraca się do szczekającego psa, wszyscy spojrzeli w kierunku szkoły. Alan też patrzył w tamtą stronę, ale trudno było cokolwiek dostrzec. Słońce, które stało się oślepiająco czerwone, zbliżając się do masywu góry Spotting, wydawało się jakby zawieszane nad środkiem podjazdu. Zasłaniając oczy, odwrócił wzrok na Samanthę. Jego córka gapiała się prosto w słońce, nieruchoma, jak sparaliżowana.

- Co się dzieje? - spytał doktor. Samantha nie odpowiedziała.

Springer złapał Margaret za rękę. Była zimna.

Sekciarze nie odrywali wzroku od słońca.

Coś poruszyło się w środku jego tarczy. Długi cień dotknął stojących na trawie stołów. Jedna z należących do Bractwa kobiet krzyknęła:

- MICHAŁ!

Z oślepiającego światła słonecznego wyłonił się olbrzym. Płonący krąg podświetlił od tyłu złociste włosy i zabarwił powiewną koszulę na krwistoczerwono.

- Michał! - krzyczeli Błękitni Bracia, zrywając się na nogi. Przybysz rozpostarł szeroko ręce i uśmiechał się, jak gdyby błogosławił zebranym z wyżyn swojego wzrostu. Z jego ust dobył się potężny, basowy głos:

- NADEJDZIE PAN!

Członkowie sekty zaczęli wrzeszczeć, padać na ziemię i tarzać się w piachu. Samantha i Dick zerwali się ze swoich ławek, podbiegli do Michała i przykucnęli u jego stóp. Reszta młodzieży poszła w ich ślady; zapominając o kolacji, święcie, nagrodach i oszołomionych rodzicach.

Przywódca sekty odchylił do tyłu piękną głowę i zaintonował donośnym głosem hymn, który znali tylko jego wyznawcy i dzieci. Śpiewały razem z nim, wyrzaskując słowa, wykrzykując refren, śmiejąc się z jakąś dziwną radością, podczas gdy rodzice przyglądali się w przerażeniu. Ich dzieci zachowywały się jak obcy ludzie. Michał wznosił ręce i pieśń się skończyła.

- Upadnijcie na kolana i módlcie się do Boga. Sekciarze uklękli; młodzież klęknęła koło nich.

- Wznieście twarze ku niebu - komenderował Michał. - Otwórzcie wasze ciała dla Pana.

Sekciarze gapili się w ciemniejące niebo i posłusznie wzniesli ramiona. Nastolatki powtarzali każdy ich ruch. Przywódca Błękitnych Braci modlił się także. Jego potężny głos zagłuszył niespokojne szepty mieszkańców miasteczka. Był rytmiczny, dźwięczny, uspokajający, zniewalający. Springer wyteżył się, aby wychwycić słowa, złapać sens, ale nie udało mu się to. Głos był silnym, ciągłym, wszechogarniającym dźwiękiem, donośnym, wibrującym, hipnotycznym.

Michał kroczył wśród swoich klęczących wyznawców, dotykając ich głów.

Przezroczysta koszula łopotała na wietrze, który Michał, zdawało się, przyniósł ze sobą, a jego włosy iskrzyły się złotem i czerwienią w chowającym się za górę słońcu.

Sekciarze obejmowali go za potężne nogi. Uwalniał się delikatnie i posuwał dalej, poruszając masę kłębiących się wokół niego ciał. Wszyscy obecni na rozległym terenie ludzie bacznie go obserwowali. Jak oceniał Springer, Michał musiał mieć przynajmniej metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu. Był pięknie zbudowany, silny, a jednocześnie poruszał się z gracją, podobnie do tancerza. Jego wyrazista twarz wyglądała tak, jakby istotnie był Bogiem - pomyślał doktor. Rysy niczym wykute z granitu - duży nos, szczupłe policzki i gęste brwi.

W pewnym momencie przywódca sekty przestał mówić. Stojąc pośród klęczącego, rozentuzjasmowanego tłumu, odwrócił się do mieszkańców Hudson City i uśmiechnął się łagodnie.

Alan zadrżał - stracił całą swoją odwagę.

Czarne, niezgłębione oczy Michała przeszywały na wylot. Wydawało się, że rozporządza nadludzką siłą.

- Powstańcie - zwrócił się do młodzieży. - Zanieście nowinę waszym ojcom i matkom.

Podnieśli się razem z ludźmi z Bractwa i uformowali wielki krąg wokół ogrodowych stolików, przy których siedzieli mieszkańcy miasteczka, po czym wszyscy - sekciarze i dzieci - zaczęli śpiewać.

- Nadejdzie Pan. Nadejdzie Pan. Nadejdzie Pan. Nadejdzie Pan. Nadejdzie Pan...

Alan oglądał mur nieporuszonych twarzy, jedną po drugiej. Gdzie jest Samantha? Wszystkie dzieci wyglądały tak samo. Stracił córkę z oczu, kiedy się przemieścili.

- Gdzie ona jest? - wyszeptwała Margaret, wbijając paznokcie w dłoń męża.

Doktor nie wiedział. Zauważył Dicka i rozejrzał się koło niego. Nic. Przez cały czas trwał śpiew.

- Nadejdzie Pan. Nadejdzie Pan. Nadejdzie Pan...

Śpiewali coraz głośniejsze i głośniejsze, a głos Michała ciągle brzmiał najmocniej, nadając tempo. Ryczał teraz z całych sił, potrząsując swoją wielką głową. Wysokie, piskliwe głosy

nastolatków ledwie nadażały za nim.

Niektórzy z dorosłych z wahaniem zbliżyli się do ściany ludzi i odnaleźli swoje dzieci, po to tylko, żeby spotkać się z martwymi, patrzącymi przed siebie oczami, nie reagującymi na obecność rodziców, jak gdyby byli oni niewidzialni.

- Nadszedł Pan. Nadszedł Pan. Nadszedł Pan... Doktor wychwycił zmianę, jaka nastąpiła w słowach. Wyciągnął szyję. Gdzie jest Samantha? Hałas i ciasny krąg ludzi działały przytłaczająco. Pete Lewis i jego żona gapili się, zdjęci grozą, na Dicka. Sophie Wilkins zaciskała usta. Mary Kent spoglądała na Boba z malującym się na twarzy przerażeniem, a burmistrz wyglądał na zaniepokojonego i czujnego, jak gdyby czekał na przerwę w panującym zgiełku, w czasie której mógłby coś zrobić. Margaret wytrwale szukała Samanthy.

Nagle Buster Crayton, mleczarz, który szarżował samochodem na płot Bractwa, zauważył swoją córkę, Betsy. Podszedł do śpiewającego kręgu i złapał ją za pulchne ramię. Betsy próbowała uwolnić się z uścisku jego potężnej dłoni. Właściwie ojciec klepnął ją przy okazji solidnie, tak jakby poganiał niezdecydowaną krowę, żeby przeszła przez furtkę. Betsy wrzasnęła wniebogłosy, jak gdyby została wyrwana z nocnego koszmaru.

W ciągu sekundy otoczył ją mur sekciarzy, zmuszając Bustera, żeby puścił córkę. Farmer wycofał się zmieszany. Potrząsnął głową niczym zdumiony byk i po chwili runął na grupę mężczyzn, którzy okrążyli Betsy. Krąg otworzył się, połknął go do wnętrza i zamknął się z powrotem.

Syn i bratanek Craytona, rośli mężczyźni po trzydziestce, ruszyli mu z pomocą. Rzucili się na Błękitnych Braci wymierzając ciosy i kopniaki. Sekciarze zaczęli natychmiast się cofać, pociągając za sobą napastników, wciągając ich do półkola i zamykając jego końce, aż ci zniknęli z oczu. Przez cały czas trwał śpiew:

- Nadszedł Pan. Nadszedł Pan. Nadszedł Pan. Krąg się otworzył.

Rolnicy leżeli rozciągnięci na zdeptanej trawie, nieruchomi jak lalki z kukurydzy.

- Nadszedł Pan. Nadszedł Pan. Nadszedł Pan... Siedzący przy stołach ludzie powstawali, krzycząc ze złością na widok swoich powalonych sąsiadów. Ich żony rzuciły się ku nim z przerażeniem na twarzach, ale zatrzymały się z lękiem, zanim dotarły do swoich

mężów.

Zastąpił im drogę Michał z łagodnym uśmiechem, ale płonącym wzrokiem. Przez długą chwilę przyglądał się mieszkańcom Hudson City. Słońce zaszło już niemal zupełnie. Nikt się nie odzywał i wydawało się, że w tym momencie nie przejechał ulicą żaden samochód, nie zaśpiewał żaden ptak i nie bzyknął żaden owad. Springer z przerażającą pewnością czuł, że przywódca sekty zamierza ukarać miasteczko za atak Craytona.

Ale kiedy wreszcie przemówił, skierował się do swoich wyznawców.

- Pójdziemy teraz do domu.

Zgromadzeni przy stołach ludzie westchnęli z ulgą. Błękitni Bracia uformowali swoją zwyczajową podwójną kolumnę - mężczyźni i kobiety oddzielnie. Alan uspokoił się, myśląc z ulgą, że pomylił się co do zamiarów Michała.

Przywódca sekty stanął na czele kolumny swoich wyznawców. Uśmiechnął się do młodzieży z miasteczka.

- Chodźcie z nami.

A dzieci z Hudson City weszły pomiędzy dwa rzędy sekciarzy i pomaszerowały razem z nimi.

Nad szkolnymi boiskami zapadła głęboka, martwa cisza. Rodzice z Hudson City spoglądali na siebie w osłupieniu, zaszokowani tym, co się stało. Maszerująca kolumna zdążyła już zniknąć za budynkiem szkoły. Dzieci odeszły.

Kiedy Springer uklęknął przy Craytonach, żeby udzielić im pomocy, zaczęli właśnie odzyskiwać przytomność. Stwierdził, że nie mają śladów pobicia, ale są w szoku. Poleciał ich żonom, by postarały się, aby jeszcze przez parę minut pozostali w pozycji leżącej. Kiedy wstał, ludzie kręcili się dookoła, zdenerwowani i zmieszani; wykrzykiwali, że muszą odzyskać swoje dzieci. Margaret złapała Alana za ramię. Patrzyła dzikim wzrokiem.

- Co zrobimy?

- Uspokój się - odparł doktor. - Coś zrobimy.

- Co?! - pisnęła przeraźliwie. - Alanie, proszę cię... Springer poczuł, że dookoła narasta histeryczny nastrój. Złapał żonę obiema rękami i krzyknął:

- Tylko spokojnie! - Kątem oka zobaczył, że Bob Kent wdrapuje się na podium. - Słuchaj - ciągnął. - Idź do domu. Proszę cię. Zanim to wszystko wymknie się spod kontroli. Odzyskam Samanthę.

- Jak? - jęknęła.

- Odzyskam ją. Obiecuję.

Kent energicznie gestykulował w stronę szkolnego woźnego, żeby włączył nagłośnienie. Twarz burmistrza była czerwona i spięta. W głośnikach rozległ się trzask.

Springer popchnął żonę w kierunku podjazdu.

- Idź. Pomogę Bobowi i odzyskam Samanthę.

Margaret zawahała się, rzuciła mu ostatnie błagalne spojrzenie i pobiegła.

Kent zamachał rękami i wrzasnął:

- Niech wszyscy się uspokoją!

- Dokąd zabierają nasze dzieci? - krzyknęła żona jednego z farmerów. Tłum odpowiedział pełnym niepokojem pomrukiem.

Burmistrz krzyknął:

- Zaraz się tym zajmiemy! - I dodał zupełnie bez sensu: - Może niech każdy usiądzie i zajmie się kolacją, którą przygotowały panie.

- O czym ty, do cholery, mówisz?! - wrzasnął kierowca ciężarówki.

- Spokojnie - odparł Kent. Charlie Daniels i ja zajmiemy się tym.

- A co ty, do licha, chcesz zrobić? - krzyknął ktoś zdenerwowanym głosem. - Idę po moje dzieci. Kto idzie ze mną?!

To zdanie wywołało wśród zebranych złowrogi szum i w ciągu paru chwil, pomimo starań burmistrza, trzystu ludzi wylało się ze szkolnego podwórka na Main Street. Doktor zamachał do Boba i dysząc z wysiłku, ruszyli jak najszybciej, żeby wyprzedzić tłum.

- Musimy ich powstrzymać - odezwał się Kent, doganiając Springera.

Ostatni z kolumny sekciarzy skręcali już w Spotting Mountain Road. Idący na przedzie mieszkańcy miasteczka, zauważywszy to, przyspieszyli jeszcze bardziej, przynaglając pozostałych.

Doktor i burmistrz pędzili w kierunku centrum. Za nimi przez całą szerokość ulicy spieszyli obywatele Hudson City. Ich krzyki mieszały się w jeden zwierzęcy skowyt, wyrażający strach, czy też ból. Alan dostrzegł Margaret, przyglądającą się wszystkiemu z werandy. Stała oparta bezwładnie o jedną z kolumnienek, z malującym się na twarzy przerażeniem.

Zanim doszli do sklepów, Bob już z trudem łapał powietrze. Otworzył z trzaskiem drzwi posterunku i wrzasnął na Danielsa.

Ubrany w mundur koloru khaki policjant wytoczył się z tylnego pokoiku z nabrzmiałą od snu twarzą i zdumionym wzrokiem.

- Co się dzieje?

- Wsiadaj do samochodu!!! - ryknął Kent.

Springer trzymał drzwi, żeby się nie zamknęły, i spoglądał z niepokojem na zbliżający się tłum. Charlie gwałtownie potrząsnął głową i natychmiast otrzeźwiał. Przeszedł koło doktora i burmistrza mrucząc:

- Drzemałem. Przez cały dzień!

Kiedy Springer, Kent i Daniels wśliznęli się od strony chodnika do zaparkowanego przy krawężniku wozu patrolowego, ludzie właśnie zdążyli do niego dotrzeć.

- Odetnijmy im drogę -- warknął Bob. Ciągłe sapał i Alan obawiał się, że pośpiech mógł okazać się dla jego przyjaciela zgubny.

Charlie uruchomił silnik, jednym ruchem włączył sygnał i migające światła i zdołał ruszyć, zanim tłum zablokował im drogę. Rozzłoszczeni ludzie zaczęli walić w dach auta pięściami; niewielu jednak potrafiło wytrzymać ryk syreny na tyle długo, żeby móc zablokować samochód. Daniels przejechał przez oczyszczoną hałasem przestrzeń i wydostał się na wolną jeszcze od tłumy część ulicy. Dwa samochody, które wyłoniły się zza zakrętu przy kościele, przytuliły się do krawężnika, kiedy ich kierowcy zobaczyli maszerujące rzesze ludzi. Doktor kulił się od dźwięku wyjącej syreny i patrzył na Danielsa. Policjant był tak niepokojąco młody...

Charlie spojrział w lusterko wsteczne i przyspieszył widząc, że idący na przedzie niebezpiecznie się zbliżyli.

- Co się stało? - zapytał. - Kiedy poszedłem, wszystko było w porządku.

Kent, walcząc z zadyszka, odpowiedział krótko:

- Bractwo zabrało ze sobą dzieci. Rodzice chcą, żeby wróciły. My jesteśmy w środku tej zawieruchy.

Daniels długo patrzył w lusterko. Springer zauważył, że policjant zagryza wargi.

- Myślę, że nie uda mi się ich tutaj zatrzymać - ocenił sytuację Charlie. Zadepczą nas.

- Po prostu oddzielajmy ich od siebie - powiedział doktor. Marsz pod górę powinien ostudzić ich zapał.

Posterunkowy skręcił w drogę Spotting Mountain. Pod wiszącymi nad ich głowami gałęziami drzew było już ciemno. Wyłączył syrenę i zapalił reflektory. Snopy światła oświetliły tylną straż kolumny sekciarzy.

- A co będzie, jeżeli się nie uspokoją do czasu, kiedy tam dotrzemy? - spytał Kent. - Są nielicho zdenerwowani. Ten skurczybyk po prostu wziął ze sobą ich dzieci, jakby były jakimiś marionetkami. - Burmistrz patrzył posepnie w bok. - Jeszcze półtora kilometra - powiedział. - Co to są za ludzie, żeby tak po prostu zabrać wszystkie dzieciaki?

- Jaki skurczybyk? - chciał się dowiedzieć Daniels. Alan i Bob wyjaśnili mu.

- Numer Jeden? - upewnił się policjant. - Tak myślałem, że któregoś dnia się pojawi.

- Ale zamieszanie - skwitował Kent,

Maszerujące pod górę w narastającej ciemności grupy oddzielało teraz mniej niż dwieście metrów. Daniels dodał gazu, aż znaleźli się tuż za kolumną sekciarzy. Zajmowała całą szerokość wąskiej, ograniczonej rowami drogi, tak że wyprzedzenie jej było niemożliwością.

- Chciałbym móc ich zatrzymać, zanim wejdą do środka.

- Tylko my ich rozdzielamy - ostrzegł Springer. Bezskutecznie usiłował wyłowić wzrokiem szczupłą sylwetkę Samantha. Dzieci znajdowały się jednak poza polem widzenia, zasłonięte przez szereg potężnie zbudowanych mężczyzn - tylną straż, która wspiwała się spokojnym krokiem po pochyłej drodze nie oglądając się za siebie.

- Musimy zostawić to im - powiedział Charlie. - Kiedy coś robią, robią dobrze. Spójrzcie na tych facetów. Każdy, kto ich dopadnie, będzie tego wkrótce żałował.

W tym momencie ścigający rozstąpili się i spomiędzy nich wyjechało kilka samochodów, trąbiących przeraźliwie. Kierowcy próbowali wyprzedzić wóz policyjny. Daniels błyskawicznym ruchem skręcił kierownicą i zahamował gwałtownie, wprawnie blokując im drogę. Opuścił szybę i zwrócił się uprzejmie do pasażerów pierwszego samochodu, że aresztuje ich rano, jeśli nie zabiorą stąd swoich tyłków. Siedzący w środku

zawrzeli gniewem krzycząc, żeby Charlie lepiej coś zrobił, po czym ruszyli, aby ominąć wóz policyjny; zwłaszcza że rozwścieczony tłum prędko się zbliżał.

Daniels wdepnął pedał gazu w podłogę i zajął swoją pozycję tuż za kolumną sekciarzy. Kent zachichotał ironicznie.

- Nieźle idzie, Charlie. Posterunkowy gryzł wargi.

- Jak jest jeden na jednego, to łatwo. - Spojrzał niespokojnie na Springera, ale doktor gapił się w ciemność, prosto przed siebie. Wtedy policjant zobaczył, czemu przygląda się Alan.

Z tego miejsca było już widać światła ośrodka Błękitnego Bractwa. Maszerujący zaczęli przyspieszać kroku, aż w końcu, kiedy dotarli do bramy, biegli ile tylko sił w nogach. W ten sposób zdołali zaskoczyć mieszkańców miasteczka i zamknąć wrota, zanim ci mogli ich dopaść. Daniels zatrzymał samochód na podjeździe przed bramą.

- Dobra - powiedział Kent. - Alan i ja pogadamy z nimi. Ty uważaj na resztę.

Policjant wysiadł z samochodu i stanął twarzą do tłumu.

Doktor z burmistrzem podeszli do wejścia. Sekciarze znikli już w głębi pograżonego w ciemności podwórza. Nagle zapłonęły latarnie, oświetlając zarówno bramę jak i duży, pochyły trawnik przed budynkiem.

Członkowie Bractwa siedzieli razem z dziećmi na trawie, po turecku, jakieś sto metrów od bramy. Mieszkańcy Hudson City podeszli bliżej, krzycząc na Kenta, na sekciarzy i na siebie nawzajem. Daniels podniósł obydwie ręce do góry.

- Uciszcie się może! - zawołał. - Burmistrz da sobie radę ze wszystkim.

Springer sięgnął na tylne siedzenie samochodu po głośnik Charlie'ego i podał Kentowi. Bob włączył go i wrzasnął:

- Michale! Zejdź tutaj; porozmawiajmy! Sekciarze odpowiedzieli intonując pieśni.

Ludzie zaczęli się tłoczyć do przodu, przygniatając Danielsa do wozu policyjnego. Ktoś ze znajdujących się na przedzie krzyknął:

- Przez płot! Chodźmy! Uwolnimy ich!

Podczas gdy Błękitni Bracia razem z młodzieżą dalej śpiewali, Michał na czele grupy rośliwych mężczyzn zbliżył się do bramy. Ci, którzy przed chwilą wzywali do ataku, uciszyli się teraz. Daniels, korzystając z chwilowego spokoju, wrócił do samochodu i wezwał przez radio policję stanową. Wysiadł drzwiami od strony pasażera, przecisnął się pomiędzy Kentem a Springerem i zwrócił się do Michała, który stał jakieś cztery metry od bramy:

- Skończmy z tym, zanim stanie się coś gorszego. Wypuście dzieci.

Przywódca sekty uśmiechnął się uprzejmie, ale jego oczy patrzyły z siłą; płonęły w świetle latarni.

- Dzieci - odpowiedział - są naszymi gośćmi. Mogą odejść, kiedy tylko zechcą.

Gdy mówił, jego głos miał znowu niesamowite brzmienie, jak wtedy kiedy modlił się i śpiewał. Doktor ponownie poczuł się poruszony jego niezwykłą siłą. Charlie Daniels również wydawał się odczuwać aurę, jaką roztaczał wokół siebie Michał; wiedząc instynktownie, że nie ma się co z nim mierzyć, odwrócił się do tłumu i kazał się ludziom odsunąć.

Parę minut później zawyły syreny. Zgromadzonych ludzi rozdzieliły dwa wozy policyjne i zatrzymały się koło samochodu Daniela. Wskoczyło z nich czterech umundurowanych policjantów w kaskach i zaczęło oczyszczać teren wokół bramy, odpychając ludzi stojących im na drodze. Trzech z nich stanęło na straży ściskając groźnie pałki, a czwarty wysłuchał sprawozdania Daniela i Kenta na temat tego, co się wydarzyło, a potem postukał pałką w bramę i kazał ją otworzyć.

Michał, otoczony swoją świtą, podszedł trochę bliżej i spojrzał dobrotliwie na funkcjonariusza, który powtórzył swój rozkaz:

- Otwierać!

Przywódca Błękitnego Bractwa uśmiechnął się znowu. Jego oczy płonęły niesamowitym blaskiem. Kiedy przemówił, jego głos docierał do czekającego tłumu.

- Dzieci są naszymi gośćmi - powiedział. - Przyszły śpiewać pieśni i modlić się i nie opuszczą mojego sanktuarium, dopóki modlitwy się nie zakończą.

Ponownie się uśmiechnął w odpowiedzi na pełne złości okrzyki i dodał:

- Zapraszam wszystkich, żeby posłuchali zza bramy, jeśli chcą. Możecie się wiele nauczyć od swoich dzieci.

Policjant zaczął stukać pałką w otwartą dłoń. Miał stanowczą twarz człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów.

- Jako policjant, daję wam polecenie otwarcia tej bramy.

- Już pan nie reprezentuje prawa - odparł Michał. Odwrócił się dostojnie i odszedł, a jego szeroka koszula powiewała na wietrze.

- Otworzę je siłą i aresztuję ciebie i całą twoją cholerną bandę! - wrzasnął funkcjonariusz.

Michał odwrócił się ponownie i przeszył go swoim przerażającym wzrokiem.

- Nie aresztuje pan - odpowiedział.

Policjant cofnął się i nadstawił pałkę jak do obrony, mimo że przywódca Błękitnego Bractwa znajdował się w odległości czterech metrów od niego i był oddzielony bramą. Michał skinął głową i dwudziestu mężczyzn przycisnęło pierś do żelaznych prętów, wspierając wrota murem swoich ciał. Springer spojrzał na ich kamienne twarze i zdał sobie sprawę, że nic, prócz śmierci, nie zdołaloby zepchnąć ich z zajmowanej pozycji. W umysłach tych ludzi - a raczej tym, co zostało z ich umysłów - nie pojawiły się najmniejsze wątpliwości; byli gotowi raczej umrzeć, niż ruszyć się z miejsca. Umarliby za Michała.

Policjant patrzył na nich, niezdecydowany.

Sto metrów dalej młodzież śpiewała spokojnie, jakby nieświadoma tego, co działo się na podjeździe.

Przez tłum przecisnął się energicznie mały, okrągły, siwowłosy człowieczek w szerokim płaszczu. Pilnujący porządku policjanci ruszyli się, aby go zatrzymać, ale zamachał niecierpliwie ręką i cofnęli się, rozpoznawszy go.

- Strunk - odezwał się Kent.

- Dobry wieczór, panie burmistrzu - powitał go prawnik z Warrington. - Dobry wieczór, panie oficerze. Dobry wieczór, doktorze. Dobry wieczór, panie policjancie; jak się miewa pańska żona?

- Znakomicie, panie Strunk.

- To wspaniale. Dobrze, co tu się dzieje? Dostałem telefon, że mój klient jest napastowany; na to zresztą wygląda. Co w związku z tym robicie?

- Pański klient? Ma pan na myśli ich?

- Reprezentuję Błękitne Bractwo w pewnych kwestiach. Co tu się, do diabła, dzieje? Co to za ludzie? - wskazał pogardliwie głową na mieszkańców Hudson City.

- Bractwo przetrzymuje młodzież z miasta. Wymaszerowali razem z nią prosto z obchodów naszego dorocznego święta.

- Przetrzymuje? - spytał zdziwiony Strunk, spoglądając na śpiewających nastolatków.

- Zlekceważyli mój rozkaz otwarcia bramy - wyjaśnił policjant.

Strunk rozejrzał się dookoła z niezadowoloną miną.

- Hmm, z całą pewnością nie otworzyłbym mojej bramy, gdyby stały przed nią setki ludzi. A pan?

- Zlekceważyli polecenie policji.

- No cóż, oczywiście. Boją się... Chodźcie no. - Prawnik rozpostarł ręce i przyciągnął do siebie Kenta, Danielsa i dowódcę patrolu policji stanowej. Springer słuchał uważnie.

- Wygląda na to, że te dzieciaki dobrze się bawią. Nie widzę, żeby popełniono tu jakiegokolwiek przestępstwo. Czy stwierdza pan jakieś przestępstwo, poruczniku?

- Ale...

- Zalecałbym panu, żeby zamiast atakować zgromadzenie nie uzbrojonych obywateli, którzy spokojnie odbywają praktyki religijne, zrobił pan coś lepiej z tymi ludźmi. Są bardzo agresywni.

Doktor popatrzył ponad głowami strzegących bramy mężczyzn. Michał stał sobie za nimi, niejako na uboczu, z lekkim uśmiechem na swoich zmysłowych ustach. Alan zastanawiał się, czy przywódca sekty zaplanował całe zajście. Michał spoglądał leniwie w jego kierunku. Doktor ujrzał, że na twarzy olbrzymiego blondyna malowała się wesołość. To była zwykła, bezlitosna gra, której celem stanowiło pokazanie miastu potęgi sekty.

Strunk wysłuchał cierpliwie Kenta, Danielsa i oficera policji, po czym powiedział:

- Mimo wszystko, ci ludzie stanowią większe zagrożenie dla spokoju niż gromada śpiewających dzieci. Panie poruczniku, panie burmistrzu, panie konstablu, czyż nie zgodzicie się ze mną?

- Strunk - powiedział, nie zrażając się, Kent. - Przecież tu naprawdę nie tylko o to chodzi i ty o tym wiesz.

- Spokojnie - mówił prawnik. - Wydaje mi się, że w interesie nas wszystkich leży, żeby wysłać tych ludzi do domów, albo przynajmniej odsunąć ich stąd, zanim komuś stanie się krzywda.

- A co potem? - zdenerwował się burmistrz. Nie możemy ich tak po prostu stąd odpędzić, póki nie zrobimy czegoś w sprawie ich dzieci.

- Aa! To inna sprawa - zgodził się Strunk. - Słusznie; zobaczymy, co mogę zrobić.

Podszedł do bramy i powiedział coś po cichu jednemu z wspierających ją ludzi. Twarz mężczyzny nawet nie drgnęła, ale pozwolił się odsunąć, kiedy przecisnął się koło niego jeden ze świty Michała. Ten drugi wymienił z prawnikiem kilka zdań, po czym wrócił do swojego przywódcy. Porozmawiali chwilę, po czym młody człowiek skierował się znów ku bramie i powiedział coś do Strunka. Wreszcie ten ostatni odszedł i zwrócił się do Kenta i policjantów:

- Michał obiecuje, że nabożeństwo skończy się o dziesiątej i o tej samej godzinie młodzież pójdzie do domu.

Prawniki wyciągnął z kieszeni kamizelki duży, staroświecki zegarek, otworzył wieczko i ustawił go pod światło.

- Za godzinę - stwierdził. - W tym czasie, poruczniku, gdyby pan mógł z łaski swojej cofnąć stąd tych ludzi, albo posłać ich do domu...

- Ja się tym zajmę - powiedział Kent. Wziął głośnik, wspiął się, z pomocą doktora, na maskę samochodu Daniela i przemówił do mieszkańców miasteczka:

- Dzieci jeszcze trochę pośpiewają. Wyjdą stąd o dziesiątej, czyli mniej więcej za godzinę. Możecie państwo poczekać po drugiej stronie drogi, albo pójść do domu. Wszystko będzie dobrze.

W odpowiedzi rozległy się ponure pomruki, ale nikt już nie krzychał. To był męczący dzień, zakończony długą, pospieszną wędrówką pod górę i długim czekaniem. Część ze zgromadzonych odjechała do domu. Podwieźli ich kierowcy licznych samochodów, które podążały za idącymi. Pozostali, głównie rodzice, zebrali się w małe grupki i czekali.

Za jasnymi kręgami światła latarni, palących się nad sekciarzami i młodzieżą, w oknach kamiennej budowli płonęły spokojnie niebieskie żarówki.

Springer i Kent zostali przy bramie, obserwując siedzących na trawie nastolatków i rozmawiając na temat Michała, który przewodził pieśniom i modlitwom. Jego głęboki bas dolatywał wyraźnie aż do ich uszu.

O dziesiątej, zgodnie z zapowiedzią, śpiewy się zakończyły. Młodzież zaczęła ścisnąć się na pożegnanie z sekciarzami, po czym wybiegła na podjazd. Michał stanął przy otwartej bramie i błogosławił wychodzących, którzy mieli zaleźnione twarze, jakby się go bali. Dzieci mijały w milczeniu swoich zmieszanych rodziców.

- Musimy się pozbyć Błękitnego Bractwa - powiedział Springer, przyglądając się grupie, maszerującej pogrążoną w ciemności drogą w kierunku Hudson City.

Kent rozejrzał się niespokojnie, jak gdyby bał się, że zostanie podsłuchany, i odparł:

- Hmm... Tak, ale nie wszyscy chcą, żeby oni odeszli. Poza tym mają pieniądze i Strunka. To będzie nas kosztowało sporo wysiłku.

- Zaczniemy od zaraz - zaproponował nie zrażony Alan. - Porusz sprawę na jutrzejszym zebraniu Rady Miejskiej.

Już na godzinę przed poniedziałkowym zebraniem Rady Miejskiej, w ratuszu, mieszczącym się przy Main Street w jednym z budynków przeznaczonych na sklepy, zebrał się ponury tłum. Zanim Bob Kent rozpoczął zebranie prośbą o spokój i porządek, na dworze zdążyło zgromadzić się jeszcze kilkaset osób, które głośno domagały się, żeby zrobić im więcej miejsca. Burmistrz szybko naradził się z kolegami i po chwili oznajmił, że spotkanie zostaje przeniesione do sali gimnastycznej szkoły.

Publiczność ucieszyła się, podniecona własną liczebnością, i ruszyła ulicami w kierunku budynku szkoły. Kobiety skupiły się w gromadki i rozmawiały półgłosem, a w tym czasie mężczyźni otwierali z trzaskiem składane krzesła i ustawiali je na sali, służącej zwykle do gry w koszykówkę. Członkowie rady usiedli za stołem, naprzeciw tłumowi, a Bob ponownie poprosił o spokój.

Jeden z zawieszonych u góry koszy rzucał na miejskich radnych cień siatki. Kent i Ed Stratton cieszyli się z tego, że tak wiele osób przyszło na zebranie, ale Pete Lewis, Ken Moser, Joe Preston i Gary Spencer spoglądali z niepokojem na głośno pomrukujący tłum. Springer usiadł na samym środku pierwszego rzędu, mając przed sobą twarze członków rady. Obok Alana, po drugiej stronie utworzonego przez środek sali przejścia, siedział Wilber Strunk. Adwokat z Warrington wydawał się zdenerwowany, a jednocześnie skupiony, jak stary lis, próbujący wyczuć zmieniający się wiatr.

Sekretarz rady - starsza pani o nazwisku Norah Bone, która zajmowała się protokołowaniem zebrań i rejestracją uprawnionych do głosowania, odczytała drżącym głosem streszczenie poprzedniego spotkania.

Tłum niespokojnie szumiał przez cały czas, kiedy omawiano rezultaty poprzedniego zebrania.

Kiedy tylko Kent oznajmił przejście do spraw bieżących, Ed Stratton podniósł dłoń.

- Chcę pomówić o Błękitnym Bractwie. Przez salę przebiegł groźny pomruk.

- Co z nimi? - spytał ostrym tonem Pete Lewis.

- Muszą odejść!

Zgromadzona publiczność odpowiedziała nieomal rykiem.

Stratton wstał. Miał na sobie lekki, kraciasty garnitur; wymięty, gdyż przez cały dzień siedział w nim w swoim sklepie. Napięta koszula zdawała się podtrzymywać jego okazały brzuch.

- Za dużo ich tam mieszka. Stanowią w tej chwili realne niebezpieczeństwo dla naszego miasta.

Strunk natychmiast nadstawił uszu i sięgnął po swoją teczkę. Przerzucił pośpiesznie znajdujące się w niej papiery i wyjął oprawioną na żółto książeczkę - prawo lokalowe Hudson City. Doktor patrzył z podziwem, jak prawnik błyskawicznie odnalazł odpowiedni ustęp. Strunk, przeczytawszy, zacisnął usta. Sprawilo to Alanowi pewną satysfakcję, ale zdawał sobie również sprawę z tego, jak teraz czuł się adwokat. Rada Miejska storpedowała zaproponowany przez Springera plan budowy tanich domków letniskowych, za pomocą tego samego dokumentu.

Stratton wziął w rękę swój egzemplarz żółtej broszurki i otworzył ją na stronie, którą zaznaczył dla niego doktor. Czytając wymachiwał książeczką niczym maczugą.

- Prawo lokalowe Hudson City zobowiązuje Radę Miejską do przeciwdziałania istnieniu zbiorowych mieszkań, jeśli uznamy je za niebezpieczne dla naszego miasta.

- Oni mieszkają trzy kilometry od Hudson City - przerwał głośno Pete Lewis. Nie przeszkadzają nam w żaden sposób.

Publiczność zaprzeczyła gniewnym pomrukiem. Joe Preston odezwał się:

- Powiedzmy sobie szczerze: prawo lokalowe dotyczy warunków życia mieszkańców i nie ma żadnego związku z określonymi wydarzeniami, które ostatnio zaszły i być może zaniepokoiły parę osób.

Stratton pozwolił zgromadzonym ludziom na pełen złości szum, zanim odpowiedział:

- Prawo lokalowe - mówił - odnosi się do wszystkiego, co ma związek z mieszkaniami zbiorowymi, które mogłyby przysporzyć naszemu miastu problemów.

- Nie można tego interpretować tak szeroko - sprzeciwił się Gary Spencer. Był najmłodszym członkiem rady i często ulegał starszym od siebie kolegom. Preston i Moser żywo przytaknęli.

Kent postukał otwartą dłonią w stół.

- Myślę, że Fred Zinser może nam wyjaśnić tę kwestię. Miejski prawnik siedział po przeciwnej stronie długiego stołu niż pani sekretarz. Żadne z nich nie miało na zebraniu prawa głosu. Zinser powiedział:

- To prawo ma szerokie zastosowanie. Zostało pomyślane jako obrona przed powstawaniem zbiorowych mieszkań. Termin ten definiuje się następująco: jest to więcej niż pięć nie spokrewnionych ze sobą osób mieszkających pod jednym dachem.

Strunk zaczął już podnosić rękę, ale opuścił ją z powrotem. Jeśli nie działał z oficjalnego nakazu sądowego, nie mógł mieć żadnych praw na zebraniu Rady Miejskiej Hudson City.

Stratton odezwał się:

- To wyjaśnia sprawę. Panie burmistrzu, proponuję, żebyśmy zastosowali się do tego przepisu, ponieważ odnosi się on do dawnego szpitala psychiatrycznego, obecnie znanego jako ośrodek Błękitnego Bractwa.

Część publiczności, która potrafiła uświadomić sobie możliwe skutki wystąpienia Strattona, nagrodziła go burzliwymi oklaskami. Kent walnął dłonią w stół, aby przywrócić porządek.

- Czy ktoś chce poprzeć wniosek?

Pete Lewis zdecydowanie zaprzeczył ruchem głowy. Joe Preston i Gary Spencer gapili się w stół. Ken Moser patrzył na zgromadzonych ludzi swoimi kaprawymi oczami. Gdyby Hudson City miało jakiegoś patriarchę, byłby nim właśnie on. Dla Springera widoczne było, że stary Ken spogląda na podekscytowany tłum z głębokim niesmakiem.

Burmistrz potwierdził brak głosów wspierających Strattona, po czym oznajmił:

- Jako pełnoprawny członek rady, popieram postawiony wniosek. - Odczekał, aż na

sali usaną okrzyki zadowolenia. - Propozycja, żebyśmy ograniczyli liczbę osób, którym wolno będzie mieszkać w ośrodku Błękitnego Bractwa, jest otwarta do dyskusji dla wszystkich zebranych. To jest publiczne zgromadzenie i każdy, kto ma coś do powiedzenia na omawiany temat, powinien zabrać głos.

Natychmiast wystrzeliło w górę sto rąk. Kent wybrał na chybił trafił.

- Wally?

Wychudły mechanik samochodowy ze stacji benzynowej Granda powstał z miejsca i powiedział:

- Nie podoba mi się, co oni robią. Zabrali ze sobą moje dzieci; zupełnie jakby szły na smyczy. Musimy się ich pozbyć.

Sala rozbrzmiała oklaskami. Wally kiwnął głową, aby podziękować zebranych, i usiadł.

- Carl! - zawołał burmistrz.

Na końcu sali podniósł się rolnik i wymamrotał coś zgadzając się ze zdaniem mechanika. Zaraz potem odezwał się inny farmer, o tubalnym głosie, mówiąc:

- Coś zrobili mojej córce. Patrzy na człowieka jak ślepa krowa.

- Buster Crayton - wywołał Kent.

- Muszą odejść, albo źle się to skończy! - krzyknął Buster. - Jestem gotowy zwyciężyć lub zginąć w tej sprawie!

Springer zadrżał z powodu wściekłości, z jaką zagrzmiął potężny ryk na sali. Pojawiała się ona teraz złowieszczo za każdym razem, kiedy kolejni mówcy powtarzali ostrzeżenie Craytona. Wreszcie z miejsca powstał Alfie Potter. Słuchacze uciszyli się, pełni respektu. Rosły hydraulik wyglądał na zakłopotanego.

- Sam nie wiem, co myśleć, Bob. Moje dzieci też z nimi poszły, a kiedy Amy zachowywała się, jak gdyby mnie nie było, myślałem, że serce mi pęknie. Ale ciągle myślę o tym pożarze, tam przy torach. Bez tej nowej ciężarówki, którą nam ofiarowali, stracilibyśmy trzy domy...

Wzruszył swoimi ciężkimi ramionami i usiadł. Nikt nie bił mu brawa.

Kent przeszukiwał wzrokiem uspokojony nagle tłum, aż wreszcie, po chwili wahania, wywołał Matta Wrighta. Kłótniwa żona dyrektora szkoły uszczypnęła go w nogę, kiedy tylko wstał.

Sztywno gestykulując, powiedział:

- Stanowią dla nas zagrożenie. Poważne zagrożenie. Rada powinna natychmiast przegłosować wyrzucenie ich. - Przełknął z trudem ślinę i uśmiechnął się do Jeannie. - I myślę, że nasi radni powinni pamiętać o tym, że ten rok jest rokiem wyborów.

Jego uwagę nagrodziły burzliwe oklaski. Springer bił w dłonie z całej siły, próbując zwrócić na siebie jego uwagę. Matt wykazał wielką odwagę. Większość członków rady należała bowiem również do komisji oświaty - a zatem byli jego pracodawcami.

Wright uśmiechnął się nagle:

- I możecie być pewni, że Jeannie i ja będziemy pamiętać w listopadzie, kto jak głosował w tej sprawie. A jeżeli Błękitne Bractwo tu zostanie, to czeka nas kilka zmian w składzie Rady Miejskiej.

Na sali rozległ się ryk. Matt usiadł. Żona złapała go za ramię i trzymała mocno. Alan zamachał w ich kierunku. Żałował, że nie było na zebraniu Margaret, ale postanowiła zostać, gdyż stwierdziła, że Samantha potrzebuje jej teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Spencer, Lewis, Moser i Preston nadal wbijali wzrok w stół. Kent skinął głową i Ed Stratton wsadził mu w usta pękate cygaro. Kiedy ucichły oklaski, podniósł rękę Pete Lewis.

- Chciałbym coś powiedzieć, panie burmistrzu.

- Śmiało, Pete. Mów.

Sklepiarz wyprostował swój wąski krawat i obciągnął cienką marynarkę.

- Chciałbym przemówić - zaczął - jako obywatel Hudson City, a nie tylko jako członek Rady Miejskiej. Pieniądze, które Bractwo tutaj wydaje, są nam potrzebne. Sześciuset ludzi potrzebuje mnóstwo żywności, ubrań, artykułów gospodarstwa domowego, najrozmaitszych materiałów, benzyny, drewna. Wszystko, co kupuje każdy z nas, jest

potrzebne także im. Możecie sobie myśleć: "No tak, to świetnie dla facetów, którzy mają sklepy". Ale posłuchajcie. Odkąd przyjechali Braciszkwowie, zatrudniłem trzy nowe sprzedawczynie. Miejscowe dziewczyny: Molly Franklin, Betty Peters i Barbarę James. U Gary'ego Spencera pracuje czterech nowych chłopaków: synów Strattona, Joego Francisa i Davy'ego Johnsona. Podobnie jest w składzie Mosera, na stacji benzynowej, w drugstorze - wszędzie. Błękitni Bracia oznaczają dla nas miejsca pracy i pieniądze i nie możemy sobie pozwolić, by je stracić.

- Dziękuję - powiedział Kent, ale Lewis nie dał mu dojść do słowa.

- Jeszcze nie skończyłem! To, że tu kupują, jest dla nas dobre. Także to, co robią, jest dobre. Mój syn, Dick, spędza z Braciszkami mnóstwo czasu. I nie widzę, żeby poniósł z tego powodu jakąś szkodę. Zawsze był dobrym dzieckiem, a teraz jest jeszcze lepszy. Chłopak zabrał mnie parę dni temu do ośrodka Bractwa. Odbyłem miłą pogawędkę z kilkoma z ich przywódców. - Głos sklepikarza przyjął pełen respektu ton. - Rozmawiałem nawet z Michałem. Diabelnie sympatyczny facet... Wicie państwo, jestem diakonem w kościele, ale uważam, że Braciszkwowie oferują całkiem wartościową propozycję dla kogoś, kto naprawdę poszukuje Boga. Muszę wam powiedzieć, że dzięki nim ponownie zastanawiam się nad niektórymi sprawami.

Usiadł. Burmistrz podziękował mu i rozejrzał się w poszukiwaniu podniesionych rąk, ale Lewis oszołomił nieco słuchaczy. Springer uniósł dłoń. Kent spojrzał jeszcze raz, jak gdyby nie był pewien, czy Alan powinien w tym momencie zabrać głos, ale nikt więcej się nie zgłaszał.

- Doktor Springer.

Alan wstał, odwrócił się i stanął twarzą do tłumu.

- Bardzo się cieszę, że Pete Lewis uważa, iż członkowie sekty nie wyrządzili jego synowi żadnej krzywdy i... zazdroszczę mu. Mam córkę i wiem, że tracę ją na rzecz Błękitnego Bractwa.

Odczekał chwilę, słuchając pomruku tłumu. Miał teraz szansę na odwrócenie wszystkiego co powiedział Lewis i przegłosowanie wyrzucenia Bractwa z miasta. Nieoczekiwanie w jego oczach pojawiły się łzy. Poczul, że traci nad sobą kontrolę. Zebrani zauważyli to; nadstawili uważnie uszu, poruszeni jego cierpieniem.

- Chcę odzyskać moją córkę - powiedział, kiedy mógł już zaufać własnemu głosowi. - I chcę odzyskać moje miasto, mój dom. Wolałbym posyłać moją córkę do szkoły bez obawy, co inni zrobią z jej umysłem. Powinna sama, bez nacisków, wybierać swoją wiarę. Nie pozwolę, żeby wdarli się przemocą do jej życia. Pragnę, by wyrosła na istotę ludzką, a nie na maszynę.

Poczuł, że cisną mu się na usta kolejne słowa, fala uczuć chcących wyrazić całą jego udrękę, ale instynkt podpowiedział mu, że powiedział już dość. Po chwili ciszy ludzie zaczęli bić brawo. Oklaski brzmiały spokojnie, nie tak gromko jak poprzednio, ale smutno, jak odgłos padającego deszczu.

Usiadł, czując szum w uszach; na wpół tylko świadomy debaty, która trwała dalej; smutek ogarnął go do głębi. W jakiś czas później usłyszał szuranie krzesel. Siedział przez cały czas z zamkniętymi oczami. Otworzył je teraz. Ludzie wychodzili z sali, ale radni pozostali na swoich miejscach. Kent i Stratton siedzieli w napięciu, ani zadowoleni, ani zmartwieni. Doktor ocknął się i zaczął uważnie nasłuchiwać. Zorientował się, że Kent zarządził dwudziestominutową przerwę.

- Nie powinniśmy dopuścić do tego, by tak nas skłócili - powiedział stary Ken Moser.
- Powinniśmy być zvarci, po tej samej stronie.

Burmistrz odezwał się:

- Przykro mi, Ken. Ale z tego co mi się zdaje, każdy, kto odda głos za Błękitnym Bractwem, od listopada nie będzie zasiadał przy tym stole.

- To się rozejdzie po kościach - nie zgodził się Moser, pocierając swoje pomarszczone policzki. - Ludzie nigdy nie pamiętają złych czasów.

Stratton prychnął z niedowierzaniem.

- Jedyne sposob, żeby zapomnieli o sekcje, to pozbycie się jej.

- Ale przeciwko nam nie ma żadnej listy kontrkandydatów. W czerwcowych prawyborach zwyciężyliśmy, jak zwykle.

- Poskreślają nas - powiedział Kent.

- Bob ma rację - zgodził się Gary Spencer. - Z całą pewnością nie chcę stracić wysokich dochodów, ale tym razem, jeśli przeciwstawimy się ludziom, znajdziemy się w poważnych kłopotach.

- Musimy głosować zgodnie z tym, co uważamy za słuszne - moralizował Lewis.

Burmistrz uśmiechnął się.

- Uważam, że słusznie będzie, jeśli się ich pozbedziemy i tak właśnie zagłosuję.

Preston wtrącił:

- Bank się wścieknie, jeśli straci ich rachunek.

- Sprowadzimy tu kogoś nowego - uspokajał go Kent. - Już ty się nie martw.

- Powiedz to moim szefom - odciął się urzędnik.

Moser wyglądał jak stary wilk, zastanawiający się, jakim sposobem można by zjeść jeżozwierza.

- Może opóźnić głosowanie i przetrzymać sprawę, aż miną wybory.

Burmistrz zaśmiał się smutno.

- To niemożliwe. Co ty o tym myślisz, Alanie?

Pozostali wydawali się zdziwieni, że Springer się im przysłuchuje. Wstał z wysiłkiem i podszedł do stołu; stuk jego stóp odbijał się echem w pustej sali.

- Myślę, że to jest szansa na odzyskanie naszego miasta. Ludzie zdają sobie z tego sprawę i wiedzą, że ty też to rozumiesz. Nie macie wyboru, chłopcy. Przegłosujcie wyrzucenie stąd sekty.

Twarze Lewisa, Prestona i Mosera przybrały uparty, zacięty wyraz. Doktor patrzył na nich twardym wzrokiem.

- Dam wam jeszcze jeden problem do rozważenia: jeśli ta rada będzie głosować za Błękitnym Bractwem, osobiście zorganizuję listę kandydatów opozycji.

Moser poczerwieniał.

- Przypominam ci, że jesteś zatrudniony przez miasto. Alan poczuł wściekłość. Wydarł się na starego Kena:

- A ja ci przypominam, że lekarze z moim doświadczeniem nie za często pracują w małych miasteczkach w głębi stanu, panie Moser. Jeżeli mnie wyrzucisz, to będziesz sobie mógł uruchomić w swoim szpitalu tartak!

- Hej, hej - zaśmiał się Kent. - Dajcie spokój, chłopcy, nie denerwujmy się! - Objął Springera ramieniem, a drugie wyciągnął w kierunku Mosera, ale ten wyszedł dumnym krokiem z sali, tłumacząc, że musi odetchnąć świeżym powietrzem.

Uśmiechając się ponad ramieniem doktora do powracających ludzi, Bob zniżonym głosem skrytykował go za brak odpowiedzialności:

- Co się z tobą, do licha, dzieje? Ken jest jednym z tych, których możemy przekonać. Nie zdołasz zmienić zdania Lewisa ani Prestona, więc nie uda nam się wygrać bez Spencera i Mosera.

Sophie Wilkins usiadła po przerwie koło Alana. Zwróciła uwagę, że krzesło, na którym siedział Strunk, jest puste.

- A cóż się stało z Lisem z Warrington?

- Może myśli, że już wygrali - powiedział doktor.

- Albo przegrali - odparła Sophie wesoło. - Musimy coś zrobić, żeby przekonać tych starych przyków do działania.

- Ale co?

- Poczekaj, to zobaczysz - ciągnęła Sophie. - To będzie długa noc.

Jej przepowiednia się sprawdziła. Godziny mijały, gdy strach i złość popychały kolejne osoby do krytykowania Błękitnego Bractwa i rzucania gróźb pod adresem Rady Miejskiej. Po pierwszej tłum nieco się przerzedził, ale protesty trwały nadal i kiedy o trzeciej Pete Lewis zaproponował odroczenie posiedzenia, został obrzucony chórem złośliwych obelg. Wyczerpana pani Bonę przekazała swój notatnik Fredowi Zinserowi, błagając go o

zastępstwo, by mogła się przespać przed porannym otwarciem biura. Teraz, kiedy ludzie wychodzili po trochu z zebrania, ci z tylnych rzędów przenosili się na zwolnione miejsca z przodu, tak że o wpół do szóstej wyczerpani radni ciągle mieli przed sobą mur rozgniewanych obywateli.

Jak na ironię, ostatnią wypowiedzią, która wzburzyła nastroje przeciwko sekcji, był głos ich zwolenniczki. Po burzliwym skrytykowaniu rady przez bratanek Bustera Craytona, z krzesła podniosła się nagle, wspierając się na lasce, siwowłosa kobieta i krzyknęła przeraźliwym tonem:

- Oni uratowali mojego syna!

Ludzie obrócili się w kierunku nieznanego im głosu.

- Danny jest jednym z nich i jestem z tego dumna! Springer, zobaczywszy ją, zdumiał się bardzo. Matka Danny'ego

Mosera, alkoholiczka, rzadko wychodziła poza swoje zaniedbane podwórko, od czasu kiedy którejś nocy, wiele lat temu, jej mąż zbił ją do nieprzytomności, robiąc z niej na pół inwalidkę, i zniknął. Cierpiała, tak samo jak Danny.

- Błękitni Bracia to dobrzy ludzie. Pracuję nad sobą naprawdę ciężko, żeby móc się do nich przyłączyć.

W pobliżu Alana jakaś kobieta zachichotała:

- Czego można by się spodziewać po kimś takim... - Siedzący obok, mrucząc półgłosem, zgodzili się z nią. Na drabinie społecznej Hudson City tylko mieszkańcy chat znajdowali się niżej niż ci, których domy stały przy Spotting Street.

Pani Moser spoglądała wyzywająco na ludzi, którzy gardzili nią przez całe życie. Potrząsnęła swoimi długimi, prostymi włosami i wzniosła laskę w geście makabrycznego pozdrowienia.

- Chrystus nadchodzi! - zawołała. - Z pomocą Michała będę gotowa na Jego przyjście. Oczyszczymy świat!

Tego właśnie sloganu brakowało zebranim. Słyszeli go już zbyt wiele razy z ust

własnych dzieci, żeby teraz pozwolić mu przerwać ich protest. Z różnych stron sali dobiegły groźne okrzyki. Doktor pomyślał, że za chwilę stara kobieta może zostać zaatakowana, ale Sophie Wilkins zwróciła gniew tłumu we właściwą stronę.

- Głosujcie! - zawołała. - Pozbądźmy się ich! Głosujcie! Głosujcie!

Alan podchwycił jej okrzyk.

- Głosujcie!

Pozostali przyłączyli się do nich, zwracając twarze w kierunku radnych. Skandowali:

- Głosujcie, głosujcie, głosujcie, głosujcie, głosujcie... Powstawali z miejsc i klaskali w dłonie. Sala pomnażała echem ich wołanie. Podłoga trzęsła się pod stopami.

- Głosujcie, głosujcie...

- Już dobrze, dobrze - krzyknął Kent, machając rękami. - Będziemy głosować. Okay?
- zwrócił się do członków rady. Przytaknęli. Stopniowo, zebrani uciszyli się. Fred Zinser, w zastępstwie pani Bone, zarządził głosowanie:

- Pytanie, które rozstrzygnie rada: czy zastosujemy ustęp Prawa lokalowego, paragraf eee... trzydziesty czwarty, część B, zakazujący mieszkać pod jednym dachem więcej niż pięciu niespokrewnionym ze sobą osobom, przeciwko członkom Błękitnego Bractwa, którzy przebywają w starym szpitalu psychiatrycznym. Innymi słowy - głosujcie "tak", jeśli chcecie ich usunąć, a "nie" - jeżeli jesteście za tym, żeby zostali.

- Kent.

- Tak.

Na sali rozbrzmiały okrzyki radości.

- Lewis.

- Nie. Rozległo się wycie.

- Moser.

Stary Ken się zawahał.

- Tak. - Patrzył ze złością, jak zebrani się ucieszyli.

- Preston.

- Nie. - Bankier wbił wzrok w stół, podczas gdy tłum buczał z niezadowoleniem.

- Spencer.

Zapadła cisza. Oczywiście było, że Stratton zagłosuje "tak", dlatego głos Spencera był decydujący. Młody sklepikarz wyglądał na zakłopotanego. Spoglądał raz na Mosera, to znów na Kenta.

- Czy on kiedykolwiek wydorosłeje? - mruknęła Sophie Wilkins.

- Tak - zdecydował się Spencer.

Natychmiast zagłuszyła wszystko burza oklasków i radosnych okrzyków.

Szkoła szybko opustoszała.

- Odwołają się do sądu - powiedział Kent.

- Przegrają apelację - uspokoił go Zinser. - Nie martw się. To nasze miasteczko. Schował swoje notatki i inne papiery do teczki.

Springer przeciągnął się z ulgą. Marzył o prysznicu i kilku godzinach snu. Przez świetliki w suficie sali wpadało światło poranka.

- Dobranoc wszystkim. Dobrze poszło, Sophie.

Wyszedł słysząc przyjemny chór rozspanych głosów, odpowiadających mu "dobranoc".

Było pusto, jeśli nie liczyć kilkorga ludzi, który wyszli z zebrania ostatni, tak jak on. Przeszedł przez ulicę i właśnie miał skręcić do siebie, kiedy zobaczył jedno z niebieskich kombi, należących do Błękitnego Bractwa, zatrzymujące się przed budynkiem ratusza. Ze środka wygramoliło się ośmioro ludzi, po czym uformowało przed zamkniętymi drzwiami kolejkę. Samochód zawrócił i pojechał z powrotem w stronę Spotting Mountain Road. Alan popatrzył na górę. Wschodzące słońce zdążyło już objąć swoimi promieniami ośrodek sekty.

Na ulicy pojawił się drugi samochód. Kiedy wysadził swoich pasażerów przed ratuszem, nadjechał następny i jeszcze jeden. Każdy z nich zawracał i jechał w kierunku, z którego przybył. Kolejka ubranych na niebiesko wyznawców Michała wydłużała się coraz bardziej.

Doktor, zaniepokojony, ruszył w ich stronę. Nieprzerwany przyływ błękitnych samochodów przywoził coraz to nowych sekciarzy. Kiedy dotarł do ratusza, zobaczył długą, maszerującą kolumnę skręcającą w Main Street z drogi Spotting Mountain. Przybysze, którzy przyszedli piechotą, wydłużyli kolejkę trzykrotnie. A samochody ciągle nadjeżdżały.

Obejrzał się. Pozostali ze spóźnionych uczestników zebrania spieszyli ku ratuszowi z malującym się na zmęczonych twarzach niepokojem. Błękitni Bracia pozakładali na swoje kombinezony drelichowe kurtki. Ich oddechy zmieniały się w parę w mroźnym powietrzu, które zdawało się zwiastować wczesną i zimną jesień. Ustawili się spokojnie w pojedynczym, prostym jak w wojsku szeregu - od ratusza aż do drogi na górę Spotting, tworząc nie kończącą się błękitną linię, ciągnącą się tak daleko, jak tylko sięgał wzrok Springera. Każdy z nich trzymał w ręku zielony świstek papieru.

- Co się dzieje? - spytał Kent, który przybiegł za doktorem.

- Nie wiem - odparł Alan. - Jest i Strunk. - Wskazał na czarną limuzynę, która wyłoniła się zza zakrętu koło kościoła i zaparkowała naprzeciwko ratusza, o parę metrów od miejsca, w którym stali. Wilber Strunk opuścił szybę i kiwnął uprzejmie głową, gdy Springer podszedł do niego.

- Dzień dobry, doktorze - powiedział. Alanowi wydało się, że prawnik jest jakiś nieswój.

- Co się tu dzieje? - zapytał.

- Poprosili mnie, żebym obserwował - stwierdził Strunk.

- Co obserwował?

W oczach adwokata malowała się niepewność.

- Rejestrację - odparł.

- Rejestrację? Do czego chcą się zarejestrować?

- Do wyborów.

- Nie mogą tego zrobić! - krzyknął Bob Kent. Burmistrz, Springer, Norah Bone, Fred Zinser i jeszcze kilku członków komisji wyborczej znowu siedzieli w ratuszu. Była za pięć dziesiąta. Od godziny toczyła się paniczna debata. Za zaparkowanymi oknami majaczyły sylwetki czekających członków Błękitnego Bractwa.

- Powtarzam - mówił Zinser, przecierając zmęczone oczy - że rozmawiamy o prawie wyborczym. Jeśli nie dopuścimy ich do głosowania i przegramy sprawę w sądzie, to mogą zażądać odszkodowania za poniesione straty. Wtedy dopiero będziemy mieli...

- Daj spokój, Fred - zachnął się doktor. - Musi być jakiś sposób. Sam powiedziałeś, że te pokwitowania z poczty nie mogą zostać potraktowane jako niepodważalne dowody o decydującym znaczeniu.

- Słusznie. Ale zobacz, ile różnych dowodów będzie miał sędzia. Pokwitowania, korespondencja, którą otrzymali, dokumenty gospodarza ich budynku, kimkolwiek jest, akty urodzenia. Są dobrze przygotowani. Mają Strunka i możesz być całkowicie pewien, że znalazł już sędziego, który przywali nam odpowiedni nakaz, jeśli tylko będziemy próbowali ich nie dopuścić. Nie mamy innej możliwości, jak tylko pozwolić komisji wyborczej przeprowadzić prawidłową i zgodną z prawem rejestrację uprawnionych do głosowania. - Spojrzał na zegarek. - Lepiej niech pani już otworzy drzwi, pani Bone.

Starsza pani skrzyżowała ręce.

- Prędzej pozdychają, niż ich zarejestruję.

- Pani Bone - mitygował ją Zinser. - Może pani trafić do więzienia za pozbawianie obywateli przysługujących im praw wyborczych.

- Fred ma rację. Niech pani lepiej zrobi, co on mówi.

Alan obserwował całą tę scenę z niezdrową fascynacją. Kiedy tylko zegar wybił dziesiątą, sekciarze z początku kolejki weszli do środka i podeszli do biurka pani Bone.

- Chcę się zarejestrować na liście wyborczej - powiedziała młoda, blada kobieta,

stojąca na samym przedzie.

Starsza pani obciągnęła swój wełniany sweter.

- Musi pani być zameldowana w Hudson City lub okolicy. Kobieta odpowiedziała monotonnym głosem:

- Mieszkam tu od drugiego kwietnia, tego dnia wysłałam list polecony z urzędu pocztowego w Hudson City. Oto pokwitowanie. To są listy, które tutaj otrzymałam. To jest mój akt urodzenia, a to dokument wydany przez gospodarza budynku naszego Bractwa, potwierdzający datę mojego przyjazdu.

Pani Bone zacisnęła pomarszczone usta, gdy porównała nazwisko i sprawdziła datę na obu kwitkach. Powoli wypełniła kartę rejestracyjną.

- Wyślemy kartę pocztą. Żeby zostać zarejestrowaną, będzie pani musiała nam ją odesłać.

Strunk, przyglądający się z boku, spojrzał na zegarek.

- Panie burmistrzu, w kolejce mamy ponad siedemset osób. Czy może pan coś zrobić, żeby przyspieszyć rejestrację?

- Staram się, jak mogę - rzuciła zdenerwowana pani Bone. Prawnik wykonał w jej kierunku dworski ukłon i powiedział:

- Tak, proszę pani, ale jestem przekonany, że mogłaby pani skorzystać z czyjejś pomocy. Panie burmistrzu?

Kent przytaknął. Był przygaszony, całkowicie stracił wolę walki.

- Zaraz zorganizuję jakichś ludzi - odparł.

Springer poszedł razem z nim do jego biura i siedział nie odzywając się, podczas gdy burmistrz rozmawiał przez telefon. Wreszcie odłożył z trzaskiem słuchawkę i odezwał się do doktora:

- Ten cholerny Strunk! To musiał być jego pomysł.

- Nie - zaprzeczył Alan. - Rozmawiałem z nim. Jest zdenerwowany tym wszystkim.

O niczym nie wiedział, aż do dzisiaj rano, kiedy zadzwonili po niego.

Kentowi spodobała się ta odpowiedź:

- Ach, tak? Więc zegrali mu na nosie, tak samo jak nam. Już po mnie! Co za zamieszanie!

W pokoju zapadła ponura cisza. Zadzwonił telefon. Burmistrz odebrał.

- Dobrze. Powiedziałem, że dobrze... Naprawdę?... Jak tylko mnie zawiadomisz... Cześć. Odłożył słuchawkę.

- To Stratton. Uważa, że musimy coś zrobić.

Alan przytaknął. Kent gapił się w podłogę i bębnił palcami w biurko, a Springer wstał i zaczął chodzić po pokoju. Bob poprzyklepał na ścianach reklamy swoich domów na sprzedaż. Doktor zatrzymał się i wyjrzał przez okno. Błękitni Bracia spokojnie czekali na swoją kolejkę.

- Hmm - powiedział. - No i co zrobimy?

- Zrobimy? - powtórzył burmistrz ze złością. - Zrobimy? Nie wiesz, co to wszystko oznacza? Przegłosują nas i wybiorą własnych ludzi. Będą mieli swojego burmistrza, swoją Radę Miejską. Będą rządzić Hudson City, jakby było ich prywatnym miasteczkiem, chociaż nim nie jest. Będą mieć swój własny zarząd. - Pokręcił w zdumieniu głową. - O Jezu. Będą nawet mieli własną policję, wszystkie publiczne miejsca pracy, nauczycieli, drogi, wodociągi i kanalizację, nawet twój szpital, Alanie! To będzie ich miasto. Zrobią z nim, co im się będzie podobało.

Doktor powlókł się do domu, trzęsąc się cały, wyczerpany do ostateczności długą, nie przespaną nocą. Dokuczał mu żołądek, z powodu zbyt dużej ilości wypitej kawy, i głowa, gdyż nawdychał się dymu z papierosów. Zastał Samanthę i Margaret skulone przy kuchennym stole, w koszulkach nocnych i rannych pantoflach, pijące gorącą czekoladę. Samantha wyglądała całkiem normalnie, jak gdyby wpływ Michała minął. Z pewnością nie widziały kolejki przez okna od strony ogrodu. Springer czuł się tak przytłoczony ogromem zwycięstwa Błękitnego Bractwa, że nie miał już siły o tym rozmawiać. Pocałował córkę w czoło i uśmiechnął się do żony, wdzięczny, że zdołała ochronić Samanthę przed kolejnym

transem, podobnym do tego, jaki musieli znosić po weekendowym szkoleniu.

- Chcesz czekolady? - spytała Margaret.

- Oj, koniecznie! - Usiadł naprzeciw nich. Ich wspólna obecność wpłynęła w jakiś sposób na to, że świat wydał mu się mniej ponury. Pomyślał sobie, że są szczęśliwi. Mogli przecież wyjechać z Hudson City. Lekarz znajdzie pracę wszędzie. Margaret by się to podobało. Samantha też by się przystosowała.

W piwnicy trzaskał stary piec, przywołując masę wspomnień. Został uruchomiony po raz pierwszy w tym sezonie. Alan uwielbiał jesień, kiedy w domu robiło się ciszej z powodu zamkniętych podwójnych okien i przytulniej dzięki płonącym w kominkach szczapom.

Samantha przysunęła trzecią filiżankę do czajniczka.

Springer uśmiechnął się do niej. O matko, jak bardzo był zmęczony! Wtedy zauważył niespokojny wyraz twarzy swojej żony i to, jak sztywno siedziała, miętosząc palcami rękaw koszuli.

- Czy on nie był piękny? - spytała Samantha.

Doktor powoli pił swoją czekoladę. Bądź uczciwy - nakazał sobie.

- Michał? - zapytał. - Tak. To piękny mężczyzna. Jeszcze nigdy nie widziałem kogoś tak przystojnego.

- Jak anioł - westchnęła Samantha.

- Jak człowiek - delikatnie sprzeciwił się Alan.

- O czym było zebranie? - spytała córka.

Springer napełnił filiżankę żony. Samantha zasłoniła swoją filiżankę ręką, w sposób, w jaki uczył ją odmawiać zbyt dużej ilości wina.

- Rozmawialiśmy, co się stało z dziećmi, kochanie. Samantha uśmiechnęła się niewinnie.

- A co się stało, tatusiu?

Alan ciągle nie mógł się przyzwycząić do jej nowo nabytej śmiałości.

- Nie wiem, kochanie. Pobiegłaś za nim, jak...

- Jakby mi zrobili pranie mózgu?

- Nigdy jeszcze nie widziałem takiego zapachu... Ty i inni. Machnęła niecierpliwie ręką.

- Zapomnij o nich. Rozmawiamy o mnie.

- Samantha! - upomniała ją Margaret.

- Co, mamó?

Twarz Samantha zmieniła się w nieruchomą maskę, tak jakby dziewczyna nakładała na siebie ochronny pancerz. Rzuciła spojrzenia w kierunku matki, to znów ojca, jak zwierzę oceniające swoich przeciwników, badające, z której strony zagraża większe niebezpieczeństwo. Skupiła się na Alanie.

Poczuł strach. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Spojrzał na Margaret. Nie potrafiła mu pomóc.

- Czy przeszłam pranie mózgu? - powtórzyła Samantha ostrym tonem. - Czy tak właśnie o mnie myślisz?

- Sam nie wiem, co myśleć - odparł, zaalarmowany paranoicznym sformułowaniem: "Czy tak właśnie o mnie myślisz?"

- Dlaczego nigdy nie mówisz mi po imieniu, tato?

- Co?

- Dlaczego zawsze słyszę: "kochanie", "malutka", "aniołku" i te wszystkie inne okropne, pieszczotliwe, puste określenia? Dlaczego nie nazywasz mnie Samantha?

- Nazywam cię Samantha.

- Kiedy? - spytała lodowato.

Alan rozpaczliwie starał się przypomnieć sobie taką chwilę.

- Często.

- Kiedy?

- No cóż, kochanie... Samantha. Chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Czy to ma znaczenie?

- Nie wydaje mi się, żebyś mówił do mnie, tato. Mówisz do własnego wyobrażenia o swojej córce. Do kogoś, kim - jak uważasz - powinnam być. Ale czy kiedykolwiek powiedziałeś coś do mnie?

- Czy powiedziałem coś do ciebie??? Przecież rozmawialiśmy ze sobą o wszystkim.

- Dogadujesz mi. To wszystko. Tylko w ten sposób potrafisz rozmawiać, dokuczając.

- To nieprawda.

Doktor czuł się zmieszany. Margaret odwracała wzrok, aby nie spojrzeć mu w oczy. Popatrzył na swoją córkę; nie pamiętał, żeby coś sprawiło mu kiedyś większą trudność.

- Przepraszam - odezwał się. - Nie wiedziałem o tym. - Ulżyło mu trochę. - Kocham cię i chciałbym, żebyś mogła to dostrzec. Zrobię wszystko, by ci pokazać, że cię kocham, Samantha.

Przyglądała mu się, jak gdyby go oceniała, wreszcie powiedziała:

- To nie twoja wina, tato.

Jej przebaczenie poruszyło go głęboko.

- A czyja to wina? - zapytał.

- Szatana.

- Och, Samantha... - Szczera radość Alana ustąpiła miejsca kluciu w żołądku. - Och, kochanie, co ty mówisz?

- Szatan panuje, tatusiu. Wywołuje wojny i konflikty na całym świecie, w każdym domu i każdej rodzinie. Świat znajduje się w chaosie.

- Samantha, proszę cię...

- Nie martw się, tato. Nadejdzie Chrystus i naprawi wszystko. Zakończy walki i nieporozumienia. Nie będzie więcej wojny i nienawiści.

Springer stłumił gniew i przemówił łagodnie:

- Konflikty i nienawiść istniały wśród ludzi od zawsze. I pozostaną, dopóki stosunkami międzyludzkimi będą rządzić ignorancja i przesady.

- Chrystus nadejdzie niedługo, dzięki Michałowi.

Doktor czuł się tak, że gdyby teraz do pokoju wszedł przywódca sekty, udusiłby go gołymi rękami. Powiedział jednak spokojnym głosem:

- Czekając na Niego, powinniśmy kształcić ludzi. Wszyscy powinni czytać, zdobywać wiedzę, myśleć, poznawać własną historię. W ten właśnie sposób nauczą się współżyć ze sobą.

- Sam nie wierzysz w te bzdury - odezwała się Samantha z pogardą.

- Nasz rozum jest naszym jedynym zbawieniem.

- I miłość - dodała Margaret. - Miłość, której uczył Chrystus, też jest potrzebna.

- Oczywiście - zgodził się Alan.

- To dla ciebie tylko słowa, tato. Nie wiesz, czego On uczył. Nie wierzysz w Chrystusa, w Boga, w nic nie wierzysz, poza swoim głupim rozumem.

- Dostyc tego - powiedziała Margaret.

- Nie, niech mówi - nie zraził się doktor. - Niech wyrzuci to z siebie.

- To jest właśnie zadanie Michała - ciągnęła Samantha. - Musi nawrócić niewierzących, takich jak ty, i oczyścić ziemię ze zła, które czynią.

Springer spróbował małego żartu:

- Czy musimy być oczyszczeni? Niewierzący też mają prawa. Samantha zignorowała

jego słowa.

- Historia się powtarza - mówiła dalej.

- Na przykład jak?

- Spójrz na Arabów.

- Na Arabów? Skąd oni się wzięli?

Recytowała wyuczoną odpowiedź, a jej oczy wędrowały w tę i z powrotem, jak gdyby odczytywała powieszony na ścianie tekst:

- I znów barbarzyńcy stoją u bram. Tym razem kontrolują dostawy ropy, tak jak niegdyś okupowali Jerozolimę. Potrzebna jest nowa krucjata - wielki misyjny wysiłek, żeby nawrócić saraceńskich pogan. Wszystko rozpocznie się w Ameryce - ostoi chrześcijaństwa.

- Jeśli mogę przerwać... - wtrącił Alan. - Mieszasz Saracenów, barbarzyńców, krzyżowców i misjonarzy w jednym tyglu religijnych frazesów. Wiesz przecież dobrze, że jedynymi barbarzyńcami, jakich kiedykolwiek spotkali krzyżowcy, byli oni sami.

Samantha siedziała z założonymi rękami, grzeczna, dopóki nie skończył mówić. Natychmiast potem powróciła do swojej kwestii:

- Ale najpierw sama Ameryka musi zostać oczyszczona. Amerykanie muszą złączyć dłonie i pomaszerować ścieżką prawości. Michał ich poprowadzi.

- Nie - zaprzeczył doktor, mając nadzieję, że kończy się efekt prania mózgu i zacznie się dyskusja. - Nie można zmusić dwustu pięćdziesięciu milionów wykształconych ludzi, by wyznawali fundamentalistyczną religię.

- Młodzi - ciągnęła Samantha - my, którzy jesteśmy najmniej zbrukani grzechem, wskażemy drogę.

- Co za bzdury! - wybuchnął Springer. Wyrwał rękę z przytrzymującej go dłoni Margaret.

- Nigdy w życiu nie słyszałem większej, bardziej świętosz kowatej hipokryzji. Najmniej zbrukani grzechem? Dobry Boże, Samantho!

- Grzechem - nie ustępowała jego córka. - Grzech. Wiesz, co to jest grzech, tato. Cudzołóstwo. Zdrada.

- Co? - Alan spojrział na Margaret. Pobladła; jej palce ścisnęły nerwowo krawędź stołu.

- Grzechy - powtarzała Samantha. - Grzeszyłeś przeciwko Bogu.

- Oj, daj spokój, Samantho!

- I grzeszyłeś przeciwko mamie i mnie.

- Nie - wydusiła z siebie Margaret. - Przestań!

W kuchni nagle zrobiło się duszno. Springer chciał otworzyć okno. Samantha patrzyła mu prosto w oczy. Powiedziała:

- Porzuciłeś nas, dla swojej własnej przyjemności.

- Co masz na myśli? - wyszeptał doktor. Chciał zobaczyć wyraz twarzy Margaret, ale nie umiał uciec od spojrzenia córki.

- Anie - wyjaśniła wyrażając ból i nienawiść. Z gardła Margaret zaczęły dobywać się przerażające dźwięki. Córka poklepała ją po ramieniu, w groteskowy sposób parodiując gest pocieszenia.

- Nie martw się, mamo. Michał obiecał mi, że nie będzie już kusił taty.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zdziwił się Springer.

- Michał obiecał - powtórzyła. - Zostanie oczyszczona. Powoli wstała zza stołu, pomagając sobie rękami, jak staruszka, i ciężkim krokiem weszła po schodach na górę.

Margaret ukryła twarz w dłoniach, tłumiąc szloch. Alan siedział przez długi czas, przysłuchując się temu. Kiedy dotknął jej ramienia, krzyknęła:

- Jak ona się dowiedziała?!

- A ty wiedziałas? - spytał.

- Och, Alanie. Taki z ciebie głupiec. Jak mogłabym nie wiedzieć?

- Przepraszam. Przykro mi. Margaret odsłoniła twarz.

- Z tego powodu że zostałeś złapany? - zapytała. - Mnie też jest przykro, kochanie. Teraz nie mogę już udawać.

Wyszarpnęła rękę. Jej ruch nie był ani nagły, ani gwałtowny; po prostu stanowczy.

- Lepiej pójdę do niej - odezwał się Alan.

- Powinieneś. - Wyjrzała przez okno we wnęce i machinalnie poprawiła zasłonę.

Doktor wspiął się na schody i zapukał do drzwi Samantha. Żadnej odpowiedzi. Zapukał znowu i otworzył drzwi. Jego córka klęczała przy łóżku. Ukłękł koło niej.

- Są pewne rzeczy, których nie... rozumiesz. Kiedy będziesz starsza...

Przestał mówić, kiedy jej załzawione oczy przybrały nieobecny, zastygły wyraz.

Kiedy wycofywał się z jej pokoju, słyszał, jak modliła się do Michała.

- Ona wyjechała - wyszeptała Margaret. - Już po wszystkim. - Nie - zaprzeczyła Samantha. - Znalazł sobie kogoś nowego.

Alan nie mógł oderwać wzroku od jej kamiennej twarzy, maski,

- Naprawdę kusi mnie, żeby powyrzucać do śmieci te wszystkie zawiadomienia o wpisie na listę wyborczą - powiedziała Sophie Wilkins śmiejąc się gorzko. Chyba nie masz wątpliwości, co te gnidy z nimi zrobią?

- Ilu ich jest? - spytał Springer. Zdążył już odespać wszystkie zaległości, a teraz siedział z Sophie oraz Bobem przy ladzie w sklepie Rigby'ego i się martwił. Zaczął przypominać sobie dawną kampanię McGoverna, swoją strategię, sztuczki, których się wtedy nauczył. W jego umyśle rodził się pomysł.

- Siedemset pięćdziesiąt cztery osoby - odpowiedział ochrypłym głosem Kent. Był tak samo wymęczony jak tej nocy, gdy odbywało się zebranie.

- Dzisiaj rano przyszło ich na pocztę jeszcze trochę - oznajmiła Sophie. Dziobała bez przyjemności łyżeczką swoje lody z owocami i śmietanką.

Alan prawie nie słuchał.

- Możemy ich pokonać - powiedział nagle. - Możemy wygrać wybory.

- Jak cholera - rzucił burmistrz. - Słyszałeś liczbę. To już ich miasto.

Ale zarejestrowali wszystkich, kogo tylko mają - wyjaśniał doktor. - Dlaczego my nie możemy zrobić tego samego? Musimy mieć w całej okolicy ze trzysta osób, które nie są zapisane.

- On ma rację - zgodziła się Sophie. Bob potrząsnął głową.

- Do końca okresu rejestracji zostało jeszcze trzy i pół tygodnia. W żaden sposób nie uda ci się zapisać tylu ludzi w tak krótkim czasie.

- Spróbuję, do diabła - burknął Springer. Poczul, jak desperacka złość ścisła go za gardło. Nie miał już nic do stracenia. Nie miał dokąd pójść, i nie miał z kim. Z winy Błękitnego Bractwa.

- Daj sobie spokój, Alanie.

- Warto spróbować - nalegał doktor. - Możemy dać ogłoszenie do gazety. Nakłaniać przez telefon. Będę jeździć po farmach. Ludzie mnie tam znają. Ty i Sophie moglibyście się zająć miastem. Może Ed Stratton by pomógł. I wielebny Davies.

W zmęczonych oczach Kenta pojawił się cień zainteresowania.

- Może...

- Lepsze to niż beczynne siedzenie - stwierdziła Sophie. - Bob, przestań rozpaczać! Alan ma rację, jest szansa.

Burmistrz gapił się we własne odbicie w przymglonym lustrze.

- Myślę, że moglibyśmy spróbować... Poproszę Toma House'a, żeby wydrukował w gazecie reklamę, nawołującą do rejestracji. Ale będziesz musiał przepisać nazwiska z rejestrów podatkowych. Powiem pani Bone, by ci je udostępniła.

- A ty co będziesz robił?

- Mam spotkanie z Fredem. Chcemy przedyskutować pewne rozwiązania. Sophie, może porozmawiasz ze Strattonem i Daviesem?

Sophie wróciła na pocztę, a Kent ze Springerem pognali na drugą stronę ulicy. Chłodny, północny wiatr czochrał przeredzone włosy burmistrza, odsłaniając różową łysinę. Bob kulił się z zimna. Weszli do archiwum Rady Miejskiej, a Kent odnalazł stosowne dokumenty. Znajdowały się w olbrzymiej grubości, popękanych, plastikowych teczkach, mieszczących w sobie luźne kartki.

- Wiesz, jak się w tym poruszać?

- A myślisz, że jak znalazłem tych wszystkich demokratów dla McGoverna?

- Spróbuj teraz przysłużyć się praktyczniejszemu zwycięstwu.

- Byłby lepszy niż Nixon.

- A Mussolini byłby jeszcze lepszy. Powodzenia!

Alan spędził cały poranek porównując nazwiska w rejestrach podatkowych z nazwiskami ludzi zarejestrowanych na listach wyborczych. Zrobił wykaz osób, które płaciły

podatki, a nie głosowały. W spisie były osiemdziesiąt cztery osoby, kiedy musiał przerwać, aby otworzyć klinikę.

Późnym popołudniem został zarejestrowany ostatni sekciarz, wtedy Springer wrócił do archiwum i pracował aż do dziewiątej. Dręczony głodem, ledwo widząc, doszedł do stu trzydziestu nie zapisanych dorosłych obywateli okolicy Hudson City, zanim zmęczenie zmusiło go, by przestał.

Zaznaczył jakieś czterdzieści nazwisk, były to osoby, które znał osobiście albo niedawno leczył. Reszta wydawała mu się obca. Większość z nich mieszkała na odległych farmach. Dotarcie do nich będzie musiało zająć mnóstwo czasu.

Zatelefonował do Sophie i powiedział jej, co udało mu się wyszukać. Obiecał kontynuować tę pracę nazajutrz. Sophie przekonała do współpracy wielebnego Daviesa i Eda Strattona. Potem doktor zadzwonił do Kenta, który wydał się jeszcze bardziej przybity niż przedtem.

- House nam nie pomoże - oznajmił ponurym głosem. - Nie chce się w to mieszać.

- Porozmawiam z nim - pocieszał go Alan. - Do zobaczenia rano.

- Muszę pojechać do Albany - odparł Bob. - Fred uważa, że moglibyśmy tam założyć sprawę sądową.

- Jak?

- To skomplikowane. Twierdzi, że jesteśmy w stanie uzyskać poparcie.

- A co z werbowaniem ludzi?

- Będziecie musieli zacząć beze mnie.

Springer życzył mu szczęścia i odłożył słuchawkę. Co się, do cholery, stało z Tomem House'em? Doktor umierał z głodu, ale sklep Rigby'ego był zamknięty, więc przestał myśleć o jedzeniu i zapukał do drzwi Toma. Dobijał się, aż zapaliło się światło i dziennikarz stanął w progu, ubrany w swój stary, niebieski szlafrok.

- Obudziłem cię? - spytał Alan.

- Nie - odparł wesoło House. - Właśnie skończyłem dyktować przez telefon mój artykuł dla "Daily News". Braciszkiwie podtrzymują moją nadzieję.

- Czy mogę wejść?

House powiódł go przez ciemne biuro do pokoju na tyłach domu. W nogach łóżka grał telewizor. Z boku stała mała lodówka, a na niej kuchenka elektryczna. Tom wskazał Springerowi jedyne krzesło, a sam usiadł na tapczanie.

Doktor nie tracił czasu.

- Bob mówi, że nie chcesz nam pomóc - powiedział. Dziennikarz przygładził włosy. Były tak siwiuteńkie, że zdawały się świecić w ciemności. Wyłączył dźwięk w telewizorze.

- Przebadalem trochę różnych materiałów. To pierwszy przypadek, żeby taka grupa opanowała całe miasteczko.

- Jeszcze tego nie zrobili - sprostował Alan.

- To już przesądzone.

- Możemy ich powstrzymać. Robimy listę nie zarejestrowanych, a uprawnionych do głosowania obywateli. Wystarczy ich, żeby wygrać wybory. Zdobycie i zachęcenie tych ludzi do wzięcia udziału w głosowaniu to zadanie, to bitwa wymagająca reklamy.

House potrząsnął głową.

- Nie szukam bitwy. Sprzedam ci każdą ilość miejsca, jakiej będziesz potrzebował, po zwykłej cenie, ale poza tym "Sun" nie weźmie w tej akcji udziału. Nie będzie żadnych artykułów popierających twoje działanie.

- Boisz się, że Błękitne Bractwo zemści się, jeśli wygra?

- Nie. Po prostu uważam, że Kent i jego paczka zbyt długo zasiadają w radzie. Przydałyby się jakieś zmiany.

- Ale nie na rzecz Błękitnego Bractwa.

Dziennikarz wzruszył ramionami. Jego oczy powędrowały w kierunku niemego obrazu telewizora.

- Chcę zachować czyste spojrzenie na tę sprawę - odparł.

- Czyste spojrzenie?... Aaa - doktor wstał - już rozumiem, Tom. Jesteś starym, dobrym reporterem, prawda? Nowojorskie "Daily News" cieszą się z twojej obecności tutaj, dopóki nie zaangażujesz się osobiście w wydarzenia. Ale jeśli stanąłbyś po którejś stronie, przysłałiby kogoś innego.

- Gównu by przysłali - odpowiedział House z wściekłością. - To mój temat.

Springer się roześmiał.

- Sądysz, że Braciszkwowie pozwolą ci wysyłać historyjki o nich, jeśli będą rządzić miastem? Zamknęliby ci usta w ciągu jednego dnia, Tom.

Reporter sięgnął do telewizora i włączył dźwięk.

Alan przeszedł przez ciemne biuro i zatrzasnął za sobą drzwi. Noc była chłodna i niebieskie okna ośrodka sekty wyraźnie jaśniały na ciemnym zboczach góry. Przejechał samochód osobowy, potem ciężarówka. Poza tym ulice i chodniki były całkowicie puste.

Doktor przystanął, zastanawiając się, czy wrócić do domu, czy iść do szpitala, kiedy nagle zobaczył błękitne światełko kiwające się powoli w ciemności ulicy. Jego ruch zahipnotyzował go na moment. Po chwili, strząsając z siebie to uczucie, pospieszył, aby zobaczyć, co się dzieje. To było w sklepie Lewisa. Kiedy podszedł bliżej, zauważył Pete'a, stojącego na drabinie w oknie wystawowym, wśród swoich pił spalinowych i grabi, wieszającego pojedynczą, niebieską lampkę choinkową na przytwierdzonym do sufitu haczyku. Alan zapukał w szybę. Sklepikarz spojrzął na niego nieobecny wzrokiem, po czym powrócił do swojej poprzedniej czynności, kończąc okręcać kabel dookoła haczyka. Doktor przyglądał się, jak Pete schodzi z drabiny. Odczekał, aż Lewis zamknie sklep. Kiedy sklepikarz wreszcie się odwrócił, Alan zdumiał się, widząc oznaki wyczerpania na jego oświetlonej przez uliczną latarnię twarzy.

- Po co ci ta lampka? - zapytał doktor, z góry znając odpowiedź. Zmęczone oczy Pete'a skupiły się na twarzy Springera. Usta Lewisa wykrzywił sztuczny uśmiech.

- Po co ci to światełko? - powtórzył Alan.

- Nadejdzie Pan - oznajmił sklepikarz ochryplym głosem.

- Co?

- Nadejdzie Chrystus, kiedy Michał powie, że już czas. Oczyszcimy Mu ścieżki, przygotujemy mu drogę.

- Pete! Byłeś tam? Lewis nie odpowiadał.

- Co się stało?! - krzyknął Springer.

- Przeszedłem szkolenie.

- Przyłączyłeś się do nich? Sklepikarz przytaknął.

- Co oni ci zrobili? Pete się roześmiał.

- No co?!

Lewis rechotał dalej. Nie mógł przestać. W jego głosie brzmiała histeria. Zwijał się ze śmiechu. Doktor uderzył go w twarz otwartą dłonią. Śmiech ustał.

- Co się stało? - naciskał Alan.

- Widziałem Boga - odparł sklepikarz i odszedł.

Przez dwa wyczerpujące tygodnie Springer przejeżdżał okolicę wszerz i wzdłuż, błagając ludzi, aby zarejestrowali się na liście wyborców. Jednocześnie Sophie i wielebny Davies chodzili od drzwi do drzwi w samym miasteczku, a Ed Stratton robił następny krok - dzwonił do mieszkańców, zachęcając, aby wywiązali się ze złożonej obietnicy. Czy to z obawy przed sektą, czy też z powodu nieustępliwości namawiających, ludzie przychodzili do ratusza i się zapisywali. Stopniowo liczba zarejestrowanych wzrastała - w pierwszym tygodniu przybyło sześćdziesięcioro nowych wyborców, w drugim - Pięćdziesięcioro i zaczęło się wydawać, że być może mieszkańcy Hudson City zwyciężą sekciarzy.

Kiedy już miasto zostało całkowicie przeczesane, Sophie dołączyła do Alana, jeżdżąc po farmach swoim czerwonym chevroletem blazerem, nachodząc rolników i mieszkańców chat, których sumień doktor nie zdołał poruszyć. Miała duży dar przekonywania i w krótkim czasie przywiodła do Hudson City paru najbardziej upartych ludzi, których nie widziano w miasteczku od lat.

Springer był wyczerpany. Zamienił się godzinami pracy ze swoim praktykantem, co pozwalało mu jeździć po okolicy w ciągu dnia, ale w nocy był uwiązany przy telefonie w szpitalu; a przynajmniej raz na dobę sygnał zrywał go z tapczanu, na którym spał. Margaret zawarła z nim coś w rodzaju rozejmu. Gotowała posiłki i zajmowała się domem, ale nie chciała ani z nim rozmawiać, ani nawet siedzieć w tym samym pokoju. Samantha też się do niego nie odzywała, chociaż parę razy, kiedy rozmawiał przez telefon, zauważył, że przygląda mu się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Kiedy tylko próbował coś powiedzieć, odwracała się natychmiast.

Zdziwił się więc bardzo, kiedy budząc się w piątek rano, zobaczył ją kłęczącą przy jego łóżku. Słońce, świecące przez żaluzje, znaczyło twarz córki czarnymi i białymi paskami.

Odezwał się pierwszy:

- Dzień dobry, kochanie. Patrzyła na niego.

- Kocham cię, tatusiu - odpowiedziała.

- Chodź tutaj - ogarnięty wdzięcznością przyciągnął ją do siebie. Wydała mu się bardzo silna. Pocałował jej włosy i pogładził je z tyłu, gdzie były krótkie jak u rekruta.

- Ja też cię kocham, Samantho. Brakowało mi ciebie. - Trzymał ją tak przez chwilę ciesząc się z jej dotyku. Od tak dawna był sam...

Córka przemówiła prosto w jego pierś:

- Tato?

- Tak?

- Musisz przestać przeciwstawiać się Michałowi. Odepchnął ją, a radość w nim zgasła. Samantha przytuliła się z powrotem.

- Tato, nie masz racji. To nieprawda, że Michał cię nienawidzi. Ale musisz przestać, zanim będzie za późno.

- Czy kazał ci to powiedzieć? - Alan aż się wzdrygnął słysząc w swoim głosie nieomal zwierzęcy charkot.

- Bóg mi kazał - odparła Samantha. - Już odpokutowałeś za swój grzech, tatusiu. Jeśli przyjmiesz Michała, Bóg ci przebaczy, a wtedy ja też ci przebaczę.

Chciał wybuchnąć, ale powstrzymał go wygląd jej oczu. Patrzyła przez niego, jak gdyby był ze szkła. Usiadł z wysiłkiem, zmęczony, zanim jeszcze zaczął się dzień, i skierował myśli ku czekającej go pracy. Mieli, razem z Sophie, spędzić dwa najbliższe dni jeżdżąc po obszarze leżącym na północ od Hudson City. Do połowy tygodnia zdążą odwiedzić wszystkich ludzi z listy, tak że będą mieli jeszcze parę dni na ponowne przypomnienie mieszkańcom o całej sprawie. Czuł się podekscytowany. Wychodziło im to!

Zadzwoił telefon. Był to Bob Kent.

- Jak tam w Albany? - zapytał doktor. Burmistrz został w mieście, aby wyrabiać poparcie u miejscowych prawników.

- Zwyczajnie. A jak wam idzie w mieście?

Springer zdał Kentowi sprawozdanie z postępów rejestracji i zapytał go, kiedy wróci.

- Może w poniedziałek - odparł Bob bez przekonania.

- Tato - powiedziała Samantha, kiedy jej ojciec odłożył słuchawkę.

- Co, kochanie? - spytał, nieobecny myślami, zawiązując szlafrok, aby pójść na górę, przez pokój Margaret, do łazienki. Pomyślał, że to zastanawiające, jak szybko potrafił zamknąć się na próby Samantha, która chciała nawiązać z nim kontakt. Ale w tej chwili była narzędziem w ręku Michała i musiał najpierw pokonać go, zanim będzie mógł pomóc córce.

- Pan Spencer przechodzi szkolenie - oznajmiła.

- Co?

- Michał mówi, że będzie mu wolno przyłączyć się do ruchu.

- Spencer?

- Ty też mógłbyś, póki nie będzie za późno.

Alan szybko otrzeźwiał. Właściciel sklepu z żywnością, mężczyzna o twarzy dziecka, nie zrobił właściwie żadnej niespodzianki. Tak samo jak Pete Lewis, miał bardzo wiele do

stracenia w przypadku usunięcia sekty z miasta. Doktor zdał sobie sprawę z tego, że sklepikarze chcieli po prostu przyssać się do swoich najlepszych klientów.

Jednak kiedy wyjechał poza miasto i zobaczył niebieskie światełko w sklepie IGA, pomyślał jeszcze o czymś innym. Obydwaj, Lewis i Spencer, byli bardzo religijnymi ludźmi. Niewielu mieszkańców Hudson City traktowało wiarę równie poważnie. Dwie niebieskie lampki... Poszukał w myślach następnych. Może Preston. No i być może Moser, chociaż stary przedsiębiorca był chyba zbyt niezależny i za sprytny, żeby dać się w to wciągnąć.

Ale to by było wszystko, poza może jeszcze jednym czy drugim dziwakiem. Żaden nauczyciel nie podda się indoktrynacji sekty. A farmerzy byli w tej chwili zbyt zajęci żniwami, żeby się na cokolwiek nawracać. Alan dobrze o tym wiedział. Jeździł przez ich pola, łapiąc ich na pospieszną rozmowę przy ciężarówce z sianem.

Przez cały dzień myślał o porannej wymianie zdań z Samanthą. Jeśli jego córka działała z polecenia Michała, a był tego prawie pewien - to oznaczało, że sekciarze boją się, iż zdoła zarejestrować dostatecznie dużo wyborców, aby pokonać ich w listopadowych wyborach. Doktor uśmiechnął się, skręcając w kolejną polną drogę. Opór narastał. Skurczybyki zauważyły to.

To był dobry dzień. Do wieczora zdołał przekonać do wpisania się na listę dwadzieścia osób. Miał numery ich telefonów, tak że mógł zadzwonić, aby przypomnieć o wyborach. Kiedy przejeżdżał stanową szosą obok salonu samochodowego Eda Strattona, wewnątrz ciągle paliło się światło. Sprzedawca samochodów siedział przy swoim biurku w rogu i telefonował. Zamachał do Springera, odłożył słuchawkę i otworzył szklane drzwi.

- Ty też? Przed chwilą przejeżdżała Sophie. Ta kobieta prowadzi jak burza.

- Właśnie kończę. Jak ci dzisiaj poszło?

Ed pokazał swoim zgasłym cygarem kartki żółtego, kancelaryjnego papieru, leżące na jego biurku. - Trzydzieści osób. Większość z nich obiecała, że na pewno się zarejestruje.

- Nieźle.

Stratton uśmiechnął się blado.

- Mnóstwo ludzi - powiedział - zacznie jeździć nowymi, tanimi samochodami, jeśli

będą pamiętać o obietnicach, które dzisiaj złożyli.

- Uda się nam - stwierdził doktor. Opisał w krótkich słowach rezultaty swojej dzisiejszej pracy. Stratton podliczył na czystej kartce wszystkich, których udało im się dotąd zwerbować.

- Rzeczywiście - ocenił. - Ale nasza przewaga jest minimalna.

- Trzeba im przypominać przez cały tydzień. Ja będę dzwonić do twoich, a ty do moich.

- A gdzie jest Kent? - zapytał Stratton.

- Jeszcze siedzi w Albany. Telefonował dzisiaj rano.

- Co on tam, do diabła, może robić w czasie weekendu? Springer wzruszył ramionami.

- Powiedział, że wróci w poniedziałek.

- To mi coś przypomniało: Davies dzwonił. Mówił, że możemy w niedzielę przemówić do wiernych na temat rejestracji. Powiedziałem mu, że ty to zrobisz.

- Dziękuję.

- Cóż, to chyba wszystko - podsumował Stratton - a zatem nareszcie mamy wieczór.

- Chcesz iść na drinka? - spytał Alan.

- Nie, muszę wracać do domu. Dzisiaj są urodziny Roscoe'ego. Osiemnastka. Hej, chcesz zobaczyć, co dla niego mam?

Zaprowadził doktora do części warsztatowej. Za drzwiami stał lśniący sportowy chevrolet camaro.

- Myślisz, że mu się spodoba? - zapytał. Springer zagwizdał z zachwytem.

- Jeśli nie, to ja go mogę wziąć. Ed zachichotał.

- Wychowywałem go surowo, ale... to mój pierworodny syn. Zawsze chciałem mieć coś takiego, kiedy byłem w jego wieku. Mój tata był innego zdania. Myślisz, że taki prezent

to za dużo?

- Myślę, że jest wspaniały.

Stratton pogładził niziutki, błyszczący błotnik maszyny.

- Ja uważam, że to za dużo. Ale chcę, żeby chłopak wiedział, że nie musi nigdzie indziej szukać szczęścia... Wiesz, o co mi chodzi?

- Jasne. Jak tam Jackie? Ed pokręcił wielką głową.

- Nie wiem. Ciągłe siedzi w swoim pokoju. Roscoe powozi go tym po okolicy. To go rozweseli... A jak Samantha?

- Niedobrze. Dzisiaj rano próbowała mnie namawiać, żebym się nawrócił. Mówi, że Spencer właśnie to robi.

- On i Lewis to para podlizuchów - skomentował Stratton. Zadzwoił telefon. Właściciel salonu powiedział:

- Wypuszczę cię teraz, Springer. Do zobaczenia jutro. Nie zapomnij o swoim wystąpieniu w kościele.

Jadąc Main Street do domu, Alan minął jeszcze jedno niebieskie światełko. Bank. Preston się poddał. Nie szkodzi. Głosy, a nie przedsiębiorcy pokonają sekciarzy.

Margaret siedziała na piętrze w ich pokoju, a Samantha, rozciągnięta w dużym pokoju na kanapie, czytała Apokalipsę według Michała. Bez słowa powitania wstała i poszła na górę. Doktor zgasił światło w pustym pokoju i poszedł do swojego gabinetu. Kładł się właśnie do łóżka, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych. Był to Ed Stratton.

- Cześć. Co się dzieje? - spytał Alan.

Stratton wszedł do środka i oparł się o drzwi. Na jego napiętej twarzy malowała się trwoga.

- Zabrali moje dzieci.

- Co???

- Nie ma Jackie'ego i Roscoe'ego.

- Gdzie są?

- W ośrodku Błękitnego Bractwa.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, do diabła. Zadzwonili do mnie. Posadzili chłopców przy telefonie. Powiedzieli, że nie wrócą do domu, jeśli nie przestanę agitować do wyborów.

Springerowi opadła szczęka.

- No i co zrobisz?

Na twarzy Strattona pojawił się grymas.

- Powiedziałem im, że tak.

- Że przestaniesz?

- Powiedziałem Roscoe'emu o samochodzie. Odparł, że nie potrzebuje dóbr doczesnych. Co oni, do cholery, temu dziecku zrobili? On nawet nie wie, co znaczy słowo "doczesny".

- Nie możesz przestać, Ed. Czy nie rozumiesz, że to znaczy, iż się nas boją? Wiedzą, że zwyciężymy.

- Nie będę więcej działał, Springer. Mam nóż na gardle.

- Ale...

- Nic z tego... Ci Skubańcy są sprytni. Rezygnuję. Przepraszam, Springer. - Sięgnął do kurtki i wyjął kilka złożonych kartek żółtego papieru. - Gdzie twoja córka?

- Na górze, w pokoju.

Stratton zwrócił uwagę, że ktoś zapalił światło koło schodów. Szepnął:

- Przyda ci się to. Numery telefonów wszystkich, z którymi rozmawiałem. Powodzenia!

Alan zobaczył schodzący z piętra cień. Instynktownie wsunął papiery pod fałdy szlafroka.

Sophie przyjęła wiadomość z charakterystyczną dla niej pogodą ducha.

- Nie możesz winić Eda - powiedziała. - Skończymy sami.

- Nasza przewaga jest bardzo niewielka.

- Zastanawiam się, dlaczego nie zrobili tego samego z Samntha?

- To by im nic nie pomogło - odparł ponuro Springer. - I tak... i tak już jest całkowicie z nimi. I nie myślę, żeby to się zmieniło, dopóki się ich nie pozbedziemy... Jeśli się pozbedziemy.

Sophie poklepała go po ramieniu.

- Nic się nie martw. Wyrzucimy ich stąd - pocieszała. - Pamiętaj: ja nie mam dzieci. Mnie nie mogą nic zrobić.

Zatrzymali się na odległym od miasta skrzyżowaniu w pobliżu północnej granicy Hudson City. Było popołudnie. Zjedli lunch, składający się z kanapek i herbaty z termosu. Porównując swoje notatki, rozdzielili pomiędzy siebie pozostałe farmy i umówili się, że spotkają się w tym samym miejscu o zmierzchu. Sophie wzięła niżej położone gospodarstwa, Alan zaś te, które znajdowały się na wzgórzach.

Słońce właśnie zachodziło, kiedy zjeżdżał stromą drogą wzdłuż górującego nad doliną grzbietu. Daleko w dole zobaczył czerwony samochód Sophie, pędzący polnym traktem. Wzbijał za sobą tuman kurzu. Dodając gazu, żeby nie musiała czekać, Springer zauważył ciężarówkę w ciemnym kolorze, stojącą na poboczu, zaraz za zakrętem, do którego zbliżała się Sophie. Jeśli jej chevrolet wyjedzie na lewą stronę drogi - co było bardzo prawdopodobne przy tej prędkości, pomyślał z uśmiechem doktor - to nieźle przestraszy pasażerów ciężarówki.

Ciężarówka ruszyła z miejsca. Wjechała na drogę. Alan czekał, kiedy kierowca usłyszy ryk silnika samochodu Sophie i zatrzyma się, ale o dziwo, powolutku jechał dalej. Kiedy wreszcie ciężarówka stanęła, była już prawie na samym zakręcie.

Dalej wszystko potoczyło się tak szybko, że Springer nawet nie zdążył pomyśleć. Sophie minęła zakręt, zjeżdżając na lewy pas. Ciężarówka ruszyła w poprzek drogi, prościutko na tor jej jazdy. Samochód Sophie wpadł w poślizg, zarzuciło go. Chevrolet zaczął kręcić się w kółko. Przeleciał przez rów i uderzył w ogromne drzewo z taką siłą, że Alan, choć znajdował się w odległości prawie pół kilometra, usłyszał potężny huk.

Wdepnął gaz do deski. Ostatnie, co zdążył zobaczyć, zanim grzbiet góry zasłonił mu widok, to błyskające z wraku samochodu Sophie płomienie i uciekającą ciężarówkę. Jechał tak szybko, jak tylko się dało. Opony piszczały na ostrych zakrętach, rzucało samochodem od jednej do drugiej krawędzi pustej drogi. Parę chwil później zahamował z piskiem koło wraku.

Blazer zawinął się dookoła drzewa jak splaszczona rura od pieca. Zakrwawiona Sophie leżała na zewnątrz. Alan rzucił spojrzenie na szalejący pod samochodem ogień i natychmiast pobiegł, aby odciągnąć kobietę, zanim nastąpi wybuch.

Jej prawa ręka była uwięziona, zmiażdżona przez wygięte blachy samochodu, który przywoździł ją do drzewa. Springer rzucił się do swojego wozu po gaśnicę i uruchomił ją, kierując strumień na błyskające płomienie. Ginęły nierównomiernie pod grubą warstwą białej piany, wzmagając się pod zbiornikiem paliwa, kiedy Alan skoncentrował się na silniku, a potem pojawiając się na nowo pod silnikiem, kiedy powrócił do baku. Wreszcie zgasły i doktor przyklęknął, aby zbadać Sophie.

Była nieprzytomna, cała pokrwawiona z powodu mnóstwa drobnych, powierzchownych rozcięć na ciele. Na jej tułowiu i nogach de było widać poważniejszych ran. Ręka. Chryste! Pomiedzy wygiętym metalem a skruszoną korą drzewa nie było żadnej szpary. Jej przedramię i dłoń musiały zostać kompletnie zmiażdżone. Przechodząc na inną stronę, żeby lepiej się przyjrzeć, potknął się drzazgi, jakie zostały z jej gitary. Powyginane struny oplotły mu logi. Ręka Sophie, ręka Sophie!

Potrzebna była karetka, a to oznaczało trzykilometrową jazdę do najbliższego domu z telefonem. Przykrył Sophie kocem, żeby ochronić jej pogrążone w szoku ciało przed wieczornym chłodem. Ale kiedy wsiadł do samochodu, zobaczył, że pod zmiażdżonym chevroletem znowu pojawiają się płomienie.

Zanim je zgasił, gaśnica opróżniła się prawie do końca. Rozejrzył się w obie strony pustej drogi. Żadnych samochodów, żadnych domów. Nikogo. Samochód Sophie mógł

zapalić się znowu i wybuchnąć, w czasie kiedy on pojechałby po pomoc. Przeszedł go dreszcz zgrozy. Musiał ją uwolnić.

Zrobiło mu się niedobrze. Czerwony jęzor ognia ułatwił mu decyzję. Uruchomił znowu gaśnicę, opróżniając ją, a potem szybko nakierował swój samochód tak, aby reflektory oświetlały Sophie. Przyniósł nieliczne przybory, jakie miał ze sobą. Skalpel i ostrze numer dwadzieścia jeden. Kilka zacisków; za mało. Nic chirurgiczna. Sophie była w głębokim szoku, co oszczędzi jej bólu. Być może, przy dużym szczęściu, szok na tyle mocno skurczy jej tętnice, że nie będzie za bardzo krwawić. Nie miał nikogo, kto mógłby podwiązać jej naczynia. Nie miał też piły. Przerzucił zawartość torby w poszukiwaniu drucika do cięcia, wiedząc, że go nie znajdzie. Rozejrzał się dookoła. Co, do cholery, miał jeszcze w samochodzie? Nic, nic, nic. Jego noga zaczepiła, o coś. Gitara! Szybko odwinął najcieńszą strunę, E.

Położył ją na kocu. Wydobył niezdarnie ostrze numer dwadzieścia jeden ze sterylnego, foliowego opakowania i założył je do skalpela.

Był gotów, ale zawahał się, spoglądając znowu w obie strony drogi, modląc się o pomoc. Było ciemno i głucho. Płomienie ostrzegły go trzaskiem. Zaczął ciąć. Ostrze skalpela cięło kolejne warstwy tłuszczu i mięśni, w miarę jak Alan okręzał jej rękę, docierając powoli do kości.

Głowa Sophie zwieszała się na ramieniu, a oczy drżały.

- Błagam cię, nie budź się - wymamrotał Springer. Z jednej strony zostawił płat skóry, aby przykryć nim kikut. Gdy tak krajał warstwę po warstwie, zakładał zaraz zaciski na żyły, a potem przekładał nad nimi kawałki nici i zawiązywał je dookoła naczyń, z których sączyła się krew i wreszcie zdejmował zaciski z powrotem.

Nagle duża tętnica chlusnęła na jego dłonie gorącą krwią.

- Złap ją - mruczał do siebie, próbując uchwycić śliską arterię zaciskiem, podczas gdy palce drugiej ręki wbił w pachę Sophie, aż krwawienie się zmniejszyło. Założył zacisk i powrócił do cięcia. Kiedy przebrnął przez jej całe grube ramię, płomienie oblizywały już zbiornik paliwa. Czuł ich ciepło na zgiętych nogach.

Chroniąc własną skórę gazą, owinał gitarową strunę dookoła dłoni. Napięty drut miał

około trzydziestu centymetrów długości. Potem docisnął go do odsłoniętej kości i zaczął ciąć.

Chevrolet eksplodował z błyskiem, który oświetlił lusterko wsteczne samochodu Springera pomarańczowym blaskiem. Potężny huk wstrząsnął oddalającym się pojazdem. Sophie poruszyła się na siedzeniu obok Alana. Położył ją tak, żeby widzieć, czy nie zaczyna krwawić.

- Proszę cię, nie budź się - błagał. - Proszę cię.

Jego twarz była cała mokra. Płakał przez cały czas, kiedy osłaniał ranę i ładował Sophie do samochodu. Co on jej powie? Jak się wytłumaczy?

Nagle Sophie otworzyła powoli oczy.

- Spokojnie - szepnął, kładąc rękę na jej ramieniu. Próbowwała usiąść. - Leż, Sophie, leż.

Spojrzał na nią. Patrzyła przytomnym wzrokiem. Zrozumiała co się stało i wiedziała, że odciął jej rękę.

- W porządku, Alanie.

Leżała cichutko, gdy gnał jak oszalały do szpitala. Kiedy tam dotarł, Sophie była martwa. Jej serce zatrzymało się gdzieś po drodze.

Milczące organy w wymowny sposób przypominają o śmierci Sophie Wilkins, pomyślał Springer czekając na swoje wystąpienie przed zebranymi w kościele wiernymi. Cisza, powiedział Davies, a doktor zgadzał się z nim, najlepiej podkreślała jej odejście.

Wszystkie ławki były zajęte, ale kiedy Alan grzecznie pogratulował pastorowi pełnego kościoła, stary Davies odparł:

- Jak trwoga, to do Boga.

Springer przemówił w krótkich słowach na temat głosowania, kończąc kilkoma zdaniami o Sophie, które miały niejako nadać sens jej śmierci:

- Walczyła o to z całego serca. Była pewna zwycięstwa. Teraz my musimy stanąć na jej miejscu i udowodnić, że miała rację.

Zszedł z mównicy do swojej ławki w środkowej nawie. W czasie gdy wielebny Davies dziękował mu uroczyście, wśród zebranych nastąpiło nerwowe poruszenie na dźwięk maszerujących stóp. Z dworu trzeszczał nagłośniony, metaliczny głos Charlie'ego Danielsa. Jego oddalone wołanie urwało się nagle, jak ucięte nożem.

Cisza, która zapanowała potem, była równie wymowna jak krzyk.

Mijały sekundy. Minuty.

Podwójne wrota otwały się powoli, jakby poruszone przez chłodny powiew. Grupa ludzi w kombinezonach Błękitnego Bractwa wkroczyła niezdecydowanie do kościoła i niepewnie podreptała do głównej nawy. Twarze przybyszów pozostawały bez wyrazu, jak gdyby jakiś narkotyk odłączał dostęp do tych części mózgow, które czyniły ich ludźmi. Niektórzy z nich byli obcy, większość jednak stanowili mieszkańcy Hudson City, znani każdemu z zebranych.

Springer dostrzegł Pete'a Lewisa, patrzącego wzrokiem szaleńca, tak samo jak tej nocy, kiedy mówił, że widział Boga; Joego Prestona, którego jowialna twarz była teraz pusta; Gary'ego Spencera, bez jego chłopięcego uśmiechu; matkę Danny'ego Mosera, której długie,

proste włosy zostały krótko ścięte... Alan rozglądał się wśród nich, a serce mu się ścisnęło. Byli tam wszyscy sklepikarze. Widział Dwighta Rigby'ego i Margy koło niego. Był też Ken Moser, z martwymi oczami starego wilka, którego osaczono. I Stratton, stojący cierpliwie niczym wół. Nagle doktor podskoczył na miejscu.

Zobaczył Ellen Barbar. Stała pośród nich; jej twarz pozostawała dziwnie nieruchoma. Miał rację. Sekciarze cały czas ją trzymali. Ale co oni jej zrobili? Jej egzotyczne oczy straciły swój blask, a włosy były tylko żalostną resztką kruczoczarnej burzy, którą pamiętał. Ruszył wzdłuż nawy, ale zanim do niej dotarł, kościół zadrżał od łomotu ciężkich butów.

Przez drzwi wpadli członkowie Bractwa i rzucili się w głąb świątyni. W ciągu paru sekund wypełnili nawy, tak że wierni zostali rozdzieleni i otoczeni. Springer znalazł się nagle pośród sekciarzy, zatrzymany w pół drogi pomiędzy swoją ławką a Ellen Barbar, która znikła mu z oczu za murem okrytych na niebiesko ramion.

W kościele ponownie zapanowała pełna grozy cisza. Doktor pokonał strach i zaczął przeciskać się w kierunku Ellen. Wierni, którym przerażenie odebrało mowę, gapili się na stojących uczniów Michała wyteżając wzrok, aby spojrzeć na swoich "nawróconych" sąsiadów. Nagle sekciarze zaczęli śpiewać łagodnie i ochotczo:

Zwróćcie się ku Bogu. Zwróćcie się ku Bogu. Zwróćcie się ku Bogu...

Śpiew był basowy, jęśliwy, słowa mieszały się lekko ze sobą, wypełniając całą świątynię płynącym, nieprzerwanym dźwiękiem. Członkowie Bractwa zaczęli się kołysać; Springer w tym czasie przeciskał się pomiędzy nimi, aż dotarł do pierwszej grupy, która ciągle stała niepewnie i nieruchomo, ani się nie kołysząc, ani nie śpiewając.

Zwróćcie się ku Bogu. Zwróćcie się ku Bogu. Zwróćcie się ku Bogu.

Kręcił się wśród nich, aż odnalazł Ellen Barbar. Wyglądała, jak gdyby znajdowała się w głębokim transie, ale kiedy chwycił ją za ramię, aby wyprowadzić z kościoła, cofnęła się o krok.

Rozejrzał się dookoła. Sekciarze byli zatopieni w swoim śpiewie. Wyglądało na to, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Znajdował się w połowie drogi pomiędzy ołtarzem a drzwiami. Ponownie złapał Ellen za ramię i spróbował odwrócić ją w stronę wyjścia. Wyszarpnęła się gwałtownie.

- Ellen! - powiedział ostro. - Wyjdź z tego.

- Puść mnie - odezwała się, uwalniając się ponownie. Znowu ją chwycił.

- Co ty robisz? - spytał.

- Zostaw mnie, nawracam się!

- Daj spokój - huknął doktor; jego słowa rozbrzmiały pośród śpiewu.

Patrzyła na niego jak gdyby wyglądała przez okno.

- Zastanawiam się tylko, dlaczego tyle czasu z tym czekałam.

- Proszę cię - krzyczał Alan. - Zanim nas zatrzymają.

- Nikt nie będzie pana zatrzymywał, doktorze Springer - odezwał się instruktor, John. Z łatwością zabrał rękę Alana z ramienia Ellen. - Nikogo do niczego się nie zmusza. Może pan wyjść, doktorze.

Springer patrzył na Ellen. Jej twarz wyglądała jak nieruchoma maska, zupełnie jakby umarła wchodząc w swój trans.

- Co jej zrobiliście? - spytał instruktora.

- Pokazaliśmy jej Boga. Prawda, Ellen?

- Tak - odpowiedziała. - Mam nadzieję, że ty też Go odnajdziesz, Alanie. Zanim będzie za późno.

- Gdzie jest Rose? - krzyknął Springer. - Gdzie twoja siostra?

- Ona nigdy nie miała siostry - odpowiedział instruktor.

- Coo?!

- To była tylko jej wymówka, kiedy się nam opierała. Prawda, Ellen?

- Tak.

- Nie było ci łatwo odnaleźć Boga.

- Tak.

- Czy jesteś gotowa ofiarować się Michałowi?

- Tak.

- Czy jesteś gotowa na przyjęcie w nasze szeregi?

- Tak.

Instruktor spojrział na doktora złośliwie i zadał Ellen ostatnie pytanie.

- Jesteś pewna?

Przez jej twarz przeleciał strach.

- Tak.

Śpiew urwał się niespodziewanie. Jak jeden mąż, Błękitni Bracia odwrócili się na pięcie i patrzyli poważnym wzrokiem w stronę drzwi. Potem zaczęli nagle krzyczeć z radości. Do kościoła wkroczył Michał, ubrany w zwiewną, białą szatę. Sekciarze utworzyli dla niego wąskie przejście pośrodku głównej nawy. Doktor został odepchnięty na bok.

Michał przeszedł do przodu i stanął za pulpitem. Przeszył wielebnego Daviesa swoim przerażającym wzrokiem. Pastor skulił się i wycofał w kierunku obsypanego kwiatami ołtarza. Przywódca sekty odwrócił się do niego plecami i wzniosł do słuchaczy swoje olbrzymie dłonie.

- RADUJCIE SIĘ! NADSZEDŁ PAN!

- Nadszedł Pan! - powtórzyli jego uczniowie.

- Może nas zbawić! - wołał Michał. - Może zbawić każdego z was tu obecnych, tak jak zbawi tych nowo nawróconych, którzy tak niecierpliwie oczekują Jego miłości. - Potężną ręką wskazał na Ellen i pozostałych, którzy przyglądali się nieobecny wzrokiem. - Zbawi ich. - Jego gest objął wszystkich zebranych. - I zbawi was. Jeśli Go przyjmiecie. Jeśli zgodzicie się, że Pan nadszedł. Jeśli zwróćcie się ku Niemu.

- Zwróćcie się ku Bogu! - zawołali Błękitni Bracia. - Zwróćcie się ku Bogu!

Wielebny Davies zaczął z drżącymi ustami skradać się w stronę Michała. Zastąpiło mu drogę kilku mocno zbudowanych mężczyzn. Drobnutki pastor usiłował przecisnąć się pomiędzy nimi, ale stali twardo, nie przepuszczając go.

Głos przywódcy Bractwa wzmagał się, aż jego siła zdawała się wstrząsać kościołem niczym potężna wichura.

- Oto nastał ten dzień!!! CZAS NADSZEDŁ!!! Sekciarze darli się z radości.

- Oczyszczymy tę świątynię. Przyjmiemy naszych nowych wyznawców w tych pełnych fałszu murach. Niech zwrócą się ku Bogu, kiedy zaczną odczuwać Jego miłość. - Wzniósł ręce i rozkazał zgromadzonym:

- Niech wszyscy oczyszczą się i pomaszerują z nami do domu bożego!

Z jego ust wydobywały się potężne, hipnotyzujące słowa. Doktorowi ścierpła skóra.

- Bóg dowodzi swoimi zastępami. Michał prowadzi je do boju. Zwróćcie się ku Michałowi!

Powietrze wypełnił dziwny, szaleńczy jęk. Wyznawcy kierowali w stronę swojego przywódcy nieartykułowane głosy, wyrażające całkowite oddanie. Dookoła siebie Alan widział twarze ludzi, których znał przez całe życie, zmieniające się na jego oczach. Wyglądali jak nawiedzeni, jakby im ktoś zabierał dusze. Przestrach ustępował miejsca zdumieniu, radości. Twarze zniszczone latami ciężkiej pracy i straconych marzeń rozjaśniły się nagle.

Głos Michała zdawał się płynąć niczym gęsta, lepka ciecz, ogarniająca każdego z osobna. Teraz już wszyscy jęczeli. Springer poczuł, jak z jego ust wydobywa się dźwięk. Rozejrzał się w przerażeniu dookoła w poszukiwaniu kogoś, na kim mógłby się oprzeć. Wszyscy wyglądali podobnie. Jego wzrok przyciągnął jakiś ruch. Za plecami przywódcy Błękitnego Bractwa, nie zauważony przez jego przyboczną świtę, wielebny Davies chwiejnym krokiem odszedł od ołtarza i uciekł tylnymi drzwiami, ze spuszczoną ze wstydu głową.

- POWSTAŃCIE! - nakazał Michał - - POWSTAŃCIE I ODDAJCIE SVOJE ŻYCIE CHRYSTUSOWI! POWSTAŃCIE I ZWRÓĆCIE SIĘ KU BOGU!

Ellen Barbar krzyknęła.

- POWSTAŃCIE! - żądał nieubłaganie Michał.

Ellen ruszyła w tył. Szarpiąc się z nią i przekrzykując, sekciarze ciągnęli ją w stronę ołtarza.

- Nie!!! - wrzasnął Alan. Rzucił się w jej stronę. Widział jej przerażenie, a przerażenie oznaczało życie. Mógł ją jeszcze ocalić... Ale jego krzyk zginął w ogólnym wrzasku. Fala nawróconych odciągnęła ją poza zasięg jego rąk, gdyż dziesiątki mężczyzn i kobiet wystąpiły do przodu i tłoczyły się w kierunku ołtarza. Niczym lunatycy, przepchnęli się przez podwójny rząd jęczących Błękitnych Braci w kierunku złotowłosego olbrzyma, który sterował nimi wydając nieartykułowane dźwięki.

Springer wmieszał się między nich, dążąc w stronę Ellen. Próbował utrzymać równowagę, jak gdyby znajdował się na grzbiecie fali, żeglując ku zatraceniu na wezbranej rzece niesamowitego głosu Michała. Przedarł się przez zahipnotyzowanych, krzyczących wyznawców i złapał ją za ramię.

- Uciekaj! - krzyknął. - Biegnij! Ellen ciągnęła go w kierunku ołtarza.

Trzymając ją mocno, próbował wyprowadzić z głównej nawy na bok. Sekciarze zablokowali mu drogę murem ramion. Ellen szarpała się coraz mocniej.

- Ellen! - błagał ją.

Poczuł wlepiony w siebie wzrok Michała.

Przywódca Błękitnego Bractwa przyglądał mu się płonącymi oczami, jego usta wykrzywiały sardoniczny uśmiech. Wykonał szybki gest dłonią. Dwóch olbrzymich blondynów wpadło pomiędzy Springera a Ellen i wyzwoliło ją z jego uścisku uderzeniem, od którego zdrętwiał mu nadgarstek.

Ellen oddaliła się, nieomal niesiona do ołtarza przez dziesiątki rąk. Dłonie innych popychały Alana, posuwając go do przodu.

Doktor wrywał się i parł w kierunku drzwi, przez które uciekł wielebny Davies. Odwracając się, zobaczył Ellen klęczącą u stóp Michała. Przywódca sekty pogładził jej włosy. Krzyczała i obejmowała go za nogi, wtapiając twarz w jego uda.

- POWSTAŃCIE!!! ZWRÓĆCIE SIĘ KU MICHAŁOWI!!!

Springer zatrzasnął za sobą drzwi, wypadł na kościelne podwórze i biegł przez siebie tak długo, aż przestał wreszcie słyszeć histeryczne jęki.

Stopniowo przyszedł do siebie i poczuł szaloną radość ze świeżego powietrza chłodzącego mu twarz, z odgłosu własnych butów skrzypiących po kamiennej ścieżce, z miękkiej jak gąbka trawy.

Wielebny Davies znajdował się na cmentarzu; klęczał przy grobie swojej żony płacząc. Doktor ukląkł koło niego i objął staruszkę ramieniem. Pastor załkał głośniejszym, niczym dziecko, które potrzebuje pocieszenia. Alan trzymał go, delikatnie kołysząc, aż płacz ustał.

Po chwili Davies uwolnił się z jego ramion.

- Dziękuję - powiedział sztywno, chowając się za zasłoną oficjalnego stylu bycia. - To było bardzo uprzejme z pana strony.

Powstał z wysiłkiem, a jego mokra od łez twarz przybrała spokojny, surowy wyraz, niczym oblicze kamiennej rzeźby. To szok, wytłumaczył sobie Springer.

- Czy posłuchali Michała i podeszli do niego? - spytał pastor.

- Niektórzy tak.

- Słyszałem raz w życiu człowieka, który tak wygłaszał kazania. Przypuszczam, że umarł, bo nigdy już nie dotarły do mnie żadne wiadomości o nim, a taki sposób przemawiania czyni człowieka sławnym... Boże, dopomóż nam! - głos pastora był dziwnie nieobecny.

- Masowa histeria - stwierdził doktor. Rozejrzawszy się znalazł niski, czarny, gładki nagrobek i usiadł na nim, podciągając kolana do piersi.

- Masowa histeria - powtórzył Davies. - Szaleństwo tłumów. Wielka iluzja.

- To nie może trwać długo - powiedział Springer.

- Nie może? - Pastor uśmiechnął się smutno. - Wielkie iluzje często trwają przez bardzo długi czas. Krucjaty ciągnęły się przez kilka stuleci. Hitler omamił Niemców na dwanaście lat.

- To wariactwo skończy się za tydzień - trwał przy swoim doktor.

Davies go nie usłyszał.

- Ale my, chrześcijanie, jesteśmy rekordzistami - ciągnął. - Wyznajemy swoją nową wiarę w takiej czy innej formie od dwóch tysięcy lat.

Na cmentarzu panowała cisza. Dęby były już czerwone, a klony żółte. Tylko trawa miała jeszcze zielony, jasnozielony kolor. Pastor podniósł z ziemi opadły liść i przyglądał się pod słońce jego żyłkom.

Alan patrzył na niego oniemiały.

- Pan nie wierzy w Boga?

- Oczywiście, że wierzę w Boga. Jestem jednym z omamionych. Wierzę całym sercem i duszą, ale kiedy patrzę na Błękitnych Braci jak nawracają ludzi na swoją bezmyślną wiarę, dostrzegam moją własną z całkiem innej perspektywy. Widzę, że jestem usidlony tak samo jak oni. Ale ciągle Kocham mojego Boga... i wierzę jak dawniej. - Davies wyprostował się, odzyskując część swojego dostojeństwa. - Jestem sługą bożym. Za moją posługą stoi osiemdziesiąt pokoleń kapłanów. Tysiąc lat temu ginęliśmy od mieczy wikingów. Pięćset lat później ukrywaliśmy się w lasach przed królem Henrykiem. Przywiedliśmy ludzi na ten nowy ląd. Budowaliśmy narody, władaliśmy narodami i uciekaliśmy przed narodami. Przetrwaliśmy.

Z kościoła zagrzmiała pieśń Błękitnego Bractwa.

- Mam jeszcze tydzień na rejestrację ludzi - powiedział Springer z uporem.

Pastor uśmiechnął się znowu.

- Jest pan pewien, że ci, których pan zarejestrował, będą głosowali po pańskiej myśli?

Doktor spojrział na najbliższy nagrobek. Mary Beth Moser zmarła w 1887 roku, w wieku szesnastu lat.

Przyniósł ją Pana złocisty wiatr; nie dane jej było żyć długich lat. Niech Bóg rodzinę pobłogosławi, być może będzie im bardziej łaskawy.

- To szaleństwo - powtórzył Alan. - Nie potrwa długo.

- Może... - zgodził się Davies.

Wiatr tarmosił suche liście u ich stóp. Śpiew ustał. Pastor spojrział na plebanię. Stojący w oknie model okrętu żeglował w słońcu. Davies mruknął do siebie:

- Mam nadzieję, że nie zabiorą mi domu...

Schowany za kamiennym słupkiem płotu, Springer przyglądał się, jak członkowie Bractwa ze śpiewem wymaszerowali z kościoła. Szli w szeregach, po dziesięć osób, Spotting Mountain Road, z Michałem na czele. Po drodze kolumna przeformowała się w zwarty prostokąt, w środku którego kroczyło Pięćdziesięcioro nowo nawróconych, którzy posłuchali wezwania przywódcy sekty. Alanowi przyszło na myśl, że wyglądają jak niewolnicy prowadzeni przez rzymski legion.

Zastanawiał się, gdzie jest młodzież. Dlaczego nie nadbiegła? Odpowiedź uderzyła w niego z gorzką oczywistością: Dzieci zostały w domu, ponieważ Michał im kazał.

Z fascynacją obserwował grupę ze skraju drogi, aż zniknęła za zakrętem. Potem powoli zawrócił. Wielebny Davies ciągle znajdował się na cmentarzu. Poprzez trzaskające na wietrze otwarte drzwi kościoła było widać, że jest pusty.

Od szpitala biegła pielęgniarka; jej biały fartuch był wyraźnie widoczny na tle ulicy.

- Doktorze Springer! Panie doktorze!

Alan przeszedł na drugą stronę drogi. Pielęgniarka była to kobieta w średnim wieku; pracowała na pół etatu; ledwo ją znał.

- Co się stało?

- Dzięki Bogu, że pan się znalazł. Chodzi o pana Danielsa. Doktor ruszył kłusem w kierunku szpitala, rzucając kilka rzeczowych pytań. Chwilę po tym, jak Springer próbował powstrzymać sekciarzy od najścia na kościół, do izby przyjęć wtoczył się Charlie Daniels z twarzą zalaną krwią i runął na ziemię. Ani pielęgniarka, ani Reggie, kierowca karetki, nie wiedzieli jak ciężko jest ranny, ale do tej pory nie odzyskał przytomności.

Reggie położył go na stole operacyjnym. Ustawiał rentgena, kiedy doktor wpadł do szpitala.

- Dziękuję - powiedział Springer, odsuwając go na bok. Nachylił się nad Danielsiem. Mundur policjanta był zbroczony krwią. W zamieszaniu ani kierowca, ani pielęgniarka nie

odłożyli na bok głośnika, który na rzemiennym pasku zwiisał Charlie'emu z nadgarstka.

- Zabierzcie to. Reggie usunął głośnik.

Daniels oddychał płytko. Wyglądał jak blade, wystraszone dziecko. Springer rozumiał panikę pielęgniarki - ranny, bezradny posterunkowy przedstawiał sobą naprawdę żalospny widok.

- Czy wezwaliście policję stanową? - spytał Alan.

- Pan Kent się tym zajął - odparł Reggie.

- Kent?

- Jest w pańskim biurze.

Zaskoczony powrotem burmistrza, Springer skoncentrował swoją uwagę na Charliem Danielsie. Skóra na jego głowie była przecięta w kilku miejscach. Doktorowi nie podobał się wygląd tych ran, a prześwietlenie potwierdziło jego obawy.

- Złożone pęknięcie czaszki. Trzeba go natychmiast zawieźć do Saratogi. Musi być operowany. Przygotuję go do jazdy. Weź ze sobą doktora Mela. Zadzwoń, żeby ich uprzedzić.

Dziesięć minut później karetka wyjechała na Main Street i z wyciem pognęła na południe.

Springer odnalazł Kenta w gabinecie. Zapadł ze znużeniem w swoje krzesło przy biurku.

- Źle z nim.

- To wstyd.

- Gdzie jest policja stanowa?

Bob wzruszył ramionami. Siedział na krześle, z wyciągniętymi przed siebie nogami i rozpostartymi ramionami. Alan sięgnął po telefon.

- Zadzwoń jeszcze raz.

- To niepotrzebne.

Doktor przestał wystukiwać numer, zaskoczony odpowiedzią Kenta.

- Co?

- Nie martwmy się teraz policją. Mamy inne rzeczy do omówienia.

Springer odłożył słuchawkę.

- Jak idzie rejestracja? - spytał burmistrz. Doktor przyjrzał mu się uważnie.

- Nie pojechałeś do Albany!

- Oczywiście, że pojechałem. Wyruszyliśmy z Fredem w czwartek. Spotkaliśmy jednego ze znajomych Michała. Wróciłem i odbyłem z Michałem ciekawą pogawędkę.

- W ośrodku Bractwa? Kent uśmiechnął się grzecznie.

- Zacząłem patrzeć na to wszystko z jego punktu widzenia. Wiesz co, on ma rację. Świat znajduje się w chaosie. Naprawdę ciężko grzeszyliśmy, zniszczyliśmy środowisko i pozwoliliśmy poganom zdobyć przewagę.

- Poganom? - spytał Alan z niedowierzaniem.

- Arabom i Afrykanom. Słudzy Boga muszą to wszystko zmienić. Przyszło mi do głowy, że powinniśmy znaleźć się po właściwej stronie, zanim to się stanie; jeśli wiesz o co mi chodzi.

- Fred zgodził się z tym? Burmistrz zmarszczył brwi.

- Fred ma zamiar rozważyć ten problem. Dojdzie do tego. Doktor gapił się z niedowierzaniem na przyjaciela.

- Ty? Ty wierzysz w to wszystko?

Okrągła twarz Boba przybrała znajomy Alanowi, niemy wyraz.

- "Nawróciłeś się?!" - krzyczał Springer. Kent przeszył go wzrokiem.

- Michał szkolił mnie osobiście. Jestem sługą najwyższego stopnia.

- Bob!

- Michał chce, żebym pozostał burmistrzem.

- Jego burmistrzem?!

- Potrzebuję doświadczonych ludzi. Naprawdę powinieneś zastanowić się nad przyłączeniem się jak najszybciej, Alanie. Zanim będzie za późno.

- Zwariowałeś! Zrobili ci pranie mózgu! Bob, nie możesz... Kent wstał.

- Rodzice będą mieli dzisiaj po południu ostateczną możliwość dołączenia do swoich dzieci. Czemu nie pójdziesz do domu i nie omówisz tego z Samanthą?

Alan wycelował w burmistrza drżący palec.

- Powstrzymam was. Zarejestruję nowych wyborców i was powstrzymam.

Kent odparł matowym głosem:

- Proszę zobaczyć się z córką, doktorze Springer.

Main Street była pusta.

Zimny powiew szeleścił liśćmi w rynsztokach. Większość z nich leżała już na ziemi, a niebo przeświecało poprzez огоłcone drzewa.

W domu Springer odnalazł Margaret i Samanthę czytające wspólnie broszurkę Błękitnego Bractwa przed trzaskającym w kominku ogniem. Opowiedział im, co stało się w kościele i z Charliem Danielsem i co zrobił Bob Kent. Margaret zwiesiła głowę.

Samantha przyglądała mu się pustym wzrokiem.

- Bóg nadszedł, tatusiu.

W gardle doktora uwiązał sarkastyczny uśmiech.

- Nie, kochanie. Bóg był tu przez cały czas, ale zdaje mi się, że właśnie odszedł.

Przez moment - krótki błysk, który przywrócił mu całą siłę, całą nadzieję - oczy Samanthy zapłonęły na ten kiepski żart. Uśmiechnął się do niej, ciesząc się z tej chwili.

Na werandzie zadudniły ciężkie kroki. W drzwi łupnęła pięść. Samantha i Margaret wyglądały tak, jakby spodziewały się tego najścia. Doktor poczuł skurecz w żołądku, widząc przy wyjściu dwa śpiwory. Szybkim, płynnym krokiem przeszedł przez duży pokój i otworzył.

W drzwiach czekało czworo sekciarzy.

- Samantha Springer - powiedziała surowo stojąca najbliżej, silnie zbudowana kobieta.

- Tu jestem! - zawołała Samantha.

Przepchnęli się koło Springera i weszli do dużego pokoju.

- Samantho, czy jesteś gotowa się nawrócić?

- Jestem gotowa.

- Czy twój ojciec i matka idą z tobą?

Margaret stanęła za córką i oparła dłonie na jej ramionach.

- Moja matka idzie. - Zwróciła się do Springera: - Ty też możesz iść, tato.

- Po co?

- Na szkolenie - odpowiedziała kobieta.

- Zabraniam wam tego! - rzucił Alan.

- Czy twój ojciec idzie, Samantha? - pytała kobieta.

- Powiedziałem, że zabraniam tego - powtórzył doktor.

- Proszę, chodź, tato.

- Żadna z was nie może tam pójść. Margaret odezwała się:

- Czy to znaczy, że nie idziesz z nami?

- Co się dzieje? - spytał Springer.

Czwórka sekciarzy przyglądała mu się bez mrugnięcia okiem, jak wąż czekający, by szczur zrobił pierwszy ruch. Samantha złapała go za ramię.

- Tato... Każdy ma przyprowadzić swoich rodziców, żeby Michał mógł ich nauczać i oczyścić ich dusze. - Pociągnęła go do okna i odsłoniła firankę. - Widzisz?

Przy krawężniku stał zaparkowany szkolny autobus. Sąsiedzi Alana siedzieli w środku, wyglądając przez przymglone okna.

- Nie - powiedział Springer. - Nie możesz tego zrobić.

Zamknął drzwi wyjściowe i zasłonił je ciałem. Sekciarze rozproszyli się i podeszli do niego. Przyglądał im się po kolei, próbując odgadnąć, kto zaatakuje pierwszy.

- Tato, nie! - krzyknęła Samantha.

- Proszę cię, pozwól nam iść - powiedziała Margaret. Mężczyzna o grubo ciosanej,

szerokiej twarzy i wielkich łapach ruszył w kierunku doktora.

- Nie!!! - wrzasnęła Samantha. Rzuciła się pomiędzy sekciarza a swojego ojca.

- Samantha! - skarciła ją ostro kobieta. Samantha zamarła i wycofała się prędko.

- Przepraszam - szepnęła.

Kiedy się uspokoiła, mężczyzna ponownie zrobił krok w stronę Springera.

- Alanie - prosiła Margaret - zrobią ci krzywdę. My i tak idziemy.

- Margaret, dlaczego?

Żona doktora podniosła głowę.

- Samantha jest wszystkim, co teraz mam. Wszystkim, co kiedykolwiek miałam.

Springer odsunął się na bok.

Margaret i Samantha podniosły swoje bagaże i wyszły. Członkowie Bractwa za nimi. Ostatni delikatnie zamknął drzwi. Alan przyglądał się przez okno, jak autobus ruszył pustą ulicą i przystanął o kilka domów dalej. Wsiadli mężczyzna, kobieta i młody chłopak. Doktor wyteżał wzrok, żeby poprzez refleksy świetlne w szybach autobusu zobaczyć choćby cień Samantha czy Margaret. Kiedy tylko pojazd zniknął z pola widzenia, Alan zaczął się zastanawiać, jak długo ich nie będzie.

Stał w oknie przez jakiś czas; potem usiadł przy ogniu i wypił drinka. Kiedy wypaliły się już węgle, włożył płaszcz i poszedł do szpitala. Mijając Grand Street, zauważył w kilku domach niebieskie światło. Kolejne dostrzegł w mieszkaniach znajdujących się nad sklepami. Silna żarówka świeciła także w biurze firmy Boba Kenta.

Pielęgniarka wyglądała na przestraszoną. Sala szpitalna była pusta. Reggie z praktykantem nie wrócili jeszcze z Saratogi. Pielęgniarka chciała rozmawiać, ale Springer zwolnił ją do domu:

Wszedł do swojego gabinetu i siedział tam, zamyślony, aż zrobiło się ciemno. Nie ruszał się z miejsca, nie zapalał światła, nie odbierał telefonu, który parę razy dzwonił. Pomyślał sobie, że nie powinien był odsyłać pielęgniarki. Spojrzał na rozkład zajęć. Jej

zmienniczka przychodziła o szóstej.

Wyjął z szuflady biurka rewolwer Danny'ego Mosera, wyłowił rozsypane naboje spośród spinaczy biurowych i końcówek ołówków i załadował broń. Potem poszedł do domu, wsiadł do samochodu i pojechał Spotting Mountain Road na górę.

Zatrzymał się przy bramie ośrodka sekty. Jedyne oświetlenie stanowiło padające z okien niebieskie światło. Zostawił włączone reflektory, żeby coś widzieć pośród ciemności, i chwytając za schowany w kieszeni płaszcza rewolwer, zadzwonił i czekał, drżąc z zimna. Było tak ciemno, że nie widział nic poza kręgiem oświetlonym przez reflektory samochodu. Zadzwonił jeszcze raz, trzymając wciśnięty guzik przez całą minutę. W mroźnym wietrze wyczuł drobiny śniegu.

- Słucham, doktorze Springer?

Z ciemności wyłonił się Michał; otworzył bramę i zbliżył się do Alana. Doktor cofnął się, wyczuwając stopami pochyłość gruntu. Zastanawiał się, dlaczego mężczyzna był sam i z jakiego powodu go to zaniepokoiło.

- Przyszedłem po córkę - powiedział Springer.

- Samantha jest dzieckiem bożym - odparł Michał. - Moim dzieckiem. Postanowiła zostać tutaj.

- Zabrałeś wszystko - mówił doktor. - Oddaj mi córkę. Błagam cię! Zwróć mi ją.

- Wszystko jest własnością Boga - stwierdził przywódca sekty, podchodząc bliżej.

Alan podniósł rewolwer. Drżał cały.

- Chcę moją córkę z powrotem!

Oczy Michała zapłonęły, jak gdyby go to rozbawiło.

Zbliżył się jeszcze bardziej, posuwając się śladem cofającego się doktora.

- Czego chcesz? - spytał Springer, obserwując oczy przeciwnika.

- Oddaj mi broń.

- Po co to robisz? Czego ty chcesz? Michał wybuchnął śmiechem.

- Chcę? Niczego nie chcę. Mam wszystko. Wszystko, czego ty chcesz. Mam wasze pieniądze, waszą władzę, waszą miłość, wasz seks - wszystko, oprócz waszego strachu.

Alan wyczuł, że grunt stromo opada. Bał się cofać jeszcze dalej. Słyszał tuż za sobą swój samochód - warkot pracującego silnika i wycie przekładni. Długa ręka Michała sięgnęła w jego kierunku leniwym, niespiesznym ruchem. Samozwańczy archanioł miał olbrzymie dłonie, z ładnie ukształtowanymi potężnymi palcami. Jego oczy spoglądały z góry na Springera. Alan bał się, że prześwidrują go na wylot, odnajdując w nim wahanie i strach. Hipnotyzujący głos Michała nalegał:

- Oddaj mi go, doktorze.

Jego dłoń znajdowała się o jakieś dziesięć centymetrów od rewolweru. Palce rozczapierzyły się, żeby uchwycić broń.

Springer pociągnął za cyngiel.

Broń wypaliła z hukiem, a na twarzy Michała pojawiło się bezgraniczne zdumienie. Zatoczył się, opierając o słupek bramy; jasna, tętnicza krew bluzgała mu z ramienia. Tryskała w świetle reflektorów, ochlapując doktorowi rękę, tak samo jak krew Sophie. Alan był przerażony. W ustach czuł gorzki smak tego szaleńczego zwycięstwa. Rzucił broń na ziemię.

Szarpiąc się pomiędzy potężnymi rękami olbrzyma, posadził go, opartego o kamienny słupek. Potem wyjął z wozu swoją lekarską torbę i założył mu powyżej rany opaskę uciskową.

Zapłonęły reflektory, oświetlając budynek i podjazd.

Doktor pracował jak oszalały, starając się zatrzymać krwawienie. Kula przebiła arterię nieco powyżej łokcia, jakimś sposobem omijając kość, a gigantyczne mięśnie Michała utrudniały ściśnięcie tętnicy. Spróbował założyć mu drugą opaskę pod pachą.

W ośrodku trzaskały drzwi. Rozległy się głosy wołające na alarm. Kiedy tak zmagał się z ramieniem olbrzyma, wydało mu się, że jeszcze nigdy nie słyszał Błękitnych Braci krzyczących w ten sposób. Zaskoczenie, czy może panika przełamały ich dyscyplinę, ale jeśli nawet ich przywódca zauważył różnicę, nie wydawało się go to kłopotać. Z pewnością siebie, przyglądał się, jak Springer radzi sobie z cieknącą krwią.

Opaska była zawiązana tak ciasno, jak tylko dało się to zrobić za pomocą mikroskopijnej latarki, której Alan użył jako dźwigni. Rozglądał się za drugą dźwignią. Krzyż Michała! Doktor zerwał mu go z łańcuszka, na którym wisiał, i włożył dłuższy koniec pomiędzy tkaninę. Skręcił go mocno i krwawienie ustało.

- Trzeba zabrać cię do szpitala - mruknął, wsadzając krótsze ramiona krzyża pod bandaż, żeby opaska się nie rozluźniła. Od środka nadchodzili sekciarze, niosąc przysłonięte na niebiesko latarnie. Springer spojrzął z niepokojem na podskakujące w ciemności światła.

- Nie bój się - powiedział Michał. - Nie pozwolę im cię skrzywdzić. - Podniósł rękę,

jak gdyby chciał ich zatrzymać, ale opadła ciężko. W jego oczach pojawiło się zdumienie, lwia głowa zniżyła się i ku przerażeniu Alana, zemdlął oparty o kamienny słup.

Biegący na przedzie byli odlegli już tylko o trzydzieści metrów. Dostrzegli Springera, przykucniętego koło ciała ich przywódcy. Jeden z sekciarzy wrzasnął:

- Szatan! Szatan!

Niebieska latarnia przeleciała łukiem przez ciemność i upadła u stóp Alana. Doktor rzucił się do samochodu i zamknął się w środku. Wrzucił wsteczny bieg, ale zdążyli już zablokować za nim drogę. Ktoś podniósł duży kamień i rzucił nim. Rozwalił tylną szybę.

Doktor przełączył automat na "do przodu" i ruszył pod górę, zostawiając błękitne latarnie za sobą. Jechał z dużą prędkością przez półtora kilometra. Kiedy droga skończyła się, skręcił w żwirowy, leśny trakt, aż dotarł do parkingu na wysokim płaskowyzu. Dalej nie miał już dokąd jechać. Opuścił szybę i zaczął nasłuchiwać. Noc była cicha.

Ręce mu drżały, czuł mdłości. Wsiadł z samochodu i oparł się o błotnik. W głowie mu szumiało. Co będzie, jeśli nie zabiorą Michała do szpitala? Jeśli ten cholerny sanitariusz będzie próbował się tym zająć? Jeśli tętnica jest przerwana, czy będzie miał na tyle rozsądku, żeby go przywieźć, czy będzie uciskał ranę dookoła stosując akupresurę? Alan oddychał głęboko zimnym, nocnym powietrzem. Musiał wrócić.

Przez ciemność przebiło się światło. Leśną drogą zbliżały się dziesiątki niebieskich latarni. Szukali go. Skulił się i oddalił od samochodu, biegnąc przez płaskowyz, aż musiał się zatrzymać przed krawędzią przepaści. Znalazł się w pułapce. Spojrzał w dół na czarną nieckę utworzoną przez doliny.

W starym zakładzie płonęły błękitne światełka. Poniżej, jeszcze więcej takich lampek upstrzyło skupisko białych świateł zaznaczające obszar miasteczka. Nawet teraz, gdy patrzył, w Hudson City i poza nim, na przyległych farmach, zapalało się coraz więcej i więcej niebieskich punktów, gdyż świeżo nawróceni sygnalizowali w ten sposób swoją przynależność do sekty.

Szaleństwo tłumu, jak nazwał to wielebny Davies. Wielka, zbiorowa iluzja. Określenie to nie było pocieszające. Błękitne latarnie sekciarzy zbliżały się coraz bardziej. Usłyszał ich krzyki, kiedy odnaleźli jego samochód.

Brzmiały groźnie.